

II/2433

CZESC DRUGA

| | | |
|-------------|------------------------------------|---------|
| 8.W | obozie..... | str.194 |
| 9.Traktorna | baza..... | 248 |
| 10 | .Gdy kończą się białe noc..... | 268 |
| 11 | .Zima na dalekiej północy..... | 286 |
| 12 | .Nareszcie wiosna!..... | 337 |
| 13 | .P _o smak wolności..... | 360 |
| 14 | .Dokąd jechać?..... | 384 |
| 15 | .Ostatnia zapalka..... | 405 |
| 16 | .Kotłas - Barnauł | 413 |
| 17. | W azjatyckim mieście..... | 429 |

Rozdział VIII

W OBOZIE
POSIOLKU

Nie zwlekając, ruszają za komendantem. Wiktor - głównie ze względu na powłóczącą nogami Emilkę - brnie na szarym końcu. Wreszcie - obóz. Obszerny, podługowaty wyręb wytyczony wysokimi ścianami świerków po obrzeżach, przepołowiony szarym pasem biegnącej wzdłuż drogi. Po obu jej stronach - szare prostokąty bliźniaczych baraków z małymi otworami okiennymi. Zbudowane na zrąb z grubych bali, ustawione na solidnych, wbitych w ziemię palach - każdy z wysokim gankiem, nad każdym wejściem namalowany czerwoną farbą numer. Od pierwszego do dwunastego.

Pomiędzy nimi, a także w planie - rozrzucone gdzieś, mniejsze i większe obiekty. I najważniejszy wśród nich - budynek komendatury. Właśnie przed nim komendant Mierzlewcew urządził coś w rodzaju powitania nowej partii zesłańców.

Jedni już tu stoją, inni wciąż dochodzą. Komendant niecierpliwi się coraz widoczniej. Jemu także dokucza namelna meszka. Chciałby to już mieć za sobą. Wieczór należy do wyjątkowo upalnych, co wywabia owady z tajgi. Wreszcie są wszyscy, można zaczynać.

- 'Tut tiepier' wasza rodina. Tut wam żyt', rabotat' da pamierat'¹ - padają szczekliwe, niezrozumiałe słowa, które - kto potrafi - tłumaczy najbliższemu stojącemu. Komendant mówi coraz szybciej, coraz gniewniej. - Kwartiry zanimat', kak kamu achota. Siewodnia wy swabodnyje a zawtra sabranije. Budiet gong; tagda wsie w stałowuju² - ujmuję żelazny łom i wali nim w kawał zawieszoną na poprzeczce blachy. Raz...dwa...trzy... - uderzenia są coraz silniejsze, blaszany jazgot coraz bardziej ogłuszający, twarze przybyłych coraz mocniej wykrzywione, w oczach Mierzlewcewa tym wyraźniejsza, złośliwa satysfakcja. Odwróciwszy się, znika za

1. To jest teraz wasza ojczyzna. Tu bógcie żyli, pracowali i umierali.

2. Kwatery można zajmować według woli. Dzisiaj czas wolny a jutro zebranie. Na dzień gongu - wszyscy stawia się w stołówce.

drzwiami komendantury.

W metalicznej, martwej jasności białego wieczoru czy nocy/co do tego nikt nie ma pewności/, pośród wilgotnej, nieprzyjaznej woni mokradeł, opędzając się machinalnie przed meszką, tłumek tkwi nadal - bezradny, zagubiony, przerażony. Tylko dzieciarnia biega, ciekawa nowości, wścibska.

Z tyłu, między barakami a lasem - teren w sam raz do zabaw. Pełno tam przysłoniętych trawą wykrotów, sterczących malowniczo konarów, mniejszych gałęzi i szczap, dziwacznie splątanych korzeni a nade wszystko zatrzesienie ściętych, poszarzałych pni - gigantycznych niby-grzybów. Setki!

Wreszcie gromada rozprasza się. Jedni zawracają po zostawione w tajdze mienie, inni nawołują się wzajemnie, by wspólnie zajmować baraki. Wikteria zatrzymuje się w cieniu wielkiej, pochyłej brzozy, vis a vis wejścia do baraku oznaczonego olbrzymią ósemką, obok państwa Święcickich, Krzyckich, Mańskich.

- Trzeba by zawołać panią Tomczycką, biegnij Lesiu - mówi, obserwując znikającą właśnie w drzwiach, żydowską rodzinę.

- Ci zawsze pierwsi! - nie wytrzymuje pani Mańska i już wspina się po stromych schodach, tuż przy ścianie z powodu braku poręczy. Nie ma ich również wokół ganku. Za nią podąża Zdzisław Święcicki. Reszta czeka cierpliwie, aż do pojawienia się na ganku pani Mańskiej, rozgorączkowanej, miętającej dziesiątki inwektyw pod adresem "bolszewii", kipiącej nienawiścią.

- Klity, nie mieszkania, proszę państwa! Po prostu k a n u r y; szlag by ich trafił! Że też kary na nich nie ma! O, przyjdzie kryska, przyjdzie! Jeszcze im pokażemy, bolszewickim gnidom! Wielki mi barak! Sześć dziur po każdej stronie! No, my chyba zajmiemy lewą, bo z prawej już Żydem zalatuje. Chodźcież państwo prędzej. Na co czekacie? Czy poszedł kto po panią Tomczycką? - zmienia nagle tok myśli.

- A ja nie wystarczę? - "Zyz von Drynda wświdrowuje spojrzenie w panią Mańską i, kolejno, w pozostałych.

Chwila wymownego milczenia i wszyscy, hurmą, ruszają ku schodom. Niezrażona, z Lusią u boku, sunie z tyłu.

W sieni tłoczno, choć przestronna. Z lewa i z prawa - drzwi i długie w głębi korytarzyki; każdy z piecem u wylotu zakończonego oknem. Na wprost wejścia - pojedyncza klitka. Obok niej, na tle zabezpieczającej, ceglanej ścianki, także ceglany, oblepiony gliną, średniej wielkości piec ze sporym paleniskiem, lecz bez drzwiczek, z wyprowadzoną na zewnątrz rurą kominową.

Zdzisław, samorzutnie w roli "starszego", raz-dwa rozmieszcza poszczególne rodziny w izdebkach, przy czym największa - narożna, z dwoma okienkami w dwóch szczytowych ścianach - dostaje się, jako najliczniejszej, gromadce Wiktorii. Na przeciwko instalują się panie: Święcicka, Mańska i Krzycka z bliskimi. W bezpośrednim sąsiedztwie Wiktorii, za cienkim przepierzeniem z desek - Turkotowa, która z miejsca zaczyna przykładać ciekawskie oko do szpar i dziur po sękach.

Zanim uda się sprowadzić panią Tomczycką, jedyne wolne pomieszczenie / to w sieni / zajmuje owdowiały Abram z dwoma dorosłymi synami oraz sześciolatnią Chają, dziewczuszką niebywale wytrwałą, mającą za sobą - podobnie jak bracia i ojciec - ośmiusetkilometrową, pieszą wędrówkę z zachodniego krańca Polski aż na Wileńszczyznę. "Dziupla" Abrama a raczej przytykający do niej piec i reszta sieni to jakby naturalna linia graniczna dzieląca barak na dwie strefy: polską i semicką. Żadnych sąsiedzkich wizyt między jednymi a drugimi a jeśli już jakieś kontakty, to tylko na terenie neutralnym. Temu nie pisanemu, nigdy nawet nie ogłoszonymu prawu, ci i tamci pozostaną posłuszni do końca. Kwatery są puste. Cztery ściany i podłoga. Wiktorii układa rozspaną Inge na największej walizie, obok mężczyzny prowizoryczne posłanie, na które czym prędzej zapędza gorączkującą wciąż Emilkę. Obok niej wali się ciężko zmordowana Dorota. Tylko Leszka nie ma.

- Gdzież ten chłopak gania! - Wiktorii wychodzi na ganek, gdzie rojno, od ludzi. Wszyscy wpatrzeni w sunące drogą, wąskie sanie zaprzężone do dwóch "chałaciarzy". Pod białym prześcieradłem, na saniach, nieruchomy, skulony kształt. Za nimi - lamentujący wniebogłosy

żałobnicy z trójką sierot na czele. Ponure wrażenie wzmagają zimny blask białej nocy i unoszące się ponad ziemią, chmury ^{meszki.}

- Patrzcie państwo, te Sowiety nawet umarłemu pożyć nie pozwolą!

Kto to widział; chować w dniu śmierci! - wymyśla, swoim zwyczajem, pani

Mańska. - Ale co tam, komuniści! Wiadomo, w Boga nie wierzą!

Smutny orszak znika w lesie za posesją. Przyciśnięty do pnia pochyłej brzozy Leszek - korzystając z nieuwagi matki - śmignąwszy na drogę, pędzi śladem płytkiej koleiny odcisniętej w piasku płozami sa^u, aż do miejsca wyznaczonego przez władze obozu na grzebanie zmarłych - oddalonego o dwa i pół kilometra brzozowego zagajnika na zboczu opadającej łagodnie ku wąwozowi skarpy.

Pośród dziwacznie powykrzywianych, poskręcanych karłowatych brzoź sterczą - tu i ówdzie - świeże, sosnowe krzyże. Kondukt mija je, schodząc niżej,

skąd dolatuje szemranie sączącego się dnem wąwozu strumyka - wąskiego pasemka migotliwej wody prześwitującego poprzez zarośla. Gdyby ktoś rzekł, iż w czas roztopów przeistacza się on w rwącą rzekę, trudno by to było wyobrazić.

Leszek, dołączywszy do żałobników, patrzy z zapartym tchem, jak łopata zagłębia się w piasku, następnie w wilgotnej, miękkiej ziemi. Jeszcze parę sztychów i w płytkim dole chlupocze błotnista maź.

Na nic wysiłki kopiających. Mazi jest coraz więcej. Nie sposób jej zgruntować. Dają za wygraną, usuwają się przed tymi, którzy składają owinięte w prześcieradło, w pozycji siedzącej, zwłoki do grobu. Leszek dobrze zna żydowskie obyczaje pogrzebowe, nie dziwi go przeto nic. Boi się tylko, że - ze zbyt płytkiego dołu - będzie zmarłej wystawała głowa.

W chwili, gdy ciało dotyka błotnistej cieczy, rozlega się potężny zbiorowy jęk, który w następnych sekundach ucina się raptownie. Spowitą w płótna, sztywną kobiecą sylwetkę - za ledwie się zagłębi ^(maź) - wsysa w mgnieniu oka, zwierając się nad nią czarną, lepka gładzią, jakby ją wciągnęła ^{jakaś} niewidzialna, podziemna siła.

Jeszcze gdzieś w głębi rozlegnie się obrzydłe "bulg-bulg-bulgbulbulbulbulggg...ffllll-ffllfffluffllyyy...", po czym wszystko zamiera. Nad zalegającym dół czarnym sapem wybuchają nowe lamenty. Trwają

starania uformowania nagrobka. Żałobnicy - krzyżąc rozdzierająco-
zaczynają znosić i ciskać w błoto pęki faszyny, pojedyncze gałęzie, garści
piasku i znów faszynę. Jeszcze piasek. Na koniec do niewielkiego
kopczyka, z trudem uklepanego na zboczu skarpy pod brzoziakami, przypa-
dają rozpaczające dzieci zmarłej. Współwyznawcy patrzą na nie, po-
jękując, kiwając fraszobliwie głowami w jarmułkach. Wzdychają ciężko,
wykrzykują - niezrozumiałe dla Leszka słowa modlitwy. Wreszcie zaczy-
niają się rozchodzić. Nad odsuniętą od innych mogiłą rozbrzmiewają już
tylko żałobne chóry owadzie i kłębią się chmury meszki tak gęste, iż
przestwór leśny wydaje się czarny.

Leszek wraca do obozu z duszą na ramieniu, teraz dopiero świadom, że
oddalił się samowolnie.

Wiktoria - jeszcze pod wrażeniem ostatnich przejść a także pierwszego
pogrzebu - nie słyszy i nie widzi wsuwającego się cichuteńko synka,
który bez zwłoki kuca obok drzemających na tobołkach sióstr.
Stoi, oparta o framugę okienka, z którego roztacza się widok na niewielki
budynek komendantury, j e s z c z e nieświadoma jego istotnej
funkcji, jeszcze omijająca go obojętnym spojrzeniem. Jakże jest samot-
na i jaka nieszczęśliwa! Dlaczego? Dlaczego, Joachimie? Są tu przecież
mężczyźni. Mógłś i ty być z nami! - Z ciężkim sercem przygląda się oto-
czeniu. Ten las! Kocha las, ale nie ten. Ten jest wrogi, groźny, przera-
żający. - Nagłe pieczenie ręki sprowadza jej uwagę
w bliższe rejony. Z niedowierzaniem, ze wstrętem patrzy na własne przed-
ramię, po którym sunie, zwartym wieloszerogiem, rój czarno-czerwonych,
suchych jak płonka, żywych łupinek.

Na okiennej framudze - jeszcze większe
mnóstwo. Odskakuje w popłochu, strząsa z obrzydzeniem robactwo, zgarnia dło-
nią pozostałe resztki, otrzepuje ubranie i na sekundę zamiera w bezru-
chu. Wszędzie - jak ściany długie i szerokie - roją się nieprzebrane
kohorty, nieprzeliczone falangi wygłodzonych pluskiew.

- Poczują ludzi - mówi Wiktoria głośno, czym budzi starsze dzie-
ci. - Ponoć pluskwy zdolne są do przetrwania siedmiu lat bez pożywie-
nia. Nie wierzyłam, ale tu przecież nikt od lat nie mieszka! -

Pomaga dzieciom w otrzepywaniu się. Otrzepują się wzajemnie, bez przerwy, gdyż pluskwy spadają im na głowy z sufitu. Tysiące!

- Boże, Ina! - Wiktoria skacze ku miotającemu się przez sen dziecku. Inga wymachuje niespokojnie rączkami i nóżkami, marszczy nosek i czółko, czasem drga całym ciałkiem nabytym pod bombami odruchem. Obudzona, marudzi, popłakuje, na co Wiktoria nie zwraca uwagi. Rozbiera ją pośpiesznie, omiata z pasożytów, wkłada wytrzepane przez Dorotę łaszki na powrót, odsuwa od reszty rzeczy internacką walizę Emilki, oczyszcza ją, układa dziecko, otula kocykiem. No, nareszcie można zająć się sobą!

Niebawem Inga zaczyna znów wierzgać, ^{więc} trzeba wszystko powtórzyć raz jeszcze. Siadają teraz wszyscy/nie wyłączając chorej Emilki/wokół walizy, bez przerwy odpędzając, odgarniając niezliczone tabuny wygłodniałych krwiożerczych, obrzydliwie cuchnących robaków: z dziecka oraz z siebie. Mimo to wkrótce muszą ponownie rozbrać małą, trzepać ubranko i kocyk, omiatać walizkę.

Biała noc płynie leniwie, dzieci, zmęczone, drzemią niespokojnie. Jedyne Wiktoria nie ustaje w walce.

Strząsa

bez przerwy ruchomy, rdzawy kożuch z dzieci i siebie,

pod nieprzerwanym, żarłocznym gradem spadającym, spadającym z sufitu. Wygląda groteskowo - podrygująca, drapiąca się, kucająca i prostująca się, wymachująca rękami. Rzekłbyś: szamanka odczyniająca uroki pośród białosrebrzystej, tajemniczej poświaty mlecznej nocy, pośród zdających się żyć, brunatnych ścian i podłogi.

Zajęcie ^{to} monotonne, nużące i prawie bezskuteczne. Utrudzona bez miary, znajduje przed barakiem cztery odpowiednie pytyki, do których mocuje pieluszkę i zatyka ten zaimprovizowany baldachim nad Ingą. Przynajmniej "z powietrza" ustana ataki wygłodniałych bestii - oddycha z ulgą. Nie na długo. Wkrótce ma się przekonać, że wszystko na nic, gotowa przysiąc, że pluskwy myślą. Zgromadzone wielkimi skupiskami równiutko nad pieluszkowym daszkiem, spadają

nieomylnie nad Ingą deszczem tak gęstym, że po paru minutach na "parasolu" gromadzi się kilkuwarstwowa, rozpełzająca się błyskawicznie masa. Wiktoria wybiega co rusz na ganek, w czym nie jest odosobniona, wyrzepuje pieluszkę i zmyka czym prędzej przed atakami meszki, oblepiona nią szczelnie. Omiata się pieluchą, przeciera twarz i oczy, pozostawiając na skórze czarne smugi rozgniecionych owadów.

- To piekło! - myśli ze zgrozą. - Najprawdziwsze, realne piekło! Matko

Najświętsza, za co? - *W uszy wdziera się piekielny hakas gonqu, zrywając obóz na równe nogi.*

Krótko,

w istocie, biała noc ustępuje pod naporem

wstającego słońca, co dla pluskiew i owadów jest hasłem zawieszenia bro-

ni. i co pogryzieni, drapiący się ludzie wykorzystują bez zwłoki. Tym

łatwiej, iż komendant Mierzlewcew - po odszczekaniu regulaminu obozowego

- wspaniałomyślnie ofiarowuje im ten dzień na urządzenie się i łaźnię,

która mieści się na skraju obozu, w na prędcie zaadaptowanym budynku.

Wszyscy - zwołani do stołówki - spoglądają zazdrośnie

na wyznaczoną przez komendanta łaźnię, Kasię.

Dziewczy-

nę przyłapaną przez Emilkę na barce, gdy wychodził z kabiny rajkomendanta.

Emilka milczy dyskretnie, lecz nie zazdrości Kasi, która zresztą od razu

każe nazywać się Katią. Woli, tak jak pozostałe dziewczęta, do lasu, co ma

nastąpić od jutra. Nawet, jeśli Kasia-Katia ~~będzie~~ pracować jedynie w soboty.

Jest bardzo słaba. Ledwie siedzi, usiłując słuchać uważnie tłu-

maczonych przez matkę słów Mierzlewcewa, obiecując sobie za-

notować wszystko w zeszycie.

- Znajdujemy się - mówi komendant - w dorzeczu Dwiny, na wycinku ziemi

wchodzącej w skład Archangielskiej obłasti. Nasze zadanie - wydzierać

europejskiej Północy cenne drewno. *Potrzebuje go*

nasz wielki Sowieckij Sojuz. Jest nas dużo, damy radę. Tylko praco-

wać trzeba solidnie, bez oszukaństwa. Trzeba wyrabiać normę, za której

przekroczenie można zdobyć zaszczytny tytuł stachanowca-przodownika

pracy socjalistycznej i związane z tym konkretne korzyści: większy pajok-

-przydział chleba i pochwałę zwierzchności. Za bumelanctwo, za obijanie się

za wymigiwanie od pracy,

za spóźnienie lub wcześniejsze, bezprawne zejście ze stanowiska grozi
pragą¹ i związane z tym pozbawienie zapłaty oraz (pajka) kartek żywnościowych/. Moż-
na za to także pójść pod sąd i do tury. To nie żarty i nie uśmiechać
się durnowato! - Mierzlewcew spogląda groźnie w stronę, skąd usłyszał
podejrzane parsknięcie i gdzie stoi pani Manska,
- Matki małych dzieci, do czasu zorganizowania złobka, zwalnia się
z obowiązku pracy. Prawo mamy, jak widać, sprawiedliwe a wasz ob-
wiązek: przestrzegać go! - Wsknie, nad czymś się zastanawia, a gdy
zacznie znów mówić, w jego głosie pobrzmiewa dumą. - Okolica tu
zagospodarowana. Samych Korygowych trzy. Siewiernaja /północna/- wa-
sza - Jużnaja /południowa/ i Wostocznaja /wschodnia. Zapadnuju (zachodni)
zbudujecie wy. Siedem kilometrów stąd jest Traktorna
Baza. Blisko niej, może kilometr dalej - kołchoz.

Drugi leży na drodze do rejonowej Wierchniej Tojmy, gdzie
główne naczelstwo i gdzie prawdziwa tury; nie taka przejściów-
ka, jak tutejsza „chaładuszka”. Wszystko wzorcowo pomyślane. Nawet o kul-
turę władza sowiecka dba, w każdym obozie - swietlica.
Kraj tu bogaty, choć klimat ostry, ale władza radziecka ostrzejsza.

W kołchozach dobra dużo, ziemniaki, buraki, kapusta, kozy, krowy,
W każdym obozie - sklep.
Jeżeli kto ma ruble, można korzystać. Tylko nie wolno odda-

łać się bez zezwolenia. Nawet do lasu, indywidualnie, bez wiedzy władz
obozowych nie. Pzia!² Las jest do pracy, nie do spacerów. W razie czego,
psy wytropią.

Na zakończenie Mierzlewcew przedstawia swych współpracowników: zastępcę
Gałuszkina/na oko bardziej sympatyczny od szefa/, kierow-
nika eksploatacji leśnej, Doszywałowa oraz dziesiątnika, Danyłowa. Żegna
ich zgrzytliwie, z nienawiścią w głosie. - Teraz zostają „starsi”! - odczy-
tuje z listy nazwiska.
- Reszta marsz do baraków, zasiedlac się! Od jutra koniec zabawy! Nie
przyjechaliście na odpoczynek! To nie kurort, tylko obóz pracy! Prac-
wać trzeba z całych sił, odwdzięczając się władzy radzieckiej za to, że
was, wrogów ludu, spod bomb wyrwała! Przysłała w to spokojne miejsce!
Po drodze do baraku pani Manska zaczyna parodiować komendanta, nie li-
cząc się z zachowaniem ostrożności, na cały regulator.

- Pracujcie, pracujcie! - przedrzeźnia Mierzlewcewa, wykrzywiając się

¹ samowolne opuszczenie pracy
² nie wolno

niemiłosiernie. - Odwdzięczajcie się naszym dobrodziejom! Inaczej figa wam, nie pajok-diabli by ich wzięli! Chleb na kartki wydzielać! Jakies p a j k i, jakies p r a g u ł y wymyślać; diabelskie pomioty!

Z boku wyrasta nagle "Zyz von Drynda", więc Wiktoria, wyczuwająca w niej instynktownie coś nieprzyjaznego, udając, że nie widzi świ-drowatych spojrzeń, usiłuje powstrzymać zaciętrzewienie pani Mańskiej.

- Jednak matki z dziećmi na razie z pracy zwolnione - zaczyna pokojowo, co tym mocniej *tamta* ekscytuje.

- Na jak długo! - woła. - Dopóki żłobka czy tam j a s l i nie zrobią Tylko patrzeć, jak wsadzą Ingę do kojca a panią popędzą do lasu!

- Nie wiem czy dam radę - mówi naiwnie Wiktoria. - Nie bardzo jestem zdrowa.

- Akurat ich to obchodzi! Psami poszczują, chociaż ja się psów nie boję. Lepsze od ludzi - w głosie pani Mańskiej pobrzmiwają czułe nutki, z czego Wiktoria się cieszy. No, nareszcie przestanie się narażać.

- A biedne to! - ciągnie "psia mama". - A zagłodzone! Wiadomo. O n i nawet stworzeniu kęsa chleba żałują. Na pajki wydzielają, Sowiety przeklęte!

Turkotowa milczy, lecz jej "świdry" nie wróżą niczego dobrego. Wiktoria wije się wewnętrznie, myśląc gorączkowo, jak *wyciszyć panią Mańską* gdy dogania je Zdzisław, także tu wyznaczony na starszego polskiej części baraku.

- Proszę, proszę! - wydziwia na jego widok pani Mańska. - Uciekał a oni mu wierzą, idioci!

- Nie mają wyjścia. Jestem jedynym mężczyzną, nie licząc

głu... - połyka słowo na widok zeszywniałych pleców pani Krzyckiej kroczącej przodem w towarzystwie córki.

- Mam mnóstwo informacji. Pierwsze, to zakaz palenia w barakowych piecach latem. Boją się pożarów. Dlatego gotować trzeba pod chmurką - papple, pragnąc zatrzeć niemiłe wrażenie. - Spieszmy się, czeka nas walka z robactwem.

Dostaniemy też prycze, słowo daję. Będziemy się mogli umebłować, Oni twierdzą, że drzewa im nie żal. Można brać. Powiem więcej; jutro niedziela, nie idziemy do pracy.

Gałuszkini w ostatniej chwili przypomniał o tym komendantowi.

Walka z pluskwami zajmuje /także strona żydowska idzie za przykładem polskiej/ wiele godzin. i biorą w niej udział wszyscy z wyjątkiem chorej, polegającej na wyniesionych tobołkach, Emilki oraz dzieci i opiekującego się Inga, Arka.

Najsilniejsi dostarczają z kipiatielni wodę, inni przejmują od nich wiadra z wrzątkiem i zlewają obficie ściany. Najtrudniej z sufitami, których niepodobna pominąć, toteż wielu jest poparzonych, co znoszą ^{bardzo} mężnie. Lepsze to, niż karmić sobą pluskwy.

Wrzątek jest zaprawiony ofiarowaną przez każdą rodzinę miarką soli, więc nie tylko zaparzą robactwo, lecz i przeżerają *wskrosz*. Na razie soli nikt nie żałuje; każdy dobrze zaopatrzony. Sama Wiktoria posiada dwadzieścia kilogramów, które niebawem stopnieją gwałtownie, wymienione na żywność.

W baraku unosi się okropny, specyficzny pluskwi odór, co tym mocniej zagrzewa do wysiłku. Wreszcie ugotowane żywcem insekty, wraz z resztkami nie nadążającej wsiąkać wody, zostają wymiecione przy pomocy zmaistrowanych na prądce z brzoźowych witek mioteł, zaś przez rzane skrupulatnie, dokładnie wytrzepane na dworze rzeczy wniesione na powrót do wypucowanych pomieszczeń.

- Cud prawdziwy, że Ina wychodzi z tej operacji bez szwanku, nie tylko nie oparzona, lecz i nie zadrasnięta. Uganiając między krzątającymi się jak w ukropie dorosłymi, wciska się wszędzie tam, gdzie jej nie posiano. Smiga niby kuleczka w swej przybrudzonej niebieskiej sukieneczce a w trop za nią - nasładować każdy jej ruch z sumienną dokładnością - podąża bezustannie, wielkimi krokami, pochylony nad dzieckiem Arkę. Dziewczynka czasem ciągnie go za rękę, czasem za nogawkę spodni, wyrzywa się do przodu, on zaś pilnuje jej wytrwale, posłuszny poleceniu matki.

Nie jest jednakże w stanie wybawić *małej* z jakiegokolwiek opresji. Cdy jej coś zagraża /choćby upadek z ganku, gdy się znajduje na krawędzi/, Arek drze się wniebogłosy, tupie nogami, wali pięściami w pierś i gryzie własne ręce. Rozumie, że może się stać coś złego, lecz nie wie, jak pomóc, więc wzywa na ratunek dorosłych.

Analogicznie reaguje na widok przewróconej, płaczącej Ingi, nie ustając, aż ktoś przechodzący obok nie podniesie jej i nie pocieszy, gdyż i ona - z sobie jedynie wiadomej przyczyny, mimo iż potrafi - nie wstaje o własnych siłach, skutkiem czego zwykle przestają rozpaczac jednocześnie. Inga co rusz domaga się od swego opiekuna, by wziął ją na ręce, co gdy się stanie, przytula się do niego ufnie, obejmując jak rzep za szyję. W przypadku odmowy, zaczyna - naśladować go po mistrzowsku, ~~s~~ udaną złością - gryźć zapamiętałe swe paluszki, którą to manierę stosuje nieraz bez przyczyny, co bawi i pobudza oboje do zanoszenia się śmiechem.

Po wyparzeniu baraku pozostaje jeszcze pobrać obiecane „meble” - zbite z desek, ustawione na kozłach, poczerńnięte ze starości prycze oraz kawy, domagające się natychmiastowego odkażenia wrzątkiem. Dopiero wówczas można je ustawić w pomieszczeniach a następnie wnieść /przejrzane skrupulatnie, szmatka po szmatce, wytrzebane starannie/ rzeczy.

Wiktorii dostają się dwie ławy i jedna nara tak wąska, że może pomieścić najwyżej dwie osoby. Nie to. Przysunięta w kąt pod ścianę, z przystawionymi ściśle, wzdłuż, ławami, wymoszczona zieloną trawą i osłonięta prześcieradłem, przeobraża się w jednorodzinny tapczan, tym się głównie różniący od prawdziwego, że - by wszyscy mogli się pomieścić - trzeba na nim leżeć w poprzek.

Jako wezgiłowia służą odpowiednio ułożone: niemowlęca pierzynka Ingi, poduszka internacka Emilki oraz kozuch. Przykrycie stanowi internacka kołdra, gimnazjalny płaszcz, ^{szary} płaszcz Wiktorii i kurtka od pani Nawskiej.

Spoglądają na swoje dzieło dumnie, zachwyceni tym szczytem wygod w porównaniu z deskami nar wagonowych, *naqim pokładem cudnącej śledziami barki* czy wczorajszym koczowaniem na podłodze. Czują się bezpieczni a nawet urzędzeni.

coraz swobodniej, uczepteni podstawy KRZYŻA.

Wiktoria unosi głowę. To nie krzyż! To, sięgająca niebieskiego sklepienia, postać Chrystusa. Jego wzrok, pełen troski, utkwiony jest w ziemi, daleko w dole, jednak Wiktoria wie, że widzi ON także ich. Nikt i nic nie umknie JECO uwadze.

Wiktoria trzyma się brzeżka Chrystusowej szaty koniuszkami dwóch palców prawej ręki - kciukiem oraz wskazującym.

- Och, żeby się tylko utrzymać! - Poprawia uchwyt, co niczego nie zmienia. Na prawo tylko do tego brzeżka, o którym wie, że jest mocny. Niebywale mocny i trwały, chociaż szata - tak, jak poprzednio krzyż - jest papierowa.

Wiktoria czuje się pewnie, bezpiecznie. Jedyne jej zmartwienie, to troska, by przypadkiem nie puścić szaty. Trzyma się jej kurczowo, bez przerwy wzlatając ^{Do} czterech palców jej lewej, rozpostartej dłoni uczeptone -

- każde jednym tylko palcem - dzieci. Wskazującego - Emilka, środkowego - Dorota, serdecznego - Leszek i małego - Inga. Kciuk pozostaje pusty.

- Należy do Joachima - stwierdza i ogarnia ją lęk o dzieci. - Obym ich wszystkich utrzymała!

Wkna wciąż bezpiecznie, lecz gdy Wiktoria podniesie w górę oczy, widzi niezmiennie zatroskaną twarz Chrystusa. Jeszcze spojrzenie i - powrót do rzeczywistości. Obudzona, leży z zamkniętymi oczami, z ukojeniem w sercu.

- Dobry sen - orzeka w myślach. - Po prostu wspaniały. I jakież krzepiący! Gdyby nawet uznać ZŁO za silniejsze od DOBRA / bo zło to stal a dobro - papier /, słabsza - na pozór - materia okaże się niezniszczalna. DOBRO jest potęgą. Nawet wówczas, gdyby chwilowo przegrało. Należy tylko wierzyć i ufać. Trzeba się mocno trzymać choćby rąbka Chrystusowego Krzyża, bo w Nim ocalenie. - Wiktoria uznaje sen za znak nadziei. Teraz w i e, że wszyscy zostaną uratowani.

- Wszyscy!

Tylko Joachim...

Czy znaczy to, że... - Och, nie!

On żyje! Jego miejsce przy nas jest wolne. Nie uwolnione!

Czeka na niego!

Następnego dnia okazuje się, że wszyscy mają listy do wysłania, lecz nikt nie wie, jak to zrealizować. Na wieść o tym, że należy je dostarczyć - jak każdą przesyłkę - na przystań w Siewtrze, miny rzedną i prawdopodobnie nikt by się nie zdecydował, gdyby nie Dorota, która zgłasza się ochotniczo.

- Nikt nie ma takich wytrwałych nóg, jak ja! - przechwala się. - Kto, jak nie ja, biegał do źródła po dobrą wodę? Kto latał do Szczawnicy po szynkę na kolację? Kto codziennie gnał przez góry do szkoły w Krościenku?

Z wydanym przez komendanta propuskiem w kieszeni, wyrusza odważnie w drogę, jednak już po minięciu grobli ponad strumieniem zaczyna żałować swej pochopności. Tajga to nie Pieniny! Piękne, przyjazne, ukochane góry, gdzie pachnące, miękkie powietrze "samo niesie". Gdzie - oprócz wesołych muszek, skaczących zgrabnie pasikoników i swojsko buczących bąków - nie ma nic. *Zadnych plag!*

Dorota przyśpiesza kroku, momentami biegnie. Potyka się na wykrotach, grzęźnie w uginających się trawach, plując wciskającą się do ust meszką, oganiając się przed nią bezskutecznie. Oblepia twarz, wchodzi do nosa, oczu, uszu. - Boże, ileż tu tego! - Dorotę mija kuryłkę, biegnie co sił, gnana strachem. Boi się nie wiadomo czego. Boi się wszystkiego. Pustki, nieprzebytej tajgi wokoło i czegoś nie zidentyfikowanego. Ięk i pragnienie, by mieć to za sobą, sprawia, że podczas gdy w baraku sądzą, iż jeszcze nie dotarła do Siewtry, ona wraca. po wykonaniu zadania. Wyczynu tego dokonuje w przeciągu dwóch i pół godzin. Trzydzieści sześć kilometrów w obie strony!

Wszyscy się zdumiewają, wynosząc pod niebiosa zalety jej "wyścigowych" nóg. Zwłaszcza pani Świącicka.

- Dorotko, z ciebie istny... "Boski Traktor", słowo daję!

Przydomek przylega do Doroty trwale, często i z powodzeniem weryfikowany. Wciąż ktoś czegoś potrzebuje w Siewtrze: Odnieść list, przynieść list lub paczkę. Dorota nikomu nigdy nie odmówi. Mimo, że się boi samotności w tajdze i że się męczy. Pędzi ofiarnie na każde zawołanie - prędko, coraz prędkiej przebiera^{jąc} cienkimi jak patyki nogami, wykonuje sarnie skoki ponad wykrotami - byle prędkiej, szybciej dotrzeć do ludzi. Strach pomaga jej w błyskawicznym pokonywaniu odległości, przypina skrzydła; niekiedy skrzydła radości. Wtedy, gdy na zawiadomieniu figuruje ich nazwisko, co zdarzy się, niestety, za ledwie parokrotnie i czego na razie nie przeczuwa.

Jest niedziela. Nikt nie potrafi sobie nawet wyobrazić najbliższej przyszłości - wszyscy zainteresowani podtrzymywaniem ognia w paleniskach, od których roi się pod barakami, zajęci pitraszeniem - przeważnie placków z domowych jeszcze zapasów mąki, smażonych na smalcu, oleju, łożu, topionym maśle - w zależności od stanu posiadania.

Dorota, wygłodniała po forsownym marszu jak wilk, nie pamięta o zmęczeniu, bez reszty pochłonięta pracą, którą wprost wydziera z rąk matki. Odbierając jej rondel z ciastem naleśnikowym, woła żarliwie.

- Ja, mamusiu! Ja usmażę! Wy tylko siedźcie i czekajcie! - Smaruje starannie dno pożyczonej patelni słoninową skórką, ostrożnie wylewa odmierzoną miarkę żytniej zawiesiny, w skupieniu podważa naleśnik końcem noża. Gdy stężeje, przewraca go z nabożeństwem, umiejętnie potrząsając patelnią, zsuwa na talerz. Stos smakowitych krążków rośnie błyskawicznie. Dorota oblizuje się łakomie a Wiktoria patrzy, oczom nie wierząc.

- Kiedy się ta smarkula tego nauczyła?!

Dorota zerka co chwila na talerz, zagląda do garnka z ciastem. No nareszcie! Można zajadać. Pałaszują ze smakiem cienkie płatki, zwiijając je w rulony.

Leszek zaczyna wygryzać w nich dziury, przykładając do twarzy, czym wprawia Inge w zachwyt. Głupi Arek podchodzi bliźiutko, patrzy zachłannie, zaczyna gryźć ręce, grzmoci się w pierś.

- A-lek głod-ny! Głod-ny! - upomina się i po chwili wygryza:

w naleśniku otwory na oczy, nos i usta, przylepia go, niby maskę, wywala jęzor. Inga śmieje się do rozpuku, Leszek nagle zaczyna jeść, jak wszyscy,

dokładnie zwijając placki. Naleśników jest dużo, Dorota zaczyna częstować chętnych. Biorą, dziękują, chwala. Dorota pęka z dumy, nie myśli o jutrze. Nie myśli o nim także Wiktoria. Niechże jedzą, kiedy im smakuje.

Placki znikają, topnieją, jak śnieg. Nie ma już ani jednego. Trzeba dosmażyć. Nieoczekiwanie pojawia się tubylec z towarem.

- Pokupajcie, diszewo prodaju!¹ - demonstruje łapcie wykonane z kory brzozonej, ponoć bardzo mocne, wygodne i przydatne w pracy.

Wiktoria łapie okazję w lot, rada, że dziewczęta oszczędzą jedyne posiadane, nie najnowsze już buty. Za tanie pieniądze kupuje dwie pary łapci, w których Emilka z Dorotą pójdą nazajutrz do lasu.

Tego wieczoru humory są zwarzone, miny niepewne. Wszyscy obawiają się jutra. Cóż to za praca, której ewentualne lekceważenie może grozić t a k i m i sankcjami! Pani Mańska przewiduje najgorsze, inni milcząco jej potakują. "Zyz von Drynda" prześwidrowuje na wylot każdego, lecz trudno zgadnąć, co przy tym myśli.

Poranny gong, raczej dziki jazgot powstały na skutek walenia żelaznym łomem w zawieszoną przed komendanturą, miedzianą blachę, zrywa na równe nogi cały obóz. Ludzie pędzą pośpiesznie na zbiórkę, zatykając uszy przed przenikliwą, jęcząco-świdrująco-brzęczącą kakofonią, nieczuli na uroki dokonującego się właśnie wschodu słońca, jeszcze zaspani, już wzburzeni, przeklinający dźwięk, który odtąd ma co dzień normować czas ich znoju i odpoczynku.

Bez śniadań, gwałtownie wyrwani ze snu, stoją karnie przed budynkiem

1. Kupujcie, tanio sprzedaję!

komendantury, wpatrzeni w podwyższenie, gdzie naczalstwo dokonuje podziału obowiązków.

Emilka z Dorotą - każda z trzema zimnymi naleśnikami w kieszeni - przytulone do siebie bokami, wsłuchują się w głos Mierzlewcewa wyczytującego wszystkich z imienia, nazwiska i otczestwa, bojąc się przegapić siebie.

Wywołani przechodzą pod opiekę obozowej kadry pomocniczej, która z kolei formuje brygady: leśne, drogowe, obozowe.

Emilka i Dorota mają nadzieję na przydział do tej samej brygady, lecz zostają rozłączone.

Brygada Emilki, wystrojonej w gimnazjalny mundur i brzozone łapcie, liczy dziesięć osób. Wędrują w ślad za prowadzącym je dziesiątnikiem, Danyłowem, do lasu, uważnie słuchając, co do nich mówi, lecz nie rozumiejąc ani w zaob. Zniecierpliwiony, schyla się, odrywa od miękkiego leśnego runa wielki płat ciemnozielonego mchu, pokazuje go wszystkim a następnie kładzie. Spogląda po twarzach, znów oddziera kawał - tym razem jesozielony - dokłada do pierwszego.

Smieją się, zadowolone. W porządku! Jasne! .Mają zbierać i gromadzić mech!

- Tak! Właśnie tak - cieszy się dziesiątnik i pośpiesza po następną brygadę, która ma zgromadzony mech dostarczać sukcesywnie do obozu. Tam stary Abram uszczelnia nim szpary między belkami barakowych ścian. Jego synowie natychmiast oblepiają te miejsca gliną, co czynią z myślą o zimie, przed którą wice-komendant Gałuszkin przestrzegł, iż spada nagle, trzyma ostro i długo, i bardzo daje się we znaki.

Mchu w podmiśkłym lesie zatrzęsienie. (zalmesiewe kwiatów.) Dziewczęta z początku pracują obozo, gołymi rękami, zważając, by wykonać naznaczoną przez dziesiątnika normę. Ma je skontrolować, więc się starają, chociaż wkrótce zaczynają się skarżyć na ból pleców, ud oraz głów.

Emilka uwija się ze wszystkich sił, lecz ma ich niewiele. Zwalnia tempo, jednak nie ustaje. Zanim zabrzmie - stonowany dzięki oddaleniu - gong na

komendantury, wpatrzeni w podwyższenie, gdzie naczalstwo dokonuje podziału obowiązków.

Emilka z Dorotą - każda z trzema zimnymi naleśnikami w kieszeni - przytulone do siebie bokami, wsłuchują się w głos Mierzlewcewa wyczytującego wszystkich z imienia, nazwiska i otczestwa, bojąc się przegapić siebie.

Wywołani przechodzą pod opiekę obozowej kadry pomocniczej, która z kolei formuje brygady: leśne, drogowe, obozowe.

Emilka i Dorota mają nadzieję na przydział do tej samej brygady, lecz zostają rozłączone.

Brygada Emilki, wystrojonej w gimnazjalny mundur i brzozone łapcie, liczy dziesięć osób. Wędrują w ślad za prowadzącym je dziesiątnikiem, Danyłowem, do lasu, uważnie słuchając, co do nich mówi, lecz nie rozumiejąc ani w ząb. Zniecierpliwiony, schyla się, odrywa od miękkiego leśnego runa wielki płat ciemnozielonego mchu, pokazuje go wszystkim a następnie kładzie. Spogląda po twarzach, znów oddziera kawał - tym razem jesozielony - dokłada do pierwszego.

Śmieją się, zadowolone. W porządku! Jasne! .Mają zbierać i gromadzić mech!

- Tak! Właśnie tak - cieszy się dziesiątnik i pośpiesza po następną brygadę, która ma zgromadzony mech dostarczać sukcesywnie do obozu. Tam stary Abram uszczelnia nim szpary między belkami barakowych ścian. Jego synowie natychmiast oblepiają te miejsca gliną, co czynią z myślą o zimie, przed którą wice-komendant Gałuszkin przestrzegł, iż spada nagle, trzyma ostro i długo, i bardzo daje się we znaki.

Mchu w podmiskłym lesie zatrzesienie. (Zatrzesienie światów.) Dziewczęta z początku pracują obojętnie, gołymi rękami, zważając, by wykonać naznaczoną przez dziesiątnika normę. Ma je skontrolować, więc się starają, chociaż wkrótce zaczynają się skarżyć na ból pleców, ud oraz głów.

Emilka uwija się ze wszystkich sił, lecz ma ich niewiele. Zwalnia tempo, jednak nie ustaje. Zanim zabrzmie - stonowany dzięki oddaleniu - gong na

„zakurkę” - półgodzinną przerwę obiadową - dziewczęta gromadzą tyle mchu, że Danyłow nie kryje zadowolenia. Pochwaliwszy je za pilność, przypomina, iż przerwa kończy się równo z gongiem ^(„po zakurce”) i że po gongu - na koniec roboczego dnia - mają się stawić w komendanturze po odbiór należnych pajków. Na odchodnym raz jeszcze surowo napomina, by nie ważyły się zjawić w obozie przed gongiem, które to wiadomości przekazuje bardziej za pomocą gestów i mimiki niż słów.

Emilka trzyma się blisko koleżanek z baraku: Elżuni, Izy oraz Lilki. Rozsiadłszy się na mchu, z apetytem pochłaniają, otrzymane od matek śniadania, wymieniając uwagi.

Najstarsza z brygady, dwudziestoparoletnia Sara, zaczyna marząco:

- Uś, żeby chociaż dwie kajzerki! Co tam dwie! Jedna duża, biała kajzerka ze świeżutkie maselko! Uś, jednak dwie. Jedna to stanowczo za mało! - Sara powtarza swą odę do dwóch kajzerek wielokrotnie, za każdym razem w zmienionej wersji, aż wszystkim zaczynają pachnieć polskie bułeczki w sowieckiej tajdze. Pobudzone, zaczynają się zamiewać z Sary, krztusząc polką masowo meszką.
- Dlaczego akurat d w i e!? Jedna ci nie wystarczy? - chichoczą do łez, rośmieszone dodatkowo jej fatalnym akcentem.

Po przerwie zabierają się do mchu z nowymi siłami, które jednak szybko słabną. Słońce przygrzewa tak mocno, że nawet falngi meszki znacznie się przerzedzają a komary stają się mniej agresywne i gdyby nie wzmożony na świeżym powietrzu apetyt, dziesięć dziewcząt mogłoby rzec, iż nie jest tak źle.

Dorota trafia znacznie gorzej. W brygadzie podległej kierownikowi eksploatacji leśnej, Doszywałowowi, trudzi się nad karczowaniem pni. Musi, zgodnie z dzienną normą, oczyścić przydzielony jej kawał karczowiska o wymiarach dziesięć na piętnaście metrów - rzecz niewykonalną. Pnie mocno tkwią w ziemi, wrosnięte w nią grubymi, straszliwie splątanymi korzeniami i wcale się nie boją motyki trzymanej w piętnastoletnich dłoniach. Dorota stara się ze wszystkich sił, pomna, że nie zasłuży na pajok. Ścisnąc drzewce motyki smukłymi palcami, robi potężny zamach i... odbita od środka sprężynującego korzenia motyka uderza ją boleśnie

w kolano. Skrzywiona z bólu, ze strachu przed Doszywałowem, nie ustaje w znoju. Następną zamachnięcie motyką omal jej nie przewraca. Zahaczona jednym końcem o korzeń, drugim wpięta się w mostek, niemal go przyciskając do kręgosłupa. Zanim minie godzina, jest zupełnie wykończona. Co walnie motyką, wzdycha ze łzami w oczach.

- Oj, katorga...

W dodatku dokuczają jej wargi - najbardziej ulubiony punkt ataków męszki, z którą Dorota usiłuje walczyć przy pomocy zębów. Z tego powodu wargi ma spuchnięte, niby dwie paróweczki. Przerwę na obiad wita, jak zbawienie, dodatkowo zachwycona półlitrową porcją cienkiej zapki, którą popija zimne naleśniki - pierwszy tego dnia posiłek, w dodatku niewystarczający. Jest nadal głodna. Głodna, jak stado zimowych wilków i umordowana, mimo że wykarczowała wszystkiego dwa pnie, za co Doszywałow karci ją bezlitośnie, strasząc, że nie da kartki na chleb.

Przerażona, stara się, jak może, lecz może niewiele, prawie nic. Nie wykonuje normy. Świadoma ^(popelnionego) przestępstwa, z drzeniem czeka na wieczorny gong i na kontrolę, podczas której Doszywałow spuszcza wszystkie gromy na jej głowę. Mimo to przydziela pająk.

- Nu, siewodnia bieri - oświadcza łaskawie. - Ale jeżeli myślisz że za sześć pni za cały roboczo-dzień będziesz pająki fasować, to się grubo mylisz - grozi.

Bardziej z powodu ciągle wiszącego na włosku pająka, niż ze względu na ciężką pracę, każdy nowy dzień wita Dorota z drzeniem serca. Ani razu nie udaje się jej wykonać nawet połowy normy i za każdym razem Doszywałow straszy ją odebraniem tałonów. Dorocie pozostaje jedynie modlitwa o odwrócenie nieszczęścia, które za każdym razem ją omija.

- A jednak Pan Bóg jest po mojej stronie, nie po twojej! - cieszy się w duchu, gdy Doszywałow, ponatrząsawszy się nad nią - nie żąda zwrotu kartki.

- Skol'ko tiebie let?¹ - pyta pewnego dnia, patrząc na jej rozwalone brzozowe łapcie.

Gdy jedna z kobiet przetłumaczy niezrozumiały tekst, Dorota odpowiada:
- Piętnaście.

Doszywałow jest zdumiony. Piętnadcat'? - upewnia się i nagle staje się cud..

Przymus pracy obowiązuje od szesnastego roku życia. Dorota ma przed sobą cały rok!

Nie musi nawet myśleć o butach. Po obozie można biegać boso. Łapcie Emilki również nie nadają się już do dalszej eksploatacji, lecz jej nikt z pracy nie zwolni. Ma siedemnaście lat.

Wytwórci łapci brzozowych zmienia profil produkcji. Buciorzy z łyka, na grubej drewnianej podeszwie okazują się istotnie lepszym wynalazkiem. Są wytrzymalsze, za to mniej wygodne. Kaleczą Emilce stopy, powodują, że każdy krok jest cierpieniem.

Nie ma od tego ucieczki. Poranny gong - znienawidzony wkrótce przez ogół niby żywy wróg - nie zna litości. Głosi przemoc, wobec której wszyscy pracujący muszą kapitulować. Cały ich dzień odmierzany jest i dzielony na etapy przez jego brzęk. Pierwszy, najbardziej przykry, woła: "Czas wstawać!". Drugi rozkazuje: "Marsz do roboty!". Trzeci zaprasza na obiad, czwarty obwieszcza: "Po przerwie!". Piąty, ostatni, wyzwała. "Koniec pracy". Wszystkie doskonale słyszalne, niosące się poprzez obóz i las, docierające do wszystkich odcinków pracy.

Zarobki wynoszą niezmiennie dwanaście rubli, wypłacanych w odstępach dwutygodniowych, co starcza akurat na wykupienie chlebowego pajka /osiemset gramów na osobę pracującą, dwieście na "próżną", czterysta na dziecko/-ciężkiego, zbitego zakalca, oraz na wykupienie obiadowej zupy w cenie dwudziestu kopiejek za półlitrową porcję i pięćdziesięciu, gdy trafi się coś ekstra, Na przykład pomidorowa na mięsie.

Zatrudnionym ^{w lesie} dostarcza się zupę na miejsce pracy. Pozostali lub pracujący w obozie muszą ją wystać w stołówkowej kolejce. Rządzi
1. Ile masz lat?

tu młoda Rosjanka, Guścia. Ma jedną nogę krótszą, na którą utyka i szczerą, okrągłą, rumianą twarz. Uważa się ją za najważniejszą, gdyż ona wydaje zupę. Może nalać, jakiej chce. Z wierzchu albo z dna.

Jadłospis stołóvkowy ustalono raz na zawsze. Dzień w dzień zupa, czasem oładzie, sporadycznie - mięso/gdy padnie jakaś skacina lub uda się upolować niedźwiedzia/. Aby zdobyć drugie danie, trzeba mieć szczęście i spryt niezbędny do sforsowania kolejki. Zupy są łatwiej dostępne, z tego chociażby powodu, że nie wszyscy je kupują lub biorą minimalne ilości: na pięć, sześć osób-litr, rozrzedzony następnie wrzątkiem.

Zupy są różne. A więc mucznica-zacierka, którą sporządza się błyskawicznie, zasypując paroma garściami mąki kocioł osolonego wrzątku i mieszając aż do powstania niby-krochmalu. Od bieliźnianego różni się konsystencją. Jest rzadszy: i pływają w nim, gdzieś tam, małe grudki nie rozproszonyj mąki. Obok mucznicy serwuje Guścia szczy: to jest ugotowaną na wodzie, rzadziutką kapustę. Trafia się również lepsza czyli woda z pływającym w niej bardzo swobodnie makaronem. Jednak ogół poluje na sojankę, gęstą i sytną zupę z soi. Wszystkie zupy łączy jedna wspólna cecha. Pływają w nich tarakany/karaluchy/, olbrzymie, czarne robale - jeszcze jedna, obok pluskiew, wszy i szczurów, plaga tej ziemi.

Najliczniej gromadzą się, rzecz jasna, w kuchni stołóvkowej, obsiadając gęsto sufit i ściany, czyhając na odpadki. Gdy kucharka zdejmie z ogromnego kotła pokrywę, odurzona parą, znarkotyzowane wonią pożywienia, sypią się do zupy niby grad - ofiary własnej żarłoczności. Nie ma na nie sposobu, więc trzeba tolerować, co znakomicie ułatwia nieustanne uczucie głodu. Głodu, który nie ustaje po zjedzeniu kromki chleba czy talerza zupy.

Dorota, jako nie pracująca, potrafi zawsze wystać w kolejce najlepszą zupę. Jest sprytna i ma dużo czasu, toteż Wiktoria powierza jej realizację kartek. Bo kartki obowiązują także na zupę. Bez "tałończyka"¹ kasjerszy² nie sprzeda numerka na sup³, zaś bez niego Guścia nie naleje ani kropli.

1. Kasjerka 1. talon
3. zupa

Dorota lubi ten obowiązek; zwłaszcza kupowanie w piekarni chleba. Zdarza się bowiem, że sprzedawczyni - baba niby preczka¹ - dokłada do brakującej wagi "priwiesok". Kęs chleba, który Dorota uważa za swój i pożera go natychmiast. Jeśli towarzyszy jej Leszek, dzieli się z nim sprawiedliwie.

Najwięcej kłopotów sprawiają tarakany² w zupie. Zanim ją przyniesie do domu, miesza i miesza ciecz z nieznanym patykiem, dopóki nie wydostanie wszystkich.

- Mamusia by tego nie przełknęła - myśli, nie ustając w pracy, nie zważając na prześmieszki tych, którzy

- przewyciężywszy wstręt - wypijają swoje porcje, zgrabnie zatrzymując na zaciśniętych umiejętnie zębach karaluchy. Wypluwają je niefrasobliwie przed siebie, znów chłopcą zupę. Są i tacy, którzy pozbywają się robaków z ust dopiero po ich dokładnym wyssaniu, lecz to rzadkość. Na to Dorota nie potrafi się zdobyć. Osiąga to tylko, że pochłaniając oczyszczoną z robactwa zupę, myśli wyłącznie o napełnieniu brucha.

Pewnego dnia wraca ze stołówki pędem, podniecona do najwyższych granic. - Mamusiu, daję niedźwiedzinę! Kupić? Rozdarł kołchozową krowę, to go zabili i usmażyli kotlety! A na reszcie ugotowali rosół! Mamusiu, ja nigdy jeszcze nie jadłam niedźwiedzia!

Wiktoria patrzy na córkę z namysłem. Przywiezione z Hołubicz ruble kończą się, co dalej? - Mimo to wręcza Dorocie pieniądze. - Idź, kochanie, kup. Wiktoria znów cierpi; odnawiają się kłopoty dolegliwości. Nie ma się zająć się Inga, której pilnują, na zmianę, Leszek z głupim Arkiem. Nie potrafi^(też) wpłynąć na panią Mańską, chociaż czuje za ścianą czyhającą obecność "Lisiego Oczka".

- Gdzież oni nas przywieźli, te przekłete kacapy! - żołądkuje się któregoś wieczoru pani Mańska. - Jak bydło tu wyginiemy! Wystarczy pójsć "pod bieriozki"³. Ile tam krzyży! Ilu jeszcze naszych wessie to parszywe bagno!

- Pani Mańska, ostrożnie. Ściany mają uszy - ostrzega Wiktoria, co tym bardziej

1, piec

2 karaluchy

3. brzoźki

tamtą podnieca.

- Żywceem nas mordują a my mamy miłość?

- Och, tak źle nie jest - oponuje Wiktoria, spoglądając niespokojnie na ścianę, usiłując skierować jej uwagę na błyszczące w szparze oko.

- Nie muszą tego robić własnymi rękami! - wybucha natychmiast pani Mańska. - Widział kto w Polsce takie komary? Albo meszkę? Wredne to i jadowite, jak sam Mierzlewcew, mierzwa paskudna. Przed meszką to się chociaż próchnem tłącym obronisz albo nakomarnikiem osłonisz głowę i kark, zanim wejdziesz do lasu. Nawet meszka od niego kaskawsza, bo między barakami tylko w upalne wieczory przylatuje a ten tu tkwi bez przerwy! Nie schronisz się przed nim nigdzie! Chyba "pod bieriozki"! To wściekły pies!

- Ale Gałuszkin, podobno, nie najgorszy - wtrąca Wiktoria i - zdeterminowana - dodaje: - Pani Mańska, przepraszam, chciałabym zasnąć - czym nareszcie wycisza nieostrożną.

Meszka istotnie zatruwa ludziom życie. Występuje w takiej masie, że ciemnieje powietrze. Atakuje bezszelestnie, błyskawicznie oblepiając wszystkie odsłonięte części ciała, powodując nieznośne swędzenie. Instynktowny odruch obronny - drapanie - spowoduje z kolei zakażenie. Ręce i nogi pokrywają się wrzodami, czemu zapewne sprzyja też niedożywienie. Ślady ukłuc' komarów^{zych} urozmaicają krajobraz wrzodowy bolesno-swędzącymi bąblami, których nie ma czym dezynfekować. Wrzody wprędce przeobrażają się w gnijące, cuchnące, sięgające do kości leje - nie gojące się rany - powodujące nawet śmierć najmniej odpornych.

Z powodu wrzodów kładzie się niebawem do łóżka pani Krzycka, którą nawet dojeżdżający z Wierchniej Tojmy wracz uznaje za ciężko chorą i zwalnia z pracy.

Skutki ukąszeń meszki i komarów dokuczają wszystkim, daleko im jednak do ciężkiego stanu pani Krzyckiej. Zaniedbany głuptas Arek mizernieje w oczach. Krąży z zapadniętymi policzkami po Siewiernej, ^(płacze) wali się w pierś, oznajmiając całemu światu, że jest głodny.

Wiktoria dziwi się. Mieć tyle rzeczy i głodować? Bo pani Krzycka należy

do tych, którzy rozcieńczają porcję zupy wodą, aby starczyło dla całej rodziny. Teraz, gdy leży w łóżku, tak samo postępuje jej córka, panna Aniela.

Jest to okres, gdy ogół zaczyna ratować się, sprzedając rzeczy Rosjanom. Tylko panie Krzyckie tego nie robią.

- To nie są nasze rzeczy - podkreślają. - Nie możemy nimi dysponować. Wiktoria jest przy nich nędzarką; nie zabrano jej przecież z własnego domu. Jednak z tego, co ma, wybiera po kolei wszystko, bez czego można się obejść.

Handel odbywa się za pośrednictwem Żydów, którym Polacy powierzają rozmaite przedmioty, wymieniając żadaną cenę. Po powrocie pośredników z wyprawy do kołchozu, płacą bez szemrania procent za usługę, zadowoleni, że są na jakiś czas zabezpieczeni.

Do najbardziej aktywnych należy pośredniczka Fasa. Płomiennoruda,

piegowata jak przepiórcze jajo, krępa, zdrowa niby rzeźpa, znająca nieźle tutejsze stosunki i język, trzydziestoparoletnia kobieta przebywająca w obozie od lutego. Jest niezmordowana i każdemu, kto chce, oferuje swe usługi w zakresie "sprzedać-kupić". Handluje żywnością, bierze towary w komis a potem przepada z nimi na całe dnie i noce. Z wierzycielami rozlicza się dopiero po powrocie. Wzbudza niechęć, gdyż ^(-zobowiązaniem ogółu-) zarabia "na ludzkiej krwawicy" i w dodatku - choć młoda i krzepka - nie pracuje. Nikt nie wie, jak tego dokonała. Faktem jest, że może chodzić, gdzie chce - raz z propuszką w kieszeni, raz nielegalnie.

Wiktoria również korzysta z pośrednictwa Fasy, która pała do niej dziwną sympatią. Zwierza się nawet, jak uzyskała, raz na zawsze, zwolnienie z pracy.

Przybywszy tu z lutowym transportem, z miejsca ^{pojęta}, że najpewniejszy sposób przetrwania to umiejętność wymigiwania się od pracy na

mrozie. Rozsierdzony, wszechwładny Mierzlewcew natychmiast wezwał ją do komendantury.
- Fasa, na rabotu! 1

1 Fasa, do pracy!

szanuję i poważam! I dzieci pani szanuję. Grzeczne, dobre, śliczne dzieciaczki. Panna Emilka na ten przykład. Ach, to jest anioł! Najprawdziwszy anioł. Tylko ta młodsza... Pani Leszczyńska kochana, proszę o wybaczenie. Ta młodsza to diabeł! Ona jest nawet gorsza od sam diabeł! Za to Lesio - złoto. To nie jest chłopiec, pani Leszczyńska. To czyste, cenne złoto. Albo to maleńkie. Ono nawet płacze bardzo ładnie. *Ono mądrze płacze!* - Po tym długim wstępie informuje Wiktorię o wyczynach Doroty.

Wiktorii, przeprosiwszy Sznajderową za córkę, przyrzeka, że na nią wpłynie czego jednak nie udaje się ^(w pełni) jej osiągnąć. Skarcona Dorota obiecuje wprawdzie poprawę, lecz na widok kolejki nie potrafi nad sobą zapanować. Nie wykrzykuje już "Żydy na bok", za to przepycha się bezpardonowo do okienka lub do pierwszej osoby nie będącej Żydem.

Gdy Wiktorii, znów powiadomiona przez Sznajderową, zwraca jej uwagę, posłuszna zwykle Dorota staje okoniem.

- A pamięta mamusia, jak w Chyrowie Żydzi nie chcieli mamusi sprzedać chleba? Nie ma się nad kim rozczulać. Tak kochali sowiecką władzę a sami dostają w kość, Dobrze im tak!

- Mimo wszystko, na grzeczności nikt jeszcze nie stracił - zwraca jej uwagę Wiktorii.

Najwidoczniej Dorota nie stosuje się do tej rady, o czym mówią Wiktorii pełne wyrzutu spojrzenia Sznajderowej w momentach przelotnych spotkań. Rędko jednak o tym zapomina, zajęta zdobywaniem środków do przetrwania - wymiana posiadanych walorów na kartofle, kapustę, marchew czy mleko dla Ingi - rzecz najtrudniej osiągalna. Robi to teraz osobiście. Jakiś spryciarz, wysledziwszy Fasę, odbiera jej klientów. Polacy usamodzielniają się. Sami potrafią teraz

dotrzeć do obu kołchozów a nawet do Wierchniej Tojny i zarobić potrójnie. Jedyną trudność tkwi w uzyskaniu przepustki zezwalającej na oddalenie się od obozu i wydawanej osobiście przez Mierzlewcewa, czyniącego to bardzo niechętnie. Ulega jednak prośbie nie pracujących, którzy twierdzą, że pragną nazbierać jagód

Być może komendant domyśla się prawdziwego celu wypraw, bowiem każ-
dorazowo ^(najsunawiej) przestrzega przed handlem chlebem, przyjmowanym przez mieszkań-
ców kolchozów równie chętnie, jak rzeczy - wymiana stosowana rzadko
i tylko przez tych, którzy żakują, dobytku lub - jak Wiktorii - mają go niewiele.

Zdaniem opinii ogółu są to potencjalni zwolennicy zmiany
miejsca pobytu: z taqru, - "pod bieriozki". Dla Wiktorii chleb to tabu.
Nie umie dzieciom od ust ani kęsa. W bezsenne noce zastanawia
się, co jeszcze może wymienić. Ścierki, ręczniki, ostatnią breliznę? Trudno,
obejdą się. Wie jedno:

Aby przetrwać, trze-
ba jeść. Jeść wszystko, co się da. Toteż wykupuje nawet stołówkowe tałony
tych, którzy ich nie wykorzystują w pełni. Dwoi się i troi, owładnięta
nadrzędną ideą, zapełniania brzuchów, bez przerwy pustych. Mimo iż, obok
stołówkowej, gotuje codziennie garnek bardziej pożywnej zupy.

Dogorywająca w łóżku pani Krzyckā ma na ten temat inne zdanie. Ważniej-
sze mienie, niż żołądki. Może dlatego właśnie umrze, patrząc obc-
jętnie na swe wielkie dziecko, żałośnie upominające się o jedzenie.
Arek wali się bez przerwy w zapadnięty brzuch, płacząc w głos z głodu.
On również, jak matka, gaśnie w oczach.

Wiktorii nie może tego znieść. Dzieli się z nimi tym, co ma ku cichemu
oburzeniu Doroty, skręcającej się na widok matki niosącej do sąsiedniej
kanury talerz zupy. Jakże chętnie wypróżniłaby go sama! Albo ten dumny
Arek! Dlaczego mamusia go podkarmia? Czyż nie rozumie, że o n a jest
głodna? Nigdy jednak nie ośmieli się głośno zaprotestować. Buntuje się
potajemnie, nie skarżąc nawet pani Święcickiej, która /zwolnioną z
pracy z powodu ^{otwartych} rzyłaków / często chadza do kolchozu. Dorota
towarzyszy jej, wyręczając niedysponowaną, zazwyczaj ^(Zaopatrzone) matkę w propuski,
surowo przestrzeżone przed handlowaniem chlebem, posilają się po drodze
poziomkami, rosnącymi w niespotykanych ilościach, wielkimi jak małe trus-
kawki, słodkimi niby miód i pachnącymi oszałamiająco. Dorota niesie
sukienkę matki na wymianę, pani Święcicka żakiet i pół bochenka chleba.
Głos Mierzlewcowa zaskakuje je, niby wystrzał armatni.

- Rewizja!

Znajduje towar i chleb, w jego oczach złośliwy triumf.

- To tak?! Takie to jagody? Na wymianę!!!

- Nie, to prowiant na drogę - tłumaczy się niezręcznie pani Święcicka.

- Na jaką drogę? Do kołchozu! A rzeczy po co niesiecie? Żeby się przebrać?

I co! Aż tyle chleba wam trzeba do jedzenia? U was, widno, chleba mnogo?!¹ - rekwirując chleb, zapowiada cofnięcie pajka. Nakazuje leż odwrót.

Wracają do baraku, zgnębione, zrozpaczone. Umrą z głodu bez chleba!

Następnego dnia obie rodziny nie otrzymują ani grama chleba. Nie ma ich na liście w piekarni. Liście skrupulatnie, za każdym razem, sprawdzanej przez sprzedawczynię.

Wiktorcia idzie do komendantury. Stając przed Mierzlewcem, prosi o anulowanie bezzasadnej kary - wyniku nieporozumienia, jak twierdzi. Mówi o tym, że są niezamożni, że jest ich pięcioro, na których pracuje tylko jedna Emilka, o własnych niedomaganiach.

Zalany potokiem doskonałej ruszczyzny, Mierzlewcew mięknie i - po wygłoszeniu karcąco-ostrzegawszej reprimendy - obiecuje zwrócić tałony, lecz dopiero od jutra. Bieżące przepadły bezpowrotnie.

Za przykładem Wiktorii udaje się do komendanta pani Święcicka. Z początku jej błagania o zwrot kartek nie odnoszą skutku.

- U ~~tybie~~² małych rebiatiszek niet! Poczemu prodajosz to chleb! - ryczy

Mierzlewcew, odsyłając zapłakaną do wszystkich "człortowych matuszek!"

Pani Święcicka nie reaguje. Za nic nie wyjdzie. Za żadne skarby! Chyba że ją wyniosą.

- Chleb twardy - zaczyna z innej beczki. - Muszę go moczyć w mleku. Dlatego niosłam do kołchozu.

- *Wiktorcoj ja tiebie tawariszcz!* - oburza się Mierzlewcew. *Grazda nin kamiendant! Poniaka? A zuby u tiebia zolarowyje. Paszka won!*

- Jakie tam zdrowe! - pani Święcicka sprawnie wyłuskuje z ust protezę, kładzie na otwartej dłoni. - One tylko od parady. Do gryzienia niezdatne... *grazdanin kamiendant.*

1. Macie, jak widać, za dużo chleba.

2. Ty nie masz małych dzieci! Dlaczego sprzedajesz chleb?

3. Nie jestem dla ciebie zachytnym towarem! Obywatel komendant, zrozumiemo? A żeby masz zdrowe, wychnaj!

Oddajcie pajok!

Rezultat przechodzi wszelkie oczekiwania. Wygląda na to, że komendant, jako żyw, nie widział jeszcze sztucznej szczęki. Wyraźnie zbity z tropu, bez dalszych targów, ustępuje. Na koniec zaznacza jednak, że zarówno ona, jak i Dorota nigdy już nie otrzymają przepustki poza teren obozu.

- Aha, już go słuchamy! - woła zuchwale Dorota, po czym obydwie, zgodnie, wymykają się do lasu na jagody.

Wracają uszczęśliwione, z pełnymi wiadrami aromatycznych, dorodnych poziomek, objedzone nimi do syta/co nie znaczy, że nie są w stanie zjeść czegoś treściwszego/, podrapane przez gałęzie, pokłute przez komary, zżarte przez meszkę, ponad wszystko ^{jednak} zadowolone z wyprowadzenia w pole "Wściekłego Psa".

Poziomki oraz czarne jagody ^(także) /nieco później/ maliny/ stanowią dla jeńców obozowych ratunek. Dostarczają witamin, pomagają oszukać głód... Występują w takich ilościach, że starcza dla wszystkich. Dziesięciolitrowe wiadro napełnia się w pół godziny.

Przyroda niesłychanie ^{tu} szczodra. Wręcz rozrzutna. Nieokiełznana w hojności. Pośród bujnej zieleni traw czerwienieją całe kobierce słodko pachnących, wygrzanych w słońcu, wielkich poziomek, obok czernią się rozległe przestrzenie borówkowe o jagodach większych, niż ziarna cukrowego grochu, muśnięte szarawą mgiełką. Rumienią się jędrne, błyszczące jak nawoskowane, jasnoczerwone, kwaskowe brusznice. ^(Tyle ich, że nie widać liści.) Ze splecionych krzewów malinowych zwieszają się ciężkie od soku, miękkie w dotyku a chropawe na oko, duże niby mirabelki, pachnące odurzająco maliny/ różowe tą specyficzną różowością dziewczęcych warg. Kłopot polega jedynie na dotarciu do miejsc, w których owe wspaniałości rosną. Nie ze względu na obowiązujące przepustki. Większość je lekceważy. Do niezliczonych jagodowych wysepek, na których wystarczy przykucnąć na dwa kwadransy, by zgarnąć łup, wiedzie bezdroże krzaków, wykrotów, spróchniałych pni, powalonych drzew i wysokich, ost-nych traw. Wszystko to w przestrzeni czarnej od meszki.

Trzeba się śpieszyć.

Nie na tyle jednak, by przez nieuwagę połknąć - wraz z jagodą - cuchnącego pluskwiaka - leśną wesz, jak je wszyscy nazywają. Niektóre - rozgryzione niechcący z owocem - powodują dotkliwe oparzenia i opuchnięcie całej jamy ustnej, co - obok podziwu dla bogactwa tutejszej natury - budzi niechęć. Przeklinając jej podstępność, porównują z rodzimym, przyjaznym klimatem i tęsknią coraz mocniej. *Lesne wszy gniją - dają się nawet pod korą drzew.* Co z tego! Cóż z tego, że jagody można by kosić! Za to trzeba się do nich przedzierać kilometrami przez gęste, splątane chaszczki i bagniska, walcząc z lepiącą się do ciała meszką i tnącymi boleśnie komarami. Tu prześliznąć się bokiem, tam skoczyć przez/lub na/kłodę, ówdzie uczeplić się gałęzi, która nie zawsze utrzyma nadprogramowe obciążenie. "darza się wylądować na zwalonym pniu i... zapaść w nim po kolana. Po pas nawet - zaleźnie od grubości umarłego drzewa i stopnia spróchnienia - wszystko w powietrzu przesyconym wilgocią i gorącym zaduchem butwiejących roślin. Jeszcze trudniejsze są powroty; z dodatkowym obciążeniem napełnionych naczyń, z uwagą napiętą jak struna, by nie stracić zdobyczy.

Jedynymi, osiągalnymi bez ^{większych} przeszkód owocami są maliny. Wiele ich rośnie tuż za obozem, nieopodal cmentarza "pod bieriozkami", a więc na terenie nie objętym zakazem poruszania się. Są po prostu niebywale, nie spotykane w najtroskliwiej nawet pielęgnowanych ogrodach. Olbrzymie, ^{wapnace} suche, słodkie jak ulepek - zwieszają się ponad głowami ciemnoróżowymi, podbitymi zielenią festonami. Należy zrywać je ostrożnie, ponieważ łatwo opadają pod ciężarem słodkiej dojrzałości. I tak pokrywają trawę, eliminując - co najmniej w dziesięćdziesiąt procent jej soczystą zielenią. Podobno w maliniaku lubią prasować niedźwiedzie - tak przynajmniej twierdzi Mierzlewców, lecz nikt mu nie wierzy. Zawsze straszy prosiących o przepustki dzikimi zwierzętami: niedźwiedziami, rysiami, wilkami, łosiami.

Wszystko w tym celu, by zniechęcić do wydalania się z obozu - przesadnie pilny, wręcz nadgorliwy, o wiele sroższy, niż wielkie psiska, które - zamiast pilnować, łaszą się do ludzi. Zagłodzone, z zapadniętymi bokami i zaropiałymi oczami, żebrzą o byle odpadek - rzadkość prawie niespotykana, więc się zadowolają ludzkimi ekskrementami, dzięki którym żyją.

Mimo, że obecności niedźwiedzi w maliniaku nie stwierdzono, Fasa będzie w to wierzyć do końca życia, za co - bezwiednie - odpowiedzialna jest Wiktoria. Tego dnia wraca z wyprawy do kołchozu w towarzystwie znajomej z sąsiedniego baraku, pani Kulikowej. Nie ^{dobry} mleka dla Ingi, zatrzymuje się w maliniaku, by napełnić owocami pustą menażkę. Pani Kulikowa, ze względu na brak jakiegokolwiek naczyń, *pojadłszy do syta, odchodzi.* Menażka jest pełna w ciągu paru minut. Wiktoria, *posiliwszy się, zmierzając do* drogi, gdy ostry - jakby ją przecinano na wysokości podbrzusza piłą - ból przygina ją ku ziemi.

Dzień ustępuje miejsca białej nocy a ona wciąż zwija się z bólu, niezdolna do wyjścia z maliniaka. Gdy - po dwóch godzinach - udaje się jej dotrzeć na skraj zarośli i rozchylić gałęzie, *dostępuje* powracającej z jakiejś wyprawy Fasy. Ucieszona, woła - w swoim pojęciu - głośno:

- Pani Faso! Halo, pani Faso! Proszę zaczekać!

Fasa najpierw nieruchomieje, potem odwraca się gwałtownie, wrzeszczy coś dziko i puszcza się pędem przed siebie.

Wpadłszy między baraki, krzyczy przeraźliwie, aż na ganki wychodzą ludzie.

- Niedźwiedź! Niedźwiedź w malinach!!! Gonił za mną! Nawet coś mruczał.

Niech jutra nie doczekam, jeżeli kłamie!

W pokój drogi
Wlokącą się z trudem matkę spotykają *zaniepokojone wieścią, o niedźwiedziu, córki.*

Wniej zabawną przygodę przeżywa w maliniaku pani Kulikowa. Nie mogąc odżałować straconej okazji, wybiera się na maliny z Dorotą. Owładnięta

żądzą zgarnięcia jak największego łupu, zapominają o ostrożności. Zaskrywając się coraz głębiej w kolczaste zarośla, coraz chciwiej ogalają krzaki. Gdy się z nich na koniec wymota, stoi przed osłupiałą Dorotą podrapana, w stroju mniej niż Adamowym, bo pozbawiona nawet nieodzownego liścia. W rezultacie musi czekać, aż "Boski Traktor" zaopatrzy ją w zmianę odzieży, umożliwiając powrót do baraku.

Pani Kulikowa jest żoną kolejarza, człowieka niebywale sprytnego, który pomaga rodzinie, lutując garnki. Ich dzieci: panna Renia i Lucja oraz Zbych ^{zostaną w przyszłości} bywalcami baraku numer osiem, w sieni, gdzie wieczorami zacznie się ^{spotykać} zaprzyjaźniona, polska młodzież.

Gdy w lesie skończy się jagodowy sezon, pojawią się grzyby. Wynurzają się z zieleni traw i mchu różowe, o kosmatych, apodach wełniaki, pobliskują złociście kolonie opieńków, rumienią kozaki-czerwonogłowce. Pośród wysokich, liliowych wrzosów pąsowieją aksamitne czapy borowików, którymi - ku zdumieniu przybyszy - krajowcy gardzą, uznając za najpodlejsze. Ulubiony ich przysmak to gruzdi/Polacy wymawiają "gruździe"/ - wielgachne bedłki o mięsistych, powykręcanych, szarobiałobłękitnawych kapeluszach. Zasolone w beczkach i cebrach stanowią doskonałe danie samo w sobie lub znakomity dodatek do ziemniaków czy chleba. Tajga strzeże gruzdi zazrosnie. Kosną "pod ziemią" a ich obecność trzeba wyczuć, odgadnąć pod niewielkimi wzniesieniami gruntu. Początkowo Polacy nie mają do nich zaufania, co szybko się zmienia. Niestety, rzadko kogo stać na zakiszenie ze względu na brak naczyń.

Wiktoria nie może o tym nawet marzyć. Jedyne duże garnki - ten po Sakowej - służy przecież do gotowania codziennej zupy. Pozostaje więc tylko objadać się gruździami na bieżąco. Jedzą także - bez obawy - grzyby uznawane w Polsce za trujące, wdzięczni *Opóitrzności* za dary, bez których wielu nie miałoby szans na przetrwanie lata.

Obok korzyści wymiernych tajga jest w stanie dostarczyć ludziom natury estetycznej. Potrafi nawet wzbudzić zachwyty. Po prostu tonie w kwiatach. Zdumiewają mnogością, olśniewają różnorodnością barw i wymyślnością kształtów - jedne wspanialsze od ogrodowych, inne tak wdzięczne w swej skromności, że nawet pani Mańska, ziejąca niewiścią do wszystkiego, co ruskie, na ich widok milknie. Nie mogąc nic zarzucić kwiatom, czyni za to głośne wymówki Panu Bogu. Jakże mógł obdarować aż tak szczerze swych największych wrogów - komunistów! Stanowczo przesadził w swej niezmierzonej hojności! Istotnie, kwiaty są tym, co na parę chwil pozwala odseparować się myślami od cierpienia, od głodu, od tęsknoty nawet. Są balsamem dla duszy, uczcą dla cczu, pociechą w smutku.

Najpospolitsze, ze względu na istne zatrzęsienie, są "agańki"-ogieńki. Różyczkowate, jaskrawopomarańczowe, o subtelnie niepokojącym zapachu, rosną w dużych, gęstych skupiskach, tworząc płonące kobierce porozrzucane u stóp wysokich, ciemnozielonych świerków, opiewane w rzewnych ludowych dumkach; szczególnie jednej, najpopularniejszej.

Wszystkie agañki, agañki...

Mnogo, ach mnogo ich wsiudy.

Pomniu, u samej rieki

My sobirali dla Oli.

Ola lubiła riekę,

Cziasto na łódki katałas'

I sobirat' ogańki

Chodiła sama, nie bojałas'.¹

Piosenka jest długa, zaś

Zdradzony

i wywiózłszy na środek rzeki

unoszące się na fali agañki.

1. Wszędzie ogańki, ogańki

Dużo, ach dużo ich wszędzie.

Pamiętam, nad rzekę,

zrywaliśmy je dla Oli.

Ola kochała rzekę,

Często łódkę pływała

I zrywać ogańki sama

Chodzić się nie bała.

opowieść o Oli kończy się tragicznie.

kawaler

- zwabiwszy ją do łódki

(w ton) spycha niewierną. Zostają po niej tylko

Balladę tę wyśpiewują z przejęciem rosyjskie dziewczyny, zgromadzone na niedzielnych wieczorynkach w obozowym „krasnym” ^(uogólnie) do odwiedzania którego Mierzlewcew usilnie ^(acz z. marnym skutkiem) zachęca ich polskie rówieśnice. Zmusza do tego jedynie pannę Anielę Krzycką - na swoje nieszczęście -

posiadaczkę skrzypiec. Gra na nich przepięknie, z czym zdradza się nieopatrznie, akompaniując do wspólnie sprewanych, wieczornych „Wszystkich naszych dziennych spraw”.

Emilka, zajmująca się wciąż gromadzeniem mchu, ma okazję często obcować z kwiatami. Obserwuje je, wacha, porównuje z ^(już) znanymi. Szczególnym sentymentem darzy skromne na pozór, ^(starczykowate) okazały przypominające zwykły polski pantofelek. Osadzone na wysokiej łodydze korony składają się z dwóch tylko, za to wielkich, ciemnopąsowych lub białych płatków. Niektóre odmiany - niższe - są nakrapiane. Obok tych spotyka wiele innych storczyków o przeróżnych, wymyślnych kształtach. Innych gatunków nie potrafi nazwać nawet w przybliżeniu.

Równie jak kwiaty zachwycają ją szczególne, trafiające się pośród powszechnie tu rosnących świerków, strzeliste "pichty", o podobnych do jodłowych, blaszkowatych, lecz o wiele dłuższych, miękkich szpilkach z ciemnozielonym połyskiem - trochę twardszych i nieco krótszych, niż modrzewiowe.

Polacy uważają je za "takie tutejsze jodły". Są tak piękne, że ^{stwarzają} ^(pani) Mańskiej nową okazję do wyrzucania Stwórcy zbyt czarnej łaskawości wobec tych, którzy burzą cerkwie.

- Ale tutaj nie było przecież komunistów w trakcie tworzenia świata! -
broni Pana Boga Emilka, co jednak nie przemawia do pani Mańskiej.

- Stwórca, jako Istota Wszechwiedząca, mógł przewidzieć, co będzie po upływie iluś tam tysięcy lat!

Skąd inąd wydaje się, że od tysięcy lat nic w tej głuszy nie ulega zmianie. Czas po prostu stoi. Dlatego świerki są tak potężne, brzozy i osiki krzepkie, acz rzadsze, gąszcz krzewów obfity a przepyszne trawy i mchy niewiarygodnie bujne. Podmokłe trawy, mchy oraz spróchniałe, wieloletnie moze,

pnie powalonych olbrzymów budzą trwożną nieufność jako wymarzone siedlisko dla gadów. Z biegiem czasu okazuje się, że - dziwnym trafem - nie lubią tego brzegu Dwiny. Gnieźdzą się po drugiej stronie, za co wszyscy dziękują Opatrzności - niestety - nie dla wszystkich jednako przychylniej,

Cmentarz "pod bieriozkami" zapewnia się w zstraszającym tempie, tym szybszym, że służy jako miejsce spoczynku umarłym ze wszystkich trzech Korgowych.

Coraz częściej ludzie - spotykając się - wymieniają parę zdań a potem pytają:

- Co się dzieje z /tu / - mówią, o kogo chodzi/- Nie widuję go /jej/ ostatnio!

- Dawno "pod bieriozkami"!

Albo:

- Wczoraj odprowadziliśmy "pod bieriozki".

Najłatwiej mrą dzieci. Padają po prostu, jak muchy - obok głodu - zabijane przez klimat. Spośród znajomych Wiktorii nie żyją już obie sieroty Zalewskie, stoczone, zryte przez sięgające kości, nie gojące się, bez przerwy ropiejące, bolesne rany. Z tego samego powodu umiera pani Górską, której trzy córeczki powędrują niebawem śladami matki. To samo trzyma ^(wciąż) w łożu boleści panią Krzycką. To również utrudnia czy wręcz zatruwa życie pani Święcickiej i tak cierpiącej na żyłki. Jej córka, Lilka, także bez przerwy bandażuje poranione nogi. Porusza się, niby osoba starsza i chora. Ani przypuszczają, że jeszcze po kilkunastu latach będzie - z tego powodu - zrzeczyć losowi. Z powodu meszki i ran cierpią wszyscy. Nie wszyscy jednak równie mocno. Są tacy, którym rany goją się szybko i do tych należy Wiktorii oraz jej dzieci.

Wiktorii myśli o jednym: Przetrwać! Wymieniać! Wymieniać, co się da! Za swe czarne palto z wymyślnie skrojonym, wielkim karkułowym kołnierzem i taką mufkę/Och, Jachimie, pewnie działałaś pod wpływem natchnienia! / dostaje od żony dziesiątnika Danyłowa cenę wprost nieprawdopodobną: tysiąc rubli gotówką, kilogram baraniny, cztery pudy¹ kartofli, trzy pudy rzepy, kilogram cebuli, jajko dla Ingi oraz pięć litrów koziego

1. pud = 16 kilogramów.

mleka dostarczanego po pół litra dziennie przez okres dziesięciu dni. Bo dziesiętnikowa jest szczęśliwą posiadaczką kozy. Jednej z dwóch hodowanych w posiołku. *Tej kozy, która da się jeszcze Wiktorii we znaki.*

Pięciolitrowy sagan po Sakowej jest dzięki temu wykorzystywany co dzień. Każdego dnia Wiktorcia gotuje w nim pożywną zupę, za każdym razem wzdychając z wdzięcznością ku Bogu i Joachimowi, którego błogosławi za jego upór w sprawie opatrnościowego palta.

- To nie zwykły zbieg okoliczności - myśli. - To zamierzone działanie Siły Wyższej - *pokwała w niej* całą swoją ufność i całą nadzieję ocalenia. Wierzy żarliwie, gorąco, że tylko Bóg może ich stąd wyrwać. *Sprawić, iż wrócą do domu.* Nie jest aż tak zuchwała, by pragnąć żyć w Polsce. Marzy, aby tam umrzeć. Codziennie modlą się o to wspólnie, głośno, całą rodziną, nie zważając na zmęczenie czy inne niedyspozycje fizyczne. Nawet Inga klęczy za przykładem starszych. Nawet ona *powtarza* za *odmawiającą* litanię do Matki Boskiej lub do Serca Jezusowego matką: - Módl się za nami! Zmiłuj się nad nami! Wybaw nas Panie! Zachowaj nas Panie!...

Któraś z sąsiadek, wszedłszy do kanury w takiej chwili, przykłęka bez słowa, *włączając* do modlitwy. Wkrótce cała polska strona gromadzi się wokół Wiktorii /ci, którzy nie mieszczą się w kanurze, klęczą na korytarzu/, na tych nabożeństwach, niezmiennie kończących się chóralnym *powierzeniem* Stwórcy "wszystkich swych dziennych spraw". *To właśnie da*

początek spotkaniom towarzyskim - niezliczonym opowieściom o dawnych, szczęśliwych czasach, o przeczytanych książkach, o spożywanych potrawach. Temat "co kto jadał" należy *obok* opowiadania treści książek, w czym również przoduje Wiktorcia / do ulubionych. Łącznie z podawaniem przepisów na przeróżne dania.

Dzięki temu łatwiej *przetrwać, łatwiej* wytrzymać: w atmosferze rodzinnej zgody, zakłócanej jedynie przez samą obecność "Zyz von Dryndy". Nie pomagają jej starania o pozyskanie sympatii ogółu. *Bu-*dzi niezrozumiałą awersję, irracjonalny lęk, *nakazujący* omijać ją,

jak się omija niebezpiecznego gada. Wszystkie swe zabiegi niweczy sama własnymi świdrującymi oczkami, wścibstwem, wszędobylskością, pazerną ciekawością. Jest w jej wzroku i postawie jakieś czyhanie, jakaś podstępność, coś lepkiego a ^(zarazem) odpychającego. Nawet, gdy pracuje przy wspólnym odpluskwianiu, odkaraluszaniu czy odszczurzeniu.

Plaga pluskw - po trzykrotnej akcji z wrzątkiem - maleje do tego stopnia, że wystarczy, gdy każda kanura zorganizuje wyparzanie we własnym zakresie. Także ilości tarakanów nie są zastraszające tam, gdzie skromne zapasy doskonale się zabezpieczą. Główny problem tkwi w pladze szczurów. Pojawiwszy się pewnego dnia w posiołku, zasiedlają się tu na stałe. Wielkie niby koty, rude, z długachnymi cienkimi ogonami, nieprawdopodobnie żarłoczne, przemyślne i bezczelne. Są odrażające i niebezpieczne, toteż zwalcza się je na wszelkie sposoby, co z kolei oburza panią Mańską, po prostu zwariowaną na punkcie zwierząt, zaciekłą opiekunką brudnych, cuchnących psów posiołkowych. Sprowadza ^(je) niekiedy do swej kanury, karmiąc kartkowym chlebem, którego automatycznie pozbawia rodzinę, głaszcze i pieści, pozwalając wchodzić na pryczę. Nie przeszkadzają jej również szczury, zwane z rosyjska krysy. Nie dają się pieścić, więc się przynajmniej roztkliwia nad złapanymi w pułapkę.

Ze zdechłym szczurem wdłoniach, gładząc mude zwłoki, niemal płacząc, sprawia wrażenie obłąkanej.

Potem tym bardziej przeklina "tę otchłań piekielną strzeżoną przez tego tarakana, Mierzlewcewa", co wszędobylska "Zyz von Drynda" zdaje się pilnie zapamiętywać.

Szczury stają się wrogiem numer jeden, czyhającym na każdą nieostrożność, na najmniejsze zaniedbanie w zabezpieczeniu żywności. Wiktoria

przekonuje się o tym bardzo boleśnie, gdy - sięgnawszy któregoś ranka do plecaka - znajduje w nim ^(tylko) parę ogryzionych

skórek zamiast chleba. Zawieszenie plecaka na ścianie kończy się tak samo. Dopiero podwieszenie na długim, znalezionym przez Leszka haku, który wbija w sam środek sufitowego półokrągłaka, zapewnia im śniadania.

Walka ze szczurami przewyższa stopniem trudności odpluskwianie. Szczury są bowiem nie tylko niesłychanie bezczelne, lecz i niesamowicie inteligentne. Zwłaszcza niektóre okazy, dające się odróżnić od pozostałych. Odznaczające się szczególnymi cechami wyglądu oraz działania, otrzymują nawet imiona własne.

Jeden, osobnik iście królewski, jest tak natarczywy, sprytny, zuchwały i niez mordowany w swym złodziejskim procederze, iż żeruje także w dzień. Nachał - bo tak zostaje "ochrzczony" - wygląda na szefa całej szczurzej bandy i, jak prawdziwy zwierzchnik, posiada swego pomagiera, Gałuszkę. Działają razem, nigdy nie dając się podejść. Ze wszystkich zasadzek wychodzą nie tknięte. Mimo, iż wszyscy znają ich kryjówki.

Nachał mieszka w dziurze za piecem, na korytarzu, Gałuszka ucieka zwykle do kanury Wiktorii, gdzie przepada bez śladu. Tu przebywa także inny okaz; *Bezczelny - nieustraszone szczurzyisko.* One jedne omijają zastawiane na nie paści - *umieszczają tuż przy nórze* wiadro z wodą, przykryte przeciętym na krzyż papierem posypanym obficie mąką *lub chlebowymi okruchami.*

Gdy w nocy rozlegną się rozpaczliwe piski tonących gryzoni, wszyscy zacierają z nadzieją dłonie. - No, tym razem po Nachale! Koniec z Gałuszką! *To na pewno Bezczelny!*

Rankiem najwcześniej zrywa się z pryczy pani Święcicka. Spieszmy zobaczyć unieszkodliwionego Nachała, za każdym razem rozczarowana. W wiadrze pływa *wprawdzie wiele* szczurzych zwłok, lecz nie Nachał, nie Gałuszka, *(i nie Bezczelny.)* Radość okazuje się przedwczesna, triumfalną okrzyki nie uzasadnione.

Nie wiadomo właściwie z jakiego powodu aż tak przeżywa tę wciąż nierówną wojnę. *Wszystkich* Dlaczego jest taka zawzięta. Któregoś ranka stawia na nogi krzykiem innym, niż zwykle.

W jej głosie brzmi rozpacz.

- Moje zęby! To sprawka Nachała! Nic, tylko on mi je ukradł z filiżan-
ki! To zemsta Nachała za moją radość z jego śmierci! - Stawia
przewróconą filiżankę w kształcie rozeseśmianego buziaka na stole,
biegnie w kierunku pieca, chwyta leżący tam pogrzebacz, pada na kolana,
usiłując dotrzeć do nory Nachała.

- Co pani wyprawia? - Wszyscy śmieją się nieprzytomnie.

- Szukam moich zębów. Nachał mi ukradł! - oświadcza z całą powagą.

- Na co mu pani zęby? - rzą z radości sąsiedzi. - Swoje ma doskonale!
Nie zwraca na nich uwagi. Niemal płacząc, szuka wytrwale.

Starsi trzymają się za brzuchy, dziewczęta - pękając ze śmiechu - zaczy-
niają jej niby pomagać. Barak drży w posadach, tak w nim wesoło.

Aż, przez dyskretnie uchylone drzwi, zagląдают mieszkańcy żydowskiej
części.

Lilka jest ubawiona, lecz i zła na matkę, której jednocześnie współczuje.
Przytaszczonym skądś, długim patykiem sięga aż do nory, chwilę nim mani-
puluje i już trzyma w dłoni, wyciągniętą spod pieca, nieszczęsną szczękę.
- Za duża i w dodatku sztywna. Nie zmieściła się w wylocie nory. Utknę-
ła. - *Minę ma niezbyt mądrą,*

- A co, nie mówiłam!? - triumfuje pani Święcicka, spoglądając po zmiesz-
anych, zdumionych twarzach.

Szczurza wojna jest beznadziejna. W miejsce dziesiątków potopionych co
noc lub utłuczonych polanem w dzień, pojawiają się wciąż nowe kohorty.
Pewnej nocy budzi Emilkę coś ciężkiego, co jej skoczyło na głowę. Usiadł-
szy gwałtownie, słyszy tylko drapanie ostrych pazurów na skośnej no-
dze pryczy i na deskach podłogi. Przerażona, z bijącym sercem wpatruje
się w Inge. *W porządku!* Odkrywa ją ostrożnie i oddycha z ulgą, choć jeszcze
w strachu.

Jest przecież w baraku nu-
mer dziesięć kobieta z ugryzionym policzkiem. Było też dziecko pod piąt-
ką, zmarłe na krwawą biegunkę, pochowane z wy-
żartymi przez szczury wszystkimi miękkimi częściami ciała. Tyle tylko

pozostało ze ślicznej, pięcioletniej dziewczuszki ze złotą szopą krętych włosów na główce, o rysach tak doskonale pięknych, jak gdyby przyroda - pominąwszy trwającą wciąż ewolucję - ^{ukoronowała} w tym dziecku ponadczasowe dzieło ^(aniola.) ~~uroda~~ ^{przeistaczania człowieka} dziewczuszki miała wszystkie cechy dojrzałości dotkniętej sięgającym dna cierpieniem.

Cały posiołek z płaczem odprowadził "pod bieriozki" tę śliczną istotkę, na którą Emilka niedawno spoglądała z uczuciem pewnej zazdrości, przyznając w duchu, że nawet wdzięk Iny ginię nie w porównaniu z urokiem małej Ewuni. I tę nadzwyczajną, chociaż skamieniałą już urodę, oszpeciły nienasycone gryzonie. Malutką bohaterkę, która konała bez słowa skargi, z niewymownym bólem - zarówno fizycznym jak duchowym - w ogromnych, czarnych oczach, ze stoicyzmem zaprawionej w cierpieniu męczennicy.

Emilka, myśląc o tym, nie śpi do rana, czuwając nad siostrzyczką, drżąc ze strachu. Tu wszystko jest możliwe, Wszystko może się zdarzyć. Iluż to obłożnie chorych kona, nie mogąc się opędzić przed natarczywością szczurów! Ile niemowląt z obgryzionymi noskami, uszkami lub paluszkami! W dni, kiedy Wiktorja udaje się do kołchozu a Dorota przepada w tajdze, odpowiedzialność za bezpieczeństwo Ingi spoczywa na Leszku. Chłopiec ma opracowany, własny system obronny na takie okoliczności. Gromadzi na pryczy duży zapas polan, po czym sadowi się obok - razem z siostrzyczką - oboje z podkulonymi nogami.

Gdy rozzuchwalone ciszą szczury wychyną, na środek izby, ciska w nie - czasem celnie - polanami aż do wyczerpania zapasu, co gdy nastąpi, zeskakuje na podłogę, tupiąc mocno i zbierając "amunicję".

Po powrocie matki lub którejs z sióstr, wynosi na dwór zabite gryzonie, drżąc ze wstrętu pod nieprzyjemnym dotykiem ich wstrętnych futerek i łapek.

Szczury budzą w nim także strach. Zwłaszcza od chwili zaobserwowania jednego z ich przedziwnych zwyczajów. Kilkadziesiąt może sztuk, szczepionych ogonami w wielki nieregularny kłęb - żywa, najeżona

ostrymi pyszczkami niby-piłka przewalająca się z niesamowitym piskiem po trawie - uosobienie nieokiełznanej, dzikiej, pierwotnej, groźnej siły prześladowuje go od tego czasu w śnionych koszmarach. Wraz ze szczurami pojawiają się wszy, na które tak samo nie ma rady. Na nic częste pranie, chociaż pralni nic nie można zarzucić. Porządna, z dwoma wmurowanymi nad paleniskiem kotłami a mimo to bezskuteczna. *Gnidy* nie boją się wody/nawet wrzącej/ bez mydła. Natychmiast po praniu wylęgają się z nich nowe wszy, powracają te, które uciekły do głów. Nie pomagają nieustannie używane, gęste grzebienie - wszystko niweczy brak mydła. Pojawia się ono wprawdzie - od wielkiego dzwonu - w miejscowym sklepiku, lecz - poza nazwą - niewiele ma z mydłem wspólnego. Rozwarstwa się niby ciasto francuskie, nie mydli a między poszczególne *skojami* tkwią całe gniazda martwych wszy. Z tego powodu nosi ono nazwę "wszawego przekładańca".

Wiktoria, jak skarbu, strzeże resztek przywiezionych z Hołubicz, rezerwując głównie dla Ingi, co i tak nie chroni dziecka przed atakami pasożytów.

- Skąd się to bierze! - dziwi się pogardliwie pani Mańska. - Sam Pan Bóg chyba zsyła je na komunistów! - Zastanawia się moment, po czym dodaje: - No dobrze, ale co my Mu zawiniliśmy?!

Te dwie plagi - szczury i wszy - są nie do wytępienia. Na szczury nie ma sposobu a one przecież roznoszą wszy. W ten sposób kółko się zamyka.

Pani Mańska, z biegiem czasu, ^(zaczyna) coraz bardziej przypominać nieszkodliwą pórkiotkę. *Bywa*, że na jej pryczy wyleguje się po kilka psów na raz. Nic to, że mokre, brudne i cuchnące. Pani Mańska zachwyca się ich "urodą", poczciwością, mądrością. Tuli je, całuje, potrafi oddać cały pajek - własny i córek.

W baraku śmierdzi. Sąsiedzi zaczynają sarkać, lecz nie śmia protestować. Panny Iza i Elżbieta - pozbawione chleba - płaczą rzewnymi łzami, skarżąc się na bezmyślność matki, która najwyraźniej traci zmysły. Najchętniej/obok wyklinania Sowietów/

Wiktorija podejmuje kilka prób powstrzymania jej, zwłaszcza ^(przed) profanacją przedmiotu kultu religijnego; daremnie. Pani Mańska reaguje najwyżej wczesniejszym zakończeniem posiedzenia, czemu także nadaje specjalny rytuał.

Ośloniwszy intymne naczynie kawałkiem czerwonego pluszu w czarne kropki, wynosi je, dzierżąc w wyciągniętej ^(przed siebie) sztywno ręce, aż do wspólnej latryny. Powroty wykorzystuje na głośne wyklinanie Mierzlewcewa, ruskich bandytów i bolszewickich porządków, co czyni niezmiennie w języku rosyjskim, gdy tylko spostrzeże jakiegokolwiek krajowca.

Większość Polaków rozumie już ten język ^(dziesiąte) pięte przez, próbując nawet używać, tworząc najdziwniejsze, polsko-rosyjskie dziwolągi słowne. ^(nawet) Rodzeniom rosyjskim ^(często) dorabiają polskie końcówki, całości nadeją wygodniejsze, bardziej swojskie w brzmieniu, nowe akcenty i na odwrót. Niedokładna ^(nawet) znajomość obcego języka ^(często) trochę jednak ułatwia życie, aczkolwiek prowadzi do zabawnych nieporozumień.

Ktoś złośliwie informuje Emilkę, że wyraz "rzopa"¹ znaczy "odejź", co dziewczyna wykorzystuje bez zwłoki. Zaczepiona przez młodego Rosjanina mówi dobitnie: "rzopa". Skutkuje bezbłędnie ^{(u Paria)²} odchodzi, jak zmyty. - No, jakoś sobie radzę! - cieszy się Emilka.

Wraca właśnie do baraku z wiadomością, o której nie wie czy ma się z niej cieszyć, czy smucić. Przeważa smutek. Oto, na pewien czas, musi opuścić swych bliskich. Po zakończeniu akcji zbierania mchu, cała brygada dziesięciu dziewcząt zostaje oddelegowana do Traktornej Bazy na sienokosy. Nie ma rady. Trzeba zabrać niezbędne rzeczy ^(osobiste) zgodnie z zaleceniem dziesiątnika Danyłowa - i równo z gongiem porannym "na robotu"³ stawić się przed Komendanturą.

Emilka boi się nieznanego. Drży na myśl o tym, że nie ma pojęcia o koszeniu i martwi, że zostawia chorą na biegunkę, wychudzoną, bledziutką Inę.

- Mamusiu - ostrzega na pożegnanie. - Najważniejsza sprawa, to chronić Inę przed szczurami. Czuwajcie na zmianę, zwłaszcza w nocy.

-
1. wulgarna nazwa pośladek.
 2. Kawaler
 3. Do pracy!

A dopóki jest chora, to i w dzień.

- Nie martw się, Milka - zapewnia Leszek. - Zdam się na mnie - unosi dumnie znalazłą twarzyczkę.

Wyprawiawszy z ciężkim sercem córkę i korzystając, że dzień to odwiedzin felczerek z Siewtry, Wiktoria - z Inga, na ręku - udaje się do ambulatorium.

Niestety, felczarki - młode i niedoświadczone - nie potrafią obiektywnie pomóc.

Są bezradne. Ich kwalifikacje ograniczają się do umiejętności zabandażowania skaleczonej ręki, nogi czy zaszczepienia ospy lub tyfusu, którą to akcję przeprowadziły masowo zaraz po przybyciu nowego transportu. Jedyne, czym rozporządzają, to dobra wola.

- Da niczego¹ - pocieszają Wiktoria. - Jutro z samej Wierchniej Tojmy wracz przyjeżdża. Akurat jego termin.

On w Wilnie kształcony; Sienowozow to. On na pewno pomoże - zapewnijają solennie. Pozostaje więc oczekiwanie. Tymczasem rzadkie jak woda ekskrementy Ingi zaczynają podpywać czerwień, dziecko leje się przez ręce - sine, przeźroczyste, z odrzuconą, bezwładnie główką, tak słabe, że Wiktoria długo się w nie musi wpatrywać, by stwierdzić, że jednak oddycha.

Wracz Sienowozow, ^{wyrażnie podpity} stwierdza dyzenterię, lecz - prócz jakichś kropli - nie ordynuje nic. Krople nie odnoszą żadnego skutku, stan Ingi zastraszająco pogarsza się, katastrofa wydaje się nieodwracalna. Inga gaśnie w oczach. Bezradnej, zrozpaczonej Wiktorii pozostaje jedno.

Klękają, wraz z Leszkiem i Dorotą, modląc się o cud. Pupilka losu... Och, Joachimie! O Chryste Miłosierny, osłoń to maleństwo Swą Tarezą! Uczyń cud!

I cud się spełnia. W otwartych nagle drzwiach kanury staje Mierzlewcew.

- Na sztoż, riebionok to u Ciebie, bolnoj² - stwierdza i dodaje: - K Ciebie powiestka. Idicie w Siewtru³ - kładzie na stole niewielką karteczkę.

- A za propuskom ka mnie!⁴ - kiwa na Dorotę i - spojrzawszy groźnie na obecną akurat, "tokującą" przed chwilą na konowaków -

- trucielieli-nieuków panią Mańską - dorzuca:

- Ja Ciebie sowietaju; nie bałtaj to!⁵... - odchodzi nieśpiesznie.

1. To nic.

2. Co to, obiektywnie ci choruje.

3. Dostałaś zawiadomienie, trzeba iść do Siewtry.

4. Po przepustkę zgłoś się do mnie.

5. Radzę ci, nie papłaj!

Wiktoria ujmuje w ręce przyniesioną karteczkę - zawiadomienie o nadejściu przesyłki na jej nazwisko i podaje Dorocie.

- Biegnij dziecko, śpiesz się! Coś mi mówi, że to właśnie cud, o któryśmy prosili. Nie żałuj nóg!

Dorota *pełdzi co się*

nie ze strachu, lecz z radości, z niecierpliwości, z poczucia obowiązku. U każdej kostki, zda się, wyrasta skrzydełko. Skrzydła u ramion. Och, jakże się śpieszy, jak mknie! Płynie w powietrzu!

Już jest z powrotem. Już niecierpliwe dłonie Wiktorii rozsypują sznurki, prują pozszywane płótno, zanurzają się we wnętrzu paczki, wydobywają kolejno, ze drżeniem, ^(spore) woreczki: maki, manny, mniejszy - cukru, *pokazny* kawał słoniny, butelkę jakiegoś żółtego płynu i zioła. Na samym spodzie leży list od panny Anieli Mazurówny - odpowiedź na list Emilki.

Zioła są na czerwone, przesyła je poczciwa, kochana baptystka. *Także* płyn na pluskwy.

Wiktoria nie ma czasu, by klęknąć do dziękczynnej modlitwy, szkoda każdej sekundy. Modli się, zalewając ^(zioła) przyniesionym przez Leszka z kipiatielnym wrzątkiem, niecierpliwie czeka, aż naciągną.

- Och Joachimie, ty zawsze masz rację. Zawsze, zawsze! Nasza Ina jest pupilką losu. Nie umrze, dzięki ci Boże! Nie włożę jej do małej trumienki! Nie poniosą mego dziecka "pod bieriozki"! Wychucham je, wyleczę ziołami! Zioła od baptystki są niezawodne! Co z tego, że Mierzlewców odmówił mi talonu na mannę, której nie poskąpił Turkotowej. Manę mannę bez jego łaski! Te zioła i te produkty postawią Inę na nóżki. Chryste, jakiś ty dobry! Żeby jeszcze mleka skądś zdobyć, ale to potem. Gdy minie najgorsze.

Leszek wodzi za matką poważnym wzrokiem, lecz nie odstępował od Ingi. Przy nim nie zbliży się do niej żaden szczer!

Zioła baptystki odnoszą skutek. Żołądce Ingę zaczyna pracować normalnie i chociaż dziecko wciąż jest słabe, staje się niemal pewne, że nie umrze.

Wiktoria wynosi ją, na powietrze, przysiada na stopniach

schodów, kołysze w ramionach, nuci kołysankę. „Z popielnika na Wojtu
sita iskiereczka mruqa, Chodź, opowiem ci bajeczkę, bajka będzie długa...”
Tuż obok Abram. Starannie utyka mech w szczeli-

nach obelkowania, co rusz zerkają na nią, jakby chcąc coś powiedzieć.

Wiktoria widzi to, więc mu ułatwia sprawę.

- Można jeszcze wytrzymać, prawda, panie Abram? To chyba niezbyt ciężkie zajęcie?

- Uś, pani Leszczyńskie! - podchwytuje Abram natychmiast. - Pani Leszczyńskie kochane, jak nam tutaj dobrze! Jak dobrze, aj- waj, jak dobrze w tą Siewierną!... Pani nie idzie z te dziecko na spacer? Tam dalej jest dużo lepsze powietrze, czyste powietrze! Bo ja idę w tamtą stronę - w jego oczach jest coś, co każe Wiktorii powstać i towarzyszyć mu, Abram, wyraźnie zadowolony, porzuca swe zajęcie.

- Słyszę, że to dzieciątko zdrowsze, prawda? Aj, jakie szczęście! Jakie my tutaj szczęśliwe ludzie! A jakie dobre te ludzie, to strach, takie uczciwe! Sam miód! A niektóre to o wiele lepsze od drugie. O wiele!

Na ten przykład prawą stronę. Na tamta strona - błyska chytrze oczami-

- Na tamta strona baraka n a j l e p s z e, n a j s z l a -
c h e t n i e j s z e kobete to jest te żone bankier, pani Boznanskie. Aj, one najlepsze ze wszystkie Żydki. One to nigdy zły słowo na nikogo nie powie. Nigdy! Tylko wie pani co, pani Leszczyńskie? Z nią to trzeba uważać, coby ją nie obrazić, bo one to się bardzo prędko obraża. Aj, jak prędko. Jedne słowo za dużo i już one obrażone - spogląda badawczo w twarz Wiktorii. Wtem zniża głos. - One wtedy to nawet, o byle co, gotowe do sam komendant polecieć. Uś, z nią to trzeba bardzo uważać. Bardzo uważać, co się mówi, jak się mówi i o czym się mówi. Ale tak, to bardzo, bardzo porządne i piękne kobete - cmoka wargami. Milknie, patrząc wymownie, wyczekująco.

Wiktoria odwzajemnia się mu podobnym spojrzeniem, z wyraźną domieszką wdzięczności.

- A u was, na wasza strona - podejmuje Abram temat - które kobete takie najlepsze?

- U nas - uśmiecha się Wiktoria domyślnie - wszystkie panie dobre, ale najlepsza wydaje mi się pani Gertruda Turkot.

- Uś, ja też tak myślał, ale nie miał pewność - rozpromienia się Abram.

- Bardzo, bardzo pani dziękuję za...towarzystwo, bo ja tutaj skęcam - ukazuje latrynę. - Grunt, że teraz oboje wiemy, które to te n a j l e p s z e kobete w nasz cały barak. Rączki całuję, szanowne pani Leszczynskie. Pani to - pewno pójdzie jeszcze kawałek prosto, prawda? ^{spogląda nakazująco,} -
Wklania się w pas i odchodzi.

Wiktorია uważa za swój obowiązek przekazać wiadomość zaufanym osobom. Teraz wszyscy uzmysławiają sobie, że od dawna podejrzewali "Zyz von Dryndę".

Nikt jednak nie posądzał

Boznańskiej.

Wniosek jest jeden. Należy się wystrzegać własnego cienia. Bo jeśli cokolwiek może być pewne, to wrogie czyhanie rozsianych umiejętnie po ^{taqrze} donosicieli-sprzedawczyków. Przed nimi głównie trzeba się mieć na baczności, chociaż zwyczaj ograniczonego zaufania musi być skrupulatnie przestrzegany ^{na każdym kroku,} Szpiegów funkcyjnych nie trudno - pilnie obserwując - zdemaskować. To wszędobylscy, wyrastający nagle, jak spod ziemi, obok rozmawiających. To ci, którzy ciągną za język prowokacyjnie śmiałym tonem. Ci, którzy często zmieniają pracę, przydzielani przez zwierzchność do coraz innej brygady. Zaprzyjaźnieni, wchodząc do baraku, zachowują maksymalną ostrożność. Zamiast powitania - ^{zadowolone} konspiracyjnym tonem pytanie.

- Powietrze czyste?

Mówić można dopiero po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi - jeśli wiadomość poufna - przyciszonym głosem. System ten zdaje doskonale egzamin. Można się, dzięki niemu, porozumieć, ustalić wspólną linię postępowania, co - wobec częstych przesłuchań - staje się coraz bardziej nieodzowne. Dzięki temu rośnie solidarność zesłanych, wzmacnia się poczucie więzi, umacnia postawa obronna, krzepnie narodowe spoiwo.

Jedynie pani Mańska, niczym się nie przejmując, robi swoje, na każdym kroku, publicznie, dając upust nienawiści. Pasji równorzędnej z miłością, jaką obdarza zwierzęta. Wykpiwa niepohamowanie wszystko, co tutejsze, nie słuchając nawet upominających ją córek. Na widok karalucha pełzającego

po ścianie woła drwiąco:

- Patrzcie, ^{ma}patrzcie! Mierzlewców lezie!

Gorzej, iż potrafi także oddziaływać na otoczenie. Młoda mama paroletniej dziewczynki, mieszkająca pod dziewiątką wraz z mężem, pani Helenka Czachowska nie zna pani Mańskiej, jak jej najbliżsi sąsiedzi. Nie podejrzewa obłądu. Zachwycona "odwagą" "psiej mamy", śmieje się najgłośniej z jej dowcipów, sama wymyśla coraz to nowe i słucha jej we wszystkim. - *żda się - zafascynowana samym wiekiem, surowością, elokwencją, śmiałością, krytycznych wypowiedzi, nawet paleniem papierosów.* Obie, krążąc między barakami, *głośno* agitują za bojkotem niedzielnych, urzędowych, wieczorynek świetlicowych, co Polacy i tak czynią po cichu, uważając udział w imprezach za zdradę. Usprawiedliwia się jedynie panną Anielę Krzycką,

zmuszaną przez komendanta do wyrywania tanecznych melodii w każdą niedzielę.

Paniom Mańskiej i młodziutkiej, pełnej werwy Helence nie wystarcza niemy sprzeciw. *Pragna*, wołać pełnym głosem.

- Nie chodźcie na te ich bolszewickie zabawy! To hańba! Wstyd dla Polaków! Z czego się mamy cieszyć?

Potrafia także wpaść niespodzianie do roztańczonej świetlicy. Jeśli znajduje się tu któryś z zesłańców/ *wielka to rzadkość* /, buntują.

- Do baraku! Co wy tutaj robicie!? Pana Boga obrażacie! Ambicji na lekarstwo! Oni tylko na to czekają! Duszę nam chcą zabrać! Wolnego ducha stłamsić! Zniszczyć nas chcą! Czy tego nie widzicie? - *Pani Mańska - rzecz znamienita - w takich sytuacjach nie wygląda na obłąkaną.* Wiktorię, na wieść o tych "występach" przejmują ciarki.

- Nie tędy droga - ostrzega swe dzieci. - Z nimi tylko podstępem. Inaczej nie wygramy. Milczeć i robić swoje. Po cichu i wytrwale. Nie dać powodu do represji. Ilu już siedziało w ciurmie! Sama się dziwię, że dotychczas nie wzięli pani Mańskiej.

Większość Polaków stosuje tę właśnie metodę *milczącego* oporu, jednakże w dniu piętnastym sierpnia, w dniu święta Matki Boskiej, sumienie nakazuje im odmówić pójścia do pracy.

Powiadomione w przeddzień naczałstwo nie chce nawet słyszeć o podobnej fanaberii i rankiem, jak zwykle, budzi wszystkich gong. Budzi, lecz nie stawia na nogi. Ani pierwszy-"Wstawać", ani drugi-"Na rabotu". Honorują je wyłącznie Żydzi, nie mający żadnego powodu do nieposłuszeństwa.

Rozjuszony, wyprowadzony z równowagi Mierzlewcew zaczyna ganiać po barakach, wpada do kanur, wrzeszczy.

- Ja was w tiurmu to! Na rabotu, swołoczi! Paj-
kow nie dam! Proguł to budiet!

Proguł oznacza coś nawet gorszego, niż areszt, bo odebranie pajka oraz zapłaty za wykonywaną pracę na okres, zależny od "widzimi się" komendanta, To śmierć głodowa.

- Przebacz, Święta Panienko! - Złamani, wychodzą do pracy. Nieugięty pozostaje tylko Zdzich Święcicki, ukarany za to utratą tałonów i zapłaty na przeciąg miesiąca - *zawrotną ceną za demonstracyjne „nie robienie” przez cały tydzień. Daremnie pani Święcicka śpieszy do komendatury, prosi Mierzlewcewa o anulowanie kary.* Gniew komendanta jest zbyt świeży, jego nienawiść zbyt wielka.

- Ni-kag-da! ¹ - wyszczekuje zajadle, z wewnętrzną pasją. - My znajem pro was wsio. Jeszczio odin razok i my pogovorim to. Minuli kampotiki, wsio! ² - *nie wiadomo dlaczego, Mierzlewcew uważa ukurat kompot za synonim luksusu.* Od tego dnia zaostrza represje, nie ma litości dla nikogo. Nawet dla chorych. Pierwsza zostaje aresztowana półobłąkana pani Mańska i zaprzyjaźniona z nią Helenka Czachowska - obie osadzone tymczasowo w miejscowym areszcie, małym, odosobnionym, wzniesionym na wysokiej skarpie budyneczku, zwanym chaładuszka, chałobnaja, chaładilnia lub-nienybrudnie-pierdizosz. Do aresztowanych dociera codziennie Leszek, przynosząc potajemnie żywność. Od pana Czachowskiego - dla Helenki oraz dla pani Mańskiej - menażkę zupy od Wiktorii. Na nic rozpacz i błagania pana Czachowskiego, daremne lzy małej Basi. Komendant pozostaje nieugięty.

Wszyscy współczują pannom Mańskim, *(jeszcze nieświadomym nieszczęścia)* litują się nad pozostawionym dzieckiem Helenki. Nie mogą się jednak powstrzymać od wyrzutów.

- Dlaczego? Dlaczego nie zabronił pan żonie

1. Nigdy!

2. Wiemy o was wszystko. Jeszcze raz i pogadamy! Minęły kompotiki! /w znaczeniu: luksusy/.

paniania po obozie z tą zwariowaną Mańską? To się musiało ile skończyć.

- Mój Boże, mój Boże! - szlocha młody człowiek, głuchy na spóźnione rady. - Już jej nie zobaczę! Nie zobaczę jej nigdy!

Aresztowanie pociąga za sobą proces sądowy, przeprowadzony w komendanturze. Przewodniczy mu sam rajkomendant, przybyły na tę okazję z rejonowej Wierchniej Tojmy. W charakterze świadków występują

Wiktorią, Turkotową, pani Tomczycką i znaną z widzenia kobieta z baraku numer dwanaście. Wiktorija zeznaje pierwsza.

- Czy słyszałaś, jak zaklucziennaja¹ Mańskaja obraźliwie wyrażała się ^{grażdaninie} komendancie? - brzmi jedno z zasadniczych pytań rajkomendanta.

- Nie słyszałam ^{grazdanin rajkomendant} - odpowiada spokojnym głosem Wiktorija, patrząc mu prosto w oczy.

- A że odpędzała ludzi od zabaw w świetlicy też nie wiesz?

- Nie wiem. Mam małe dziecko, nigdzie nie chodzę.

- To może i tego nie wiesz? , że o rosyjskich lekarzach mówiła "konowazy" albo "duszohuby" i "truciele"?

- Nie.

- I że na własną narzekala, obrażając naczałstwo?

- Nigdy czegoś takiego nie słyszałam. - Głos Wiktorii brzmi pewnie, mocno, zdecydowanie. - Przeciwnie - dorzuca prędko. - Wiele razy pani

Mań... to jest zaklucziennaja¹ sama namawiała mnie, żebym szła do lekarza.

- Ciebie namawiała?

- Tak. Dziecko mi ostatnio chorowało i sama też niedomagam. Można sprawdzić, że bywałam w ambulatorium.

- I właśnie z porady zaklucziennoj Mańskiej? Jakże ona mogła ci to doradzać, skoro uważa naszych lekarzy za truciele!

- Już mówiłam, Nie słyszałam tego od niej.

1. więźniarka, aresztowana.

A lekarze tutejsi dobrzy. Moje dziecko właśnie wracz Aleksandr Siergiejewicz Sienowozow wyleczył z krwawej dyzenterii. Całkiem już zdrowe.

- Jakże nie słyszałaś - wtrąca Mierzlewcew - kiedy inni słyszeli!

- Nie odpowiadam za innych. ^{graźdaniin kamiendant,} Mówię za siebie. Chcecie ^{żeby} żebym kłamała? Ja nic nie wiem. Mówiłam, że dziecko mi chorowało, Nie miałam czasu na plotki. A o zakliuczienną ^{Mańską} Mańską tyle tylko mogę powiedzieć, że dobry z niej człowiek. Ludziom pomaga, nawet psy posiołkowe karmi.

- Nu ładno - przerywa jej rajkomendant, przewiercając zimnym wzrokiem na wylot. - A co ona, Mańskaja, dawniej robiła, wiesz? Mąż jej, mówią, ministrem był?

- Nie wiem. Nie znałam jej ^{pojęcia} dawniej. Nie mam też, kim był jej mąż. Wiem tylko, że ją porzucił.

- Wikto-
ria stara się mówić pewnie i śmiało odbija zimny wzrok rajkomendanta.

- A zakliucziennuju Czachowskuju ^{Rosjanin} dobrze znasz? ^{zmienia}

kierunek śledztwa.

- Tylko z widzenia.

- To i o niej nic powiedzieć nie możesz?

- Niestety, nie - odpowiada z kamiennym spokojem Wiktorja, co przychodzi jej coraz trudniej. Jest na granicy wytrzymałości nerwowej. Musi przecież panować nad mimiką, nad intonacją, zachować spokój, uważać na każde wypowiedziane słowo, mówić tak, by nie zaszkodzić nikomu, lecz i siebie nie pogrążyć.

Rajkomendant wpatruje się w nią bacznie, długo, twardo. Wytrzymuje i to.

- A wiesz ty, że - cedzi zwolna. - Że za fałszywe zeznania tivrma może być?

- Powiedziałam prawdę, ^{graźdaniin rajkomiendant,} - Podpisawszy zeznania nie czytając, wychodzi na korytarz. Pierwsze, co dostrzega, to pytający wzrok wzywanej właśnie pani Tomczyckiej oraz napastliwy pozostałych świadków: Turkotawej i obcej - również z gatunku tych najłepszych.

Zaledwie zamkną się drzwi za

W izbie witają ją radosne dziecięce okrzyki i słabiutki jeszcze pisk powracającej do zdrowia Ingi. Jest tu również pani Święcicka.

- Jest mamusia! Jest pani, chwała Najwyższemu! Wszyscy tu przecież istne katusze przeżyli, że panią aresztowano! Okazuje się, że - przed paroma zaledwie minutami -

jakąś szczupłą kobietę w czarnym palcie z "budkowym" kołnierzem dwóch cywili uwiozło spod komendantury na saniach. Obserwujący to Leszek, niepomny, iż matka nie ma już czarnego palta,

rzucił się z płaczem na pryczę.

- Zabrali mamusię, o Boże, co my teraz zrobimy?! Nawet Milki nie ma, o Jezu! Właśnie w tej chwili dostrzeże powracającą matkę Dorota, ^{też} rozpacz przeobraża się w radość.

Tego wieczoru w baraku numer osiem, po polskiej stronie, wspólna modlitwa odznacza się szczególną żarliwością. Brak pośród modlących się - jak zwykle - "Zyz von Dryndy", lecz nie ma i pani Mańskiej, skazanej/wraz z Helenką Czachowską/ na dziesięć lat, wywiezionej w niewiadomym kierunku. Brakuje również oddelegowanych do Traktornej Bazy dziewcząt: Emilki, Izy, Elzuni i Lilki.

Rozdział IX

TRAKTORNA BAZA

Grupa dziewcząt i kobiet, eskortowana przez trzech konnych, wyrusza z Siewiernej Korgowej natychmiast po rannym gongu "Na robotu".

Minąwszy ostatnie zabudowania obozowe ^{maliniak}, oraz urozmaicone brzożami i krzyżami zbocze wąwozu, szybko docierają do korgowej Jużnej, gdzie dołącza do nich partia tamtejszych kobiet. Uświadomione, że zadaniem ich jest przygotować zapas siana na całą zimę, za ledwie zdążywszy odsapnąć, idą dalej.

Mimo, że dzień wstaje ^{śłoneczny}, chmary meszki i komarów nie kwapią się odpocząć, co zmusza do zgubnego w skutkach drapania się. Emilka usiłuje zasugerować się, że ma związane ręce, że nie może sobie na to pozwolić; z pewnym powodzeniem. W samej rzeczy jedną rękę - ciągle zmieniającą - ^(ma) zajęta dzwiganie niewielkiego pakunczku, najwyżej dwukilogramowego, z sukienką na zmianę, ściereczką-ręcznikiem, odrobiną mydła, chlebowym pajkom oraz menażką i łyżką. Chociaż lekki, sprawia wiele kłopotu. Łapcie z łyka na drewnianych podeszwach utrudniają każdy krok

Zdjąć je, to narazić się na zanieczyszczenie ran na stopach, nie mówią o dodatkowym ciężarze.
- Idźcie, idźcie! - zwraca się do koleżanek. - Nie zwracajcie na mnie uwagi.
Bnie na końcu coraz bardziej rozwleczonej kolumny, chwilami odstając zupełnie, co sprawia, że strzegący tyłów konny łypie ku niej podejrzliwym okiem.
- Nie bój się, nie ucieknę ci - myśli pogardliwie, bez przerwy walcząc ze swym nieznośnym ciężarem. To go wkłada na ramię, na drugie, to na głowę, trzyma pod pachą, pod drugą, przed sobą, w opuszczonej ręce, w obu na raz - wszystko na nic. Cięży, niby kamień młyński, pot cieknie z niej lepкими strugami, meszka lgnie jak do miodu, Co rusz patyka

się o jakieś korzenie, wykroty, zagłębienia, to może przynieść w
rozniekłym miejscu gruntem rozjeżdżonej traktorami drogi - jednej
z dwu wiedzących do Traktorowej Bazy - tej dłużej o całe trzy
kilometry, za to podobno wygodniejszej.

Rzeczywiście, zdarzają się na niej suche i równe odcinki, po których
mógłby nawet przejechać pojazd kołowy, co jednak nie ułatwia Emil-
ce marszu. Jest tak zmordowana, że

nic przed sobą nie widzi, oprócz tej wygodnej
drogi. Pot zalewa jej oczy, z czego się cieszy. Można, dzięki temu,
ukryć łzy. Bo Emilka momentami płacze. Nie nad sobą. Na myśl o chorej
siostrzyczce a raczej szkieleciku, jakim się stała.

- Ona musi żyć, o Boże! - woła bezgłośnie. - Co powiemy tatusiowi, kie-
dyś, po wojnie? Że nie ma już naszej maleńkiej panny Iny?! - odstaje
od pochodu coraz bardziej, aż konny z tyłu, zrównawszy się z nią, gestem
zaprasza przed siebie.

Odczuwa to jak obrazę. Jak nakłanianie do czegoś skrajnie niemoralne-
go. Wzmocniona wzgardą, spogląda na wroga wyniośle i - zacis-
nawszy zęby - stara się stąpać pewnie i swobodnie.

- Wot polskij czertionok!¹ - dobiega ją z wysoka, co kwituje
dumnym uniesieniem głowy.

Konny, uznawszy ją za nieszkodliwą maruderkę, przestaje pilnować. Oddala
się błyskawicznie.

Emilka, mimo usilnych starań i wewnętrznego podbechtywania, dociera na
miejsce, gdy inne kobiety są już zakwaterowane. Niektóre - najszybsze -
wracają właśnie ze stołówki, dokąd udaje się również ona.

Stojąc tuż przy drzwiach, rozgląda się, gdzie ruszyć,
gdy wzrok jej pada na wioływającą przelotnie dziewczynę.

Zamiera z wrażenia.

Sympatyczna nieznajoma - siedząca przy grubo ciosanym, prymitywnym sto-
le, zajada coś z wielkim apetytem... nożem i widelcem! Tu, w środku ar-
changielskiej tajgi, gdzie bieda aż piszczy, gdzie nikt nie zaprzęta

A oto polskie diabły.

sobie głowy jak się jąda, całe swe zainteresowanie skupiając na problemie, co włożyć do ust! Tutaj, w Traktornej Bazie, na krańcu świata, w tej głuszy - nóż i widelec! I podawane do ust, niewielkie kęsy blina!

Ach, ^{- Emilka} usiąść obok tej dziewczyny i, tak jak ona, zjeść porcję placków! Staje w kolejce do okienka, lecz, zanim dojrzy na początek, blinów już nie ma. Płacąc za zupę fasolową - pożywną, bo gęstą - cieszy się, że to nie placki, o wiele przecież droższe. Mimo, że posiada jedynie drewnianą, pociemniałą ze starości łyżkę, kieruje się ku nieznamym, pragnąc ją poznać. Z gorącą menażką w obu dłoniach, przystaje przy niej pytając nieśmiało.

- Czy można?

- Ależ naturalnie! - uśmiecha się tamta, wstając równocześnie z wyciągniętą przyjaźnie dłonią.

- Renia Kulikówna, trzecia gimnazjalna w Drysie.

- Emilka Leszczyńska, także trzecia gimnazjalna. W Przemyślu.

Emilka, po raz pierwszy od dawna, czuje się niemal uszczęśliwiona. Jakby to było dobrze zaprzyjaźnić się z tą Renią - myśli, jedząc swoją fasolówkę powoli, bez powszechnie spotykanej kapczywosci. Nie dlatego, by wyrzucić na nowej koleżance dobre wrażenie. Po prostu inaczej nie potrafi. Ostatnio nigdy nie je *prędko*, niepewna czy zdoła zatrzymać pokarm w żołądku. Od czasu, gdy przyłapała Dorotę na wymowaniu z zupy karaluchów, wciąż o tym myśli, dręczona obawą, że mogły być także w tym, co ma przed sobą.

Renia kończy bliny, lecz nie odchodzi. Patrząc na Emilkę z sympatią, pyta - To państwo mają tę małą, śliczną dziewczuszkę, jak wielka lalka?
- Tak, na imię ma Inga - Emilka, ku zdumieniu Reni, odsuwa niemal pełną jeszcze menażkę. Przypomnienie umierającej może w tym momencie siostrzy czki działa na nią paraliżująco, co zostaje mylnie zrozumiane. Renia odchodzi, najwyraźniej urażona.

Dzień ten jest szczególny. Dziewczęta, po raz pierwszy w życiu, stykają się z nieznanym dotychczas

zjawiskiem tak zwanego "obszycznego żytielstwa", co po prostu oznacza wspólne bytowanie. W jednym baraku, na jednej sali, jedna obok drugiej - wszystkie na oczach wszystkich. Emilce trochę to przypomina internat.

Na razie mają czas na urządzenie się, nikt nie myśli o pracy.

Stoją w kolejce do dużego stołu, przy którym nieznajomy dziesiątnik wdał się, za pokwitowaniem, koce, poduszki, sienniki ^(do wypchania) i bieliznę pościelową - wszystko bardzo czyste, acz mocno sfatygowane.

Emilka dociera do stołu tak wyczerpana, że nie ma siły zwrócić dziesiątnikowi uwagi z powodu zniekształcenia nazwiska. Lieszynskaja, to Lieszynskaja. Niech mu będzie. Składa starannie na kupkę swój przydział, gdy z boku - poza kolejnością - wypycha się Rosjanka z pościelą do zwrotu.

- Prininajtie, mnie domoj pora!¹

- Minutoczku!² - dziesiątnik zaczyna rozkładać sztukę po sztuce, oglądając każdą uważnie, nie zrażony ani stęchłym zapaszkiem, ani widocznym z dala brudem. Skończywszy, ryczy niespodziewanie:

- Ty szto, swinja okazannaja! Griaznoje biel'jo! Podumajtie, nie mojetso to, czelowieczeskowo truda nie uważajet, biez sowiesti, biez styda!³

Dziewczyna, czerwona jak burak, słucha z opuszczoną głową tych i jeszcze ostrzejszych wyzwisk, oczekując pokornie na zezwolenie odejścia. Ułatwia jej to przybycie grupy roboczej rodaków, zajmujących wielką salę w sąsiednim baraku.

Zdenerwowana zajściem, Emilka wycofuje się pośpiesznie ku grupie koleżanek z korgowowskiego baraku. Naradzają się właśnie, czym wypchać siennikowe worki.

- Trawą, panienki! Spójrzcie, jaka dorodna. Będzie się spało, jak na pier-nacie. Nawet księżniczka od groszkowego ziarnka by nie grymasiła! - To Renia, nowa znajoma Emilki, którą - okazuje się - pozostałe dziewczęta znają.

Na pobliskiej polanie trawy w bród. Soczyście zielona, bujna, gęsta - istny dywan. Zaczynają rwać ją garściami, upychają wory, nie ustając w wysiłku, mimo iż piękna trawa w dotyku okazuje się twarda i ostro niby cieniuchne nożyki.

1. Proszę przyciąć, wracam do domu.
2. Chwilczkę!
3. Coż ty, swinio obrzydła! Brudną bieliznę zdejmiesz! Nie myślisz się, ludzki praca nie szanujesz, bezwstydną! Gdzie twój sumienie?

Brak im wprawy, toteż - gdy wory upodobnią się do gigantycznych serdelków - dłonie mają pocięte i skrwawione.

- Mój Boże, gdzież temu paskudztwu do naszych polskich, kochanych, aksamitnych łąk! - wzdycha rzewnie Lilka, próbując ruszyć ciężki, pękaty siennik z miejsca. Pozostałe dziewczęta czynią to samo. Ciągają z trudem, lecz i z triumfem, ubite starannie wory do "obszczego żytielstwa", głuche na uwagę jakiejś starszej kobiety z Korgowej Jużnej.

- To mokra trawa. Reumatyzm macie pewny, jak w banku - ostrzega.

- Głupstwo reumatyzm! - odkrzykują beztrosko. - Grunt, to wygoda!

Inne dziewczęta biorą z nich przykład i wkrótce cała wielka izba napełnia się specyficznym, mocnym aromatem surowej, roz-tartej trawy.

Noc mija spokojnie, wszystkie śpią, jak zabite, bez snów - zmęczone i *odurzone* intensywną wonią stepową. Po obudzeniu nie wiedzą nawet - są tu szczury i pluskwy czy nie. Wyrwane ze snu przeraźliwym, metalicznym *jazgotem gongu*, pędzą do stołowej po kipiatak, który *można zasypać* sprzedawaną tutaj szczyptą kawy zbożowej. Słowa "cukier" wcale się nie wypowiada. Jest nieosiągalny. Po prostu wykreślony z rejestru rzeczy realnie istniejących, o których się nawet nie myśli.

Emilki nie stać na kawę. Pogryza kromkę chleba, popijając czystym kipiatak, starając się nie widzieć Izy z Elżunią - szczęśliwych posiadaczek mąki - gotujących zacierkę, zupę najszybszą pod słońcem. Sytny zapach mimowoli wciska się w nozdrza, drażni pęcherzyki smakowe, lecz Emilka nie jest łakoma. Potrafi odmówić proponowanego poczęstunku, za który nie będzie w stanie zrewanżować się.

Po śniadaniu, zgrupowane koło stołówki, wysłuchują przemówienia ważnej tutejszej figury - *rudoogłowego dziesiątnika Krostkina*.

- Przed wami wielkie zadanie. Przygotować paszę dla koni i krów na całą długą i ostrą zimę. To ważne i pożyteczne zajęcie, dlatego traktujemy

was lepiej. Większy pajok, gęste zupy do kupienia w stołowej a nieraz i drugie danie się trafi. Za te przywileje spodziewamy się po was wdzięczności i stachanowskiej roboty. Norma musi być wykonana przynajmniej w stu procentach! - wyznaczwszy na bieżący dzień oburączycę czyli dyżurną, podrywa brygadę do wymarszu.

Droga do pierwszej, oddalonej o piętnaście kilometrów łąki, wiedzie przez pobliski kolchoz z usytuowanymi na wzniesieniu domkami, potem skręca w las, wzdłuż rwącego, głośno szumiącego potoku.

Emilka, obciążona - jak wszystkie dziewczęta - wielkimi drewnianymi grabiami, także teraz zamyka tyły. Brnąć po miękkim podłożu, ogania się przed meszką, komarami i równie dokuczliwymi, wielkimi niby baki muchami bzykającymi głośno, namolnie i boleśnie tnącymi. Od nagrzanej, parującej ziemi unosi się niezdrowy zapach wilgoci, szum potoku ogłusza.

Emilka przenosi się myślą daleko stąd, zarówno w czasie, jak przestrzeni. Mała, pięcioletnia najwyżej dziewczuszka stoi nad niewielką, wątną rzeczułką. Woda mieni się w słońcu, na jasnym dniu przesuwają się drżące refleksy słoneczne. Mała Emilka siada, zdejmując sandały i skarpetki i - oglądając się niepewnie do tyłu, ku domowi - ostrożnie wchodzi do płytkiej wody. Chwilę tapla się w miejscu, z sandałkami i skarpetkami w obu rączkach i - rozradowana - posuwa się z łagodnym prądem. Brodzi, wysoko podnosząc pulchne nóżki, to przy jednym brzegu, to przy drugim. Czuje na kostce śliskie maśnięcie. - Ach, to żaba! Jaka straszna! - Szybciutko wdrapuje się na trawę, kuca, zatroskana. Dom po przeciwnej stronie; jak tu wejść do wody, gdzie mieszka potwór? Za nic w świecie! Wtem, tknięta nową myślą, rozpromienia się.

- Ta rzeka nie może płynąć naokoło ziemi. To jest nasza rzeka! Ona gdzieś się musi kończyć. Dojdę na ten koniec, okrążę go i wrócę suchą nogą do domu - rusza rażno przed siebie. Na widok pasącego krowę chłopca, informuje go rezolutnie.

- Idę dookoła rzeki!

Nóżki zaczynają powoli odmawiać posłuszeństwa, mała Emilka jest zmęczona. Gromadka dzieci baraszkuje na łące; zatrzymuje się przy nich.

- Idę dookoła rzeki, daleko do końca?

Lecz dzieci nie wiedzą, ^{Gania się} na nią, chichoczą.

- Muszę spytać kogoś "dużego" - postanawia dziewczynka i doznaje ulgi na widok siedzących nad strumieniem "pana z panią". Są bardzo młodzi i bardzo ubawieni.

- Dokąd idziesz dziewczynko? Do końca rzeki? Dlaczego tak ci na tym końcu zależy? - śmieją się przyjaźnie.

- Bo inaczej nie dojdę do domu. Mój dom jest po tamtej stronie - Emilka macha rączką obciążoną sandałkiem. - *Wrzecz mieszka z a b a!* - *oladaj*

"Pan" - pojawiwszy, w czym tkwi problem, proponuje z całą powagą:

- Wiesz co, koniec rzeki jest bardzo daleko. Ale ja mogę cię wziąć na ręce i przenieść ponad wodą. Nie dotknie cię żadna żaba, obiecuję!

Zjawiwszy się po paru godzinach nieobecności w domu, trafia na moment krytyczny, gdy tatuś z mamusią zamierzają udać się na poszukiwanie "zaginionej" córeczki.

- Mój Boże - wzdycha Emilka. - Kogóż bym musiała spotkać tu, w tej obcej

tajdze, nad obcym potokiem, by przeniósł mnie na nasz, polski brzeg! Chyba któregoś z Archaniołów. - Nagle spostrzega, że potok nie szumi, że w ogóle go nie ma. Droga zbacza,

klucząc teraz pośród leśnych ścieżek opadających, to wspinających się po rozfalowanym terenie. Powietrze staje się suche, nie ma też komarów a meszka znacznie się przerzedza. Tylko wielkie muchy warczą wciąż, niby miniaturowe *śmigłowce* w lejącym się z nieba żarze.

Emilka patrzy przez moment w górę i zaczyna jej wirować w głowie.

Na szczęście przewodnik-stróż zarządza krótką przerwę na odpoczynek. Wyciągnięta wznak na trawie, zapada w drzemkę.

W następnej, zda się, sekundzie słyszy głos Reni tuż obok.

- Emilko, ruszamy.

Po dotarciu na miejsce przeznaczenia brygada zostaje przyjemnie zaskoczona. Trawa skoszona przez poprzednią, rosyjską grupę, siana przeschnięte, w sam raz do grabienia. - Dziewczęta cieszą się głośno. - To rozumiem, grabić potrafi każdy!

Emilka, już po paru machnięciach wielkimi grabiami, przekonuje się - ku swej rozpaczy - że praca przerasta jej siły.

- Co to będzie! - myśli ze zgrozą. - Co będzie, jeśli nie dam rady. Przecież oni posądzą mnie o sabotaż! - stara się wytrwać, w co wkłada całą, błyskawicznie wyczerpującą się energię. Gracie co rusz zahaczają o gałęzie, o jakieś niewidoczne korzenie, o nierówny teren. Pracę utrudnia dodatkowo konieczność przedzierania się poprzez splątane chaszczki, przełazanie przez przewrócone grube pnie - często spróchniałe, zapadające się pod ciężarem ciała - przeskakiwanie przez wykrotki. Bo łaskę ^{obrzezają,} niezliczone łączki-zakamarki, odizolowane od reszty mini-polanki, do których trzeba dotrzeć a następnie się z nich wyplątać.

Na niektórych - siana na lekarstwo, co wszakże nie upoważnia do omijania ich. Należy - zgodnie z rozkazem - odzyskać każde źdźbło suchej trawy, każde dołączyć do formowanych koppek.

Emilka pracuje na bosaka; nie sposób wytrzymać w twardych łapciach. Rwący ból w zmaltretowanych stopach maleje, lecz nie ustępuje. Dokucza : każdy miesiąc, każde nadwężone ścięgno.

- Czy to warto? - myśli ^(Emilka.) - Czy warto, dla tych paru ździebełek zielska, aż tak się zabijać? - Spogląda zazdrośnie na dwie rosłe, silne dziewczyny, którym zlecono dokoszenie ominiętych przez poprzednią ekipę koppek. Jak im to zgrabnie idzie! Kosić chyba łatwiej, niż grabić? Ach, gdybyż mi je pozwolono zastąpić! Wygląda na to, że Janka Kościkówna i jej siostra, Zosia, po prostu się bawią, gdy jej, Emilce, pot zalewa oczy, omdlewają poranione ręce i nogi. Ogarnia ją strach, że upadnie i więcej się nie podźwignie, toteż hasło "zakurki" wita, jak wybawienie. Jak spełnienie błagalnej modlitwy.

Padłszy na miejscu, długą chwilę leży bez życia, niezdolna przełknąć pajka, błyskawicznie pochłanianego przez towarzyszek.

Pachnie suchym sianem i czymś jeszcze, słodko i swojsko.

Czyżby to te żółciutki, fiołkowate? - wyciąga rękę, zrywa jeden, przybliża do nosa. Fiołek! Autentyczny, chociaż żółty, fiołek! Spójrzcie, dziewczęta! - zapomina o zmęczeniu.

Podchodzą, zrywają, oglądają, wachają. Nie ma wątpliwości; fiołki. Tyle że złociste. Nie dziwi się jedynie Lilka.

- U nas, na Lubelszczyźnie - mówi marząco, lekceważąc żółte fiołki - rosną różowe niezapominajki, nie wierzycie?

Nie, żadna nie wierzy. Gdzież tam różowe niezapominajki, nonsens!

Emilka zaczyna pogryzać ciężki, zakalcowaty, niewolniczy chleb, którego nie uda się jej zjeść: przed końcem przerwy. Nie można zwlekać, trzeba stawać do roboty.

Odpozynek nie wychodzi jej na korzyść, czuje się jeszcze bardziej zmęczona, porusza się w znacznie wolniejszym tempie, w znikomym tylko stopniu przyczyniając się do powiększenia zapasów zimowych. Z nieopisanym trudem wprawia w ruch ciężkie grabie, powtarzając swe zakłęcie. - To trzeba wytrzymać. Trzeba to koniecznie wytrzymać!

Koniec roboczego dnia wita ze strachem zamiast ulgi. Piętnaście kilometrów do pokonania! Nie da rady!

Marsz powrotny jest cięższy od porannego. Zmęczenie, ataki zwabionej zachodem słońca meszki i komarów - wszystko to wykańcza Emilkę ostatecznie. Są chwile, że pragnie osunąć się na drogę i umrzeć. Nie wytrzymam dłużej, Boże ratuj! - Gdyby nie pomoc Reni, byłoby z nią kiepsko.

Po paru dniach przywyka nieco do długich marszów i do wysiłku mięśni, lecz wciąż jest spragniona odpoczynku.

- Och, żeby zostać w Bazie, żeby zostać na miejscu! - wzdycha, gdyż funkcja uborszczycy to fraszka w porównaniu z grabieniem siana i forsownym, trzydziestokilometrowym marszem każdego dnia. - Tylko jeden dzień wytężnienia! - marzy.

Dzień ten zostaje dziewczętom darowany. Od świtu leje, jak z cebra. Nie ma mowy o sianokosach. Tego dnia, piętnastego sierpnia, brygada miała się udać na nowe, bliższe o trzy kilometry, miejsce pracy, od czego wybawia je "siła wyższa".

- Ależ zbieg okoliczności! - cieszą się ze względu na święto Matki Boskiej, którego jednak nie dane im jest uczcić. Muszą uprzątnąć teren wokół miejsca zakwaterowania, gdzie pełno śmieci: konary, gałęzie, sęki.

Nawet rozmaite żelastwo. Muszą taszczyć wszystko po kolei w strugach deszczu, pod baczynym okiem brygadzysty, starając się zasłużyć na pajok.

Emilka uwija się, jak potrafi, najpilniej. Chwyciwszy niewielki odcinek stalowej gąsienicy, usiłuje przeciągnąć go na zwałowisko; bez rezultatu. Żelastwo ani drgnie, za to wszyscy trzymają się za brzuchy. Brygadzista pokrzykuje dobroduszenie,

- Wot tiebie gieroj!¹

Wieczorem, utrudzone, lecz nie wykończone, dziewczęta z przyjemnością słuchają polskich melodii płynących z przytąszzonego przez nieocenioną Renię ~~patofonu~~ .patefonu. Ma wprawdzie tylko trzy płyty, co daje sześć melodii, lecz frajda jest wielka.

- Upływa szybko życie.

Jak potok mija czas.

Za rok, za dzień, za chwilę

Razem nie będzie nas - śpiewają młode głosy do wtóru, serca się rozrzewniają, oczy błyszczą podejrzanie. Każda z nich marzy o tej chwili jedynej, gdy znajdzie się gdzie indziej, daleko stąd. W Polsce.

- Stasiu-kabalarko, powróż nam! - wybija się ponad muzykę czyjś głos.

- Powróż czy wrócimy. Rozłóż karty!

Okazuje się, że Stasia spi w pobliżu Emilki, którą zdaje się wyróżniać.

- Dobrze - zgadza się. - Ale po kolei. Nie wszystkim na raz. Panno Emilko, zrobimy początek?

Emilka jest zachwycona. - Och świetnie! Proszę mi wywróżyc czy wróćę i czy odnajdę ojca. Ja wiem, że to zabawa, ale proszę właśnie o to.

¹ Ależ bohater!

! o siostrzyczkę. Czy wyzdrowieje!

Stasia-kabalarka długo patrzy w rozłożone karty, nieoczekiwanie poważna. Emilka tymczasem czuje się coraz bardziej nijako.

- To głupie - myśli. - Ona kpi ze mnie!

Zamierza się wycofać, ~~zrzucić~~ ^(z)zabawy, gdy tamta przerywa milczenie.

- Czeka panią daleka droga. Bardzo, bardzo daleka.

- Do Polski! - Emilka pozwala się wciągnąć w przyjemną grę.

- Ta droga nie wygląda na powrotną - mówi Stasia z wahaniem. - Ani radosna, ani smutna... To już chyba niedługo.

Lecz Emilka nie zamierza . pozwolić na odebranie sobie - nadziei.

- Jak daleka i nie smutna, to tylko do Polski - upiera się. - Proszę jeszcze powiedzieć, co z tatusiem.

- Jaki był pani tatuś? No, włosy, oczy...

- Był... Jest... Nie ma już włosów - odpowiada Emilka. - Ale kiedyś był szatynem. A oczy ma niebieskie, takie, jak moje.

Stasia ponownie rozkłada karty, podaje do przełożenia Emilce, znów rozkłada i znów długo, długo patrzy.

- Et, dajmy spokój - rzuca nieoczekiwanie. - Głupia ta zabawa - zgar-
nia karty. - Która następna?

Do stołu zbliża się Janka Kościkówna, Ta podziwiana przez Emilkę z powodu zręczności i siły. Stasia spogląda na nią chłodno, bez sympatii.

- Nie, to zbyt męczące: wróżyć dwa razy pod rząd - oświadcza nieprzychylnym tonem i chowa karty. Potem, gdy znajdzie się znów obok Emilki, szepcze:

- Nie lubię jej. To zły człowiek. Proszę to zapamiętać i proszę jej unikać.

- Och, ale skąd pani... - zaczyna Emilka.

- Po prostu wiem - przerywa jej Stasia. - A skąd wiem, nie wiem.

Następnego dnia Iza oświadcza, że ma ochotę na prawdziwe kluseczki.

- Ja ugotuję a wy - poleca siostrze oraz Emilce - idźcie na pozionki. Jak się uwinięcie, zdążycie przed wymarszem.

Kluski dawno gotowe,

Iza, wściekła na grzebalskie, tkwi przy oknie, wreszcie zjawiają się. Poziomki, zgniecione łyżką, tworzą aromatyczną, słodką masę, z którą kluseczki smakują wspaniale. Emilka objada się nimi bez skrupołów.

Może skorzystać z poczęstunku, ma w nim swój wkład. Pośpiesznie łykają twarde, niby rzemień, wyborne kluski, by się nie spóźnić do pracy. Od tego dnia zawsze pamiętają o jagodach, z którymi nawet pajkowy chleb łatwiej przechodzi przez gardło, nie mówiąc o uzupełnianiu wiecznej pustki w żołądkach.

Szczęście najwyraźniej zdaje się ^{Emilce} dopisywać. Niespodzianie brygadzysta wyznacza ją dyżurną.

- Boże, czy to możliwe? - cieszy się. - Czy ja nie śnię?

Raz-dwa sprząta obie sale w obu barakach - męskim i żeńskim - ^{dzwiga} wiadrami kipiątek do mycia, ustawia w siankach. Raz jeszcze rzuca okiem czy dokładnie zamiecione, czy wszystkie kurze starte, czy prycze zasłane starannie i aż przysiada w radosnym zdumieniu. Nie ma już nic do roboty, jeśli nie liczyć obowiązku wyniesienia brudnej wody po myciu, ale to dopiero po powrocie brygad z sianokosów. Na razie jest wolna. Może pomyśleć o sobie. Sukienka aż się prosi o upranie. Przedtem jednak trzeba uprasować tę z tobołka, zapasową.

Na szczęście wie, jak się nazywa po rosyjsku żelazko, które zamierza pożyczyć od starszej wiekiem Rosjanki, sanitariuszki. Ustala także ^{wreszcie} co znaczy "pożyczyć". Tak przygotowana, staje przed sanitariuszką i prosi z uśmiechem:

- Towaryszka, proszę mi adażyc¹ kciuk!

- Czewo? - zdumiewa się Rosjanka, więc Emilka powtarza, pomagając sobie tym razem, gestami oraz pokazując wymiętą sukienkę.

- Aaaa! - rozpromienia się tanta i długo rży ze śmiechu. - Utiug ^{tebie} nada!²

Żelazko trzeba najpierw przygotować do użytku. Emilka, nagrzwawszy "duszę", przystępuje do prasowania sukienki. Jest śliczna, uszyta z ciężkiego, lejącego się zielonego jedwabiu, wspaniale skrojona, zgrabnie opinająca i podkreślająca figurę, dopasowana w górze, harmonijnie rozszerzająca się ku dołowi. Emilka bardzo ją lubi. Nawet spora

1. adażyc¹ - pożyczyć
2. żelazko ci potrzebne!

czarna plama jagodowa nie jest w stanie jej oszpecić. Flama, dzięki której nie została wymieniona na żywność.

Sanitariuszka z zainteresowaniem przygląda się piękniejącej pod żelazkiem sukni, na koniec oświadcza:

- Ta sukienka jest za ładna i za porządna do takiej pracy. Prędko się zniszczy i nie będzie z niej pożytku. Trzeba ją sprzedać.

Emilka rozumie piąte przez dziesiąte, pojmuje jednak, o co chodzi. *Głazę bezwiednie piękny materiał; zatrzymuje dłoń na plamie.*

- Mogłabym sprzedać - mówi - ale kto ją kupi z tym! - *dotyka jagodowego śladu* pokaleczonym, oszpeconym zadrami palcem.

- Można wywabić - pociesza Rosjanka. - Znam się na tym.

Gdy po około dwóch godzinach wręczy Emilce odświeżoną, sprawiającą wrażenie nowej, suknię, nie ukrywa żalu.

- Gdybym była bogatsza, kupiłabym dla doczki.

Taka akurat u niej figura, jak u ciebie. *A tobie* radzę do kołchozu z nią iść i dobrze się targować. Za byle co nie oddawać. *Sto rubli; ani*

kopiejki mniej. Chyba że mlekiem cenę wyrównać.

- Mleko! Mój Boże. Mleko dla Iny! - Emilka nie może się doczekać powrotu koleżanek, w nadziei, że któraś *pojdzie z nią*, do kołchozu.

Lilka również ma coś do sprzedania; *niebawem* obie wspinają się łagodnym zboczem rozległego wzniesienia, na jego wyrównany szczyt, gdzie - w suchym, ładnym miejscu - stoją niskie, drewniane domki. Wszystkie jednakowe, każdy z niewielką sionką prowadzącą do jedynej izby, niezwykle czysto utrzymanej.

Wchodzą do pierwszego z brzegu domostwa, w którym uderza je nadzwyczajna czystość podłogi, *lśniącej* bielą wyskrobanych ostrzem siekiery desek. Równie biały jest stół, przy którym usadawia je młoda, sympatyczna gospodyni, *ani trochę* nie zdziwiona handlową ofertą.

Przeciwnie, wygląda na zadowoloną. Zwłaszcza na widok zielonej sukienki. Niestety, cena zdaje się przerastać jej finansowe możliwości.

- To za drogo - stwierdza. - Mam tutaj suknię, także od waszych, za sześćdziesiąt rubli, chociaż piękniejsza. - Podniósłszy wieko kufra, wydobywa niezwykle strojną, rozszywaną haftem i koronkami, cienutką, batystową nocną koszulę.

Jakże trudno, w tej sytuacji, zachować powagę. Szczęściem Emilka bierze się w ryzy.

- Ale moja sukienka jest z prawdziwego jedwabiu! Dlatego droższa. Gospodyni nie bardzo rozumie, więc trzeba się posłużyć gestami rąk, co i tak nie odniosłoby skutku, gdyby nie pomoc Lilki,

- Eto szok¹ - wyjaśnia.

W rezultacie sukienka idzie za sześćdziesiąt rubli i dziesięć litrów mleka. Dwa litry od razu, reszta na raty.

Emilka decyduje się na wypad do obozu. Nie ma innego sposobu dostarczenia mleka chorej siostrzyczce. Lilka nie ma nic przeciwko temu. Ona także ma prezent dla matki i brata - woreczek ziemniaków.

Posłuszne radom koleżanek, wyruszają bez zwłoki, w dodatku krótszą, acz mniej wygodną, tak zwaną zimową traktorną drogą. Jest to niechlujny wyręb leśny, oszpecony splecionymi po obu stronach zwalami ziemi przemieszanej z niezdatnymi do budowy traktu odpadami: korzenie, fragmenty zmurszałych pni, spleciona masa konarów. Środkiem - wsparte na wbitych w wieczne błoto, potężnych palach - ułożone w poprzek, co kilkadziesiąt centymetrów, nie okorowane kłody drzewne. Aby z tej drogi korzystać, trzeba to czynić sposobem kangurzym, bardzo przy tym dbając o precyzję skoków. Zle obliczony sus kończy się niezmiennie błotną lub - miejscami - wodną kąpielą. Po pas a nawet głębszą. Zimą, gdy śnieg zawieje szczeliny, zaś mróz je utwardzi, trakt doskonale służy traktorom, lecz nie latem. Emilka, maksymalnie sprężona, odmierza skoki ze szczególną uwagą. Ryzy-

kuje czymś cenniejszym, niż własne bezpieczeństwo, bo dwoma litrami mleka w dwóch, pożyczonych od gospodyni, butelkach. Nie mniej skupiona wydaje się Lilka, co rusz przyspieszająca tempo. Nic dziwnego, muszą

1. To jedwab.

przecież zdążyć wrócić do Bazy przed porannym gongiem.

Nie skaczą długo. Po pół najwyżej kilometrze osadza je głośny krzyk.

- Wy kuda? Nie l'zia! A nu-ka nazad!¹ - przed nimi okolona ruda, szopa, wykrzywiona złością, twarz dziesiątnika Krostkina.

- Nie wolno się oddalać? Nie wiedziałyśmy! - zawracają posłusznie.

Odczekawszy kwadrans¹⁵, wymykają się ponownie, tym razem od tyłu, dzięki czemu od razu zapałają w las, którym zamierzają niepostrzeżenie przedrzeć się do traktornej drogi. Mkną tak szybko, że nie mają czasu opędzać się przed owadami.

Jak najpóźniej, jak najdalej wypaść na „drogę”! - Emilka zapomina o bólu poranionych, bosych stóp. Rozpiera ją radość. Niesie mleko dla Iny! Wreszcie uznają, że są bezpieczne. Odprężają się. Chyba już można wspiąć się na pierwszą belkę?

- Dobra rzecz, te białe noce - mówi Emilka. - Inaczej można ^{by}zabłądzić albo się nawet utopić! - Nogi mają brudne, oblepione błotem. Wykonują parę skoków iomalże nie wpadają do wody.

- Eto opiat' wy!² - wrzeszczy wyrosły jak spod ziemi Krostkin. Nieruchomieją chwiejnie, z trudem utrzymując równowagę i zawracają, jak niepyszne.

W baraku witają je zdumione spojrzenia.

- Myśmy myślały, że wy już na Siewiernej a one tu!

- Niestety, pilnują - zrezygnowane, przysiadają na pryczach.

- Co?! - woła Renia. - Pilnują? No to my ich wyprowadzimy w pole! Panienki, kłaść się, raz dwa! - zagania do wyra Emilkę z Lilką. - A reszta tańczy, już! - naszawia patefon. - Mamy zabawę! - porywa w tany Stasię-kabalarę, kręcą się między pryczami w takt walca wiedeńskiego. Już wiruje kilka par. Pozostałe dziewczęta nucą cichutko, zagłuszone muzyką, od której ^{uż}urzęsie się barak. Tylko Emilka z Lilą "śpią". Zwabiony hałasem dziesiątnik wtyka do środka rudą głowę, patrzy zdumiony.

- Aaa, eto wy, grażdanin Krostkin! - Renia gra rolę doskonale. - Prosimy do nas!

Rosjanin Nie korzysta z zaproszenia. Podchodzi tylko bliżej, by je wszystkie polić.

1. Dokąd to? Nie wolno! Zawracać, już!
2. To znów wy!

Żadnej nie brak. Są też niedoszłe uciekinierki, najwidoczniej zmęczone i zrezygnowane. Wychodzi uspokojony.

Muzyka i tańce trwają dalej, dziewczęta śmieją się głośno, wyśpiwiają na całe gardło dobre pół godziny, po czym kładą się, lecz żadna nie śpi.

Uciekinierki odczekują godzinę, może dłużej. Stasia tymczasem kładzie kabałę Lilce.

- Widzę tu jakąś rozłąkę z kimś bliskim - zaczyna, zawieszając głos i rzucą bez związku.

- No, panienci, czas, jeśli macie zdążyć obrócić prze gongiem!

Wysuwają się ^{przez okno} jak duchy, bezszelестnie, wstrzymując oddechy i przyciskając do siebie upominki. W zawieszanej nad bazą mlecznej ciszy kłębią się czarne chmury meszki, maskując ich obecność.

- Szybciej, szybko! W nogi! - popędzają się w myślach. - Ostrożnie, cii.. Na drogę wdrapują ^{się} o wiele dalej, niż poprzednio. Chwilę nasłuchują - nigdzie żywego ducha, w skok! - Pomykają leciutko środkiem traktornej trasy, szybko, lecz z wyczuciem pośród przyczajonego między drzewami szarawego półmroku. Teraz dopiero spostrzegają, że białe noce stały się jakby bardziej szare. Gdyby nie radość z powodu umknięcia spod kontroli i że muszą się śpieszyć, dziewczęta mogłyby poczuć się niczego. Nie mają jednak czasu na jakiś tam irracjonalny strach. Udało się! Żeby się tylko ten rudyielec gdzieś nie zaczął! Nie rozmawiają. Skaczą w milczeniu, nie śmiejąc zakłócać nocnej ciszy.

W pewnym momencie Lilka nie wytrzymuje.

- Ohinia! - woła bezwiednie. - Ależ jej tu jest!

Emilkę paraliżuje lęk. Więc jednak je złapano!

- Gdzie? - stąi, jak wryta. - Gdzie on jest? Gdzie dziesiątnik?

- Matko Boska! - Twarz Lilki wykrzywia obłądny strach. - Aż tutaj nas dopadł?! - mamrocze.

Zanim nieporozumienie się wyjaśni, przeżyją chwilę emocji tak silnej, że nie potrafią się z tego śmiać. Wzdychają tylko z ulgą.

- Naprawdę nie znasz tej rośliny? - dziwi się Lilka ochryple, bo gardło ma suche, jak kora drzewna.

Paręnaście sekund przyglądają się podobnym do borówczanych, lecz wyższym, krzaczkom ^(dużymi) gęsto pokrytym czarnymi jagodami o wydłużonym kształcie i jaśniutkim nalocie.

- Są pyszne - mówi cicho Lilka. - U nas, na Lubelszczyźnie, mało tego. Szkoda, że się śpieszymy.

Emilka, niezmiennie złąkniona wiedzy, pyta:

- Czy to nazwa botaniczna ; ohinia?

- Bo ja wiem, pewno ludowa.

Kicając niezmordowanie, docierają wreszcie w pobliże Siewiernej: - kolejny szkrapuk. Obóz jest strzeżony. Należy poświęcić uwagę, zboczyć na wąską ścieżkę,

aby lasem przeprowić się pod barak.

Jest to niezmiernie trudny odcinek do pokonania. Splątane krzewy, poprzewracane pnie, trzaskające pod nogami gałęzie: to fraszka w porównaniu z ^(ryzykiem) przemknięciem się przez otwartą przestrzeń między kipiatielnią a usytuowanym na jej wysokości barakiem. Pewne ułatwienie natomiast stanowi szczytowe położenie jednego z dwóch okienek kanury Wiktorii, niestety, od strony komendantury.

Kucając, niemalże pażnąc, dopadają tego okienka. Emilka puka leciutko w szybę.

Wiktorii ma czujny sen. Żrywa się, jak rażona piorunem, przekonana, że jest w Hołubiczach i że właśnie po nich przyszli.

- Więc mamy to przeżyć jeszcze raz? - myśli bezsensownie, w jakimś rozdwojeniu świadomości. - Przecież nas mają! - Nie przypuszcza, że lata miną, nim nauczy się spokojnie reagować na każde niespodziewane stuknięcie.

Pukanie powtarza się, co przywraca jej poczucie rzeczywistości. Na widok wymizerowanej twarzyczki Emilki za oknem, strach unieruchamia ją ponownie. Opamiętawszy się, otwiera ostrożnie okno i dziewczęta wślizgują się bezszelestnie do środka. Mimo to Wiktorii jeszcze je ucisza gestami.

Zwłaszcza udającą się do swej izby Lilkę. Mówi szeptem o "Zyz von Dryndzie", o jej podwójnej grze.

Lilka wymyka się na korytarz tak cichuteńko, że nie budzi śpiącego na korytarzu Zdzisława. Cłasnawszy go niemal w powietrzu, znika za drzwiami dzielonej z matką klity.

Emilka, ^{ustawivszy} mleko na stole, wręcza matce zarobione na handlu ruble i pochyla się nad śpiącą Inga.

- Boże, mamusiu, czy ona żyje? - szepcze trwoźnie, bo Inga wygląda, jak trupsk. Bledziutka, oddycha tak słabo, że trzeba się długo wpatrywać, by wysledzić tę nikłą oznakę życia.

- Żyje i żyć będzie - odszeptuje Wiktoria. - Najgorsze minęło. Uratowały ją zioła baptystki. Nie wiem, skąd wiedziała, że my tu cierpimy na biegunki.

- Z mojego listu - mówi Emilka.

- Chwała Opatrzności - wzdycha Wiktoria. - Ina już główki nie podnosiła o własnych siłach. Leciła przez ręce. A rączki i nóżki miała, jak pajęczynki. - Prawdziwe zrządzenie Boże, ^(ta paczka) Brakowało nam tylko mleka; och Milko, jakaś ty dzielna!

- Głupstwo! - pragnie ukryć rozpierającą ją dumę Emilka. - Będzie więcej, jeszcze osiem litrów. Podrzucę co dwa, trzy dni. Ach, mamusiu, dlaczego te jest takie żółte? - wskazuje na dolne krawędzie "mebli" i ścian.

- To płyn na pluskwy. Także od baptystki. Nie mamy ani jednej! Nawet ściany spryskane roztworem z wody i płynu. Zapach ma ładny, chociaż mocny, ale pluskwom widocznie nie odpowiada. Szkoda, że i szczuron nie przeszkadza. Wyobraź sobie, że na tę bantycę ^(i Bazezelnego) trójkę Nachała Gałuszkę - nie ma sposobu. Na chleb przydałaby się kasa pancerna.

Wiktoria ^{szeptem} bezładnie, przeskakując z tematu na temat. Tyle wiadomości a czas ucieka. Przelewając mleko do rondelka, opowiada pośpiesznie o aresztowaniu pań Mańskiej i Czachowskiej, o rozmowie z Abramem, jeszcze o chorobie Ingi. Pragnie poczęstować czymś córkę, lecz ta odmawia. Musi zdążyć przed gongiem. *W istocie nie chce „objadać” bliskich.*

Zjawia się Lilka i dziewczęta wymykają się przez okno. Przeprowadzane przez Wiktorię, błogosławiącym znakiem krzyża kreślonym w powietrzu, szczęśliwie nikną w zaroślach.

Potem znów przedzieranie się przez chaszczę, skoki po kłodach traktornej drogi i znów przycażenie w lesie - wszystko prędko, lekko, niezmordowanie, jak gdyby nie miały za sobą pracowitego dnia, nieprzespanej nocy, poprzedniego marszu oraz nerwowej atmosfery z powodu dwóch wpadek. I jakby nie czekał na nie nowy wysiłek: kilkanaście kilometrów drogi na siankosy i uciążliwe grabienie siana. A następnie powrót. Sadząc zkłody na kłodę, zastanawiają się, jak powiedzieć Izio i Eli o nieszczęściu, lecz nie im nie przychodzi do głowy.

Rozpacza siostr jest tak straszną, że wszystkim kraja się serca. Poruszają się, jak automaty, pracują, niby we śnie i bez przerwy płaczą. Płaczą także w niedzielę, odmawiając udziału w obowiązującej ogół radości zorganizowanej w baraku-światlicy wieczorynce, na którą Renia musi pożyczyć patefon i płyty.

W zabawie biorą udział także Rosjanie. Przybywają nawet trzy młode nauczycielki z miejscowej szkółki. Ubrane w długachne, czarne sarafany - bezrękawniki, z dużymi - po pas - dekolcami, góramy obcisłe, dołmem rozkloszowane - z powodu upału włożone na gołe ciała, budzą w Polkach zgorszenie.

- Założę się, że one także majtek nie mają - mówi głośno, bezceremonialnie Janka Kościk, przed którą Stasia-kabalarka ostrzegła Emilkę.

Nieświadome, że wzbudzają niechęć i kpiny, Rosjanki pragną się popisać na początek znajomości. Śmiało wysunęwszy się na środek, tańczą taniec z figurami, z przytupywaniem, z okruceniami się i przyspiewkami, czym wywołują mniej lub bardziej jawne podśmieszki. Trochę trwa, zanim się w tym pokapiają i umkną do kąta.

Emilce, chociaż i ona nienawidzi "ruskich", robi się przykro.

- Może by do nich podejść, zatrzeć niemile wrażenie? - zastanawia się, lecz powstrzymuje ją nieznamość języka oraz obawa przed posądzeniem, że sprzyja wrogom.

Rosjanki, posiedziawszy jeszcze chwilę, wychodzą. Jest to ich pierwsza i ostatnia próba wejścia w drogę "Poliaczonkon".

Przed zakończeniem akcji sianokosów Emilce parokrotnie jeszcze udaje się odwiedzić Siewierną. Za każdym razem wraca pocieszona widokiem nabierającej kolorów buźki Iny.

W przeddzień zapowiedzianego z góry powrotu do rodzin dziewczęta urządzają przegląd posiadanych rzeczy pod kątem wymiany. Po dokonanej transakcji, pragnąc oszczędzić sobie podwójnego dźwigania na dłuższej, wygodnej drodze, po raz ostatni wypuszczają się przetartym szlakiem kangurzym.

Dotarłszy w okolice Siewiernej, nie kryją się. Przecież i tak - za paręnaście godzin - będą tu z powrotem. Skutek jest taki, że niemal natychmiast spotykają nocnego stróża, krajowca. Zwiedzione jego milczeniem, wracają do Traktornej Bazy i ani im w głowach, że Mierzlewcew w tym czasie odbiera meldunek od służbistego pracownika. Po zdaniu pościeli i narzędzi a także (dokładnym) sprzęcie baraku, polska brygada zostaje zwolniona.

Wiktoria wita Emilkę z przerażeniem w oczach.

- Córeczko, Mierzlewcew już po ciebie przysłał. Po Lilę też. Macie natychmiast zgłosić się w Komendanturze.

Komendant beszta je długo i głośno. Czyż nie wiedza, że "plennym" nie¹ zia¹ oddalać się samowolnie z wyznaczonego miejsca?

Oczywiście, wiedzą. Ależ one w Siewiernej właśnie "mieszkają"! Po co przyszły nocą? No przecież przyniosły mleko!

Mierzlewcew - z odpowiedzianym surowe sankcje w przypadku powtornego naruszenia obozowego regulaminu - macha na koniec ręką.
- Stupajcie!²

Emilka po raz pierwszy uświadamia sobie nie mieszczącą się w głowie prawdę.

- Jesteśmy w niewoli. Jesteśmy tu uwięzieni w tym ogromnym więzieniu bez dachu, z którego nie sposób uciec. ZA CO! COŚMY IM

UCZYNILI!?

-
1. jeńcom we wolno.
 2. Wynocha!

Rozdział X

GDY KONCZA SIĘ BIAŁE NOCE

W obozie powstają zapowiadane przez Mierzlewcewa jaśle czyli ruski żłobek dla polskich dzieci, co wznieca wielkie emocje wśród Polaków; przede wszystkim dlatego, że uczęszczanie jest obowiązkowe i że mówi się tam wyłącznie po rosyjsku.

O wychowanie polskich dzieci w duchu rosyjskim dba dziewczyna z uniwersyteckim wykształceniem, Niusia Wolańska, od początku głosząca swe prokomunistyczne przekonania i gorącą sympatię dla tutejszego naczalstwa. Po polsku mówi tylko w razie niezbędnej potrzeby, tak samo jak jej pozująca na ~~damulkę~~ matka - obie wyobcowane, zadające się wyłącznie z Rosjanami.

Na nic sprzeciwy. Wszystkie matki małych dzieci muszą natychmiast podjąć pracę.

- Albo "na rabotu", albo "pod sud"! - Tak brzmi rozkaz Mierzlewcewa. Tymczasem stan pani Krzyckiej pogarsza się do tego stopnia, że wszyscy spodziewają się jej śmierci z dnia na dzień. Na dobitkę kładzie się także jej syn, głupi Arek, *po prostu rzeżący z głodu.*

- Oj, boliboliboliboli! - trzyma się za żołądek, skarżąc się i płacząc łzami wielkimi jak groch. *I nie ma już siły gryźć własnych rąk.* Wiktoria nie może tego słuchać. *Przyniosła* talerz zupy, zaczyna karmić Arka. Pani Krzycka, która już nie przyjmuje pokarmów, szepcze słabym głosem:

- Niech go pani nie karwi. *On* potem robi pod siebie.

Wiktoria ogarnia złość. *niejako* Zaczyna strofować umierającą z własnej winy.

- Podobno ci państwo, których rzeczy pani strzeże, pisali, żeby nimi dysponować. Dlaczego pani tak się upiera? Tu chodzi o ratowanie życia!

Wszyscy przeniesiecie się "pod bieriozki"! Kto się wtedy zajmie tym? - wodzi brodą, po rozłożonych przemyślnie, nie rzucających się w oczy, bagażach.

- Ale su-mie-nie... Su-mie-nie... - szepcze pani Krzycka. Dłuższy czas milczy, zanim dopowie. - Pa - ni Wik-to-rio, Aniela... Proszę...

Pro-szę się nią zao... Po-tem. P o t e m...

- Obiecuje: Wiktoria rozumie, o co chodzi. - Proszę się uspokoić. Wszystko się ułoży. W porządku.

Lecz pani Krzycka patrzy na córkę i - nieoczekiwanie wyraźnie - przemawia:

- Zapamiętaj, co powiem, Kiedy... zostaniesz sama, trzymaj się pani Leszczyńskiej. Tylko ona. Inni cię oszukają.

Nieprzytomna z żalą panna Aniela ujmuje ostrożnie przejrzystą, dziecienną rączkę matki, głaszcze ją delikatnie, usiłując uśmiechnąć się przez łzy.

- Mamo, mamusiu. Tak nie można. Nie trzeba. Wszyscy wrócimy. Będzie dobrze. Cicho, najdroższa, wyzdrowiejesz. I Arek. Wszyscy! - klęka przy narze, obejmuje umierającą drżącymi ramionami.

Wtem otwierają się drzwi, w progu staje Mierzlewcew.

- Aniela Adamowna! - krzyczy, nie zważając na nic. - Ty zabyła, szto siewodnia woskresienije!?

Nie pomagają prośby, by pozwolił jej zostać przy konającej. Panna Aniela musi wziąć skrzypce i pójść do świetlicy. Bo tam wieczorynka! Bo trzeba ludzi rozweselić!

Panna Aniela kocha skrzypce, na których gra po mistrzowsku, lecz dziś ręka ciąży jej, niby kawał żelaza. Ponaglona spojrzeniem komendanta, przykłada smyczek do strun, lecz melodia płynie z nich przejmująco, rzewna. Nie do tańca.

Mierzlewcew, podszedłszy blisko, pochyla się nad nią.

- Weselej! Weselej mówię! A to zezwolenia na trumnę i krzyż nie dam!

Aniela zaciska wargi i powieki. Skorczona bólem twarz - zalana łzami. Lecz gra...

Gra skoczne poleczki, mazurki i walce a lzy wciąż toczą się, jak grad.

Tej nocy, nad ranem, pani Krzycka umiera cichutko, z dłonią w dłoni córki, która zdążyła na ten właśnie moment.

Po odprowadzeniu zmarłej "pod bieriozki" Wiktoria przywołuje pannę Anielę do swojej kanury.

- Moi kochani - zwraca się do dzieci. - Oto wasza najstarsza siostra. Kochajcie ją, bo ja kocham ją, jak córkę. Jesteśmy teraz jedno. Nigdy o tym nie zapomnijcie. To samo odnosi się do Arka; niech tylko wyzdrowieje.

Lecz głupi Arek gaśnie błyskawicznie i już po paru dniach dąłacza do matki.

Aniela, chociaż sypia osobno, staje się istotnie piątym dzieckiem Wiktorii i pełnoprawnym członkiem rodziny, z którą razem jąda i razem troszczy się o wszystkie wspólne sprawy. Najwięcej czasu i uwagi poświęca Indze, która całą swą ufność i miłość do Arka przelewa na ciocię Anielę.

Druga nowość: „obok jaśli, to rozpoczęcie budowy zachodniej drogi, na której krańcu ma stanąć jeszcze jedna Korywa. Zapadnaja-Zachodnia.

Mierzlewcew rzuca na ten odcinek niemal całą siłę roboczą. Także Wiktoria, ^{dotychczas wyrabiająca „wieniki”} otrzymuje przydział do jednej z wielu potworzonych właśnie leśnych brygad "inżynieryjnych" i chodzi teraz do pracy razem z Emilką ^(oraz) Anielą. Ścisłej mówiąc - skacze.

Bo nie ma innego bliższego dościsła do miejsca pracy, jak słynny zimowy traktorny trakt, dobrze znany Emilce i Lilce z nocnych wypraw.

Nogi Wiktorii nie są tak sprawne, jak nogi kicających obok dziewcząt. Odnawiają się stare, hołubiczowskie jeszcze dolegliwości, być może dlatego, że - mimo znacznego ochłodzenia temperatury powietrza - skacze na bosaka / Trzeba oszczędzać jedyną posiadane pantofle, gdyż te otrzymane od nieznanego żołnierza dawno wymienione /. W kapciach z drewnianych podeszwach nie ma szans utrzymać się na kłodach drogi podczas skoków - każdy bolesny, ^{każdy} powodujący nieopisane cierpienie. Przed każdym su-

sem Wiktoria
1. miotły

myśli z obawą:

- Pęknie! Teraz to już pęknie!

Rzeczywiście, skóra na opuchniętych, balonowatych nogach jest mocno napięta, błyszcząca, sinofioletowa. Zda się, wystarczy nakłuć szpilką a uleci spod niej powietrze.

Posilona kubkiem osolonego wrzątku przed wymarszem, z kromką suchego chleba w kieszeni, z nadzieją na ciekawą obiadową zakupkę, z niepokojem w sercu o pozostawionych samopas Dorotę z Leszkiem, o zagrożoną zruszczeniem Inge, zanim dotrze na miejsce, pada z wyczerpania, spocona mimo zimna.

Ubrana - z braku czegoś ciepłego - w czarną wizytową suknię przyozdobioną złotą lamą, w letni popielaty płaszcz, w szarą baretę na czarnych, gładko zaczesanych, zebranych w węzeł, włosach, pośpiesznie wkłada na gołe nogi łapcie z łyka, na drewnianej podeszwie /takie same, jakie nosi od dawna Emilka/ i staje na wyznaczonym na ten dzień odcinku.

Obok niej - panie Aniela i Tomczycka, przed nimi - dziwnym trafem - Emilka, Iza i Elżunia.

Budowa drogi, to nie żarty, praca jest ściśle rozplanowana. Przodem podąża grupa drwali-lesorubów, walcących /na wytyczonej szerokości/ świerki. W ślad za nimi - brygada mężczyzn ociosujących pnie z konarów. Następna, ^{także} męska, brygada usuwa je na pobocze. Dopiero na tak przygotowany teren wkraczają brygady kobiece, podzielone na trójki - każda trójka odpowiedzialna za przydzielony przez dziesiątnika Danyłowa odcinek stanowiący dzienną normę.

Jedne trójki karczują pnie, postępujące za nimi wyrównują teren. Z miejsc, gdzie się wznosi, przerzucają łopatami ziemię, wyrównując wklęsłości. Emilka z Izą i Elą karczują pnie, Wiktorja, pani Tomczycka i Aniela zasypują porobione przez nie doły - miejsca po pniach. Robią to wspólnymi siłami. Nakładają łopatami wilgotny piach na nosze a potem taszczą je, by w innym miejscu uzupełnić ubytki w podłożu.

Emilka, sama ledwie zapiąc ze zmęczenia, spogląda kiedy niekiedy na matkę, jak drobna i szczupluteńka, z widoczną męką uwija się z łopata w maleńkich, słabych dłoniach i ogarnia ją wściekłość pomieszana z rozpaczą. Od niepamiętnych czasów przywykła do myśli wpajanej przez ojca, że mamusia jest chora i wątła, więc należy ją chronić. Jakże sobie teraz poradzi! Jak to wytrzyma? I co zrobi Mierzlewców, jeśli nie wytrzyma? Jaka szkoda, że nie pracuje już przy produkcji wieników - wiązanych tykiem gałęzi brzoź, jarzębin i osik. Miotek przeznaczonych na paszę i do kazi. Praca z łopata jest dla Wiktorii istotnie mordercza. Już po paru godzinach odzywa się w podbrzuszu znajomy ból, który ^{lwnety} staje się nie do zniesienia. Suchawy z początku piach, nie wiadomo kiedy, przeobraza się w lepka, ciężką glinę. Zbita i tłusta, stawia opór słabo wbijanej kopacie, daje się odrywać tylko małymi kęsami i bardzo wybrzusza nosze, które szorują o podłoże, zwiększając ciężar, gdy się je odźwiga.

Wiktorcia zaczyna chwiać się na zmarzniętych, spuchniętych, wyzierających z podartych łapci nogach już pierwszego dnia. Mimo to jeszcze w trzecim posłusznie zrywa się na odgłos gongu. Skoki po kłodach drzewnych nie kończą się przymusową kąpielą tylko dzięki podtrzymującym ją z dwóch stron Emilce i Anieli. Skoncentrowany^m wysiłkiem woli wytrzyma potem do kończącego roboczy dzień gongu. Pechowy to dzień. Najpierw Emilka rani nogę tak głęboko, że - dziesiątnik decyduje się odejść ją do ambulatorium. Jednocześnie przenosi gołes w głąb lasu Anielę i Wiktorcia musi walczyć z gliną, jedynie przy pomocy pani Tomczyckiej, zmęczonej tak, że - gdy zabrzmi gong wieczorny - zapomina o swej towarzyszce. Wspiera ją na ramieniu syna, Marka, odchodząc, powłócząc nogami. Za nimi - niby cmy za światłem - zerkając zalotnie na chłopaka, pędzą siostry Mańskie. Zanim Wiktorcia zdąży rozprostować kości, nie ma koło niej nikogo. Kto żywy, spieszy do obozu - każdy z własnym wytechnieniem, zakolniami, niespokojny o dzieci. Ostatnią mija ją Koscikowa, matka Janki, przed którą ostrzegata Emilkę Stasia-kabalarka. Uważając, że nie słyszy wołania Wiktorii o pomoc, znika wśród drzew. Oprócz niej nikt nie dostrzega związającej się z bólem Wiktorii. W parę minut zostaje sama na opustoszałym, leśnym wyrębie, zdolna jedynie do rozpaczliwego przeprowadzania wzrokiem oddalających się postaci, zbyt słaba, by wołać głośniej.

Wiktorcia nie żywi nikogo pretensji. Nawet do Koscikowej.

Ponad wszystkie uczucia
wybija się rozpacz. Sama w tajdze, w szybko zapadających ciemnościach!
Nie ma już białych nocy a dni kurczą się zastraszająco prędko.
Zmrok zapada teraz po nich błyskawicznie,

nie pozostawiając ani chwili na przejście do ciemności. Spadają
w ślad, zniemacka, rzekłbys, przez zaskoczenie. Nie ma za to mesz-
ki ani komarów i wszystko wskazuje na to, że wkrótce nastanie zima a
z nią polarna noc.

Ciemności gęstnieją, tak prędko, że Wiktorie - z minuty
na minutę - przestaje widzieć własną, wyciągniętą, rękę.
Czyni próbę powstania, bez sku-
tku. Ponieważ wysiłek, mokra z bólu, przyjmuje postawę niemal wyprosto-
waną, lecz to jest wszystko, na co ją stać. Nie zrobi ani kroku. Rwący,
potężny ból podbrzusza promieniujący aż na nogi, obezwładnia ją zupeł-
nie. Jednak nie ulega chęci przykucnięcia. Chwiejąc się i płacząc z bólu,
zmusza się do wysunięcia w przód jednej nogi, do podciągnięcia drugiej.
Zaczyna posuwać się wolniutko, krok po kroku - każdy niesłychanie bole-
sny, każdy wspierany jękiem, którego nie usiłuje nawet powstrzymać. Wszak
usłyszeć może ją tylko Bóg, do którego modli się o dodanie sił, kierując
(na wyzucie) w y g o d n i e j s z e j drodze, bo o skokach po bel-
kach nie ma co marzyć.

Sunie niemal po maczku, aczkolwiek wzrok jej przyzwyczaja
się (już) do ciemności. Słyszy bicie własnego serca i szum tajgi. A może to
szumi krew w jej żyłach? Zdarza się, że nogi przęzną w czymś lepkim i
zimnym; wówczas ma trudny orzech do zgryzienia. Jednak wciąż się posuwa.
Dokąd? Wydaje się jej, że do drogi, lecz dobrze wie, że to utrata orienta-
cji. Nie wie ani gdzie się znajduje, ani który kierunek jest właściwy.
Jedno jest pewne: trzeba iść. Nie wolno przestać. Nie wolno przystanąć
ani, tym bardziej, usiąść, zwalić się na mokre, zimne podłoże. Prze więc
naprzód - może w tył? Kto to wie? - potykając się o nierówności, zapada-
jąc w rozpadlinach. Pada, znów się podnosi i, z jękiem przechodzącym w
krzyk, zgięta w pół, jak łamiący się

cień *stapą* wytrwale. Cłowa pęka jej z bólu, czuje się, jakby miała wysoką gorączkę. Ma świadomość, że nie wytrwa już długo, że siły jej wyczerpują się. *He czasu można tak podążać nie wiadomo dokąd, być może w przeciwnym do pożądanego kierunku?*

- Matko Najświętsza, gdzie *obóz?* Prowadź mnie! *Doprowadź do dzieci!* Wtem -gdzieś niedaleko - rozlega się śpiew. Śpiew? Pewna, że majaczy, zaczyna jednak nasłuchiwać. Śpiew powtarza się, brzmi nawet swojsko.

O Boże, toż to Stypko! Pomyłony, nieszkodliwy Stypko, *kontozjowany podczas poprzedniej wojny. - popychle* obozowe używane przez konendanta do czyszczenia latryny, Przedmiot kpin jednych i lekceważącego współczucia innych. Sam on nie przejawia się ani tymi, ani tamtymi. Nie przejawia się niczym.

Zaniedbwany przez własną rodzinę, przyjaźni się jedynie z obozowymi psami.

Wiktoria czuje nagły przypływ energii. Musi! Musi zwrócić na siebie uwagę Stypki. To jej ostatnia, jedyna szansa ocalenia! Zbiera się w sobie, próbuje wołać

- Pa-nie Styyp-ka... Panie Stypkooo!...

Śpiew się urywa, Wiktoria ponawia *wołanie.*

- Panie Styypkoooo!!! - *Nie słyszy własnego głosu. Mimo to, z ciemności, zupełnie blisko, charakterystyczny bas Stypki pyta,*

- Kto to?

- To ja, z *Siewiernej!* - Wiktoria usiłuje wołać jak najgłośniej i jak najwyraźniej. - Panie Stypko, proszę na mnie poczekać! - *Nie zdejmuje sobie sprawy, że tylko szepcze,*

- A pani co tu robi? Jest ciemno, noc. Trzeba spać. Nie wolno chodzić po lesie.

- Jestem chora, zablądziłam. Pan zna drogę, prawda?

- Stypko wszystko wie. Stypko *zaprowadzi!* *Za mną!* - *Śpiew głuptasa znów rozbrzmiewa po tajdziej, wyraźny, naprowadzający. Jakby śpiewak stał obok, chociaż cień jego majaczy w oddaleniu.*

Wiktoria rusza z głosem, ku cieniowi - jak na swoje możliwości - prędko, zbyt jednak wolno jak na zasób jego cierpliwości. Już go nie widać. Za ledwie uda się jej wyłowić wzrokiem ^(razmyśla) sylwetkę Stypki i odezwać, natychmiast traci go z oczu. Najwidoczniej - dostrzegłszy ją także - rusza nie zwlekając.

Przywoływany, przystaje i czeka. Nie dłużej jednak, aż się wzajemnie dostrzegą. Ani razu nie pozwoli jej zbliżyć się do siebie bardziej, niż na odległość ^(nieostrej) widzialności, po czym znów goni na złamanie karku, bez przerwy wyśpiewując głośno, jak gdyby wskazując kierunek.

Wiktoria posuwa się za głosem, zmuszona do maksymalnej koncentracji uwagi i sił - bodziec, który pozwala jej prawie nie pamiętać o bólu. Wreszcie w ciemnościach majaczy przed nią zarys pierwszego z brzegu baraku. - Dzięki Ci, Boże! Przecież to nic innego, tam z boku, tylko światło w sklepiku! Lecz gdzie Stypko? Stypko rozplynął się, znikł, jakby w ogóle nie istniał. Nie słychać też jego głosu. Wiktorii to nie dziwi. Złamana nowym atakiem ^(ból) chwieje się na nogach. Ostatkiem sił dociera do baraku numer osiem i - tracąc przytomność - wtacza się do kanury, gdzie popłoch z powodu jej spóźnienia zaczyna się już przeobrażać w śmiertelny strach. Trwa narada, co robić. Wszczęć alarm natychmiast czy jeszcze trochę poczekać?

W pękającym poblasku ognia z korytarzowego pieca Wiktoria leży bezwładnie u drzwi. W tej sytuacji ^(wtedy Aniele) zachowuje zimną krew i przytomność umysłu. Najtroskliwiej, jak potrafi, podkłada pod ramiona leżącej obie ręce, przywołuje dziewczęta. Razem wciągają chorą na pryczę. Ieszek pędzi po kipiatak, Dorota gna z wiadrzem do potoczku, Aniele sprawnie napełnia niedzię, ostrożnie obmywa spuchnięte, poranione, skostniałe nogi Wiktorii.

Na koniec poi ją "wznacniająca" wrzątkiem i otula kołdrą. Emilka cały czas stoi nieruchomo, niezdatna do działania, przecieżona tym mocniej, gdy Wiktoria dostanie krwotoku. Krew bucha z niej obficie, co czyni bezradną, także Aniele. Zachowuje tyle tylko rozsądku, by odesłać Dorotę z Ieszkiem do sąsiadów. Inga jest zbyt malutka, zresztą śpi.

Zadarmowana przy okazji pani Święcicka bierze sprawę w swoje ręce.

Co chwila maży ręcznik

w lodowatej niemal wo-

dzie z potoku, wyżyma go i przykładła kompres do brzucha chorej.

Zmienia okłady tak długo, aż krew przestanie płynąć.

Nazajutrz, gdy brygady robocze opuszczają obóz, Wiktoria zwleka się z nary i - wsparta na Dorocie - kuśtyka do Komendantury, gdzie zastaje Gałuszkina.

- Ciebieżewo? ¹

- Ja bolnaja, Nie mogu na rabotu - Wiktoria ledwie stoi i mówi z trudem.

- Nu, ja nie znaju. Ciebie nada k komiendantu. ³

Mierzlewcew wchodzi akurat do biura, patrzy na Wiktorię, która wygląda przerażająco i łaskawie wyraża zgodę.

- Ładno, ... ostańsia doma. No jesli wracz zawtra. ... skażet, szto ty zdrowa, pojdiosz pod sud. ⁴

Młodziutka czarniawa felczerka, zbadawszy Wiktorię, potwierdza, że nie symuluje i - zaaplikowawszy jakieś krople - daje tydzień zwolnienia.

Trzeciego dnia zjawia się w kanurze Mierzlewcew. Siadkajna pieńku, pyta:

- Nu kak, ty uże zdrowaja? ⁵ - Następnie radzi, by się przesta-

ła pieścić. - Trzeba spacerować, zmuszać organizm do działania! Wiktorii i bez tej rady śpieszno stanąć na nogach. Piątego dnia wychodzi na ganek. Z osłabienia kręci się jej w głowie, czuje silne mdłości i poci się.

Czym prędzej wraca na pryczę.

Już wieczorem otrzymuje wezwanie na Komendanturę.

- Ciebie nada na rabotu. Ty uże zdrowaja - wyrokuję Mierzlewcew. Oprócz niego są tu jeszcze dwie osoby: wice-komendant Gałuszkin i jakiś nieznajomy.

- Nie jestem jeszcze zdrowa - protestuje Wiktoria. - Nie poradzę sobie ani z łopata, ani z drogą przez belki.

- A Ciebie odkuda izwiestno, szto ty bolnaja? ⁷ - wtrąca nagle nbcy.

- Wiem i już. Gdyby tu był ... specjalista chorób kobiecych, mógłby to potwierdzić.

- Nu tak ty i łóżys ⁸ - rozkazuje mężczyzna. - Ja wracz-ginekołog. ⁹

- Jakże to! Przy wszystkich? Nie ma mowy!

Na skinienie lekarza naczałstwo wychodzi i Wiktoria pozwala się zbadać.

1. W jakiej sprawie?

2. Jestem chora. Nie mogę pracować.

3. Ja to nie decyduję. Zwróć się do komendanta.
4. Dobrze, zostanę w domu. Lecz, gdy lekarz stwierdzi jutro, żeś zdrowa, staniesz przed sądem.

5. No jak, wyzdrowiałaś?
6. Musisz iść do pracy. Jesteś zdrowa.
7. Skąd wiesz, że jesteś chora?
8. Wiąc krądz się.
9. Testowa aineleofalem.

Diagnoza potwierdza ^{jej} ~~ysk~~owa.

- Da, ona bolnaja¹ - oswiadcza ginekolog. - U niej nużna operacja. Biez etowo ona nie staniet zdorowaja.²

Na pewien czas uwalnia to Wiktorię od harówki ponad siły. Zapewnia jej ponadto - jako matce pracującej Emilki - dwustugramowy pajok. Za mało, by przetrwać, zbyt dużo, by umrzeć. Zaczyna myśleć intensywnie, co zrobić, żeby zapewnić rodzinie przetrwanie. Nie mają już nic na wymianę, obywają się prawie niczym. - Wiktorcia łapie się ostateczności. Może zarabiać na handlu Fasa, może również ona. Zaczyna brać od ludzi rzeczy na sprzedaż, z czym nie ma trudności. Płaci lepiej, niż Fasa czy inni Żydzi.

Zapamiętawszy skrzętnie żadaną sumę, stara się wytargować od nabywców kołchozowych więcej. Nadwyżkę zostawia dla siebie i to tylko stanowi jej zysk. Nie potrąca ani kopiejki za usługę, zadowolając się tym, co uważa za zasłużony ekwiwalent za długą, uciążliwą wędrówkę i za dźwignie ciężarów.

Bywa, że wyręcza się Dorotą wysykaną, rzecz ^(jasną) pod opieką osób dorosłych, najczęściej pani Święcickiej. Dziewczynka rądzi sobie nieźle a czasem udaje się jej wręcz zdystansować matkę w targowaniu się o dodatkową cebulę lub litr mleka, co napełnia ją dumą. Nareszcie utrże nosa Emilce. Ona też zdobywa mleko dla Iny! Dorota lubi wędrować z panią Święcicką. Obie mają jedną wspólną cechę - są łakomczuchami. Najczęściej też rozmawiają o najprzeróżniejszych pysznościach, jakie jadały, będą jadały lub jakie istnieją na świecie. - Kiedy wrócimy do Polski - mawia pani Święcicka - zaproszę cię, Dorotko, do największej, najelegantszej cukierni. Na własny koszt! I powiem: "Wybieraj! Zamawiaj, co tylko chcesz!". A ty zamówisz sobie cały klosz ciastek. Bez ograniczeń. I kremy, i lody... Najrozmaitsze. A najwięcej pistacjowych, lubisz pistacjowe, co? Ja, oczywiście, wezmę drugą, taką samą porcję. Potem usiądziemy przy stoliku i będziemy jadły i jadły,

1. Tak, ona jest chora.

2. Musi być operowana. Inaczej nie wyzdrowieje.

aż do nieprzyzwoitości.

Wyobraź sobie, kochanie, wszystkie te kremy - pulchne i słodkie...
Palce lizać! Albo lody! Lody z bitą śmietaną, polane czekoladą, z biszkop-
tem albo z bezą. Co wolisz, bezy czy biszkopty? Zresztą nieważne. Jedno
nie wyklucza drugiego.

Dorota słucha, oczarowana, niemal czując smak tych wspaniałości, prawie
je *widząc*. Tymczasem pani Święcicka ciągnie.

- No i napoje, moja droga. Bez tego zbyt mało byśmy zjadły. Za słodkie. Więc dla ciebie soki... Jakie lubisz najbardziej? Wszystkie? Racja. Wszystkie są pyszne. Ja zamówię jeszcze wino. Czerwone, słodkie.

Rozmowy tego typu - w najrozmaitszych wersjach - *toczą wszyscy, przy każdej okazji.* Nie ma takich, którzy byliby się na-
jedzeni do syta a wielu po prostu głoduje. Ci przenoszą się "pod bierio-
zki" w przyśpieszonym tempie. Z baraku numer dziewięć - jeszcze
przed nastaniem zimy - wędruje tam kolejno cała siedmioosobowa rodzi-
na - jedna z tych, co myśleli, że przeżyją o dwóch porcjach stołówkowej
zupy *uzupełnionej*

wrzątkiem, z dodatkiem dziennej racji chleba.

Nie wzbudzają współczucia. To kocha bardziej łachy niż życie, nie zasłu-
guje na litość. Nie wiadomo nawet, kto po nich dziedziczy.
Pewne jest, że - kto by to nie był - obłowił się zdrowo.

Życie w obozie staje się, z dnia na dzień, coraz bardziej uciążliwe.

Głód coraz mocniej daje ^(się)we znaki, zaś

gwałtowne ochłodzenie wilgotnego powietrza
utrudnia każde działanie. Dni *nastają*, coraz krótsze, słońce coraz
wcześniej znika za lasem i coraz później wstaje. W całej przyrodzie czu-
je się zapowiedź rychłej zimy.

Jakże trudno zwlekać się teraz z nar, jak wielka jest nienawiść ogółu
do morderczego jazgotu porannego gongu. Jak usłuchać nakazu,
gdy każda kosteczka, każde ścięgno, każdy nadwerężony mięsień błaga o
łaskę wytchnienia. Kiedy przyschnięty do krzyża pusty żołądek wszystkie
te odczucia niewyobrażalnie potęguje i kiedy nie ma się najczęściej
odpowiedniej odzieży.

Lecz trzeba się zwlec, trzeba stanąć w szeregu przed komendanturą. Trzeba iść do ciężkiej, ponad siły, harówki. Nikt - bez zgody lekarza lub zwierzchności - nie może się od niej wymigać. Inaczej "praguł", po nim "sud" a potem "tjurma" - w najlepszym przypadku - "chałodnojca". Emilka - z nie wygojoną jeszcze do końca nogą - cierpi podwójnie z powodu braku pończoch czy choćby skarpet. Wiktoria drze wyświechtany łąch, który kiedyś był spódnicą Doroty, i robi z niej owijacze. Nie są funkcjonalne. Emilka nie umie się nimi posługiwać. Co owinie nogi, wsunie je do łapci i uczyni parę kroków, onuce opadają. Na próżno usiłuje włożyć w tę czynność całe serce. Daremnie zabezpiecza przemyślnymi węzłami. Wystarczy, że ruszy a owijacze zaczynają się za nią wlec. Na nic wszelkie sztuczki. Kiedy dopnie, że onuce się trzymają, zaczyna ją tak uwierać, że nie sposób wytrzymać. Poprawki powodują to tylko, że albo jeden koniec wystaje, albo owijacza brakuje i noga świeci golizną.

Niemal płaczącą, zajmuje się Zdzisław.

- Ja pani pokażę, panno Emilko, jak to się robi - mówi z uśmiechem. -

- Też nie umiałem, dopóki nie znalazłem się w wojsku. Proszę uważać. Ujmuje jej ^{swą mocną dłoń} nogę i owija sprawnie, równiutko. Drugą - według wskazówek - Emilka ^{okręca samodzielnie} - chociaż musi ją dwukrotnie do końca dnia poprawiać - zna już zasadę stosowania owijaczy. Nie znaczy to, że kończą się jej kłopoty z nogami. W zetknięciu z podmokłym leśnym gruntem łapcie przemakają na wylot, co - w konsekwencji - powoduje silne przeziębienie.

Emilka nie kryje radości. Wreszcie odpocznie! Trzy dni w baraku, bo tyle otrzymuje lekarskiego zwolnienia, to szczyt szczęścia.

Nic to, że leży sama, bo Wiktoria poszła do kołchozu, Dorota do kolejki a Leszek - odprowadziwszy Ingę do jaśli - gdzieś przepadł. Jakże wspaniale się milczy. Jaki raj dla myśli! Myślami Emilka przebywa daleko stąd, w świecie, gdzie wszystko jest bezproblemowe i gdzie tak łatwo być szczęśliwą, acz - że się nią było - teraz dopiero wiadomo.

Ogromny rudy szczur, siedząc na środku kanury, przygląda się jej bacznie i - uznawszy za nieszkodliwą - zaczyna dreptać w kierunku pryczy, czym

zdradza swą obecność.

Emilka zaczyna klaskać w dłonie, lecz szcurzysko nawet nie raczy drgnąć, wciąż wpatrując się w nią bez lęku.

- Aaa, to przecież Bezczelny - rozpoznaje Emilka jednego ze szcurzej elity i klaszcze głośniej.

Bezczelny reaguje wprawdzie lekkim wzdrygnięciem, *jednak* nie nie wskazuje, by miał zamiar wycofać się. Emilka zaczyna się bać, *co* ^{nieoczekiwanie} wprawia ją w złość.

- O nie, panie Bezczelny! Dostyc tego! - Zdeterminowana, zeskakuje gwałtownie na podłogę i zaczyna tupać z całej siły bosymi stopami o deski. Strasznie się boi, że szcurzysko ją ugryzie, lecz zdaje sobie sprawę, że musi mu okazać swą przewagę. Inaczej gotów się na nią rzucić.

Skacze więc, aż dudnią dechy, gotowa jednak w każdej chwili uciec na korytarz. Wreszcie Bezczelny kapituluje. Ociągając się, wolnymi kroczkami, zawraca do znajdującej się obok dziury i znika pod podłogą.

"Ziura ta - drzwi frontowe szcurzej zgrai, jak mówi Leszek - jest nie do pokonania. Dziesięć razy *katana* deską, tyleż razy jest wygryzana od nowa - syzyfowy trud.

Emilka nie zadowala się swym połowicznym zwycięstwem. Z polanem w rękę, przyczajają się nad szcurzym włazem. Po paru minutach Bezczelny ostrożnie wysuwa koniec pyszczka i wielkie sztywne wąsy, z czego Emilka nie korzysta. Z *wstrzymanym* oddechem, z *uniesionym* do ciosu polanem, czeka, aż odsłoni się bardziej. Gdy to się stanie, wali na odlew w rudy łeb. *a potem wymiata martwego grzonia* "narzędziem mordy" za drzwi.

Długo jeszcze drży z emocji, owinięta po czubek głowy kołdrą, za to wieczorem wszyscy jej gratulują. Nareszcie Nachał utracił jednego ze swych pomagierów! Może tym łatwiej da się upolować.

Bo walka ze szcurzą plagą wciąż trwa, niezmiennie beznadziejna, chociaż - od czasu aresztowania pani Mańskiej - wiadra-pułapki bywają po nocy wypełnione niemal po brzegi. *Nie czyni to*, zda się, żadnego

uszczerbku w ich nieprzebranych zastępach. Grasuują wszędzie, także w publicznej latrynie, dokąd nikt nie waży się wejść bez czegoś ciężkiego w rękę. Jest to najbardziej nieprzyjemne miejsce w obozie. Długi, przedzielony wzdłuż na część męską i żeńską barak cuchnie z daleka. Nie ma tu osobnych kabin, tylko niby-grzędą, na której kucający rządkiem mogą być podglądani przez przechodzących mimo.

Emilka nie potrafi korzystać z tej "wygódki" inaczej, niż gdy wszystkie "stanowiska" świecą pustką. Nie może się przełamać, co przyprawia ją o wiele niemiłych doznań.

Budowa zachodniej drogi dobiega końca. Gdy przesieka przez tajgę osiąga długość dwóch i pół kilometra, rozpoczyna się wyręb oraz oczyszczanie obszernego prostokąta u jego wylotu, gdzie - po lewej stronie - teren pnie się ku górze dość stromym stakiem zawałonym szeregami sągów-sztabli drzewnych, czołem wspartych na wbitych sztorc słupach. Czeka tu od dawna na tę właśnie zachodnią drogę, z której brygady *kobiect* usuwają pośpiesznie ślady po świeżym wyrębie - grube konary, cienkie gałęzie oraz nastroszone korzeniami pnie.

Ten chłam trzeba szybko gromadzić w stosy i spalać - zajęcie niełatwe, jedynie nielicznym umożliwiające wykonanie dziennej normy, niszczącej ubrania, w których tysiące iskier wypalają tyleż maleńkich dziureczek.

Raz, wyjątkowo, dziewczętem udaje się skończyć uprzątnię wyznaczonego odcinka przed gongiem. Chwilę stoją beczynnym, marznąc coraz bardziej, toteż dość chętnie przystają na propozycję Izy, by - nie zwlekając - ruszać ku obozowi.

- Zanim się dowleczymy, będzie po gongu. - Co do tego wszystkie są zgodne. Niestety, w pobliżu Siewiernej, wpadają prosto w ręce wicekomendanta Gałuszki.

¹
- Wot pragulszczycy! - Gałuszkin, rozeźlony nie na żarty, wyjmując z kieszeni notes, zapisuje nazwiska sióstr Małuskich oraz Emilki, które mijają go bez słowa wyjaśnienia, głównie z powodu nieznajomości języka a także pewnie swego. *Przecież wszystko zrobione. Niech sobie obejrzę!*
1. Bumelantki - Od słowa „progut” - samowolnie niestawienie się do pracy.

Z tego powodu „powieśka”¹ do sądu, dostarczona przez miejscową, is-tonoszkę, oburza je szczerze, za co? Za to, że pracowały pilniej niż inne? -decydują się nie iść do rejonowej Wierchniej Tajmy.

Potem jednak siostry Mańskie zmieniają zdanie. Tylko Emilka - czując się nie-winną a ^{także} braku odpowiedniego obuwia - ignoruje wezwanie konsekwentnie. W rezolucji Iza z Elą zostają uniewinnione, Emilka - za lekceważenie władzy - otrzymuje znaczny wyrok skazują-cy: potrącanie siedemdziesięciu procent zarobku przez okres półroczny lub pozbawienie trzech kolejnych wypłat; zależnie od woli komendanta.

Na nie spóźnione wyjaśnienia Mierzlewcew ani myśli ustąpić. Pragulsz-czyca musi pracować za darmo, ciesząc się, że nie pozbawiono jej ta-łonów i że potrąca się jedynie sześćtygodniowy zarobek.

Tej nocy cały posesiołek podrywa wściekłe walenie w blachę. Budzą się nawet dzieci ^{wa} ~~sposzone~~ ^{umykają do nor} szczury. Od strony komendantury niesie się, w ślad za gongiem, grzmiący ryk Mierzlewcewa.

Przyczyną alarmu jest brak jednego człowieka, Białorusina Biedy, które-go nie doliczono się wieczorem. Przedwojenny woźny szkolny, pi-jaczyna z wiecznie czerwonym nosem, nawet tu, w obozie nie rezy-gnuje ze swych upodobań. Pędzi z jagód jakąś namiastkę, którą sam kry-tycznie nazywa „niemowlęcym soczkiem”.

- Co poradzisz, niewola! - pociesza się,

Podobno z jego „soczku” korzysta także naczalstwo, w dwójnasób te-raz wściekłe z powodu domniemanej ucieczki Biedy.

Obława rusza natychmiast; z latarniami i psami, ostro

przynaglana przez komendanta.

- Żywego czy martwego, znaleźć trzeba!

„Zguba” odnajduje się dopiero nad ranem; żywa lecz pijaniuteńka, ze zdu-mieniem spoglądająca zapuchniętymi oczkami na psy i ludzi. Obok ponie-wiera się ~~posta~~ butelka po „soczku”.

Zadowolenie jest powszechne. Ludzi, że koniec brodzenia po tajdze, Mierz-lewcewa, że rachunek się zgadza. Nawet nie czyni Biedzie wymówek.

Od tej chwili ex woźny uważa się za bohatera i - proszony czy nie -

1. wezwanie.

z upodobaniem powraca do tego wydarzenia, *wzbudzając* ogólny śmiech - Szażu ja ni to pod joleczkoj, ni to pod biariozkoj. *Smetriu* - agańki! Sztoż eto takoje - *dumaju* - cziorť pabieri!

- Ty czawo tutki siadzisz? - ¹ Bieda snuje opowieść, urozmaicając szczegóły i podkreślając fakt wagi szczególnej. Sam komendant fatygował się po niego do tajgi!

Aby zapobiec wypadkom samowolnego opuszczania pracy, grupa Emilki otrzymuje stałą "opiekę" w postaci nowego brygadzysty, profesora Kuferskiego, który z mety zyskuje sobie sympatię dziewcząt.

- Powiem wam szaradę - mówi na powitanie. - Zgadnijcie, co to jest. Wpierw po tym chodziłem, teraz w tym chodzę.

Szarada pozostaje nie rozwiązana. Nawet starozakonni nie potrafią *odgadnąć*, w czym rzecz. Ucieszony profesor ukazuje na swój strój.

- Garnitur z chodnika. *Niezły?* Sam uszyłem.

Emilka jest zachwycona pomysłem, tylko... skąd wziąć chodnik? Jej zapał gaśnie, powraca przygnębienie. Jak przetrwać najbliższe sześć tygodni bez *pieniędzy*? Czym opłacić obiadowe zupy, bez których tak trudno wytrzymać do gongu. Jak znaleźć pod warstwą śniegu jagody i grzyby, *takie teraz* niedostępne.

Bo śnieg *spada z nienacka*. Już? Tak szybko? We wrześniu? Przeklęty kraj! Jedyna dobra strona, to jaśniejsze poranki i wieczory, lecz Emilka tego nie dostrzega.

- Gdzie oni widzą tę jasność bijącą od śniegu? - zdumiewa się. Ona nie widzi nawet śniegu, krocząc na zbiórkę przed Komendanturą, skąd poszczególne brygady wyruszają na liczne odcinki pracy. Przytrzymuje się którejś z koleżanek, ze strachem w sercu i dziwnym mrokiem przed oczami. Potem wszystko ustępuje, lecz wieczorem powraca znów. Emilka boi się, że na kogoś wpadnie, lub że się przewróci. Na szczęście zimowy *traktorny trakt* staje się dość wygodny. Zresztą nie musi już z niego korzystać.

Zachodnia droga jest ukończona,

1, *Siedzę niby pod joletką, niby pod brzożką, patrzę - ogniaki. Co to jest, do diabła, myślę. Dlaczego tu siedzisz?*

jej budowniczo wie skierowani na lesopowalke.¹

Zadaniem brygad kobiecych jest oczyszczanie ^(ze śniegu) pni drzew przeznaczonych na ścięcie, z czym - na razie - dają sobie nieźle radę. Warstwa śniegu niezbyt jeszcze gruba, wystarczy paręnaście razy machnąć drewnianą szuflą, by dokopać się do mchu wokół pnia.

Największą trudność stanowi to dziwne pogarszanie się wzroku z nastaniem wieczoru.

Wiktoria dowiaduje się o tym przypadkowo, kiedy Emilka - wniósłszy do kanury naręcze polan, nie zrzucając ciężaru na zwykłe miejsce - pyta:

- Mamusiu, czy tu nie ma Iny koło mnie?

- Nie ma, siedzi na pryczy, a bo co?

Emilka rzuca polana, podchodzi *niepewnie* do stołu i - wymacawszy ^{nogą} pień - siada.

- Co ci, dziecko! Dlaczego tak dziwnie mówisz i jeszcze dziwniej się poruszasz? - Wiktoria czuje ściskanie w gardle. - Jakbyś... Jakbyś nie widziała!

- Bo ja, mamusiu, nie widzę.

- Jak to, nie widzisz! Nic nie widzisz? - Wiktoria macha ręką przed oczami córki.

- W dzień widzę. Ale kiedy na dworze ciemno, to nie. *Coś niecoś rozróżniam tylko przy lampce, w bezpośredniej bliskości. Taki jarzący się krąg.*

- Matko Najświętsza! - Wiktoria patrzy z rozpaczą w twarz Emilki a potem wybiega do sąsiadów.

Okazuje się, że jest to po prostu kurza ślepotą. Dolegliwość na którą cierpi wielu z momentem odcięcia od jagód.

- Mamusiu, ja to też miałam - zdradza się Dorota - ale mi minęło, jak zaczęłam jeść jarzębinę. Bardzo smaczna taka zamrożona. Mogę narwać.

Lecz Wiktoria nie ufa Dorocie. Woli pójść - przy najbliższej okazji - do Sienowozowa, wizytującego obóz cyklicznie, co dwa tygodnie.

Wręcz, jak zwykle pijany niemal w sztok, niedługo kiwa się nad pacjentką. Niewiele także mówi; prawdopodobnie z powodu nieposłuszeństwa własnego języka. Mimo to swoje robi.

1. walenie lasu.

wypisawszy . receptę na pół kilograma końskiej wątroby, *podaje*
sposób dawkowania „leku”: podzielić specyfik na trzy części,
każdą : - drobniutko posiekaną - ugotować i trwać nad parują-
cym naczyniem

z otwartymi oczami i nakrytą głó-
wą do momentu ostygnięcia. Na zakończenie wątrobę zjeść, zaś wywar
wypić. Powtórzony trzykrotnie zabieg likwiduje "kurnuju ślepatu". Resz-
ty dokonują przynoszone przez Dorotę z lasu zamrożone kiście jarzębi-
nowe, oblepione jagodami o cierpkim, słodkavo-kwaskowym smaku .
Nie ma w obozie nikogo, kto by nie uległ tej zimy kurzej ślepcie -
dolegliwości bardzo nieprzyjemnej, lecz - na szczęście - przejściowej.

1. kurzą ślepotę.

Rozdział XI

ZIMA NA DALEKIEJ POŁNOCY

Wiktorja, przytrzymując sagan ^(z zupą) w otworze paleniska tak, by nie spadł na podłogę, niecierpliwi się coraz bardziej. Jej czas do wspólnej "fajerki" korytarzowego pieca kończy się. Nad głową stoi już, ze swym garnkiem, "Zyz von Drynda" - wystarczający powód do zakończenia gotowania choćby w połowie. Żar z paleniska bucha w twarz, ogarnia przyjemnym ciepłem całe, przycupnięte przy "kuchni" ciało. Sama myśl o powrocie do lodowatej kanury sprawia przykrość. Wszyscy najchętniej przebywają teraz w pobliżu jedynych źródeł ciepła - obu piecach. Na korytarzu - starsi, w sieni - młodzież. W kanurach zięb, więc przy piecach skupia się życie towarzyskie baraku. Tu najmilej się spotkać, najprzyjemniej rozmawiać, wspominać dawne dzieje i śpiewać "przy kominku", jak nazywa się owe biesiady. Wiktorja ujmuje ostrożnie, przez szmatę, gorący sagan, niesie powoli do siebie.

- Co dalej! - myśli. - Z czego ugotuję zupę za tydzień, za miesiąc? Lato i jesień jako tako - dzięki hojności przyrody - przetrwaliśmy, lecz zima!

Zima istotnie zwala się na tajgę straszliwa; bez zapowiedzi. Mróz - zrazu kilku, kilkunastostopniowy, wkrótce skacze do czterdziestu stopni. Do tego śnieg - kopny, pod samo, zda się, niebo. I lodowatę, lekko słonawą wiatry. Wiatry wiejące od niezbyt odległego Białego Morza, zwalające z nóg, bezlitosne, przewiercające na wylot słabo zabezpieczone ciała.

Zima nastaje tak ciężka, o jakiej nikt nie miał wyobrażenia, bodaj słabego przeczucia. Ludzie giną masowo, padają łatwiej, niż muchy w środku lata. Połączony z mrozem brak pożywienia i odzieży oraz harówka ponad siły w zasypanej aż po szczyt

tajdze tworzą mieszaninę iście pierunującą. Trup kładzie się gęsto, zasypywany tymczasowo śniegiem; w oczekiwaniu wiosny i możliwości wykopania błotnistego grobu w wiecznej zmarzlinie "pod bierzozkami". Śmierć zbiera żniwo tak wysokie, że z Tojmy przysyłają szpitalik na płozach. Urzęduje tu, co dzień, pielęgniarka-mied-siostra, zaś lekarz co tydzień - młoda czarnulka, Daria Iwanowna z Sienowozowem na zmianę. Krótkie, podobne do zmroku dnie, obrzydają życie dodatkowo. Parę godzin jakiej takiej widoczności a potem noc, od której wielu - okresowo - nie odróżnia dnia. Po obozowych uliczkach snuje się coraz więcej niepewnie poruszających się cieni. Może to lepiej, że wytyczone w śnieżnych zwałach, wąskie, głębokie koleiny niejako same wskazują kierunki błądzącym po smacku? Wiedzą od każdego baraku do wszystkich punktów użyteczności, muszą więc być bez przerwy oczyszczane i przecierane - zajęcie dla spec-brygady szczęściarzy, których nie obowiązuje praca w lesie.

Agresywność zimy sprawia, że ludzie trwają w przekonaniu o jej nieskończoności. Trudno uwierzyć, że kiedyś było tu lato, że kwitły kwiaty i dojrzewały jagody. I trudno nie zwątpić w nadejście lepszych dni a przynajmniej w to, że się ich doczeka. Czy w ogóle lato zdąży na czas? Przecież wrześniowy pierwszy śnieg spadł na wodę z poprzedniej jeszcze zimy!

Oba małe okienka w kanurze Wiktorii, podobnie, jak wszystkie, pokrywa gruba warstwa szronu, poprzez którą - w czasie krótkiego dnia - przedziera się bardzo niewiele słabego światła. Mróz, acz silny, nie maluje tu na szkle żadnych pięknych zimowych wizerów. Wchodzi na nie wielocentymetrową warstwą stwardniałego śniegu przenikającego aż do nie opalanych wnętrzu. Nikt nie oczyszcza szyb w obawie o ich całość oraz w nadziei, że biały kożuch ochroni przed wiatrem i mrozem. Mróz można również z pożytkiem wykorzystać, przeprowadzając naturalne dezynsekcje. W piekarni trwa ona kilka dni, podczas których drzwi i okna otwarte są na oścież. Potem ekipa porządkowa wymiata stamtąd takie ilości tarakanów, że Gałuszkin - szczęśliwy posiadacz czterech krów i sporego stadka kur - każe zsypano robactwo do olbrzymiej beki.

Zyskuje w ten sposób *solidny zapas* karmy dla swego inwentarza. Wyprodukowane na kareluszym "mięsie" jaja będą wyjątkowo dorodne, o czym przekonają się ci, którzy przeprowadzą transakcje handlowe z wicekomentantową.

Zima sprawia, iż praca w lesie staje się istnym piekłem, tyle że odwrotnie proporcjonalnym do klasycznego, gdyż lodowatym oprócz zwykłego wysiłku dochodzą teraz zmagania ze śniegiem, którego półmetrowa co najmniej /niekiedy dochodząca do metra/ warstwa zalega wszystkie zakątki tajgi.

Zmusza to zwierzchność do wyznaczenia odpowiedzialnych za przejezdność dróg brygad roboczych, *ponieważ* nic nie może zakłócić wyrębu drzew. Czuwa nad tym, oprócz naczalstwa, specjalna ekipa rodzimych drwali. Z nastaniem zimy na nowej drodze pojawiają się traktory ciągnące gotowe domki na płozach - zabudowania Zapadnoj Korgowej, która - dzięki temu usprawnieniu - powstaje w mgnieniu oka.

Ruchome domki są identycznej wielkości i jakości - wszystkie z niewielkimi okienkami i wysokimi kominami, i - w odróżnieniu od okolicznych baraków - niemal luksusowe; obudowane ocieplającymi deskami, przytulne, przeznaczone dla rosyjskich, wolnych robotników leśnych.

W nowym posiołku, z powodu jego przenośnego charakteru, nie ma bani, więc drwale - w każdą sobotę - zjawiają się w Siewiernej Korgowej, gdzie

łaziebna, *Kasia-Katia*, ma o nich szczególne staranie. Budzą w niej podziw, gdy z fantazją zajeżdżają przed banię saniami ciągniętymi przez konie a potem - wyparzeni, wychłostani "wienikami", rozgrzani - tryskają humorem i tężyzną fizyczną. Zjawiają się też na niedzielnych wieczorynkach w świetlicy, lecz *większość bywających* tam *przymusowo* dziewcząt nie podziela sympatii Kasi-Katii, co przejawia się odmową na zaproszenia do tańca.

Odgrywają się potem na "polskich panach" za ich mało wydajną pracę przy wyrębie. Bo polskie brygady leśne stanowią jedynie element pomocniczy, mniej ważny, chociaż - skąd inąd - niezbędny.

Każdy, rozpoczynający się blaszanym rabanem dzień, od pierwszej chwili po gwałtownym wyrwaniu ze snu jest, dla zmuszanych do pracy ponad siły, katorgą tym cięższą, że spotęgowaną surowością warunków. Wiktoria stara się zawsze wstac przed gongiem, by zdążyć podpalić w piecu i - w pierwszej kolejności - zagotować na brzegu paleniska wrzątek. Emilka nie może wyjść na mróz bez kubka rozgrzewającego kipiactwu. To pomoże jej wytrzymać pierwsze uderzenie lodowatego powietrza. Zaopatrzona w kromkę zmarzniętego na kość chleba, wychodzi przeprowadzana tajemnym błogosławieństwem matki i jej modlitwą o szczęśliwy powrót z lasu.

Teraz wstają Dorota z Leszkiem. Raz-dwa wypijają po kubku wrzątku, pokąsają po kęsie chleba i pędzą do piekarni - każde kase naupróżnione. Następne obowiązkowe wyjście Doroty to wypad do stołówki. Z saganem w rękach, ustawiona w kolejce do kasy, marzy o zdobyciu pożywnej, gęstej niby krochmal "mucznicy", o niebo przewyższającej inne wodzianki nawet w przypadku, gdy kulawa Gusta poskapi mąki, co często się zdarza. Z opłaconym numerkiem Dorota przemieszcza się do innej kolejki, do okienka, gdzie wydają "sup" - ze względu na niedawną dezynsekcję - prawie bez karaluchów. Potem jest wolna i może przetrwać krótki, szarawy dzień, jak jej się podoba.

Emilkę przebiega on pod znakiem wytężonego wysiłku i skrajnego wyczerpania. Natychmiast po apelu pod Komendanturą, wmieszana w tłum, podąża w ciemnościach na wyznaczony odcinek "leso-zawałki". Odziana w granatowy płaszcz gimnazjalny lub kozuch / jeśli matka nie wybiera się akurat do kotchozu, z głową owiniętą pamiętnym czerwonym szalem, w prawdziwych skórzanych, brązowych pantoflach oszczędzanych właśnie na zimę, lecz zbyt delikatnych, by ją przetrwać, w onucach na łydkach, bez ciepłej bielizny - sunie wytrwale przed siebie - jedno z ogniw długachnego węża ciemniejącego pośród bieli śnieżnej bruzdy wytyczonej utrudzonymi nogami leśnych robotników i robotnic. Idą gęsiego, bo tak łatwiej w głębokim, sypkim śniegu z nocy.

Przecierają szlak mężczyźni - czoło rozwleczonej kolumny sunącej zygżakiem, ^(to proste) jak wieszcie ścieżka wśród śniegu. Nikt nikogo nie wyprowadza, bo po bokach zasy, bo po obu stronach ośnieżone zbocza pokryte gęstym lasem.

Brygada Emilki wędruje na szarym końcu. Z tej pozycji widać momentami cały pochód, jak się przesuwają, wybrzuszając w lewo, lub prawo. Niekiedy miga męska czółówka. Tuż przed Emilką brnie ładna, zgrabna, ciepło ubrana blondynka, Maria Sokołowa - córka jednego z brygadzystów. Przybyli tu dawno, z pierwszym transportem osadników wojskowych. *Są Polakami, co Maria niezmiennie: podkreśla, wstydząc*

się z powodu niefortunnego, rosyjskiego nazwiska. Emilka ogromnie ją lubi i chętnie słucha opowiadań o przeżyciach związanych z deportacją. Przeżyciach wciąż jeszcze powracających w nocnych koszmarach sennych. *Wciąż od nowa brodzi Maria w kopnym śniegu* po zamrożonej Dwinie, walcząc z niesłychanie ostrym mrozem. *Bez przerwy - widzi* sztywne ciała zamrożonych dzieci i bezsilną rozpacz dorosłych.

Emilka, patrząc na plecy Marii, nie może nie myśleć o tym, co by się mogło stać z Ingą, z nimi wszystkimi, gdyby ich zabrano razem z cicią Julią. i skierowano właśnie tutaj.

Tuż za nią posuwają się, gęsiego, Iza, Elżunia oraz Lilka. -ostatnia z wielkim mozolem z powodu wciąż jeszcze nie wygojonych ran spowodowanych ukłóciami meszki. Nikt z nikim nie rozmawia, lecz samo oddychanie na mrozie powoduje unoszenie się kłębow pary wokół posiniałych twarzy a na chustach, czapkach, włosach i rzesach osiada biały szron.

Emilce także idzie się ciężko - z odmrożonymi stopami i bolesnymi ranami na wewnętrznych krawędziach ud. Odmrożone ma również dłonie, których szmaciane, wciąż od nowa łatanie, rękawice nie są w stanie skutecznie *ochronić. przed mrozem,* Nie pomaga wizyta u czarnowłosej felczarki, Darii Iwanownej.

T a k i e d r o b i a z g i nie kwalifikują do zwolnienia z pracy. Felczarka chce jedynie wiedzieć czy pacjentka *posiadła* 'czułki'. Emilka nie zna tego wyrazu, toteż milczy, co zostaje przyjęte jako potwierdzenie,

1 powrochy.

- Tak naśa ich kanieszno nosić!^A - gani wracz "dziwną" petentkę, najwyraźniej pragnącą "wyłudzić" zwolnienie. Nic z tego! Drwalom potrzebne są każde ręce przygotowujące wyznaczone drzewa pod piłę. Inaczej nie mieliby do nich dostępu. Zanim sosna padnie, należy przedtem odkopać jej podstawę ze śniegu - zajęcie zaiste mordercze, ^{z własną} dla kogoś nie nawykłego, źle zabezpieczonego przed mrozem i niedożywionego.

Najpierw, trzonkiem drewnianej łopaty-szuflki, trzeba zakreślić wokół drzewa krąg o promieniu jednego metra - każda dziewczyna odpowiedzialna za swoje - po czym można rozpocząć odwalanie śniegu ^{na zewnątrz} promienście. Im niżej schodzi się w dół, do środka powstającej jamy, tym górne krawędzie stają się ^(tym) kolegalsze, i większy należy brać rozmach szuflą. Coraz wyżej unosić obolące ramiona. Gdy wokół pnia nie ma już śniegu a odległość od szczytu ^(niecki) wynosi dwa metry, czas zająć się ^(drzewa) podciosaniem podstawy ^(siekiera) - sztuka, której trzeba się nauczyć, by wybrać właściwy punkt, przewidzieć kierunek upadku kolosa. Bo każda sosna posiada wrodzone niejako ku temu skłonności, zdeterminowane kształtem oraz położeniem wobec ziemi. Przedtem jednak ^(niecki) trzeba pamiętać o wykonaniu w śniegowej stromiźnie "schodów" - jedynego sposobu na szybkie wydostanie się z jamy i błyskawiczne zajęcie zabezpieczającej przed przygnieceniem pozycji. Bo już, bez zwłoki, przystępują do dzieła drwale z piłami. W zaśnieżonej tajdze co rusz słychać głuchy łomot rąbania, wysoki świst piły suchy, nieprzyjemny trzask łamiących się, rozrywanych ścięgien sosnowych. Co chwila podcięty kolos osuwa się majestatycznie w dół, ^(niecki) wzniesając tumany kłębiącego się pyłu, miękko osiadając w zaspie. Zanim pył osiadzie, do padłego ^(niecki) olbrzyma przystępuje kolejna ^(niecki) brygada. Pod ciosami jej siekier odpadają wielkie konary i cieńsze gałęzie. Te-inna ekipa, kobieca - układa w stosy i podpala. Czyste ^(niecki) dłuższe ładuje się

1. więc trzeba je koniecznie nosić!

na szeroko rozstawione płozy = watakusze, które traktor przeciąga przez las do starej drogi i strąca z biegnącego wzdłuż niej nasypu w dół, ku nowej, ^(równoległej) zachodniej trasie. Tam czekają w pogotowiu potężne traktorne sanie i specjalna brygada czuwająca nad zalegającymi stok sztablami oraz "spuszczająca" je - belka po belce - na sanie. Zakadowane, jadą hen, - ponad urwisty brzeg rzeki Siewtry, gdzie - ponownie ułożone w sągi - będą oczekiwały wiosny, gdy puszczą lody i wody wzbiorą pod wpływem roztopów, zdolne do udźwignięcia spławianego ... w świat budolca.

Emilka pracuje w brygadzie jednego z mieszkańców domków na płozach, Gladinina. - Człowieka niezwykle pracowitego, po prostu urodzonego stachanowca. Na szczęście obawy dziewcząt z tego powodu okazują się przedwczesne. Gladinin ani nie szaleje, ani nie pędzi nikogo bezmyślnie do roboty przerastającej możliwości. Twarz ma rozumną, sposób bycia odróżniający go od współziomków i wiele sympatii dla dziewcząt, których bezpieczeństwo zdaje się leżeć mu na sercu. Prędko przyzwyczajają go do własnego systemu pracy oraz właściwego reagowania na polecenia. Trudno go nie lubić. Podpiłkowawszy drzewo - przed wykonaniem ostatecznego cięcia - sprawdza wzrokiem pozycje zajęte przez swe pracownice i dopiero wówczas kończy czynność. Jeśli któraś wydaje się być zagrożona, używa specjalnie wyuczonego zawołania: - U - waa - gaaa! - i trwa wyprostowany, dopóki się nie oddali. Gdy się znów pochyli, wszystkie wiedzą, że dalej uciekać nie ma potrzeby.

Gladinin - w przeciwieństwie do pozostałych drwali - potrafi ^(z) nie słychać ^{nie} umiejętności ^{cia} spuszczać drzewa. Nigdy nie zwala ich, jedno na drugie, nie krzyżuje, nie łączy, co niezmiernie ułatwia ociosywanie z gałęzi. Mimo wszystko praca jest morderczo ciężka i Polacy nie mogą się dość nadziwić nadzwyczajnej odporności krajowców. Niby zmęczeni a jednak niezmordowani ... w znoju i śpiewie. Wśród nich wyróżnia się para : Wowka i Szura. Dziewczyna niezmiennie rozpoczyna

pracę od przyśpiwek.

- Nadajeło mnie w lesu
Lutsze parnia priniesu.
Budu jewo kolebat'
Alimienty połuczat'.¹

1. Obrzydła mi praca w lesie,
Lepiej chłopca postaram się.
Będę go kokysała,
Alimienty dostawała.

Do wykopywania każdej jamy wokół drzewa dziewczęta przystępują z uczuciem, że to ostatnia, że kolejnej nie podołają, lecz i z nadzieją na znalezienie pod śniegiem zmrożonych brusznic, nadzwyczaj smakowitych i pożytecznych. Emilka szuka szczególnie pilnie, gdyż w baraku Inga czeka z nadzieją na mały bukiet z jagodowych gałązek obsypanych czerwonymi kuleczkami - prezent "od zajączka". Gdy uda się jej zdobyć jagody, na moment zapomina o zabierającym siły znoju. A przecież przygotowanie drzew do ścięcia naczałstwo uważa za najlepsze z możliwych zajęć. Polskie koleżanki radzą z nim sobie łatwiej, niż Emilka - wciąż na końcu, niezmiennie najdłużej marudząca w swoim dole, niezdolna do sprostania narzuconemu tempu.

Zdarza się, iż Elżunia, Iza lub Lilka - w zależności od tego, która wcześniej skończy - ześliznąwszy się do niej, paroma machnięciami szuflą przyśpiesza finał. Nawet wtedy Emilka - wypełza z jamy ostatkiem sił a do baraku wraca, powłócząc nogami.

Drugim jej wrogiem, obok umordowania, jest ziąb, przed którym nie ma ucieczki. Nie pomaga nawet narzucany na płaszcz rodzaj olbrzymiego ~~fartucha-kamizeli~~ ^{uszytej} przez panią Tomczycką z gałgankowego, kolorowego chodnika. Nawet kożuch matki, gdy Wiktoria zadecyduje, że jest niezbędny przy "lesopowale". Czerwony szal litościwej lwowianki, acz niezmiernie twarzowy, nie zabezpiecza dostatecznie przed mrozem. Tym bardziej nie czynią tego buty z cienkiej, brązowej skórki ani perkalowe onuce i krótkie majteczki. Nie mniejszy problem stanowią dłonie. Sporządzone ze szmat rękawice, co dzień podarte i dzień w dzień na nowo łatanne, bardziej dekorują, niż chronią.

Wiktoria, widząc że córka niknie w oczach, udaje się do dziesiątnika

z prośbą o lżejsze dla niej

zajęcie.

- Ona pomriot, pomikujcie!⁴

Danyłow, by się zabezpieczyć przed pomówieniem o kumoterstwo, kieruje do nowej brygady - Sokołowa - nie tylko Emilkę, lecz i jej najbliższe koleżanki, nie wyłączając Marii Sokołowej.

Sokołow pełni tu także funkcję drwala. Marek Tomczycki ścina gałęzie,

które dziewczęta gromadzą na stosach i palą ogniska, co - wbrew pozorom - nie jest rzeczą łatwą. Śnieg kopny, gałęzie splątane, odporne, mokre - ani rusz, nie chcą się zapalić.

Prawdziwą mistrzynią w rozpalaniu ognisk okazuje się Elżunia, która stosuje opracowaną przez siebie metodę. Dostarczoną przez koleżanki korę brzozową rozwarstwia najpierw pracowicie na cieniutkie błonki.

a następnie - starannie ^{ujej} osłaniając dłońmi - podpala.

Potem ostrożnie narzuca na nikły ogieniek najcieńsze z możliwych gałązki, po nich nieco grubsze, jeszcze grubsze, aż płomień

wzmocni się, spotężnieje. Wówczas śmiało dokłada najgrubsze nawet konarzystka a ogień wzbija się wysoko, trzaska wesoło, promieniuje ciepłem, do którego ciągną zewsząd zmarznięci ludzie. *Byle nie za blisko, w rozsądnej odległości. Odmrozone ręce boją się ognia.* Gorzej, gdy akurat pada śnieg lub wieją silne wiatry od Morza Białego. *Bywa*, że z wielką ilością śniegu zbiegnie się szczególnie

niska temperatura powietrza połączona z wichurą. Wówczas praca w lesie zostaje zawieszona, co zdarza się nieczęsto, bowiem mróz stabilizuje się, trzymając : wyznaczonej, jak gdyby, granicy trzydziestu stopni i tylko na krótki czas sięgając czterdziestu.

Sokołow, chociaż Polak, nie robi nic, by ulżyć swym podwładnym, jak to czyni Gladinin. Pracuje po bałaganiarsku, waląc drzewa byle jak, jedno na drugie, w poprzek i na krzyż, tworząc skłębione, najeżone piramidy, ośnieżone i oślizgłe. Nie zwraca również najmniejszej uwagi na to czy dziewczęta znajdują się w bezpiecznej

A. Litości, ona umrze!

strefie, czy tuż obok. Robi swoje z jakąś zjadłością, z jawną nienawiścią do przymusowej, niechcianej mordęgi, nie pojmując czy nie zastanawiając się nad tym, że utrudnia życie równie jak on a może bardziej udręczonym istotom, nie wyłączając własnej córki, Marii. Zmusza je do gwałtownych ucieczek w obawie przed przygnieceniem. - *rzecz* niełatwą ze względu na głęboki, hamujący ruchy śnieg.

Pewnego razu tuż obok Emilki, muskając ją górnymi gałęziami, zwała się ośnieżony olbrzym, który tylko dlatego nie *wyrzucił* jej krzywdy, że - przygniatana - zapada się w miękki śnieg. Wygramoliwszy się na powierzchnię, wygląda jak biały bałwan śniegowy, co Sokołow kwituje wściekłym mruknięciem i co nie wpływa na jego dalsze postępowanie. Maria, patrząc na Emilkę ze łzami w oczach, pomaga jej otrzepać się ze śniegu.

Skutek tego przeżycia jest zaskakujący. Emilkę zaczyna boleć ząb tak straszliwie, że przestaje skutkować niezawodne dotychczas zakłęcie. - Czy ja muszę to wytrzymywać?! - buntuje się nagle. Stoi przy ognisku, drżąc z zimna i bólu, chociaż tuż obok trzaskają płonące żagwie, rozpryskują się iskry i bucha żar. Niewiele myśląc, zbliża się do Sokołowa, krzyczy z góry do tkwiącego z piłą w śnieżnej jamie. - Proszę pana, źle się czuję po tym wypadku. *Niech mnie pan zwolni! Pójdę do lekarza.*

- Na ząb zwolnienia nie dają, - burczy Sokołow, lecz zgodę wyraża. Emilka, wlokąc się do obozu, postanawia narzekać w pierwszym rzędzie na ucho, co nieoczekiwanie odnosi skutek.: Felczerka, Daria Iwanowna, *wlanszy* jej do ucha porcję olejku kamforowego i przyłożywszy nasączony czymś tampon do zęba, wciąga na listę zwolnionych z pracy na okres trzech dni.

- Jeżeli nie przejdzie, zgłoś się do wracza Sienowozowa - *mówi*.

Niestety, ból zęba nie ustępuje, więc Emilka - opuchnięta *ni*by dynia - zmuszona jest stanąć przed Sienowozowem, jak zwykle pijaniuteńkim,

na kilometr ziejącym samogonem - żadna trudność w pełnieniu obowiązków wracza.

- Sadiś! - rozkazuje i sięga do torby po zardzewiałe szczypcy dentystyczne, na widok których w Emilce truchleje serce. Mimo to, przytrzymywana za głowę przez świeżo awansowaną z leśnej robotnicy pielęgniarkę, posłusznie otwiera usta. W następnej sekundzie dławi się własnym krzykiem, na który asystentka reaguje złapaniem się za /swoją tym razem/głowę oraz maksymalnym wytrzeszczem utkwionych w Sienowozowie oczu. Wracz, ani trochę nie przejęty drobiazgiem takim, jak ułamanie - przy okazji - połowy zdrowego, sąsiadującego z chorym, zęba, wtyka okrwawione szczątki pacjentce do ręki, po czym wypisuje zwolnienie z pracy na dalsze trzy dni - wątpliwa rekompensata za utraczone dwa zęby na raz.

Znana opinia o nieszczęściach chadających parami sprawdza się raz jeszcze. Emilka, pragnąc jak najlepiej wykorzystać darowany wolny czas, odnawia swoją gimnazjalną, plisowaną spódniczkę z przeznaczeniem na wymianę. Efekt całonocnych zabiegów przechodzi wszelkie oczekiwania. Wyczyszczona, uprasowana pożyczonym żelazkiem spódnica dosycha na rozwieszonym ponad stołem sznurku, ciesząc oczy i wyobraźnię na myśl o c z y m ś dodatkowym do jedzenia. Robi się ciemno, więc Wiktoria zapala lampkę-kopciłkę/wyrobem ich zajmuje się pan Kulik, ojciec Reni/. Płomyk, acz słaby, liże rąbek spódnicy, w ciągu paru sekund czyniąc ją bezużyteczną. Nie ma rady, musi powędrować do walizki.

Po przerwie Emilka - z woli dziesiątnika - zostaje skierowana na zachodnią drogę, do pilnowania sztabli. Początkowo zadowolona/głównie z powodu niszczonego od iskier kożucha/wprędce zaczyna wzdychać do poprzedniego zajęcia, nie tylko lżejszego ale i mniej niebezpiecznego. Ciężkie, potężne pnie przez cały dzień staczają się po pochyłości w dół, zatrzymując na wbitych u podnóża, równomiernie rozmieszczonych, mocnych słupach, wciąż nowe i nowe, dostarczane tajemniczo z głębi lasu na górny trakt, wyładowywane z wiałakuszy kolejno, przy poszczególnych sztablach, wciąż zsuwające się ze skurpy - jeden za drugim - grożące

przekroczeniem bariery zabezpieczającej/w przypadku nie kontrolowanego zagęszczenia dostaw/.Chwila nieuwagi i kłose drzewne mogą "przeferunąć" ponad słupami,przygniatając stojących niżej - po dwie robotnice na szerokości każdego sztabla,wyznaczonej długością pni.

Nowa praca okazuje się najbardziej mordercza spośród wszystkich,jakie zdarzy się Emilce kiedykolwiek wykonywać.Pracuje w parze z Izą - obie odpowiedzialne za cały sztabel od góry do dołu.]Jedna czuwa u wierzchołków pni,druga u ich grubszych a więc cięższych podstaw,co samo w sobie stwarza asymetrię utrudniającą zadanie.

Długoce nie mogą zsuwać się ze stoku samopas.Dziewczęta muszą każdą z nich podważać kolejno przy pomocy drągów i staczać ostrożnie na oczekujące już sanie traktorne/zajmują całą szerokość drogi/tak,by stojący na nich dwaj mężczyźni mogli je przejąć,umieszczając na płozach.

Trudność tkwi w tym,by równocześnie i z wyczuciem podważyć pień,zapobiegając obsunięciu na boki,w przerwę między dwoma sąsiadującymi sztablami w pozycji prostopadłej do nich.Niestety,nie zawsze potrafią temu zapobiec. Wówczas mężczyźni z saną muszą pośpieszyć na pomoc,rozgniewani a nawet besztający za dodatkowy trud.Na nic usilne starania słabych dziewczęcych rąk.Grubszy koniec pnia często przeważa,co sprawdza na ich głowy nowe gromy.A do tego ziąb.A do tego wyczerpanie i głód!

Z okazji rocznicy rewolucji październikowej,przypadającej tu siódmego listopada,naczalstwo - by uczcić tę datę - obdarowuje ogół dodatkowymi tałenami;na biały chleb,dynię w syropie,cukier w kostkach,plaster końskiej kiełbasy na rodzinę oraz prianiczki - niewielkie,okrągłe pierniczki przyprawione miętą.Swiąteczny chleb jest,jak słońce.Je się go,niby najwspanialsze ciasto.Prianiczków na rodzinę Wiktorii przypada aż pół kilograma!Próbują po jednym,resztę matka chowa dla najmłodszej.Dla niej także,niby talizmanu,strzeże prawdziwego skarbu - kilograma cukru.

Pani Święcicka - ku swej rozpaczy - zostaje pominięta w przydziale.

Mierzlewcew, jak widać, nie zapomina o jej zamierzonym przestępstwie wymiany chleba w kołchozie.

Jednak pani Święcicka nie rezygnuje z tego, co się jej należy. Tak długo molestuje komendanta, aż ten ustąpi.

- Cziort pabieri babu cziertowku! Prapadi ty skwoz' ziemli! Bieri talony i paszła at'siuda k cziertowej matieri!

Posród powożących watakuszami dostarczającymi dłużyce na górny poziom sztabli jest dziewczyna. Jedyna posród męskich woźniców. Emilka, chociaż umordowana, od dłuższego już czasu popatruje na nią ze szczególnym upodobaniem.

Daniela Dworkowska, starsza od niej za ledwie o rok, wydaje się o niebo bardziej doświadczona a już na pewno wytrwalsza. Komunał, że ktoś "tryska radością życia" przystaje do niej, jak ulał. Nie potrafi jej zgasić ani głód, ani mróz, ani ciężka harowa. Wciąż ten sam, nieco szelmowski lecz życzliwy humor, wciąż owa zadziwiająca, niepojęta aura radości, którą Daniela potrafi, jakby mimochodem, roztaczać wokół siebie - skrajne przeciwieństwo młodszego jej brata, Michała, znanego impertynenta i złośliwca.

Daniela figurkę ma zgrabną, pięknie wymodelowaną i szczupłą a mimo to mocną, włosy ciemne, do ramion, kręcone, jak po trwałej endulacji, zawsze puszyste. Lecz największe wrażenie czynią jej oczy. Niewiarygodnie fiołkowe, skrzące tak, jak gdyby ktoś sypnął w nie garścią brokatu. Nie ma w posesiołku chłopca, który by się za nią łakomie nie obejrzał, nie ma mężczyzny mogącego patrzeć na nią bez jawnego podziwu.

1. Do diaska z babą - diabolicą! Zyn' przepadnij! Bierz talony i won stąd do matki diabła!

Prawdziwą jednak sławę i chwałę zyskuje *-sobie* w dniu, gdy wali na odlew po gębie samego rajkomendanta z Wierchniej Tojmy. Umundurowanego NKW-dzistę budzącego powszechny lęk samą swą obecnością nigdy nie wróżącą niczego dobrego dla zesłańców. Przesłuchania, wtrącanie do "chaładuszki", aresztowania *i wywózki* - oto skutki każdego jego odwiedzin w *każde*. I nie zdarza się, by ktoś-zabrany do rejonu-kiędykolwiek powrócił do Siewiernej. Taką to groźną i wszechwładną osobistość Daniela strzela w pysk. Publicznie, na środku drogi, nieopodal komendantury!

Maszerując lekkim swym kroczeniem w kierunku stołówki *i* pogwizduje beztrosko w takt wymachów ręki z rondlem, zostaje zatrzymana przez przechodzącego mimo rajkomendanta, który mówi z uśmiechem:

- Charoszaja dziewczeczka! Wot na takiej paguliat'! Idi sa mnoj, nie pažaliejesz!¹

A ona - bez namysłu - łup go w zęby i patrzy tymi swoimi skrzącymi niby gwiazdy oczami - istny wilczek gotów gryźć. Spogląda mu prosto w oczy bez mrugnięcia powieką, niezłomnie, bez odrobiny strachu, z taką determinacją, że ten pierwszy odwraca wzrok. I tak stoją na przeciwko siebie-on zdumiony, ona wyprostowana, drobniutka, filigranowa, z płonącymi, wielkimi niby spodki oczami, zarumieniona z mrozu i emocji, w kasku ciemnych loków wokół ślicznej buźki-wcielenie piękna mimo brzydkiej chusty na główce.

Swiadkowie tej sceny zamierają z wrażenia, w oczekiwaniu na najgorsze.

Bo cóż może uczynić NKW-dzista, który nigdy nie odjeżdża z obozu sam? Który zawsze kogoś zabiera z "chaładuszki", z komendantury albo *prosto z baraku.*

On tymczasem mówi zupełnie spokojnie, rzec by można, z wyrzutem.

- Nu i szto ty zdiełała? Wied' tiebie izwiestna, szto ja s taboj magu zdiełał'. Ja tiebia w toj-że minutocz'kie magu at twajej mamy ubrat'.²

Milczy jakiś czas i dodaje: - Nu, stupaj,³ Odwraca się do niej plecami.

1. Kądna dziewczyna! Z taką, podokazywać! Chodź ze mną, nie pożakujesz!
2. Coś ty zrobika! Czy wiesz, co mogę z tobą zrobić? W jednej chwili mogę cię zabrać od mamy.
3. Zmykaj!

Daniela, jakby nic się nie stało, rusza tanecznie po zupę, z którą niebawem wraca, stąpając ostrożnie, z namaszczeniem.

- Panno Danielko, co dziś na obiad? - zaczepia ją ktoś, kto widział zajście z rajkomendantem.

- Zupa z trupa, pieczeń z wszami, nagła śmierć z buraczkami! - recytuje Daniela jednym tchem, śmiejąc się łobuzersko od ucha do ucha i zaczyna gwizdać na cały regulator.

Rajkomendant - jak za każdą bytnością - także i tym razem nie odjeżdża z "pustymi rękami".

Wiktorია, siedząc na pryczy z Ingą na kolanach, uczy ją znaku krzyża, co dziecko pojmuje w lot. Nie musi już przebywać w jaśłach¹, które - z powodu mrozów - rozpadły się i matki, znów zwolnione z pracy, same opiekują się swymi dziećmi.

Wtem obie - Inga i Wiktorია - nieruchomieją na dźwięk zatrzymujących się przed barakiem sań oraz końskiego parskania. Potem na korytarzu rozlegają się twarde kroki i męskie głosy. I krzyk kobiety. Rozpaczliwy lament pani Święcickiej.

- Ludzieeee, on jest chory! Czterdzieści stopni, a... litościii! Zostawcieee! Dokąd go zabieracie? Och nieeee!!!

Wiktorია domyśla się, że chodzi o Zdzisława, od dłuższego już czasu nie podnoszącego się z pryczy na korytarzu, gdzie śpi. Wie także, że co go biorą. Za niepokorną, wręcz wyzywającą postawę, lecz przede wszystkim za chwilę strachu, którą dzięki niemu przeżył niedawno Mierzlewcew.

Idąc "na rabotu", zostaje wezwany - za pośrednictwem obozowego gońca, grubej Białorusinki Natalii - do komendanta. Rusza, jak stoi - z siekierą na ramieniu - wysoki, barczysty, z ponurym wejrzeniem. Mierzlewcew, na ten widok, zrywa się ze stołka jak oparzony.

- Ty kuda! Astaw ka topor w sieni! Bystrieje!² - unosi głos histerycznie. Zdzisław wykonuje wprawdzie polecenie, lecz nie potrafi czy nie chce zamaskować wyrazu mściwej satysfakcji wypisanej na twarzy, za co teraz

placi. Placi, rzecz by można, hurtem. Także za próbę ucieczki z transportu i świętowanie w dniu piętnastym sierpnia, przeleżanym ostentacyjnie na sztablu. Oraz za słowa: - Uzcitem. Moritke, Bostky. Nawet palcem dziś nie kiwnąłem!

1. z łobek
2. Dokąd to!? Zostaw no siekiere w sieni, szyciej!

Krzyki za drzwiami na chwilę przycichają. Inga spogląda na matkę pytająco.

- Puśćcie, nie dam! - słychać znów głos pani Święcickiej. - On ma zapalenie płuc, litości! Nie pozwolę! Aj!!! Boli, puść!... - dają się słyszeć odgłosy szamotaniny, jakieś stuki i nagle drzwi kanury Wiktorii odskakują, waląc o ścianę a do środka wślacza się rajkomendant, ciągnąc za sobą opierającą się z całych sił, rozszlochaną z żalu oraz bólu panią Święcicką.

NKW-dzista, wykręcając jej ręce do tyłu, klunie na czym świat stoi, Obecność Wiktorii zaskakuje go, miesza mu szyki, nie pozwala na ciche załatwienie sprawy. Pragnie widocznie odizolować szalejącą, opierającą się matkę w pustej - jak mniema - kanurze, więc widok świadka deprymuje go na moment. Moment potrzebny akurat pani Święcickiej, by mu się wyrwać.

Grażdanin rajkomiendant ¹ - składa modlitewnie wychudzone dłonie.

- Nie zabierajcie syna! On jeszcze nie wyzdrowiał. Dopiero dwa dni, jak był u wracza. Dostał calcex, ale gorączka nie spadła; litości! - Wielkie łzy płyną po zapadniętych policzkach, giną za kołnierzem. - Czterdzieści stopni gorączki, sama mierzyłam! Poczekajcie choć parę dni! - Łzy dławią słowa, pani Święcicka trzęsie się, jak w malarycznym ataku. Zwykle małeńka i szczupła, teraz kurczy się do rozmiarów dziewczynki. Małej, skrzywdzonej dziewczynki z tragiczną twarzą cierpiącej, starej kobiety.

Półtoraroczna Inga, zsunąwszy się z kolan Wiktorii, trwa tuż obok, wyprostowana niby słupek, pobladła i niema. Rajkomendant obciąga na sobie mundur i bez słowa, pośpiesznie wychodzi, starannie zamykając drzwi.

Pani Święcicka, osunąwszy się na podłogę w miejscu, gdzie stoł, wydaje parę nieczłowieczych skowytów, po czym podrywa się niby sprężyna i wyskakuje na zewnątrz. Z wysokości ganku zdaży jeszcze dojrzeć przez łzy rozpaloną twarz syna, półleżącego w saniach, okrytego "kazonnym"² kożuchem. Sanie ruszają z chrzęstem płóz wrzynających się w śnieg, =

1. Obywatelu rajkomendancie!
2. państwowym

przeprowadzane spojrzeniem matczynym dopóki nie wtopią się w biel tajgi. Skowyczącą z rozpacz, Wiktoria siłą niemal wciąga do baraku.

Po tygodniu mniej więcej w izbie Wiktorii pojawia się niebezpieczny gość, rajkomendant we własnej osobie. Powitawszy ją niezwykle uprzejmie, przysiada, nieproszony, na pieńku. Jakiś czas milczy, uśmiecha się, wreszcie wyciąga ręce do Ingi.

- Chodź ka mnie doczeńka, chodź¹ - kusi słodko, lecz dziecko - zamiast usłuchać - zaczyna spazmatycznie szlochać.

Zaniepokojona Wiktoria bierze je pośpiesznie na ręce.

- Nie płacz, córeczko, nie bój się. Popatrz, jaki pan ładny!

Ale Inga łka bez przerwy, chociaż już cichutko, przytulona do matki.

- Jest jeszcze taka mała - łagodzi sytuację Wiktoria. - Boi się obcych - uśmiecha się blado. Groźny gość udaje, że wierzy.

- Kak tam, balejesz to?² - pyta.

- Da, ja balnaja³ - potwierdza skwapliwie Wiktoria.

- Znaczit, balnaje, wot... A kakże dieła?⁴

- Siewodnia mnie palekce⁵ - Wiktoria instynktownie wie, jak się zabezpieczyć. - No rańsze sawsiem było płocho. Oczied ja

balieła, prosto soznanije tieriala⁶ - dodaje przabiegłe.

- Hu ładno - rzecze rajkomendant i patrzy na nią badawczo. - A ty mnie pamięsz to? Ja zdieś był u tiebia.⁷

- Wy? U mienia? - dziwi się ostentacyjnie Wiktoria. - Niczewo nie pomniu⁸ - mówiąc to, truchleje z obawy, że on mógłby ją zaraz, natychmiast powlec ze sobą, cisnąwszy przedtem Inę w kąt, niby szczenię. Dlatego usiłuje nawet swym oczom narzucić wyraz zdumienia i niewiedzy.

NKW-dzista jest wyraźnie zadowolony. Rozumie, że ten świadek będzie milczał. Żegna się krótkim "da swidanija"⁹ i więcej się nie pojawia.

Zanim Wiktoria zdąży złapać oddech, do kanury wpada Dorota, zemocjonowana do najwyższych granic.

- Mamusiu, koń wpadł do przerębli! Wyłowili go i teraz

"dają" mięso w stałowej. To znaczy dawali.

1. Chodź do mnie, córeczko, chodź.

3. Tak, jestem chora.

1. Jak tam, chorujesz?

4. A więc chora... A co poza tym?

5. Dzisiaj mi lepiej.
6. Lecz przedtem było źle. Bardzo chorowałam. Wprost frakcją
7. Pamiętasz mnie? Byłem u ciebie.
8. Pan u mnie? Nie nie pamiętam.

Na szczęście dla mnie starczyło. *Ja* umiem się wpychać do kolejki!
O, proszę - kładzie na stole kawałek zeszywniałych, brunatnych
końskich zwłok. - I pomidorówkę na mięsie dostałam, pięćdziesiąt kopie-
jek porcja. Wzięłam pić; pyszna!

Dorota nie informuje matki, że w zupie było także niepożądane
mięso; karalusze - kęsy wielkie i wąsate, *acz mniej liczne, niż latem.*
Czeka ^{teraz} *niecierpliwie* na swoją porcję. Będzie ją, *jadka*
powoli, według powszechnie przyjętego rytuału, najpierw
spiłując "rzadkie", cienką, zazwyczaj warstwę "gęstego"
pozostawiając na deser.

Od dnia, w którym aresztowano Zdzisława, jego matka i siostra nie
mogą ani myśleć, ani mówić o niczym innym, jak o tym czy wróci, kiedy
wróci i czy już wyzdrowiał. Znajomi współczują im i litują się, gdyż
nawet dzieci wiedzą, że nikt spośród wywiezionych do Tojmy dotychczas
nie powrócił. Tylko one dwie nie chcą o tym wiedzieć. Odejmując sobie od
ust, przygotowują paczkę żywnościową złożoną z zaoszczędzonego chleba
i wysyłają ją do więzienia rejonowego. Niestety, nikt nigdy nie dowie
się czy przesyłka *dotarła*, jak nikt nie potrafi powiedzieć czy Zdzisław
żyje. Ostatnia informacja - tragiczna - pochodzi od powożącego tamtymi
saniemi. Natychmiast po wjechaniu w las rajkomendant osobiście *zdarł*
z chorego więźnia kożuch. Pewne jest to jedynie, iż do "tiumny" ^{Zdzisław}

dojechał j e s z c z e żywy.

Pani Święcicka próbuje wszystkiego, by ratować syna. Nie chce pamiętać o
szczególnej antypatii Mierzlewcewa do Polaków,

usiłuje przekonać go, uprosić, przebłagać.

- Co wam zrobił? Jest niewinny! *Paśćcie* go na litość Boską! - molestuje
na każdym kroku i - by go tym bardziej poruszyć czy przekonać - dodaje
naiwnie: - Taki wstyd! W naszej rodzinie nikt jeszcze nigdy nie siedział.

- Nikt? - wtrąca kpiąco komendant. - Ani nawet ty?

- Ani ja - potwierdza z nadzieją pani Święcicka.

- *Ale w psychoszkic¹* ty siedziała! - *oczy Mierzlewcewa zwięzają się,*
1 szpital dla umysłowo chorych.

kąciki warg unoszą ku górze w drwiącym niby-uśmiechu.

Pani Święcicka zbyt jest zaskoczona, by zaprzeczyć lub zastanowić^{się}, skąd Mierzlewcew o tym wie.

- Ach tak, byłam trochę rozstrojona; problemy z mężem...

- Nu stupaj, nie mieszaj. A to i ciebia w chałodnaju waźmu!¹ - wyrzuca ją do sieni, gdzie czeka Lilka. Teraz ona wpada do biura jak burza.

- Coście zrobili z moim bratem? - krzyczy, nie panując nad sobą, czym wzbudza tym większy gniew obozowego władcy.

- Ty nie ari² - cedzi z pasją - a to i z taboj parjadok zdiełajem!³ Wtedy puszczają w niej wszystkie hamulce. Rzuca się na niego z pięściami, z nieartykułowanym krzykiem.

Rzecz jasna, nie wraca do baraku. Prosto z komendantury ląduje w "chałoduszce" - skleconym z grubych bali baraczkę, z nie oszklonym otworem okiennym niemal u sufitu, bez przerwy przez kogoś, z wyroku Mierzlewcewa, zajętym. Można tu trafić za byle co a nawet bez powodu. Wystarczy wola komendanta.

Pani Święcicka, na widok aresztowanej córki, robi Mierzlewcewowi taką scenę, że bezzwłocznie do niej dołącza.

- Tyż jeszcze nie była w tiurnie, prawilna gawariu?⁴ - kpi komendant.

- Tak pasidisz wmiestie z doczienej⁵ - kończy złośliwie.

Cała polska strona baraku numer osiem - z wyjątkiem "Zyz von Dryndy" - podejmuje decyzję natychmiastowego przyścia aresztowanym z pomocą żywnościową, lecz Mierzlewcew nawet słyszeć nie chce o przekazaniu składkowej paczki do aresztu. W tej sytuacji - mimo niedogodnych, zimowych warunków - do akcji

1. Wynoś się i nie przeszkadzaj, bo i ciebie wsadzą do aresztu.

2. Nie wrzeszcz.

3. Bo i z tobą zrobię porządek.

4. Tyś jeszcze nie siedziała, dobrze mówisz?
5. Właśc. posiedziś razem z córką.

znów wkracza . ochotniczo Leszek.

Latem wdrapanie się po stromiźnie porośniętego chaszczami, głębokiego jaru i wsunięcie przez okienko do wyciągniętych wyczekująco rąk małego pakieciku - acz dość karkołomne - nie było niemożliwe. Teraz, gdy hałdy śniegu dodatkowo utrudniają przedsięwzięcie, Leszek decyduje się na krok zuchwały.

Korzystając ze znajomości zawartej z Kolką Mierzlewcewem, swoim rówieśnikiem, namawia go do zabawy w pobliżu "chaładuszki". Następnie - wykorzystując moment, gdy komendant wchodzi do wnętrza na wieczorną kontrolę - wsuwa się za nim, niby cień, pod osłonę ciemności.

- Kolka, nie mieszaj, synok!¹ - zrzędzi Mierzlewcew, wyczuwszy obecność Leszka. - A to astawliu wmiestie s krysam!² dorzucą żartobliwie.

Leszek bezszelestnie stawia torbę z garnkami i chlebem przy ścianie, obok jednej z uwięzionych, którą przelotnie, na wyczucie ściska dłonią i wycofuje się niemalże między nogami klnącego już komendanta. Gonią go zdumione słowa:

- Kolka, czior! pabieri! Był i nietu, job jewo mat'³

Udana akcja napawa Leszka zasłużoną dumą, nie chce jednak narażać sprawy na niepowodzenie. Drugi raz nie ryzykuje wejścia "od frontu". Brnie przez śnieg - zapadając się miejscami po szyję - zboczem jaru, aż do okienka, przez które Lilka podaje mu pusty garnek i przejmuje pełny.

Odwrót okazuje się o wiele łatwiejszy, bo przetartym szlakiem za każdy następny raz nastrocza coraz mniej trudności. Wspinaczka śniegowym półtunelikiem mogłaby być przyjemnością, gdyby nie mróz.

Po powrocie Leszek mruga porozumiewawczo do wtajemniczonych i pośpiesza pod piec, by się ogrzać i obeschnąć.

Zdarza się mu także wykorzystywać do przemykania "paczek" Kolkę, który dość łatwo daje się namówić do udziału w tej "zabawie w ciuciubabkę z własnym, srogim ojcem". Na szczęście Mierzlewcew, po dwóch tygodniach, uwalnia

1. Kolka, nie przeszkadzaj, synku.

2. Bo zostawisz razem ze szczurami!

3. Kolka, do diaska! Był i nie ma! / tu rosyjskie przekleństwo /.

uwięzione, gdyż areszt potrzebny jest dla kogo innego: - wydarzenie przyjęte w baraku z podwójną radością. Dodatkowe ręce Lilki

przydają się do pomocy w gromadzeniu opału, którego przedtem dostarczał Zdzisław a teraz muszą to czynić dziewczęta. Inaczej nic z wieczornych spotkań "przy kominku", z gotowania zup i z tej odrobiny ciepła w samym "sercu" baraku - na korytarzu.

To, z czym Zdzisław radził sobie sam, robi - z niemałym wysiłkiem - sześć dziewcząt: Emilka, Dorota, Aniela, Lilka, Iza i Elżunia - za każdym razem po dwie, trzy równocześnie.

Początkowo wygrzebują spod zalegającego wyręb śniegu ogałęzie czy pnie, co znacznie przerasta ich fizyczne możliwości. Nigdy jednak nie rezygnują. Piec pochłania drewno łapczywie, nigdy nie nasycony. Dopóty - wspólnymi siłami - ciągną,

szarpia, rozkopują i rozgarniają śnieg, aż postawią na swoim. Także dowleczenie zdobyczy do baraku nie jest łatwe a już rozdrobnienie większych konarów czy pni urasta do rangi problemu.

Powrót Lilki niespodziewanie polepsza sytuację. Jest w typie Marka Tomczyckiego - z wzajemnością - toteż chłopak, pragnąc ją wyręczyć, pomaga pozostałym koleżankom. Stara się nie tylko dostarczać znalezione drewno pod ósemkę, lecz je również tnie i rąbie. Ponieważ jego matka nie akceptuje tego wyboru, Marek jak może

kryje się przed nią. Woli rozdrabniać drewno w miejscu znalezienia, ^{zasi} dziewczęta noszą je w naręczach ^{sane}, usiłując "nie dostrzegać", że Lilka zawsze nabiera polana ostatnia i ostatnia, z opóźnieniem, dociera pod barak.

Tak czy owak, piec w korytarzu stale jest otoczony. Od rana do wieczora ktoś tkwi, ukucnięty przy palenisku, przytrzymujący garnek lub czajnik. Bez przerwy coś perkocze w mniejszych czy większych rondlach. Bo miejsca wystarcza tylko na jedno naczynie. Stąd niekończąca się kolejka, przestrzegana zgodnie, w porządku, bez sprzeczek i zniecierpliwienia.

Szkoda, że piec w sieni nie jest przystosowany do gotowania

Służą innym celom. Wyższym. Przyciąga młokdziej nie tylko miejscową, lecz i zaprzyjaźnionych gości z zewnątrz - wszyscy ciasno zbici, jedno obok drugiego, bo miejsca niewiele. Szkopuł w tym, że słynąca z "wieczorków przy kominku" ósemka zwraca groźną uwagę samego Mierzlewcęwa, nieraz wpadającego tu zniem-

cka i wyszającego w milczeniu. Najwidoczniej uważa, iż „pańskie oko konia toczy” i że, na konfidentach nie można polegać. A może idzie mu/właśnie na skutek donosów/ o corpus delicti?

Widać nie w smak mu te spotkania, jednak je toleruje, prawdopodobnie, traktując jako źródło potencjalnych możliwości przykapania, na jakimś „gorącym uczynku”. Stąd częsty widok jego postaci przyklepionej do zewnętrznej strony drzwi, co jednak zgrómbotzeni wewnątrz, w niepojęty sposób, wyczuwają. Rozmowy toczą się wówczas niewinne, treść prosenek dozwolona.

Podczas gdy Marek z Kouradem przesiadują „przy kominku”, ich matka uczestniczy w spotkaniach korytarzowych. Popatrując na Emilkę,

wcale nie ukrywa, że taka właśnie synowa odpowiadałaby jej najbardziej. Emilka, posłyszawszy niechęć jej rozmowę z matką, czuje się niemal winna wobec Lilki, gdyż trudno jej ukryć, nawet przed sobą, że ten Marek, taki miły i wyjątkowo przystojny bardzo jej się podoba.

Z tego powodu niewiele sobie robi z tak smakowitych słów padających zewsząd, jak: mięso, kotlety, pasztet, drób nadziewany, indyk z borówkami, kaczka z jabłkami, kiełbasa taka, inna... Cytrynowa na przykład. Ach, cóż to była za kiełbasa! Albo pieczeń cielęca! Po nazwach sytnych, konkretnych idą bardziej wyszukane, perwersyjnie smakowite - istna rozpusta! A potem ciasta. Kruche i drożdżowe. Francuskie, półfrancuskie i parzone. Baby wielkanocne... Baby ucierane, drożdżowe, z rodzynekami... Placki z owocami, mazurki, faworki, pączki, ciasteczka... Ach, ileż gatunków ciasteczek! Można wyliczać bez końca. Można podawać przepisy, zapamiętywać je, nawet zapisywać. A na Boże Narodzenie!... A na Wielkanoc! Imieniny, przyjęcia, zaproszeni goście... Co tam goście! Sami jadali to wszystko! Ach, wrócić! Wrócić i spotykać się cyklicznie na dorocznych zjazdach, spotkaniach towarzyskich w najznamienitszych restauracjach, w pierwszorzędnym kawiarniach! Mój Boże, mój Boże, niech by WROCIC! T A M umrzeć, nie zostać

"pod bieriozkami"!

Temat ten pochłania także młodych. Słowo POLSKA dominuje. Eliminuje wszystkie pozostałe. Nie mają co prawda zwyczaju/jak towarzystwo korytarzowe starszych i dzieci/modlić się wspólnie na zakończenie spotkań "przy kominku", jednakże i tu nastrój typowo rozrywkowy przeplata się nierazdkiem z podniosłym. Repertuar patriotyczny/Mazurek Dąbrowskiego, Rota, Warszawianka, Z dymem pożarów, Boże coś Polskę, Serdeczna Matko/ na zmianę z lżejszym: Upływa szybko życie, W lesie ryby w stawie grzyby, Płonie ognisko, Szła dziewczeczka, Cóż bez miłości wart ten świat i inne.

Przy tym rozmowy, rozmowy, rozmowy... I gry towarzyskie. "Dymna zasłona" dyskretnych flirtów. W trakcie Listonosza, Pomidora, Głucnego telefonu czy Złotej kuli można tak wiele - bez słów - powiedzieć! Nie brak i prawdziwie zakochanych/Lilka z Markiem/, lecz i ci nie ariszują się zbyt. Trzeba tylko mieć uszy i oczy szeroko otwarte, nie dać się podejść

Mierzlewcwowi, w porę zmieniając zakazaną melodię i słowa. Jeśli, stojąc pod drzwiami, był przekonany, że słyszy "Zwycięży Orzeł Biały, zwycięży polski lud", to - otworzywszy je gwałtownie - zastaje się grzmiącą niewinnym "Oj nie kocham tej dziewczyny, bo zakazała matka. Marysia!".

Oprócz braci Tomczyckich do stałych bywalców wieczorów "przy kominku" należą inni goście spoza baraku. Więc: Zbych Kulik z siostrami Renią i Lucją/dziewczęta wyjątkowo pięknonogie/, Władek Maliński - uczeń przedostatniej klasy gimnazjum imienia Mikołaja Reja w Warszawie oraz rosyjski Żyd, Diomka Krauze - jedyny przedstawiciel prawostronnej strefy semickiej zadający się towarzysko ze swymi polskimi rówieśnikami.

Korytarzowców - zwłaszcza panią Tomczycką - gorszy, tolerowana wśród młodzieży, n i e b y w a ł a swoboda oraz brak wszelkiej etykiety. - Któż to widział, żeby dziewczęta pokazywały się chłopcom w nocnych koszulach! Ze się z wierzchu niedbale czymś okryją!... Emilka tak nie postępuje - podkreśla pani Tomczycka ze znaczącym naciskiem, co wreszcie wyjaśnia jej niechętny stosunek do Lilki jako sympatii Marka.

Na szczęście jej młodszy syn, Konrad, nie interesuje się jeszcze panionkami, jeśli nie liczyć Ingi, którą woli od rówieśnic, nieśmiały do tego stopnia, że - gdy zakochana w nim dziewczynka woła natarczywie, wyciągając rączki: - Weź mnie! - rumieni się ze wstydu, jak jabłuszko. Pani Tomczycka, w skrytości serca, robi plany połączenia go w przyszłości z Emilką - jedyną dziewczyną rzadko uczestniczącą w spotkaniach "przy kominku", pozostającą w cieniu, do tego stopnia wstydliwą, że wymiguje się od czynnego udziału w grach, co pogłębia się od chwili, gdy - za przegrany fant - ma ją pocałować najprzystojniejszy chłopak, Diomka.

- Panno Emilko! Czy mogę? - Diomka uśmiecha się tak ślicznie, że Emilce zapiera dech w piersiach.

- Nie! - woła zbyt kategorycznie i czym prędzej ucieka.

Zawrócona przez Izę, kuca ponownie w kąciku, przyłączając swój nieśmiały głosik do innych.

"Upływa szybko życie,

Jak potok mija czas.

Za rok, za dzień, za chwilę

Razem nie będzie nas".

Nie patrzy na nikogo, zwłaszcza na Diomkę, myśląc, że lepiej by zrobiła pozostając w kanurze i nanosząc drobnym maczkiem, w jedynym posiadanym zeszycie, wszystkie ważniejsze wydarzenia oraz przeżycia. Każda koleżanka wie - w razie potrzeby - gdzie jej szukać.

- Znowu maczki siejesz? Chodź do nas, posiedź "przy kominku" - zachęca roześmiana, szczęśliwa, niezwykle wypiękniąca Lilka a gdy to nie skutkuje, wyśpiewuje prośbę ^{ny}głosem. - Potzuć pracę żmudną, powiedz sobie: "trudno" i chodź bawić się! - Szczęścia Lilki nie potrafią przyćmić nawet nie kończące się kłopoty z nogami. Lecz Emilka nie potrafi się weselić. Nie umie, jak jej rówieśnice, zapamiętać, gdzie się znajduje, nawet na krótką chwilę. Nie chce, jak Iza - zakochana bez pamięci w Zdzisławie - cierpieć i płakać po kątach od czasu jego aresztowania.

Pozbawiona matki i chłopca, Iza staje się niemal martwa. Często płacze i prawie nigdy się nie uśmiecha. Ci spośród młodzieży, którzy jeszcze nie zostali tak ciężko doświadczeni, nie chcą myśleć o łagrowym koszmarze. Pragną miłości i tego związanego z nią wybraństwa dusz *olajęcego zapomnienia.* Chcą patrzeć sobie wzajemnie w oczy, ujmować za ręce, kraść pocałunki dozwolone konwencją gier towarzyskich *i nie tylko.*

Oprócz Mierzlewcewa zakłócenia w spotkaniach "przy kominku" wprowadza - samą obecnością - "Zyz von Drynda". Na jej widok kto żyw, nabiera wody w usta. Barak bojkotuje ją bezlitośnie. Jedyne ostrożne do przesady Wiktorie rozmawia z nią uprzejmie. I nie wybucha śmiechem po jej zniknięciu, co czynią niemal wszyscy. † nie zwraca uwagi na wymówki, podporządkowana jednemu celowi; Zawieźć wszystkie dzieci do kraju. *Dama Wiktorie, nieostrożnie do gryzająca, "Bezimiennemu" przestała istnieć.* Na skutek przesiadywania "przy kominkach" drewno opałowe po prostu niknie w oczach. Emilka z Elżbietką - nic nikomu nie mówiąc - najbliższą wolną od "woskreśnika" / "dobrowolną" pracą, od której nie ma odwołania / - niedzielę poświęcają na uzupełnienie zapasu opału. Wygrzebane spod śniegu sęki nie przedstawiają ^(jednak) większej wartości; dziewczęta są rozczarowane.

- Gdyby tak konia mieć - wzdycha Ela. - Dopiero byśmy kupę przywiozły!

- Może by pójść do komendanta? A nuż da! - proponuje Emilka.

- Nie da - Elżunia nie ma złudzeń. - Wiesz, jak on nas nienawidzi.

- Racja. Lepiej pójść do Gałuszki. Albo do dziesiątnika.

W nadziei wydębienia konia, zabierają - na drugie podejście - pozostałe koleżanki z baraku. Wspólnymi siłami gromadzą na olbrzymim stosie nie tylko *moc* gałęzi i sęków, ale i małych, zrąbanych własnoręcznie drzewek. Nie brakuje też grubszych pni autentycznie wydrapanych spod warstwy stwardniałego śniegu.

- Będzie co robić w przyszłą niedzielę - cieszą się pomimo zęczenia.

Przed Danyłowem stają już w sobotę, po skończonej *dniewce.*

- Prosimy o konia z wałakuszą na jutro. Opał chcemy z lasu zwieźć.

O wałakuszy - *szerokich podsankach* do wożenia drewna -

przyponina sobie w ostatniej chwili Elżunia. Są to niby-sanie podzielone na dwie części: przednią, jadącą tuż za koniem i tylną w odległości uzależnionej od długości przewożonego *pnia*. Mówiąc prościej, *wałak*^{kosza tej} dwie podwójne płozy połączone sznurem.

- A umiecie wy obchodzić się z koniem? - pyta dziesiętnik, człowiek, o którym w posiołku mówi się, iż przez pomyłkę urodził się jako rusk
- Naturalnie! - wykrzykują obie na raz, aczkolwiek żadna nie ma o tym zielonego pojęcia.

- Charaszo! Przychdźcie zatem jutro z samego rana, jak tylko się rozwidni - zgadza się Danyłow.

Niebo przejaśnia się dopiero około dziesiątej, jak to zimą. Pół do jedenastej dziewczęta otrzymują obiecanego konia. Imieniem Zorka - steranego harową i wiekiem nędznego gniadosza, jeszcze ładnego, choć ledwie zipiącego, z białą strzałką na czole i śmiertelnie smutnymi ślepskami.

Pozostawione samym sobie, dłuższą chwilę *popatrują* niepewnie to na Zorkę, to na siebie.

- Emiluś, potrafisz ty go zaprząć?

- Nigdy tego nie robiłam, *A* ty, Eluś?

- No wiesz, do bryczki to bym może zaprzęgå. Nieraz widziałam, w naszym Maniewie, jak robi to chłopak stajenny. Ale do tego?... - ukażuje *wałakuszę*.

Gdyby nie wstyd, gotowe są wyrzec się i konia, i sań. Tyle tych elementów, *który* do czego, lichy wie! Jakies liny, drewniany łuk... Wiadomo, że trzeba go umieścić ponad końskim łbem. Lecz czym to umocnić pod spodem? Powietrza nie będzie się trzymał.

Przechodzący mimo rodak patrzy na nie obojętnie, nie tylko nieskory do pomocy, ale i urągający pod nosem.

- Dobrze wam, pany! Popróbuście, jak to słodko pracować!

Zza płotu, gwizdząc przeraźliwie, wychyla się do połowy *(tłokowia)* znany kpiarz i wisus, Michał Dworkowski, brat wesołej, ślicznej Danieli, która bezkarnie zamalowała w dysk

A. Dobrze.

rajkomendanta.

- A co to panie tam robią? - Michał przerywa na moment gwizdanie.

- Daj spokój. Ten nam z pewnością nie pomoże - mówi półgłosem Ela. - Najwyżej wykpi.

Emilka zdaje się nie słyszeć ostrzeżenia. - Konia chcemy zaprząć - melduje bez namysłu - ale nie wiemy, jak się do tego zabrać.

- Niech panie poczekają, zaraz przyjdę. - Jednym susem przesadza ogrodzenie, po czym - roześmiany od ucha do ucha - w parę sekund przytwierdza Zorkę do wałakuszy.

- A czy panie dalej sobie poradzą? - martwi się nieoczekiwanie. - Może z paniami pojedą?

- Dziękujemy, chyba damy radę - protestują, jedna przez drugą, więc Michał - gwizdząc jeszcze głośniejszym niż poprzednio - ponownie znika za płotem.

Zorka, niestety, od razu wyczuwa, z kim ma do czynienia i za nic nie chce ruszyć z miejsca.

- Jedź, Zorka, Jedź kochany koniku - proszą dziewczęta na zmianę, jednak Zorka najwyraźniej je ignoruje. Tylko jej przeraźliwie zapadnięte boki drgają lekko a bardzo, bardzo smutne oczy patrzą gdzieś przed siebie.

Emilce robi się żal zagłodzonej szkapy, którą one - po całym tygodniu ciężkiej pracy - chcą zmusić do nadprogramowej harówki.

Obie ^{zaczynają} delikatnie głaskać skórę na żebrach, na chudych kłębach.

- No spróbuj, Zoreczko. Spróbuj! My musimy. Nie mamy już drewna na opał. Jedź, maleńka!

Konisko, jakby rozumiejąc cudzoziemską mowę, rusza powoli, lecz - ujechawszy paręnaście metrów - zatrzymuje się. Wyprowadza to Elżbietkę z równowagi.

- Czeka ty, leniwe stworzenie. Ja cię poprowadzę! - Skacze w bok, by złapać uzdę i zapada się po pas w śnieg. Parę następnych chwil obie

-jedna na ścieżce, druga wciąż w zaspie - zaśmiewają się do rozpuku. Wreszcie Emilka, ułamawszy gałąź z pokrytego zastałym śniegiem krzaka, podaje jeden koniec koleżance i wyciąga ją na utwardzony przesmyk.

W momencie, gdy gałąź znajdzie się w dłoni Emilki, Zorka zaczyna niespokojnie strzyc uszyskami, kiedy zaś Ela staje z powrotem na drodze, konisko rusza z kopyta, jakby dźgnięte czymś ostrym. Pędzi tak, że niełatwo je dogonić. Co się dziewczęta do niego przybliżą - Emilka wciąż z gałęzią, którą bezwiednie wywija - Zorka przyśpiesza.

- Słuchaj! Ona boi się kija! - woła Ela. - Rzuć tę gałąź albo ją schowaj za plecami, bo nigdy jej nie dogonimy!

Istotnie, klacz reaguje na kij bezbłędnie. Kiedy, zmęczona, przystaje, wystarczy pomachać jej przed nosem gałęzią, by znów nabrała wigoru.

- Ona jest bita, biedaczka - myśli współczująco Emilka i serce pęka jej z żalu, że musi to doszczętnie wyeksploatowane zwierzę wykorzystywać.

Załadowanie wałakuszy wykańcza także dziewczęta. Tymczasem Zorka płata im nowy figiel. Gdy usiłują ustawić wałakuszę w kierunku powrotnym, koński łeb ucieka nagle poza chomątę, uprzęż się splątuje a one stoją bezradne i zrozpaczone.

- To koniec - stwierdzają zgodnie. - Chyba tu razem zamarzniemy, bo bez Zorki nie mamy po co wracać. Murowana "ciurma"!

Mimo wszystko rozglądają się z nadzieją po lesie i - ku swemu niedowierzaniu - dostrzegają czyjeś popiersie wystające ze śniegu. Nic, tylko głowa i ramiona. Ramiona przybliżają się do twarzy, po czym rozlega się głos. Donośny głos Daniela.

- Hej-hej! A co wy tam robicie?

- Przyjechałyśmy po drewno! - przekrzykują się wzajemnie. - Ale koń nam wylazł spod tego drewnianego!

- Spod czego!

- Spod drewnianego!

- A cóż to takiego?

- A licho wie! - *Na takie dictum* Daniela decyduje się przeko-
pać do nich przez śnieg - zadanie o tyle łatwiejsze, że
dawno nie padało, więc biała powierzchnia jest , po wierzchu,
stwardniała. Mimo to, po dotarciu do koleżanek, Daniela przypomina bał-
wana. Spojrzawszy na zaprzęg, wybucha śmiechem tak hucznym, że aż się
krztusi.

- Aleście to splątały! Trzeba mieć talent, żeby tego dokonać, bo normal-
nie nikomu by się nie udało!

- A co ty tutaj robisz!? - dziwią się. - Sama w lesie?

- Pracuję.

- Przecież niedziela.

- Co to dla nich niedziela! Muszę oczyścić drogę, którą wożę dłużyce.
Tę nad sztablami. *Jeszcze byś, Emilko, została bez pracy
w poniedziałek!*

Śmiejąc się i gwizdząc, momentalnie robi porządek z Zorką i
wałakuszą.

- No, przynajmniej się do czegoś przydała moja praca z koniem! - cieszy
się, obserwując, jak postraszona patykiem Zorka, zastrzygłszy
uszami, rusza posłusznie.

Nieskazitelnie biały, aż błękitnawy śnieg skrzy się w słońcu, niby łan
rozsypanych pod nogami brylantów - to światło słoneczne załamuje się
w drobinach śniegu, powodując, iż przestrzeń chwilami płonie barwami
tęczy.

- Eluś, widzisz? - Emilka nie wytrzymuje naporu wrażeń.

- Co takiego?

- No, to wszystko dookoła; takie piękne... Nie do opisania, nie do uwierze-
nia, gdyby się chciało komuś opowiedzieć. Komuś, kto nie widział na własne
oczy. Jak w jakiejś baśniowej krainie.

- Którą na nieszczęście włada wyjątkowo wredny czart - rzuca przytomnie
Elżbietka, krocząca tuż przy pysku Zorki. - Tymi "brylantami" się nie

najemy ani nic za nie nie kupimy. A ten "cudowny widok" może nas jeszcze drogo kosztować. Nie bądź taka pewna czy będziesz miała okazję komukolwiek go opisać.

Tak się w tym momencie upodabnia do swej wiecznie pomstującej matki, że Emilka żałuje *własnej* wylewności, na którą się przecież nieczęsto zdobywa.

- Ma rację - myśli. - Możemy tu zostać na zawsze. A jednak szkoda, że tyle piękna po prostu się marnuje. Och, być wolnym człowiekiem; ciepło ubranym, najedzonym, podróżującym saniami...

- Jestem taka głodna - odzywa się Ela - że zjadłabym nawet Zorkę, gdyby to było możliwe - macha kijem w okolicy końskiego łta. - Pośpiesz się, kochana, bo czuje moje serce, że w baraku dostaniemy gorącej zupy. *Inaczej nie oszczędzałabym* *Iski.* Zorka zdaje się pojmować, że jest to droga powrotna, więc robi, co może. Szelma, załadowane sanie ciągnie dwukrotnie szybciej, niż przedtem pustą. Rzecz jasna, odpoczywa i teraz, ciężko robiąc bokami a one czekają wyrozumiale, aż - odsapnąwszy - rusza *znów.*

Pod barak docierają o godzinie trzeciej, czyli o zmroku, gdy do zapadnięcia całkowitych ciemności tylko krok, wobec czego muszą zrezygnować z zamiaru zrobienia drugiego kursu. O szesnastej, o tej porze roku,

spada nad tajgę głęboka, czarna noc. Zresztą, dnia w tym czasie niewiele. Widno bywa jedynie między godziną jedenastą a czternastą.

Nie ma już *wtedy* rąbać przywiezione *drewno*, trzeba przecież odprowadzić Zorkę.

Następne wyprawy do lasu mają już pomyślny przebieg. Dziewczęta - nauczone doświadczeniem - radzą sobie zupełnie nieźle. Rozzuchwalone - zamiast wyszukiwać i wydłubywać odpowiednie kęsy spod śniegu - ścinają co cieńsze świerczki sposobem podpatrzonym u drwali.

Niestety, nie zawsze mogą liczyć na wypożyczenie steranej Zorki. Zmartwione, decydują się na krok zuchwały: ścięcie wielkiej brzozy rosnącej vis a vis baraku.

Brzoza *to* wiekowa, potężna i dziwacznie powykręcana. Jej gruby pień - od samej ziemi - pnie się ku górze,

pochylony mocno w prawo, w połowie załamuje się i ciąży w lewo, jak gdyby pod ciężarem ogromnej, zwisającej ku dołowi, korony. Wykopanie jamy wokół podstawy pnia to fraszka dla paru dziewcząt. Główny problem, to ustalenie kierunku upadku po podpiłowaniu.

- Pień gruby, więc chyba w prawo?

- Ale znowu ta korona! I jakie konary! Jeden z nich mógłby być osobnym drzewem a tyle ich jest!

- Racja. Zdecydowanie przeważą korona - zgodnie przystępują do podciosywania a następnie piłowania.

Zakleszczenie piły przerywa na pewien czas pracę, Trwają narady.

Zostawić brzozę w spokoju? Niemożliwe! Zbyt głęboko podcięta. W razie silnego wiatru może kogoś zabić!

- Ależ z nas leSORUBY! - kpiąc i wzdychając, zabierają się ponownie do dzieła. Wbijając wciąż nowe kliny, tną wytrwale dopóty, dopóki ostrze piły nie sięgnie przeciwległej krawędzi pnia.

- Wspaniale! Ależ sukces! Równiutko, bez pozostawienia wielkiej drzazgi po zwaleniu! - błyskawicznie usuwają piłę ^(wdrapują się na górę) i uskakują w miejsce ^{wcześniej} uznane za bezpieczne.

I w tym b e z p i e c z n y m miejscu przeżywają chwile prawdziwej grozy. Olbrzymia brzoza zrazu ani drgnie, nieruchoma, jakby się namyślając. Raptem, trzeszcząc złowieszczo, nieoczekiwanie wykonuje zręczny skręt w prawo, gdzie akurat stoją dziewczęta, i tak pochylona, zaczyna powoli obracać się wokół własnej osi, sypiąc przy tym obficie śniegiem.

Niezdolne do działania, wpatrują się oniemiałe, jak - po wykonaniu pełnego obrotu - olbrzym pochyla się zdecydowanie w tył i, niby pchnięty potężną jakąś siłą, pada w śnieg.

Długą jeszcze chwilę trwają nieporuszenie, czując się cudem ocalone, zanim przystąpią do odrąbywania konarów, piłowania pnia, rąbania okrągłaków. Jeden z nich okazuje się tak odporny, tyle ma splątanych słozi, że przeznaczają go na siedzisko "przy kominku".

- No, teraz nie tylko Boże Narodzenie opędzi się tym opalem - cieszą się dziewczęta - ale i Nowy Rok!

Boże Narodzenie zbliża się istotnie, co wywołuje nową falę uczuć i tematów rozmów "przy kominkach." Wiktoria nie bierze w nich udziału. Od trzech tygodni przykuta do pryczy, krwawi bez przerwy, w stanie tak krytycznym, że sąsiadki przestają się ludzić.

- Lepszych "pod bieriozki" wywożą, biedne te dzieci. Szczególnie Ina - wzdychają. Emilka nie poddaje się rozpacz. Walczy z nią, jak może.

- Mamusia nie umrze! Nie umrze! - myśli intensywnie. - Nje może! Przecież ten, kto odprawił dziewięć pierwszych piątek miesiąca nie odejdzie bez Sakramentów. A tutaj nie ma księdza! Byłoby do czekać się paczki! - żałuje, że nie pomyślała o liście do Holubicz z prośbą, o ziola baptystki jeszcze przed chorobą, matki. Teraz pozostało czekać.

Z Wiktoria, jest tak źle, że chwilami traci przytomność.
dzieci! - Zaraz!... Zaraz wniosą, gęś - mający. - Jaka rumiana! Jedzcie!
Dorota, zalewając się łzami, modli o rychłe naolejście pączki, gotowa gnąć przez zasłoniętą tajgę ku Siewtrze nawet za cenę następnego jęczmienia, na drugim oku. Aktualny - skutek szybkiego marszu na czterdziestostopniowym mrozie - dokucza jej ogromnie; olbrzymi, czerwony, niesłychanie bolesny. Dorota nie ma nawet możliwości szukanie pomocy u wracza. Jest to fatalny moment tuż po wizycie Sienowozowa w szpitaliku - a pielęgniarka zupełnie nie wie, co poradzić. Zanim miną dwa tygodnie, jęczmień znika samoistnie, lecz w prawym oku - zaczerwienionym i bolesnym - wytwarza się stan zapalny.

- Idź, córuś, do konowała. Akurat przyjeżdża - radzi słabym głosem Wiktoria. - Z okiem nie ma żartów.

Sienowozow, jak zwykle solidnie pijany, obejrzawszy oko, oświadcza:

- Tutaj trzeba maści. Inaczej spojówka pęknie. Ale maści niet¹ - w jego zamglonych oczach rysuje się wytężona praca myśli.

(rozjasnia się.)
-²Niczewo! Mam za to krople petardowe. Też dobre. - Zapuściwszy olo chorego oka lekarstwo, każe zgłosić się za dwa tygodnie na następne zakraplanie.

1. wie ma.
2. wie szkodzi.

Krople okazują się skuteczne. Przynoszą, Dorocie ulgę. Za to stan Wiktorii pogarsza się z dnia na dzień. Z wysoką temperaturą, leży niemal bez ruchu, wyczerpana do ostateczności zbyt już długim upływem krwi.

Paczka z Hołubicz/w niej zbawienny *specyfik* baptystki i nieco produktów żywnościowych/*niewiele wyprzedza* Wigilię - najsmutniejszą ze wszystkich dotychczasowych, rodzinnych Wigilii. Nie rozpacza tylko Inga, nieświadoma zagrożenia sieroctwem. *Na szczęście zioka baptystki zażegnują niebezpieczeństwo, chociaż nie przywracają chorej siły.* Za cienkim przepierzeniem ściany - również chorą - leży od pewnego czasu "Zyz von Drynda", o czym z niedobłą w głosie radością, informuje Dorota.

- A "Iisie Oczo" zdycha samotnie! Kulawy pies nie złoży jej życzeń, Niech zdycha; szpiegowa! - *wykrzykuje mściwie.*

Wiktorcia nieruchomieje na swej narze, potem przywołuje gestem Emilkę.

- Córeczko, pójdź do pani Turkot, dowiedz się, co z nią. I z Iusią... - *wyczerpana, milknie.*

Emilka jest wzburzona tym poleceniem, po raz pierwszy zbuntowana. Lecz jak odmówić chorej matce!

- Ta p a n i ma zapalenie płuc - informuje po powrocie. - Bardzo jest wychudzona i słaba a Iusia bez przerwy płacze.

Wiktorcia nie waha się ani sekundy.

- Weź, moje dziecko, kamforę i natrzyj ją. Tak trzeba - dodaje na widok zbuntowanej twarzy córki. - Dziś Wigilia. Największemu wrogowi się przebacza.

Emilka jest posłuszna i tym razem, tylko - wchodząc do sąsiedniej kankury - rozgląda się niespokojnie. Kontakty ze szpiegiem nie są dobrze widziane. Już nieraz Wiktorię spotykały wymówki sąsiadek za jej uprzejmość wobec "Zyz von Dryndy".

Turkotowa przyjmuje pomoc z wielką wdzięcznością, lecz nie mniejszym zdumieniem, jako pierwszy bodaj przypadek, że ktoś ze społeczności barakowej ją odwiedza, że ktoś, samorzutnie - z wyjątkiem władz - jest nią zainteresowany.

Poprzedzającej wigilijną kolację modlitwie przewodniczy - tym razem - Anieli. Ona również kamie się ze wszystkimi skrawkiem zachowanego z lepszych czasów opłatka, wypowiadając najmiłsze wszystkim życzenie: wrócić do Polski i spotkać się z ukochanymi.

Nikt nie próbuje powstrzymać też. Niech płynie. Płacze także Inga, aczkolwiek nie wie, dlaczego. Dopiero aromat rozlewanej przez Emilkę, a ugotowanej przez Anielę, gęstej kartoflanki z dodatkiem suszonych grzybów i maki zmienia nastroje. Po kolacji Wiktoria posyła Emilkę z życzeniami do sąsiadów.

- A nie omiń tam i Turkociny - napomina, lecz - tym razem - dziewczyna nie wypełnia polecenia. Co innego natrzeć chorą a co innego życzyć wszystkiego dobrego donosicielce. Mbże ją jeszcze całować!

Przeżywa wprawdzie moment wahania, lecz niechęć zwycięża. Z pełną świadomością omija drzwi wykluczonej ze społeczności.

Nimo to nie uniknie przykrości ze strony koleżanek. Ktoś musiał ją widzieć, wchodzącą do zakazanej strefy przedtem. Zdarza się, że - zbliżając się do grupy koleżanek - słyszy ostrzegawcze: "Cii..." - wypowiedane zwykle przez Izę.

Emilka jest zrozpaczona.. - Dlaczego, mamus. Dlaczego musiałam tam wejść! - Czuje się niewinna, niezasłużenie skrzywdzona, lecz nie ma żalu do Izy, dotychczas przecież przeżywającej aresztowanie matki. Jednak nie może dłużej znieść tej strasznej atmosfery posądzania, podejrzliwości i wyraźnie rysującej się izolacji. Musi się przełamać. Musi pokonać wrodzoną nieśmiałość i niechęć do publicznych występów. Przeba to wyjaśnić. Inaczej lepsza śmierć! Zdeterniowana, roztrzęsiona wewnętrznie, wchodzi do kanury sióstr Mańskich.

- Co to wszystko ma znaczyć? - wypala bez żadnego wstępu. - To unikanie mojej osoby. Te jakieś podskórne pretensje. Chcą wiedzieć, o co chodzi!

- Zdaje ci się. Daj spokój - próbują się wywinąć siostry, jedna przez drugą, co nie powstrzymuje Emilki od kategorycznego żądania wyjaśnień.

- Chcesz wiedzieć? Koniecznie? - ustępuje Iza. - To może przedtem będziesz łaskawa wyjaśnić, co robiłaś w wigilię u "Zyz von Dryndy"?! Całe piętnaście minut! I o czym to twoja mamusia z nią rozmawia, co zdarza się nierządno?

Emilka opowiada o wszystkim, nie pomijając żadnego szczegółu. Nawet własnych wewnętrznych rozterek.

 Czy postąpiła po chrześcijańsku, nie składając chorej życzeń i lekceważąc polecenie matki?
Tłumaczy również motywy postępowania Wiktorii.

- Mamusia robi jej wodę z mózgu - mówi z przekonaniem. - Nawet nie wiecie, ile razy odwraca - kota ogonem, gdy ją "Lisie Oczko" o coś podpytuje, ratując w ten sposób ludzi wcale tego nie przeczuwających. A kto bronił waszej mamy podczas przesłuchania? Nie pomogło, niestety, lecz fakt pozostaje faktem!

- Wiesz co, Miluś, nie poznaję cię! - zdumiewa się Elżunia. - Jeszcze cię, tak elokwentną, nie słyszałam. Daruj. Złe się stało, żeśmy cię pierwsze nie wzięły "na dywanik", zamiast się boczyć.

Od tego dnia ^{między koleżankami} powracają dobre stosunki i żadna żadnej nie ma niczego za złe.

Także Wiktorii sprawia wrażenie, że nie śpieszno jej "pod bieriozki". Wprawdzie lekarstwa jest niewiele/tylko jedna buteleczka, gdyż druga źle zakorkowana - dotarła niemal pusta/, lecz i ta ilość skutkuje. Wydaje się, że wszystko zmierza ku dobremu, bo nawet Dorota czuje się lepiej. Po drugim zakraplaniu oko mniej dokucza a nawet traci odcień czerwieni. Mimo to powieka wciąż ^{Z tego powodu} ropieje. - ^{gdy nadejdzie} wyznaczony przez Sienowozowa termin kolejnego zakraplania - decyduje się pojsć. Mimo że Iza, poproszona o towarzyszenie, zdaje się tego nie pochwalać.

- Mnie, na twoim miejscu, nawet kijem by nie zapędził do tego pijanicy. Skoro jednak chcesz, idziemy.

Sienowozow jest bardziej pijany, niż zazwyczaj. Najpierw długo szuka kropli petardowych, następnie - jeszcze mniej sprawnie - usiłuje wprowadzić je do pipetki. Zniecierpliwiony, zmienia kropłomierz, co pobudza młodą pielęgniarkę do skrywanego chichotu i - znów bezskutecznie - zanurza go w buteleczce z lekarstwem.

Dorota, siedząc na taborecie, zastanawia się:

- Może jednak te krople nie są mi już potrzebne? Brak jej jednakże odwagi, by wstać i podziękować wraczowi.

Wreszcie usiłowania Sienowozowa zostają uwieńczone sukcesem. Dorota przechyla głowę do tyłu, on zbliża się do niej na niepewnych nogach, niezdarnie odchyła palcem dolną powiekę i naciska gumkę pipetki.

W tejże sekundzie z ust Doroty wydobywa się przeraźliwy krzyk.

- Jod! Jod! Jod! - krzyząc wciąż, gdyż ból w oczodole czy też w całej czaszce doprowadza ją do szaleństwa, zrywa się na równe nogi i, na óslep, wypada na korytarz, gdzie czeka na nią śmiertelnie przerażona Iza.

Dorota nie widzi jej, jak nie widzi niczego wokoło, lecz wie, że koleżanka tu jest.

- Iza - łka głośno. - Prowadź mnie! Prowadź do baraku. Ja nic nie widzę! Ciemno... Tylko ciemność. Iza, ratuj!

Prowadzona troskliwie, stąpa, jak ślepiec, powtarzając w kółko:

- O Boże, Boże! Po co ja do niego poszłam! Po co!? Po co szłam do tego konowala!

Zanim dotrą do baraku, przekona się - ku swemu szczęściu - że lewe oko jest w porządku.

- Leszek, lusterko! - woła już od progu, lecz, przejrząwszy się w odłamku, wpada w rozpacz tym większą. Prawego oka po prostu nie ma. Zamiast niego, w głębokim oczodole, zalega galaretowata masa. Jak wrośnięta w podłogę, stoi za nią Wiktorcia /właśnie zaczęła się podnosić z pryczy/.

Dorota, uczuwszy dłonie matki na plecach, zanosi się płaczem tym głośniejszym.

- Mamusiu! On mi nalał jodyny, zamiast kropli petardowych!!
Wiktoria drży na całym ciele z wrażenia a także z osłabienia.

Odziewszy się pośpiesznie, chwyta córkę za rękę.

- Idziemy!

Wręcz nie wygląda na przejętego pomyłką. - Niczewo!¹ - rzuca beztrosko. - Ja swajej plemiannice czerez aszybku lapisu nalił w gładz dziewczka smotrit na bielej swiet. Niczewo jej nie było i etoj nie budiet² - wyjmuje z oszklonej szafki pudełeczko z czymś żółtym, przypominającym wazelinę, nabiera na palec wielką pecynę i kituje tym galaretowaty oczodół. Następnie - wyjątkowo sprawnie, co świadczy, że musiał nieco otrzeźwieć - bandażuje oko wraz z głową, wręcza Wiktorii pojemniczek z maścią, dokłada jakiś płyn do przemywania i wyprawia z zapewnieniami, że nic "dziewczonkie nie budiet". Uważa przedtem za stosowne wytłumaczyć, jak doszło do pomyłki. To asystentka nalała jodyny do buteleczki po kroplach petardowych w braku innej pod ręką, wobec czego "winowatych niet".³

Dorota ma wiele szczęścia. Kropla jodyny trafia w sam kącik oka, co je w konsekwencji ocala. Lecz snaj, na razie o tym nie wie, przekonana, że oko jest stracone. Szlocha bez przerwy, aż do powrotu Emilki z lasu. Dopiero ta potrafi przemówić do niej skutecznie.

- Dziękuj Bogu, że chociaż jedno oko ci zostało!

Następnego dnia, po obudze^{eni} Dorota nie może się doczekać, aż się rozwidni.

Musi jak najprędzej zobaczyć, co z okiem!

Widok jest paskudny. W miejscu oka widnieje monstrualnie opuchnięta, sinoczerwona szczelina z żółtawą masą wewnątrz. Przed zdrowym okiem ukazują się migające, czarne platy. Dorota drętwieje ze strachu.

Slepnę!!!! O Boże! - chwyta książeczkę do nabożeństwa, usiłuje czytać, co powoduje natychmiastowe powiększenie się i zagęszczenie czarnych plam. Przerażona tym mocniej, zamyka książeczkę i modli się z pamięci. Nie myśli o głodzie.

1. Głupstwo!

2. Przez pomyłkę nalałem swej kuzynce lapisu do oka i widzi. Nie się tamtej nie stało, to i tej nie zaszkodzi.

3. winnych nie ma.

nie czuje ssania w żołądku po raz pierwszy zaciśniętym tak, że nie mogłaby nic przełknąć.

Wiktorii, obserwując córkę z boku, uznaje, iż czas interweniować. Przemywa ostrożnie biedne miejsce po oku otrzymanym od Wracza¹ płynem, nakłada nową porcję maści, bandażuje głowę.

Dla Doroty rozpoczyna się czas wzmożonego cierpienia. Ból, ciągłe zmiany opatrunków, strach przed utratą wzroku i noce. Najgorsze ze wszystkich noce, podczas których śpiący pokotem obok siebie - łatwo mogą urazić chore oko przez sen. Zwłaszcza Inga, która - by nie kopnąć Wiktorii w ^(obolary)brzuch - sypia między starszymi siostrami. Noc oznacza coś jeszcze gorszego: ^(ewentualny)atak szczyrzy spowodowany wonią rany.

Emilka sypia cichutko, zmęczona ^{dzienną}mordęgą, gdyż praca w lesie wciąż trwa. Styczeń dobiega końca, nie zapowiada, że kiedyś nastanie tu lato i nie ma nadziei na uwolnienie się od pracy przy sztablach, niezmiennie w parze z Izą.

Udaje im się właśnie zsunąć w dół ^(na traktorne sanie)wyjatkowo gruby świerkowy bal, gdy z góry dolatuje okrzyk Daniela i, równocześnie, brzmi gong "na zakurku".

- Hop-hop! Zabierajcie! - szczerpła sylwetka Daniela rysuje się ostro na tle bieli śniegowej.

- Po obiedzie! - ^{odkrykują,}

Gdzieś z nieda^{leka} dociera wołanie Michała.

- Daniela, na obiad! Heeeej!!! Zupa z trupaaaa!!! - wydziera się chłopak.

Daniela, równie wisusowata, jak jej brat, zaczyna zjeżdżać na siedzeniu ze stromizny. Śmiejąc się i gwizdząc, zwinnie manewruje w przesmyku pomiędzy dwoma sztablami - widok napawający otuchą, skrajnych nawet pesymist^{ów}. Michał pohukuje jeszcze wtedy, gdy siostra znajdzie się przy nim, jednako niez mordowany.

Emilka z Izą enogłdają na rodzeństwo z podziwem. Tych to nie nie pokona!

Kija równy tydzień, gdy - z tego samego miejsca - z trudem rozpoznają, w biegnącej ^(na)traktorną drogą postaci, wesołą Danielę. Nie jest wesoła. Nie śmieje się i nie gwizdzc, tylko szlocha.

1. lekarza

- To naprawdę Daniela? Daniela płacząca?!

- Co się stało, co się stało? - wypytują, gdy się przy nich zatrzymają.

- Michał nie żyje - wykrztusza z trudem Daniela a jej śliczna buźka wykrzywiona jest grymasem rozpaczony. Łzy zamarzają na czerwonych policzkach, wciąż nowe rozpuszczają lodowe ścieżynki.

- Ciii, uspokój się! - Iza ociera jej twarz szmacianymi, zlodowaciałyymi rękawicami. - Ciii..., bo sobie twarz odmrożysz.

Okazuje się, że Michał umarł z powodu gruźlicy. Galopująca gruźlica, spowodowana wrzaskiem na mrozie i odmrożeniem płuc.

Jakże trudno pogodzić się z tą śmiercią. Głupią, niepotrzebną, bezzasadną, okrutną śmiercią wesółka; niby wisusa, niby łobuziaka, w rzeczywistości chłopaka jak szczere złoto, radosnego, ani przez moment nie tracącego pewności, że wróci.

Tego dnia, przy sąsiednim sztablu, pojawia się nieoczekiwanie łaziebna Kasia-Katia, co nakazuje Emilce ostrzec przed nią Izę.

Podczas przerwy obiadowej obydwie trzymają języki za zębami, jednakże rozmowę na temat powrotu do Polski uznają za nieszkodliwą. Kasia-Katia, siorbiąc swoją wodziankę i przegryzając bogato chlebem, rzuca drwiąco:

- Kto durak, pust' ujeżdżajet. Nam zdieś charaszo!¹

Wszystkie polskie a nawet żydowskie kobiety jednomyślnie "nie słyszą" tych słów. Następnego dnia łaziebna nie zgłasza się do pracy. Podobno trudzi się na innym odcinku; także niedługo.

Emilka, mimo nieprzystosowania, zaczyna jednakże gromadzić nową wiedzę o życiu. Potrafi już bezbłędnie rozróżniać gatunki drzew; które przeznaczone na budowę, które na papier, na maszt statku, na opał. Lecz wiedza teoretyczna nie idzie w parze z praktyką. Ani rusz nie jest w stanie nadażyć za innymi, na ruskich zaś kolchoznik^{ck} spogląda z "otwartymi ustami", gdy - przybyli na jakiś "subotnik" - uwijają się ze sztablami w mgnieniu oka i bez widocznego wysiłku, jak pokryte dżdżycami zbocze błyskawicznie pustoszeje. I jak cała gromada odjeżdża saniami w stronę Siewtry.

1. Kto głupi, niech wyjeżdża. Nam tu dobrze.

Są zmieszani, miny mają niepewne. Nie wiedzą co sądzić o tych "durach-Poliaczkach",¹ które najpierw wpatrują się w nich z nie skrywanym podziwem a potem - na kokieterijne zaczepki - reagują wzgardą. Nie wiedzą, że podziw dotyczył "szatańskiej sprawności fizycznej", wzgarda natomiast jest odpowiedzią na niezręczne propozycje.

- Tu sobie zbudujecie Warszawę! Nigdzie nie pojedziecie! A będziecie grzeczne, to i mężów znajdziecie na miejscu.

Pani Maria, ciotka Władka Malińskiego / trafik tu dlatego, że spędzał u niej pechowe wakacje w . trzydziestym dziewiątym,
demonstracyjnie wroga wobec Rosjan, pierwsza daje się ponieść nienawiści.

- A to wszarże! Patrzą, jak te pluskwy! Wara od polskich dziewcząt, kaczki!

"Przy kominku" Władek słynie z wykonania piosenki "Hej, hej, hej sokoły! Omijajcie góry lasy doły", w lesie natomiast - z kurtuszy wobec koleżanek. Pierwszy skacze na pomoc, by naprawić "błąd w sztuce" - jak mówią - popełniony przez Emilkę z Izą, gdy niefortunnie pozwoliła zakleszczyć się dłużycy w poprzek sztabla. I nigdy przy tym nie klnie, jak to czynią współdziałający z nim koledzy.

"Subotnik" kołchoźników nie wychodzi Emilce na zdrowie. Pozbawiona przymusowego ruchu, odmraża sobie uda po zewnętrznej stronie ^{nie wygojone jeszcze} stopy oraz dłonie. Całą niedzielę siedzi, skulona, w baraku, w poniedziałek zaś udaje się do ambulatorium.

- Nie daję na to zwolnienia - felczerka, Daria Iwanowna, znów / po przerwie / przyjmuje na zmianę z Sielowozowem.
- Czułki nada ciepłyje nasit' i rukawicy. Nu i pimy. Abiazatielno. Wot i wsio² - poucza.

- Ależ ja nie mam! - wykrzykuje Emilka, tym razem zrozumiałwszy, o co chodzi. - Ani "czułek", ani innych rukawic - wyciąga połatane "woreczki". - Pimów też nie mam. Niczego nie mam! Mam onuce, ale to nie chroni przed mrozem!

- Żeby dostać zwolnienie - upiera się felczerka - trzeba być chorym a ja tu choroby nie widzę.

1. głupich Polkach

2. Trzeba nosić ciepłe pończochy i rękawice. No i pimy. Obowiązkowo. To wszystko.

Po naradzie z matką Emilka decyduje się na krok ostateczny. Na świadomy "praguk". Będzie, co ma być. Ona do pracy iść nie może. Umrzeć z odmrożeń czy z braku chleba, czy w więzieniu - bez różnicy.

Mierzlewiec nie każe na siebie długo czekać. Groźny, z gniewem w zimnych oczach, zjawia się w kanurze i - nie proszony - rozsiada się, rozkraczony, na pieńku.

Emilka nie ma wyboru. Pokazuje mu odmrożone części ciała, podtyka pod nos skąpe, cienkie swiżaczki, cieniotkie, rozdeptane, dziurawe pantofelki a raczej ich szczątki, powiewa cieniotnymi, dziurawymi, gazowymi ^{pończochami/kilką, przeznaczonych do cerowania, par znalazło się, w niepojęty sposób, w walizce/} Mierzlewiec ogląda z uwagą resztki po pantoflach, przesuwając w dłoniach onuce, próbuje palcami "grubości" pończoch.

- Nie magu tiebie takona dat', pałtamu, szto pimow w magazynie nietu - mówi. - Paka doma astańsia.¹

Na wieść o tym nieprawdopodobieństwie Iza z Elżbietką idą w ślady

Emilki. Mają wprawdzie pimów, lecz je ukrywają i komendant zwalnia je również. Niestety, wkrótce pojawia się w baraku ponownie. - Gdzie wasze pimy?² - pyta groźnie. Nie pomagają zapewnienia, że pimów nie mają. - Byli takije, katoryje widali u was pimy³ - przygważdża je Mierzlewiec i rozpoczyna rewizję, uwięzioną - ma się rozumieć - powodzeniem. Za oszukiwanie ^{komendanta} sowieckiej własności obie siostry zostają aresztowane i nikt nie ma najmniejszej wątpliwości, że winę za to ponosi "Zyz von Drynda". Tylko ona mogła zauważyć, że dziewczęta chodziły przedtem w pimach. Tylko ona mogła o tym donieść komendantowi. Wkrótce zjawia się w obozie rajkomendant, który - wraz z siostrami - zabiera do Tajmy - nie wiadomo z jakiej przyczyny - Diomkę.

Jego brat i bratowa - zesłani tu z małym dzieckiem - błagają Mierzlewiecowa o wstawiennictwo. Daremnie. Współczują im wszyscy, ponieważ są niespotykane życzliwi, ^{choć żydzi} Bratowa Diomki, pielęgniarka z zawodu, dzieli się z każdym potrzebującym posiadany zapas kamfory, ratując w ten sposób wielu w razie ataku serca.

Diomkę z siostrami Mańskimi rajkomendant ^{połazi} pieszo, korytem zamrażanej chybki do dna Siewtry - najpierw

1. Nie mogę ci dać talonu na pimów, bo w magazynie brak. Na razie zostań w domu.
2. Gdzie wasze pimy?
3. Byli tacy, co widzieli, że macie pimów.

do Wierchniej Tojny, następnie - Dwiną - aż do Kotłasu, gdzie przyjdzie im odsiedzieć w "ciurmie" całe sześć tygodni. Ich powrót stanowi ewenement w dotychczasowych zwyczajach a dziewczęta opowiadają potem o Diomce istne cuda. Ze łzami w oczach mówią o jego poświęceniu, o bezprecedensowej postawie podczas straszliwego wędrowania na mrozie, gdy z niewiarygodnym poświęceniem, sam wykończony, podtrzymywał a nawet ciągnął pozbawioną sił Izę a wreszcie i Elżbietkę. Same nie dotarłyby do Kotłasu. Od tej pory Diomka zyskuje jeszcze większą sympatię całej polskiej strony baraku a siostry Mańskie po prostu go kochają. Także Emilka - *gdy nikt nie wie - wpatruje się w niego z uwagą i czymś jeszcze.* Żąda się naodpoczywać pod dachem, zanim otrzy- ma talon na pimy. *Mając więcej sił, częściej przebywa "przy kominku".* Dorota wciąż boryka się z chorym okiem, którego stan polepsza się, nie *śmie jednak* jeszcze wierzyć swemu nieprawdopodobnemu szczęściu. Niemniej poprawa, co prawda nieznaczna, staje się oczywista. W ociemniałym oku zaczyna się jakby przejaśniać. Już nie sama tylko przed nim ciemność, gdy zamknie lewe, zdrowe oko, przed którym jednak uparcie migocą czarne platy. Jest przed nią szarość. Zaczyna się także poszerzać straszliwa szczelina w miejscu porażonego *indyna* prawego oka. Początkowo otworek jest niemal niewidoczny, *ot*, główka od szpilki. Potem przybiera rozmiary niewielkiej fasolki, następnie ziarna bobu, na koniec górna i dolna powieka wracają na swoje miejsca. Lecz samo oko zdaje się być martwe. Mimo to Dorota, coraz bardziej uszczęśliwiona, bez przerwy odwija i zawija głowę, po wielekroć na dzień *prawie* ~~pewnie~~, że nie będzie niewidoma. Z radości gotowa jest znosić długo jeszcze *odczuwane* gdzieś w głębi oczodołu, ostre, krzyżowe ranięcia, wytrzymywane bez słowa skargi, wspierane modlitwami o całkowite wyzdrowienie. Wreszcie waży się na rzecz najważniejszą. Pierwszą próbę oswojenia oko ze światłem *dnia*, który tymczasem nieznacznie się wydłuża. Przed wyjściem na dwór, robi w bandażu malusiętką szpareczkę. *i, drąc* ze strachu, *otwiera drzwi na ganek.* Nie dzieje się nic straszego. *Jedynie ranięcia*

stają się silniejsze. Czym prędzej zaskania oko z powrotem. Od tej pory ponawia doświadczenia, powoli oswajając wzrok z iskrzącą bielą śniegu. Przed oczami wciąż migoczą wielkie mroczki, może jednak samodzielnie poruszać się po obozie.

Męczy ją przy tym nieprzeparłe pragnienie, by zjeść coś zielonego.

Owoc lub jarzynę. Coś surowego. Korzystając z okazji, że pani Święcicka wędruje do kołchozu, prosi ją o narwanie zmarzniętych gron jarzębiny.

Nie jest łatwą rzeczą przedrzeć się poprzez śniegowe zaspę do jarzębinowych drzewek. Mimo to Dorota parokrotnie otrzymuje od swej starszej przyjaciółki pełen czajnik oblodzonych, czerwonych koralików. RzUCA się na nie natychmiast, polykając kakomie, z pospiechem, z najwyższą rozkoszą. Efekt przerasta wszelkie oczekiwania. Czarne migające przed oczami pląty zaczynają się przersedzać, aż znikną, na dobre. Dorota musi tylko uważać, by nie przemęczać wzroku, bo gdy się zabiera do czytania jedynej w baraku polskiej książki "Straszny dziadunio" Rodziewiczówny, plamy pojawiają się znów. Po przerwaniu lektury ponownie ustępują. Ustępuje również powoli zima. Straszliwa zima, która pochłonęła tak wiele ofiar. Całe rodziny i pojedyncze osoby. Pozostali przy życiu nie czują się bezpieczni. Nikt nie może być pewny, że doczeka jutra. a tym bardziej wiosny. Każdy z uwagą obserwuje sam siebie. Jeśli komuś zaczynają puchnąć dziąsła, jeżeli następnie pękają i cieknie z nich cuchnąca ropa a zęby zaczynają się chwiać i dają się wyjmować palcami jak z gliny, jest to pierwszy sygnał alarmowy, że stoi się u początku drogi. kończącej się "pod bieriozkami". Kolejny symptom - ropiejące, cuchnące wrzody o zielonkawo-rdzawym zabarwieniu wyciekającej mazi na całym ciele - to wyrok. Cynga czyli skorbut - następstwo braku witamin w organizmie i rezultat głodowania. To pewna śmierć. Cynga zabrała już wielu. Dobiera się do następnych ofiar. Wielu ratuje się mrożoną jarzębiną - jedynym dostępnym źródłem witaminy C.

Także w rodzinie Wiktorii zajadają się nią, wszyscy. Smakuje nawet Indze. Dziewczynka nudzi się, skazana na towarzystwo starszych, gdyż z Lusią, Turkotówną, nie wolno jej się bawić. Nie ma zresztą warunków na wzajemne, dziecięce wizyty. Zbyt zimno. Z tego powodu nawet nie zna małej córeczki Abrama.

bliską istotę - szmacianą lalę.

Ostatnio zyskuje jednak

jąc z przerwy w pracy,

Emilka, korzystając

wkłada w swe

"dzieło" wiele rzetelnego wysiłku. Najpierw rysuje na resztkach cielistego koloru pasa do pończoch "buzię" i utrwala ją, wydębionymi od Anieli, kolorowymi niciami. Zarys noska i oczek - jasnym brązem, ustka - czerwienią, tęczę oczu - błękitem, brwi - czernią. Całość mocuje do szmacianej, wypchanej ściśle gałgankami głowy, której "narodziny" Inga przyjmuje z nabożnym, milczącym zachwytem.

Radość Ingi, za ledwie się zrodzi, umiera. Wezwana do komendantury i obdarowana tańcem na pimy, Emilka musi przerwać pracę stwórczą. Kończy ją pani Święciacka. Najpierw korpus / Wiktorii tajemnie ukrywa w nim srebrne, przedwojenne monety /,

następnie rączki i nóżki. Nóżki, niestety, nie udają się. Jedna dłuższa od drugiej, zupełnie jak Gusti ze stołówki, na co od razu zwraca uwagę Leszek. To przesądza kwestię imienia lali. Gustia! Jakże by inaczej! Szmaciana Gustia - tak duża, jak Inga była mała przed rokiem. To rozwiązuje kwestię ubioru. Można lalę z powodzeniem wystroić w pamiętną, niebieską, włóczkową, sukieneczkę. Inga bez wahania uznaje ją, za skończoną piękność godną dożgonnej, gorącej miłości. Mazywa ją - z polską - Guścią.

Wraz z Emilką

zezwolenie na zakup pinów otrzymuje jeszcze

parę osób, które teraz ruszają na nowo do pracy. Jest początek lutego, o cieplejszych powiewach nikt jeszcze nawet nie marzy, gdyż nic do tego

nie upoważnia.

Na sztablowym zboczach wszystko bez zmian. Emilce wydaje się nie do pokonania.

Zmęczona samym marszem w porannych ciemnościach, zdrewniała z zimna, już marzy o jakiejś odległej przerwie obiadowej, która umożliwi ogrzanie się przy ognisku. Płonie - jak dzień roboty długiej - nieopodal domków na płozach, gdzie stoi coś w rodzaju szopy o trzech tylko ścianach osłaniających od wiatru. Czwartą zamyka bez przerwy podsycany ogień. Można nad nim rozgrzewać zatknięte na długich kijach kawałki skostniałego chleba, w jego ciepłe pławie się z rozkoszy, pochłaniając dostarczaną ze stołki zupę.

Tu godzina przerwy mija jak mgnienie. Tym szybciej, że wlicza się do niej czas dojścia ZE oraz DO stanowiska pracy.

Pimy są ciepłe, po prostu cudowne. Wspaniale chronią nogi przed mrozem.

Szkoda, że przy tym niemiłosiernie twarde i aż o trzy numery za duże.

Emilka czuje się w nich, jak ów bajkowy kot w butach. O ile jednak nogi ma zabezpieczone, o tyle reszta ubrania pełni funkcję raczej dekoracyjną.

Leszek, zachęcany przykładem starszych, postanawia wzbogacić stan posiadania małej siostrzyczki. Wystrugany z drewnianka samolocik wzbudza zachwyty dziecka, lecz i własne, chłopięce tęsknoty. Drugi samolot Leszek wykonuje dla siebie. Niedługo mu służy.

Dopóty go jakaś mama molestuje, aż jej go odprzedaje za kawałek chleba. Od tego momentu awansuje na znanego w Siewiernej producenta drewnianych aeroplanów, które wymienia na chleb. Za każdym razem ma nadzieję, że ten pozostawi dla siebie i wciąż jedenastoletnie jego serce daje pierwszeństwo wyrozumowaniu przed pragnieniem luksusu.

Pociechą jest mu sama praca przy samolotach, którymi się - jakby mimochodem - bawi.

Przed końcem lutego, jeszcze zanim powrócą z Kottaso siostry Manskie, Emilka zostaje przeniesiona do innego zajęcia, o wiele lżejszego i - co bardzo ważne - usytuowanego bliżej miejsca, gdzie przywożą obiadową zupę.

Po długim okresie zmagani z ciężkimi, oblodzonymi pniami palenie zgromadzonych w stosach gałęzi wydaje się z początku dziecinną igraszką.

Wkrótce jednak okazuje się równie wyczerpujące.

Stosy są olbrzymie, mocno zbite przez długie leżenie, przysypane i spójone stwardniałym śniegiem a wszelkie próby podpalenia nie dają najmniejszego rezultatu. Staje się jasne, że należy je przedtem rozrzucić a potem układać na nowo i dopiero spalać.

Przy tym zajęciu dziewczęta wyglądają niebawem niczym banda półdiablat - usmolone, umorusane i zziębnięte. Mimo starań wszystkie te usiłowania poszłyby na marne, gdyby nie powrót sióstr Mańskich oraz Diomki z kotłaskiego więzienia. Sprawdzone jeszcze jesienią umiejętności Eli w zakresie rozniecania ognia okazują się zbawienne. Mimo, że dziewczęta ^{przypominają teraz} własną matkę, tak są postarzałe i wyniszczone, do pracy stają natychmiast. Przygotowany do podpałki stos musi być "ażurowy". Gdy stanie, trzeba - błądząc po lesie - szukać wierzchnich warstw kory brzoźowej, na którą czeka w gotowości Elżbietka,

- Byłaś chyba westalką w poprzednim wcieleniu? - żartują z niej, gdy - maksymalnie skupiona - rozdmuchuje nikły zrazu płomyczek, który umiejętnie podsyca drobinami płatków kory .

Nieraz zdarza się którejś - z nadmiaru gorliwości - popsuć jej wysiłek. Wystarczy niedbale położona lub zbyt gruba gałąź w niefortunnym momencie i młody ogień gaśnie w jednej sekundzie, chociaż buzował już w najlepsze - wysoko, strzeliście. Wtedy Ela rozpoczyna wszystko od początku, ^{przy tym} ogromnie się gniewając na niezdarę. Kiedy jednak ogień rozpłomieni się należycie, wzmocni i spoteężnieje, nie szkodzi mu nic. Wzbija się pod niebiosy, sypiąc iskry, które niszczą bez miłosierdzia ubranie, co wszakże nie jest w stanie powstrzymać nikogo przed ciśnięciem się do źródła ciepła jak najczęściej. Tak często jak widać się zarządzić zakurkę, podczas której można bezpiecznie odsapnąć.

Ciotka Władka Kalińskiego, nie wiadomo z jakiego powodu, woli przebywać

przy ognisku samotnie, gdy pozostałe kobiety pracują, co nie uchodzi uwadze dziesiątnika. Tym bardziej, że pani Maria nie uważa za stosowne przerywać odpoczynku na jego widok. Czuje się w porządku. Pracowała, gdy inni się grzali! Teraz jej kolej.

Dziewczęta, patrząc na jej pewną siebie, pogardliwą, minę, cierpną ze strachu, lecz dziesiątnik poprzestaje na zademonstrowaniu faktu, iż w i d z i w i e. Z wiedzy tej robi użytek dopiero podczas zebrania zwołanego w jednym z domków na płozach. Po prostu daje pani Marii najniższą stawkę za pracę.

Oburzona, pyta o powód takiej dyskryminacji, na co dziesiątnik odpowiada z zimną satysfakcją:

- To i tak za dużo dla kogoś, kto się bez przerwy wymiguje od pracy. Pani Maria - zbyt dumna, by cokolwiek wyjaśniać - czeka, iż uczynią to koleżanki. Milczy uparcie do końca dniówki i milczy w drodze powrotnej do obozu.

Emilce sprawa ta nie daje spokoju. Przysunąwszy się do niej, radzi życzliwie:

- Przepraszam panią, ale wydaje mi się... Powinna pani koniecznie odpoczywać razem z nami, to dziesiątnik przestanie się czepiać.

Reakcja pani Marii zamyka jej usta i mrozi serce. Bo pani Maria

niespodzianie wybuchła.

- Jesteście fałszywe, jak lisice! To tak? Same odpoczywają po kryjomu, oszukują, przy tym pluskwiarzu - dziesiątniku - udają pilność a w mojej obronie żadna buzi nie otworzyła! A ja pracuję uczciwie! I uczciwie odpoczywam! I nie będę udawać! Nie zegnę karku przed bolszewikiem! Ponieważ pozostałe dziewczęta - jak zwykle - wyprzedziły Emilkę, reprimenda spada na jej wyłącznie głowę. Zdenerwowana taką niesprawiedliwością, płacze w swym sercu gorzko, przyrzekając sobie solennie zawsze trzymać język za zębami i usiłując nie słyszeć straszliwej chłosty słownej rozsierdzonej pani Marii.

Nie koniec na tym. Ciocia Władka przybywa do Wiktorii ze skargą.

- Panna Emilka zachowała się nagannie w stosunku do mnie, proszę pani. Mam nadzieję, że zmyje jej pani za to porządnie głowę!

- Moja Emilka? - zdumiewa się Wiktoria. - Nie wierzę. Gdyby chodziło o Dorotę, zgoda. To świszczypała. Ale nie Emilka. Znam swoją córkę.

Emilka oddycha swobodniej. Mamusia jej wierzy! Jednak przykrość pozostaje. Niby nic złego nie zrobiła a jednak Władek przestał się jej kłaniać. Może istotnie jest winna?

Zaczynają wiać marcowe wiatry, nieco przychylniejsze ludziom i twarze "leśnych dziewcząt" pokrywają się piękną opalenizną o specyficznym odcieniu, dotychczas nieznanym.

Podniszczony, powypalany iskrami czerwony szal Emilki odbija od jej cery jaskrawo, podkreślając błękit oczu i - jak gdyby ukrytą dotychczas - urodę. Ujrzawszy się w tym nowym wydaniu w odłamku lusterka, zaczyna żałować szala, w którym jej tak do twarzy, lecz który nie zapowiada dłuższej służby.

Wydłużone ^{oraz} dni intensywność słonecznej jasności kierują myśli ku wiosnie. Och, chyba się jej nie doczekamy! - wzdycha ten czy ów, bo śniegu wciąż sterty i mróz, acz nie tak srogi jak dotychczas, wciąż trzyma mocno. Wobec tego *wyglądanie nierealnej, zda się, wiosny* koncentruje się na *oczekiwaniu* listów-wieści ze świata. Wydarzeń w *obozie* nieczęstych, tym mocniej za to wyeksponowanych, pożądanym. Żadna przesyłka nie ujdzie powszechnej uwadze. Każdy wie, kto otrzymał list, każdy obowiązany jest podzielić się z innymi jego treścią ogólną. Najmniejsza wzmianka na temat interesujący *polską* społeczność natychmiast uznawana jest za *DOBRA WIEŚĆ*. Najwątleszy szczegół służy do zaczepienia oń *NADZIEI*. Jak choćby ten - na przykład - z listu sióstr Majerówien - że "W ^{PODŚWILSKIM} KOSCIELNYM WIELKANOC, ODSPIEWANO "BOŻE COS POLSKĘ"!

Ileż to wznieca radości, ile łez wzruszenia. Ile wiary niezłomnej i nadziei, że oto COS SIE ZACZYNA DZIAĆ! "Boże, coś Polskę" *POD BOKIEM SO-* WIECKIEJ WKĄSCI!
Dla Wiktorii i jej gromadki list ten jest specjalnym dodatkiem. Premię do zawartości paczki, w której nadszedł.

Ileż w niej bezcennych skarbów! Cukier, mąka, manna i najcenniejsza rzecz: dwa opakowania tabletek żelaza. Pokryte złotą polewą, dają się łatwo połykać bez rozgryzania, co czynią całą rodziną, dopóki starczy.

Zdrowie i pomyślność sióstr Majerówien oraz baptystki są codzienną, ich troską, powierzona Bogu we wspólnych modlitwach. Gdyby nie one, zarówno Inga, jak Wiktoria dawno już leżałyby "pod bieriozkami". Uratowały także parę nieznanym sobie istot. Ludzi, którym Wiktoria z umiarem wydziela - w razie potrzeby - zioła przeciwko biegunce.

Zioła ratują również Emilkę, która - sądząc się dostatecznie zahartowaną - zjada trochę śniegu, co wywołuje silny rozstrój żołądka.

Obok listów wielką pociechę stanowią... sny. Zwłaszcza te niezwykle, tłumaczone w sposób dla wszystkich dogodny, odpowiadający oczekiwaniom.

Nie ignoruje się żadnego. Nawet głupiego Stypki-latryniarza, którego słucha się z uwagą.

- Sniło mi się nasze wojsko... - mówi marząco Stypko. - Orzełki na czapkach. Śmigają na konikach, tylko szum... Pojedziemy do domu, ja wam to mówię! - kończy.

Dobrze mówi Stypko, chociaż głupi! No bo dlaczego głupiemu nie może się przyśnić coś mądrego!? Sny pochodzą od Boga, człowiek nie wybiera!

Sni niezależnie od własnej woli! Wiktoria próbuje wyrazić Stypce wdzięczność za jesienną przysługę, lecz on zdaje się o niczym nie pamiętać. - Wyprowadzikiem z tajgi? Ja panie? - dziwi się tak szczerze, iż daje za wygraną. Głupie to, choć początkowe - konstatuje.

Dni tymczasem nastają słoneczne, jasne. Jasniej także najwyraźniej noc. Poranny śnieg wciąż jednak bywa jeszcze pokryty warstwą lodu dość grubą, by po nim wygodnie stąpać. Nawet ślad się nie utrzyma. Dopiero około dziesiątej, gdy słońce przygrzeje porządnie, stopy zaczynają się z lekka od-

ciskać w miękącym podłożu. Potem odrobinę się zapadają - w miarę upływu czasu - coraz głębiej, aż w południe leśni robotnicy zaczynają wpaść po pas w mokrą, sypką kaszę. Aby się przez nią przekopać, trzeba się nielicho umęczyć. Po pracy wszyscy wracają przemoczeni do suchej nitki. Do stóp do pasa a nawet wyżej.

Obydwa piece - w korytarzu i w sieni - bywają,

wieczorami dokładnie obwieszane parującymi łachami. Najdłużej suszy się słynny chodnikowy fartuch Emilki; ciężki, lecz ogromnie przydatny. Opasując ją bardzo szczelnie, chociaż dosyć luźno, chroni zarówno przed iskrami, jak i chłodem. Za to wieczorem - gdy znów chwytta mróz - przemoczony podczas dnia, przeobraża się w sztywny pancerz. Z tego powodu dziewczęta nazywają go "ruską krynoliną".

Emilka wlecze się więc, dzień w dzień a raczej wieczór w wieczór, w swej "ruskiej krynolinie", sztywna z wierzchu i mokra pod spodem - kruche ogniwo długachnego "węża" powracających z lesopowalę, bardziej nieregularnego, niż poranny, tu i ówdzie wybrzuszonego.

Z boku mijają go - czas od czasu - konne sanie z doczepionymi do nich podsankami, bujającymi się niby wahadło olbrzymiego zegara, płaśniętym po wydeptanej, przymarzniętej drodze raz w prawo, raz w lewo. Konie - umordowane, głodne, gnane nadzieją posiłku i odpoczynku - pędzą, jak oszalałe, że tylko wir śnieżny wzbija się za nimi lodowatym tumanem.

Dziewczęta, usiłując oszczędzić sobie trudu wędrowania, próbują wskakiwać na ^{tylną część} podsanki, co nie jest łatwe i grozi kalectwem a nawet śmiercią pod płozami. Mimo to Emilka uznaje raz, iż łatwiej zdobyć się na pojedyncze ryzyko skoku, niż nie kończący się marsz na obolałych nogach. Upolowawszy odpowiedni moment i wyliczywszy skok, odbija się mocno od śniegu. Udało się! Podsanki - uspokojone jej ciężarem - mkną równo a ona - samymi tylko stopami w twardych pimach - trzymając się desek-śmiga także, owiana pędem mroźnego powietrza. Cóż za radość! O ileż prędszej dotrze do baraku, wcześniej niż zazwyczaj zdejmie z siebie mokre łachy i szybciej się ogrzeje! Łyżka postukuje krzepiąco w jej podłużnej wojskowej menażce i Emilka nie ma czasu myśleć, że igra ze zdrowiem a nawet życiem.

Zaprzęg wpada oto między baraki a gdy ^{nie} mijają - ósemką, dziewczyna zręcznie zeskakuje w śnieg. Podobna okazja więcej się jej nie przytrafi. Codziennie wlecze się, potykając,

z niezmiernym trudem - jeden z członów potężnej kolumny - w swej "ruskiej krynolinie" - niezgrabne, sterane babsko, zwodniczy futerał ukrywający młode, wyniszczone dziewczęce ciało.

Mijają ją naładowane drewnem sianie. Na ułożonych równo pniach - paru mężczyzn. Jeden z nich, Piotr Dupont, zatrzymuje dłużej wzrok na Emilce.

- A jeszcze niedawno widziałem ją, zgrabną, w pięknej zielonej sukience! - mówi na tyle głośno, że może go usłyszeć. Zawstydzona, przyjmuje to, jak obelgę. Bo Piotr jest jeszcze przystojniejszy, niż Diomka czy Marek Tomczycki.

- Trzeba wytrzymać i to - wzmacnia się wewnątrz. - Trzeba to wszystko wytrzymać.

Rozdział XII

N A R E S Z C I E W I O S N A !

Na długo przed porannym gongiem *obóz* wrywa ze snu czyjeś wołanie.

- Wstawać! Wstawajcie wszyscy! ZORZA! ZORZA POLARNA!!!

Przed barakami - na gankach i pośród śniegowych drózek - mrowie ludzi. W narzuconych na prędcie okryciach, wybiegają wciąż nowi, podnieceni, jakby nie ci sami. *Jacyś z nagłą przeistoczeni w pulsujących smugach przedziwnego światła. Olbrzymiego wachlarza jasnoczerwonych i pomarańczowych promieni rozblyskujących miarowo i rytmicznie przygasających, wciąż na nowo wytryskujących z tajemnego a niewyczerpanego źródła olśniewającej jasności *gobieś za lasem.**

Ciemne niebo ponad tajgą zdaje się płonąć: *wszelkimi możliwymi odcieniami czerwieni, to się rozpryskując, to faliście rozprze strzeniając - zjawiskowo piękne. Cud natury tak urzekający, że* *niepodległy duch zaczyna* *górować nad wynędzniałymi ciałami niewolników, niepomny swej nędzy, wyzwolony *za sprawą chwilowego zapamiętania się.**

Noc to *przełomowa, po której ciemności zaczynają cofać się* *przed jasnością, tak jak zwątpienie przed nadzieją, acz następuje to stopniowo, jak gdyby jasność obejmowała swe panowanie nad tajgą niezdecydowanie czy ostrożnie. Pierwsze po zorzy noce zapadają jeszcze ciemnoszare, potem rozbielone, aż przestaną, się różnić od dnia. Zwłaszcza te *pozątkowe, przewyższające bielą jakiegokolwiek inne dotychczas oglądane przez przy-**

byszy. Wytrwalsze od ciemności okazują się lody. Zaczynają puszczać na dobre dopiero w maju, *zaś* *śniegi doleżą aż do czerwca.*

Nie może to odebrać nadziei tym, którzy przetrwali zimę - najcięższy okres, *gdy* nędzę, głód i morderczy znój pogłębiał mróz i śnieg. W połowie maja kończy się akcja "leso-zawałki". Donki na płozach odjeżdżają z Zapadnoj, zaś brygada Emilki zostaje skierowana na "leso-zagatowkę" - przygotowanie drewna dla potrzeb obozu: stołówki, komendantury, ambulatorium, bani, kipiatielni, piekarni. Brygadą kieruje znów sprawiedliwy, wyrozumiały Gladinin - "deska ratunkowa" umordowanych dziewcząt. Emilka pracuje teraz w parze z *wesołą* Danielą - obie odpowiedzialne za cały proces zdobycia drewna. A więc: odkopanie pnia ze śniegu/na szczęście jest go mniej/, podrabanie i ścięcie świerku, ociosanie z gałęzi, pocięcie piłą na odpowiedniej długości kłocę oraz ułożenie w sążnie, obmierzane potem bardzo dokładnie przez *dziesiątnika* Danyłowa.

Pracę ponad siły utrudniają *dotatkowo* przyczyny niejako obiektywne. Najczęściej nietrafny wybór obiektu, a nuż mokrego! Taki pień z reguły nie poddaje się ani siekierze, ani pile i trzeba próbować sił z kolejnym, co pomnaża daremny trud.

Dziewczęta muszą także pamiętać o potrzebach własnych. Z tego powodu - upatrzwszy zawczasu odpowiednie "ładne drzewko", mniej-więcej w połowie drogi między Siewierną a *Zapadną*, tuż przy trakcie - powracają w to miejsce w niedzielę.

Świerk jest wspaniały. Potężny, wysoki pod niebiosa i suchy niby pieprz. Stojąc u podstawy, z zadartymi głowami medytują nad sposobem powalenia kolosa.

- On może spaść na drogę - mówi z troską Daniela. - *Co będzie, jeśli, nie daj Boże,* zatarasujemy przejazd?

- I konary ma ogromniaste - wtrąca Emilka, wobec czego wahają się dość długo. Jednak duża ilość opału *nęci silniej*, niż zdrowy rozsądek odstręcza.

- Walimy! - podejmują zgodną decyzję.

Wkrótce przepisowy krąg sięga dnem podstawy pnia,

zaś najodpowiedniejszy, ich zdaniem, punkt-oznaczony podcięciem. Rąbią z zapalem. Śiekiera co rusz - w miarę, jak się męczy - przechodzi z rąk do rąk, zdecydowanie dłużej pozostając w dłoniach silniejszej Daniela.

Wyrąbawszy odpowiedni klin, przystępują do *piłowania*. Początkowo idzie im nieźle, wkrótce jednak piła zaczyna się zacinać. Porusza się co raz oporniej, aż utyka na dobre, ani rusz nie dając się przeciągnąć.

- Rżniemy nie z tej strony, co trzeba - stwierdza Daniela po krótkim namyśle a Emilka dorzuca rzeczowo:

- Musimy wbić klin.

Klin okazuje się pomocny, choć nie na długo. Piła, przesunąwszy się kilkakrotnie tam i z powrotem, zacina się ponownie. Nowy klin i sytuacja powtarza się dokładnie. Za którymś razem, gdy biją ^{już} nie siódme poty, zamierają, pochylone, na dźwięk męskich głosów. Od strony pustej Korgowej Zapadnoj nadjeżdża - w towarzystwie kilku muzyków - brygadzi-
sta Gladinin.

- Co wy, dziewczki, robicie? - woła przyjaźnie.

- Próbujemy ściąć na opał - odpowiadają niepewnie.

Gladinin uśmiecha się sympatycznie, kiwa na swych towarzyszy i wszyscy zeskakują z sań. Podczas, gdy okrążają świerk z uwagą, Emilka mówi z rezygnacją.

- On się nie da powalić.

- Bo źle podcięty - wyrokuje Gladinin pogodnie.

Zanim naprawią błąd w sztuce, chociaż spece i do tego silni, natrudzą się i napocą niemało. Bo też świerk jest prawdziwym okazem, nawet jak na tutejsze warunki. Gdy wreszcie *lęgnie /w poprzek drogi!/,* pot spływa mężczyznom obficie po twarzach. Mimo to ociosują jeszcze pień z potężnych konarów, przecinają go *na pół* i odciągają na bok, oczyszczając w ten sposób przejazd. Gladinin, na odjeźdźnym, radzi:

- *Nie szarpacie się,*

Będzie tu jechał, jeszcze dziś, traktorzysta. Poproście, to podciągnie pniaki pod barak.

Oczekiwanie na traktorzystę trwa, ziąb daje się coraz mocniej we znaki.

- Nie możemy tu tak beczynnie stać, Miluś, bo zamarzniemy - decyduje Daniela. - Jak myślisz, może by wykorzystać ten traktor do oparu?

- Czemu nie! - zgadza się natychmiast Emilka, ^{więc} zaczynają się ranga-
dać za czyną godną uwagi. W pobliżu - nic nie ma. Śręcają w lewo, w
wóz i z miejsca zapadają w śnieg po kolana. Nic to;

szukają niezmordowanie, aż - znajdują całkiem zgrabny świer-
czek.

Wszystko idzie dobrze ^{tylko} do momentu przyłożenia piły do pnia. Kazion-
na piła, pożyczona w dodatku od Marka, który również skądś ją "na chwi-
lę" dla nich wytrzasnął, pęka na pół.

- Co teraz będzie?! - Stoją, przerażone - każda ze swym kawałkiem piły-
i nagle zaczynają przeć ^{na przekaj} do drogi. Jak pach, to pach!

Ślady ^{wskazują na niedawne.}
przejechanie ^{zapowiedzianego przez Gładinina} traktora.

- Jaki dziwny ślad! - wołają niemal jednocześnie. Oto po środ-
ku, między odciskami - gąsienie, ciągnie się głęboka bruzda
wyżłobiona w utwardzonym śniegu.

- Ależ to nasz "chwoj"!

Istotnie. Brakuje połówki pnia. Tej grubszej; niestety,
Pśuwając się tropem wyżłobienia ku Siewiernej,

pocieszają się, że anonimowy traktorzysta podkradł
tylko jedną część świerku ^(Tym niemniej) po przybyciu do obozu, udają się prosto
do Gładinina, który radzi im pójść ze skargą do "kantory".

Wywołują tym istny paroksyzm uciesznego rżenia, kwiku i łapania się za
brzuchy obecnych tam Rosjan.

- W lesie drzewa, że nie zliczysz. Bierz, ile chcesz! A tu raptem: ukradli!

Nie bacząc na nowe ataki śmiechu, tłumaczą poważnie, ile wysiłku kosztowało je zdobycie świerku, więc Gałuszkini zezwala wspaniałomyślnie, by wybrały sobie "luboj chwoj"¹ spośród tych, które zostaną przywiezione pod komendanturę.

Moga, z tego skorzystać dopiero po tygodniu; ze znuwstwem wybierając egzemplarz rokujący jak największą korzyść. Niestety, daleko mu do utraconego. Jednakże dla

baraku numer osiem nawet połowa tego pnia stanowi po prostu zbawienie. ^(ponadto) Ze względu na spotkania "przy kominku", Daniela zgadza się, by ^(ocalała) cieniszą część powalonego przez Gladinina świerku zabrakła Emilka.

Obydwie nadal pracują zgodnie w ramach "leso-zagatowki", lecz coraz trudniej im wykonać obowiązującą normę. Dlatego, mimo gongu "na zakurku", biedzą się właśnie nad prześliczną pichtą, która - po "śmierci" - mści się na nich, zawieszając wierzchołkiem na pobliskich świerkach i ani drgnie, nieczuła na kołysanie, potrząsanie ^(oraz) szarpanie.

- Co zrobimy? Może się zwalić na drogę! - rzuca zasapana Emilka, gotowa już zrezygnować z obiadowego odpoczynku. Daniela jest innego zdania.

- Siedzi mocno, nie powinna spaść. Zresztą na kogo? Wszyscy już dawno w obozowej stołówce.

Zanim zdążą wyjść z lasu, zrywa się niewielki ⁽ⁱ⁾ wiaterek.

- Jeszcze naszą pichtę zwali! - trwoży się Emilka.

- Nie bój się, trzęsłyśny nią jak szalone i nic a taki lekki powiew miałby jej poradzić? - ^(Daniela) przyspiesza jeszcze kroku, ⁽ⁱ⁾ gwizdząc dla tym silniejszego podkreślenia własnej racji, co ostatecznie uspokaja Emilkę.

Jednak pichta wali się, w dodatku przed nosami jakiejś zapóźnionej brygady, o czym ^(winowajczyni) dowiadują się podczas picia zupy. Spojrzawszy po sobie znacząco, pośpiesznie dopijają wodziankę i - jak potrafią najprędzej - brną przez napęczniałą od wody, sypką kaszę śniegową, ⁽ⁱ⁾ zapadając się po kolana.

Strach przed odpowiedzialnością dodaje im sił, toteż uwijają się z

1. dowolny pień.

uprzątnięciem śladów tak sprytnie, że po pichcie nie ma nawet zapachu, gdy pozostali leśni robotnicy powracają z obiadu.

Ani przypuszczają, że jest to ich ostatni dzień "leso-podgatowki". Nie to, że śniegi wciąż zalegają ziemię, że bywa mroźno. Ważne, iż puszczają właśnie lody. Rozpoczyna się sezon spływu drewna przygotowanego zimą. Popływ Dwiny-Siewtra - oraz jej strome nabrzeża, załadowane szczelnie sztablami dłużyć, oczekują na uwolnienie od brzemienia.

Grube, wojskowe piny nie nadają się więcej do użytku. Zbyt szybko nasiąkają wodą. Wiktoria bierze do ręki szczątki brązowych pantofli Emilki i udaje się do Abrama.

- Wiosna, proszę pana. W piniach córka nie nachodzi. Można by z tym coś zrobić?

- Zrobić wszystko można - mówi Abram. - Ale co do wiosny!... To ma być wiosna? To, co pani widzi na polu? Co to za kraj przeklęty, pani Leszczyńskie kochane. Co za kraj! Zima to tutaj tylko dziesięć miesięcy a reszta lato i lato. Uś, jakie piekło, co za szel! U nas o ta pora - rozmarza się nieoczekiwanie. - U nas, szanowne pani, w ogródek to „cipiorok”, „dziotkiwek”, „barbary”. ... A tutaj? Tutaj nic! Tutaj, pani szanowne, tu to tylko śnieg rośnie! I lód!

Przuciwszy z serca żal i tęsknotę, okazuje zainteresowanie pantoflami.

- Co się nie da zrobić! Wszystko idzie zreperować! - Przyjmuje robotę i dokonuje istnego cudu. Z nowymi, drewnianymi podszwami, masywnymi i dobrze izolującymi od zimnego wciąż podłoża, wyglądają zupełnie przyzwoicie i kosztują niewiele. Dzienny pajok Emilki. Na drewnianych podszwach posowa się, niby na szczudkach - znów w drodze do pracy poza obozem, na dłuższy, stacjonarny pobyt.

Mimo zdrożenia, jest dobrej myśli. Wszyscy pozostali w rodzinnej kanurze są zdrowi. Nawet Dorota nie nosi już bandaża i - aczkolwiek nadal widzi świat w kolorze rozcieńczonej jodyny, i wciąż

dokuczają jej krzyżowe klucza w oku - nikt nie wątpi w pomyślny finał pomyłki pijanego wracza, Sienowozowa.

Emilka trzyma się blisko Danieli, którą kocha jak siostrę i której nieustająca radość życia budzi w niej wciąż nowe siły duchowe, podtrzymuje fizyczną wytrzymałość, szczególnie mocno przydatną do pokonania dwudziestu kilometrów od Siewiernej do maleńkiej, opuszczonej osady leśnej - Treśniki.

Drnąc w pocie czoła to po grudzie, to w sypkiej ^(śnieżnej) bryli, docierają tu grubo po porze obiadowej i - po krótkim wypoczynku - przystępują do zakwaterowania.

Stare, dawno nie używane, obydwie piece w żeńskim baraku okazują się niebezpieczne. Gdyby nie czujność uborszczyca¹ - żadna z kobiet nie dożyłaby rana. Spiące kamiennym snem, zaczyna szarpać, ściągać z prycz, budzić krzykiem.

- Dziewczęta kochane, wstawajcie! Czad! Podusicie się! Wstawać! Ruszać się, żywo! Inaczej śmierć!

Emilka czuje się, jak pijana. Chwieje się na miękkich nogach, mąci jej się w głowie, w uszach szum. Ktoś ją prowadzi, podtrzymuje, ktoś klepie po policzkach. To, zdaje się, Marek? A może Diomka?... Wreszcie wszystkie dziewczęta, przeprowadzone do męskiego baraku /tylko tu jest napalone/, przyglądają się

bezsilnie, jak panowie sprawnie zsuwają własne nary w jeden koniec pomieszczenia, jak błyskawicznie wnoszą

prycze z żeńskiego baraku a potem wychodzą dyskretnie, umożliwiając swym gościom nie krępujące ułożenie się pod kocami.

Emilka - bardziej od innych uczulona na czad - leje się przez prycę, biernie poddając układającym ją i okrywającym, anonimowym dłońom.

W mgnieniu oka zapada się w ciężki sen. Budzi ją - podobnie, jak pozostałe panie - straszliwy ból głowy. Zanim jednak pierwsza z nich otworzy na dobre oczy, mgłoczyłni - zdążywszy zasłać swe nary - znikają

1 dyżurnej

bezszelestnie, dzięki czemu kobiety mogą się myć i ubierać bez skrępowania. I bez żenady przyjmują propozycję subtelnych gospodarzy, by zostać tu do czasu, gdy żeński barak stanie się całkowicie bezpieczny.

Nie wpłynie ^{uważnie} to na rycerskość panów. Tak jak poprzednio, umożliwiają paniom swobodę ruchów wieczorem, za co one rewanżują się im taktownym odwróceniem na drugi bok w momencie zajmowania przecz. Gdy wszyscy leżą, z męskiej strony pada pytanie - propozycja. - Czy panie śpią? Bo jeśli nie, to my - na życzenie - możemy paniom pośpiewać.

Damska strona wyraża zgodę, więc po chwili rozlegają się, najpierw pojedynczo, potem anogie głosy. Są też popisy solowe. Na Emilce szczególnie wrażenie wywiera przejmująco smutny śpiew starszego Żyda.

Usiadłszy na swej narze - z akcentem, który w innych okolicznościach mógłby się wydać zabawny, lecz teraz tym mocniej wzrusza - tęsknie zawodzi:

- Miasteczko Bełżc, kochany mój Bełżc.

Maleńka miścina, gdzie moja dziewczyna...

Odśpiewawszy całość i kiwnąwszy się parokrotnie, nieruchomieje w ciężkiej jakiejś zadumie, podczas gdy pozostali - przejęci sugestywnym wykonaniem smętnej melodii - próbują otrząsnąć ^{się} za pomocą innej, weselszej, wykonanej spontanicznie przez Daniellę. Za jej przykładem idą inne koleżanki i tak ów śpiewany wieczór staje się powszechny. Tym większa ogarnia wszystkich tęsknota, gdy pada hasło "dobranoc" i tym większa męka, gdyż jasność białej nocy nie może ukryć z całych sił powstrzymywanych łez.

Emilka długo nie może się pozbierać i, chociaż wie, że rankiem czeka ją trzykilometrowy marsz nad brzeg Siewtry, nie potrafi usnąć. Te trzy kilometry, dzień w dzień, tam i z powrotem, poprzez las oraz wykopy, ^{ponad} zboczem głębokiego wąwozu, to dodatkowa udręka.

Wąwóz jest długi, porzeżony lasem, urozmaicony płynącym w dole strumieniem.

Wezbrany: topniejącymi, spływającymi ze stromizn śniegami,
nie mieszcząc się już w swym korycie, znajduje w
sąsiedztwie liczne ujścia - małe, tymczasowe strużki, tworzące niewiel-
kie rozlewiska połyskujące w słońcu żywym srebrem.

Trasa to uciążliwa. Pod nogami uginają się mokre, zrudziałe, zeszło-
roczne trawy, miejscami chlupocze woda, to znów postukują stwardniałe
łachy lodowe. W miarę upływu dni

będzie przybywać cieków wodnych oraz rozlewisk, przez
co przeprawa przez wąwóz stanie się jeszcze trudniejsza, chociaż usp-
rawniana przez mężczyznę specjalnymi kładkami.
Scięte w tym celu drzewka, przerzucone ponad topielą i obłożone ga-
łęziami, to istne równoważnie. Przejście po nich kosztuje wiele
wysiłku, wręcz popisów akrobatycznych - zadanie niełatwe dla kogoś
tak bezustannie zmęczonego, jak Emilka. A miejsc wolnych od stojącej
wody coraz na drodze mniej i coraz więcej trzeba rzucać pod nogi
kładek i faszyny. I coraz kunsztowniej odmierzać skoki, by trafić bez-
błędnie na lodową "wysepkę" często rozmiarów akurat jednej stopy, i
ostrożnie przesuwac się po wąziutkich grobelkach sterczących z wody.
Daniela niezmiennie pokonuje ten tor przeszkód tuż przed Emilką, któ-
rej - jak mówi - wskazuje właściwy kierunek. Jednak i ona, chociaż
taka sprytna i zwinna, nie jest w stanie uniknąć przymusowej kąpieli.

Zle wymierzywszy skok, zjeżdża w prawo i ląduje w największym rozlewi-
sku w pozycji siedzącej. Woda opływa ją tak wysoko, że sterozą z niej
tylko rozpostarte ramiona, z których zdaje się bezpośrednio wyrastać
kędzierzawa czupryna a spod przeźroczystej lodowcj taf-
li, przelamanej ciężarem ciała, przecierają wyciągnięte na całą długość
nogi.

No i jakże się nie śmiać, jak pamiętać o skutkach tej lodowa-
tej wanny, kiedy Daniela - zaderiszy w górę rozemnianego buziaka -
gwiżdża przeciągle a następnie woła z humorem.

- Milka, warto wstawać?

Jakże jej nie podziwiać, nie kochać, nie czerpać sił do przetrwania? Emilka, śmiejąc się także, podaje koleżance rękę i Daniela podrywa się na nogi. Ociekając wodą i szcękając zębami, mówi brawurowo: - Najgorzej pierwszy raz! Teraz nie muszę już uważać. Mogę się taplać do syta!

Emilka martwi się o nią, jednak Daniela - zdjawszy wierzchnie okrycie, które wspólnie wyżynają - dość szybko obsycha "fruwając" z kępy na kępę, z kładki na kładkę. Do łodzi przepływającej robotnicze brygady na drugiej brzeg Siewtry, gdzie zalegają szeregi zastawionych sztabli, wchodzi sucha. Jedynie jej paltko musi wisieć na drzewie niemal do końca dniówki, zanim Daniela będzie je mogła włożyć. Przez ten czas okrywa się „ruską krynoliną” Emilki, która poprzestaje na swym gimnazjalnym. Z biegiem czasu, w miarę jak spływają wody i ziemia wysycha, droga zaczyna się poprawiać. a przymusowe kąpiele ^{przeszłości} zagrażać. Tylko sztable, piętrzące się równoległe do koryta wezbranej Siewtry, nic a nic się nie zmniejszają i wciąż nie widać końca pracy.

Emilka z Daniłą - jak niegdyś przy "leso-zawałce" i podobnie, jak pozostali - tkwiąc przy swoim sztablu, całymi dniami podważają równocześnie ciężkie pnie, spuszczać je na rwącą wodę w dole. Najtrudniej bywa przy dużych różnicach grubości między wierzchołkiem kloca a podstawą. Na nic cała zimowa zaprawa, gdy pień nagle stanie dęba. Żadna z dziewcząt nie umie z tym sobie poradzić, toteż, jak zimą, muszą wzywać męskie pogotowie ratunkowe.

Przerwy obiadowej, połączonej ze spożyciem dostarczonej łodzią, dość gęstej zupy, upatrują tęsknie wszyscy; zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Lecz Emilce wydaje się, iż nikt tak gwałtownie o niej nie marzy, jak ona. Cała godzina do własnej dyspozycji! Można posiedzieć, nawet podrzemać na belce. Można się przejść po lesie i można - patrząc na masy wód okraszonych pni drzewnych przesuwających się w dół rzeki - powędrować myślami tam, gdzie nie sposób dotrzeć osobiście.

I można jeszcze poobserwować dyskretnie tego dziwnego przewoźnika, który ich przeprowadza rano i wieczorem, tam i na powrót, przez wezbrane wody Siewtry. ^{Ten} Rosjanin o polskim imieniu Stanisław przeważnie milczy, ^{cy} zdaje się nie rozumieć polskiej mowy.

Jednak Emilce zdarza się przechwycić jakiś nieokreślony błysk w jego niby obojętnym wzroku, gdy koleżanki rozprawiają o czymś wesołym. Coś, jakby zrozumienie. I do tego półśmieszków na wargach, zupełnie bezwiedny, nie kontrolowany - a nawet - rumieniec, najwyraźniej wywołany przez Daniellę, która - wszedłszy ^(raz) do łodzi - woła bezceremonialnie.

- Spójrz, Emilko, jaki on przystojny! Zuprawdę jak nie ruski. Przysięgłabym, że to nasz chłopak, Przynajmniej z pochodzenia.

Stanisław, jakby pragnąc zamaskować zmieszanie, zaczyna rozmieszczać dziewczęta w łodzi, zważając na prawidłowe, równomierne obciążenie. Wyjaśnienia przy tym - po rosyjsku - że musi to robić ze względu na wysoką falę, szeroko rozlaną wodę i rwący nurt. Iecz Emilka widzi najwyraźniej, że w pobliżu Danieli w szarych oczach Stanisława migocze coś rzewnego. Jakiś błysk, więcej niż przyjazny. Z tego powodu nie popiera opinii pani Marii o nim, gdy - siedząc na sztablach, po skończonej pracy - oczekują przybycia łodzi.

- Kacap przeklęty! Czekał człowieka a ten nie raczy być na czas! Nie śmiać zaprotentować głośnie, ^(Emilka) podnosi się z kłosa i zaczyna zdejmować z siebie swą "ruską kryształową", aflaczka, teraz i przemoczoną, czym zwraca uwagę Piotra Duponta. Tego samego, którego słowa już raz zapiekły ją do żywego.

- Oś! Oni z nas zrobili! - mówi Piotr ze smutkiem. - Nie ma roku a jaka różnica. Nasze dziewczęta, chociaż ciężko pracujące, ładnie ubrane, sukienki z jedwabiu... Dziś jedwab wyparty przez chodnik, nogi w chodakach...

Emilka wie, że Piotr myśli o niej, więc spuszcza głowę w czerwonym szalu coraz niżej i niżej, z trudem powstrzymując łzy.

Najwidoczniej lodowata kąpiel nie pozostaje bez wpływu na zdrowie Daniela. Nadal wesoła, acz nie tak żywiołowa jak dotychczas, wyraźnie traci sprawność i siły a jej wytrzymałość na trudy spada nagle do poziomu Emilki. Najslabsze w brygadzie, trzymają się razem, gdyż nikt nie chce z nimi pracować. Nie wykonują normy, pracują wolno, na miarę swych wątkych możliwości, za to solidnie. Dziesiątnik Danyłow zdaje się to doceniać. Nie tylko ich nie popędza, lecz czasem chwali. - Oczeń charaszo, dziewczki. Oczeń charaszo - mówi, pocierając, jak trzeba się zabrać do dzieła, by je wykonać. *Jeszcze bardziej tolerancyjny bywa brygadziśta, pan Kolanko. Nawet, gdy spowodują zator.* Największego skupienia uwagi wymaga zejście w dolne partie sztabli, gdzie najłatwiej o niepożądaną kąpiel, gdyż najniższe pokłady dłuźyc pływają już w wodzie, gotowe w każdej chwili - pod naporem górnych - oddzielić się od całości, tworząc na wodzie powiększający się błyskawicznie trójkąt-tratwę, momentalnie się rozpryskującą i biada temu, kto się na niej akurat znajdzie. Tym bardziej, iż woda - już przy brzegu - tworzy głębię. Przeraziłwie lodowatą toń.

Emilka z Daniela, zbliżając się do zagrożonych rejonów, ostrzegają się wzajemnie i natężają uwagę do maksimum. Mimo to Emilce nie udaje się odpowiednio szybko zareagować na ostrzegawczy krzyk koleżanki. Za to w ułamek sekundy później - poczuwszy bujanie pod nogami - rzuca się całym, wyprostowanym ciałem do przodu, dzięki czemu udaje się jej uchwycić rękami brzegu zwartego jezera - c z e / / sztabla. W tymże momencie Daniela podaje jej obie dłonie i pomaga wydostać się na brzeg.

Na szczęście, choć rano pachniało jeszcze przymrozkiem, słońce grzeje tak solidnie, że do południa ubranie na Emilce podsycha, nad czym pracuje.

Świadomie, zwijając się przy swoich końcach dłuźyc, niemal nie patrząc, jak spływają na wodę i swobodnie oddalają się z prądem.

Daniela nie pozostaje w tyle. Obie dwoją się i troją tak namiętnie, że dopuszczają do powstania olbrzymiego zatoru. Powoduje to natychmiastowe przerwanie pracy przy pozostałych buntach i skierowanie całej mocy roboczej na ich odcinek.

Dowodzenie akcją należy, rzecz jasna, do krajowców. Bez nich jeńcy nie podołaliby trudnemu zadaniu. Część ludzi przeprowadzają na przeciwległy brzeg. Przeciągają oni za sobą, ponad wodami Siewtry, końce grubych lin zahaczonych "po drodze" o spiętrzone pnie. Pozostali na sztablowym brzegu chwytają pozostawione tu krańce lin i - na hasło - rozpoczynają przeciąganie. Od brzegu do brzegu, przy każdej linie wiele par rąk. Każda strona - ku sobie, aż drgają napięte *powrozy*.

Tylko lina ciągniona przez *uplasowanych*-jak zwykle, razem - na drugim brzegu Żydów, zwisa luźno ponad tonią, mimo że *oni sami*, zgięci w pół z niby-wysiłku, zdają się ciągnąć z całej mocy.

- Spójrzcie tam! Obijacze! - rozlegają się oburzone protesty polskiej strony.

Zdemaskowani spryciarze zaczynają przykładac się naprawdę, lecz i tak usuwanie zatoru zajmie większą część przerwy obiadowej, podczas której wszyscy sapią ze zmęczenia, siorbiąc przestygłą zupę.

Emilka z Danielą, pełne wyrzutów sumienia, że z powodu ich niesprawności czy nieuwagi wszyscy tak się napracowali, wynykają się na przechadzki po lesie. Na niewielkiej polance znajdują świetnie zakonserwowaną plantacyjkę brusznicowych krzaczków z zeszłorocznymi jagodami wyglądającymi, jak świeże.

Emilka zrywa jagodowe gałązki, *układając* je w bukiecik. Jest sobota, po pracy można się wybrać do Siewiernej - uśmiecha się na myśl o radości, jaką sprawi Indze tym prezentem "od zajączka".

Bukieciki wzbudzą prawdziwą sensację wśród odpoczywających na sztablach.

- O tej porze! Proszę pokazać. - Jedna z *kobiet* wyciąga rękę

po bukiecik a Emilka podaje go jej bezwiednie. Potem patrzy, oburzona, jak jagódki - jedna po drugiej - zaczynają znikać *zachłannych* w *ustach*.

Najpierw wolno, potem w coraz szybszym tempie. Gdy zostanie ich zaledwie kilka, kobieta, *spoglądając* na zmienioną w słup soli Emilkę, pyta z *głupia* *frant*.

- Można?

Emilka stoi, oniemiała, niezdolna do wyduszenia z siebie choćby słowa, co tanta poczytuje za zgodę. Oberwawszy jeszcze dwie jagody, zwraca ogołocoony bukietecik właścicielowi, lecz ta - odwróciwszy się - odchodzi. Wówczas kobieta najspokojniej kończy objadanie bukieteciku, *po czym* ciska bezużyteczne gałązki za siebie.

Emilka nie umie opanować rozżalenia. Jakaż bezczelna baba! I co ona teraz zanieśie dziecku? Stanowczo nie ma szczęścia do prezentów. Także przesłany w ubiegłym tygodniu przez Elżunię cukier dociera do Wiktorii w postaci odrobiny ciemnej miazgi, gdyż Ela przewróciła się, mocząc *wszystko, co niosła.*

Sytuację ratuje Daniela, ofiarowując koleżance własny bukietecik brusznic, co skłania Emilkę do odwiedzin; *z reguły rzadkich, ponieważ oznaczają odjęcie bliskim od ust dodatkowego talerza zupy.*

Wspólna wędrówka z Daniellą, nucone przez nią piosenki, jej pogodny nastrój - wszystko to sprawia, że w rodzinnej kanurze staje Emilka w nie najgorszej formie. Za to powrót czeka ją fatalny. Z powodu nagłej i wysokiej gorączki Daniela pozostaje w posiołku, by prosić Felczerkę, Darię Iwanownę, o zwolnienie z pracy. Stawia to Emilkę sam na sam z tajgą. Dwadzieścia kilometrów przedzierania się przez bezdroża bez żywej duszy przy boku.

Aby nie zbłądzić, należy trzymać się rzeki, gdzie teren górzysty i niewygodny. Emilka wspina się właściwie po jakimś stoku, po którego przeciwnej stronie wiedzie prościutko w dół, bez żadnych skrętów, wygodna, świetnie widoczna ścieżka. Okrąża potem dolinkę i *nie się na przeciwległe wzgórze, niknąc gdzieś poza jego szczytem.*

Emilka wzrokiem ocenia sytuację, kreśląc w myślach plan marszu. Dzieląc oba wzniesienia dolinkę zalegają ułożone równiutko pnie drzewne. *Z lewej strony pływają warstwy Socetra.*
- To mi wygląda na ostatnie, dolne partie sztabla, co musiał tu do niedawna leżeć - konstatuje w *duchu*. - Mogę sobie skrócić

drogę, skacząc po pniach, na przełaj. Po co okrążać dolinkę, kiedy się nie musi! - Zbiega szybko po stromym zboczu, rozpędzając się coraz mocniej. Już skacze po pniach, z jednego na drugi, coraz dalej. Sądzi wielkimi suszami, ledwie się odbijając od bali i dziwiąc cokolwiek w przelocie, że "coś za bardzo się pod nią uginają". Jakby nie miały twardej ziemi poniżej.

- Co to może być, u licha! - zdumiewa się coraz bardziej, wciąż nieświadoma, że znajduje się na samym środku zatoki, szczelnie wypełnionej pływającymi pniami, które musiały trafić tu przypadkowo - boczne ujście spławianych drzew. Olbrzymie niby-kolano kapryśnej Siewtry.

Emilka pojmie to dopiero wówczas, gdy - skoczywszy na koniec pnia - wpada do wody po szyję. Równocześnie /są to strzępki sekund, podczas których pracuje tylko jej podświadomość czy też nadświadomość a może działa Opatrzność/ rozstawia szeroko ręce oraz nogi, zahaczając się w ten sposób o pnie.

Mysł pracuje na najwyższych obrotach;

Niezwykle jasna,

precyzyjna, błyskawiczna i - rzecz by można - samoistna, bez jej udziału. Rozbłyska w niej COS, co nakazuje ciało takie a nie inne czynności. Wie w s z y s t k o dokładnie. Gdzie się znajduje, z jakiego powodu, jak jest zakleszczona i jakie musi wykonać ruchy, by się ocalić. Wykonuje ich wiele, w mgnieniu oka - każdy celowy, doskonale precyzyjny.

Już ręce ma wolne, mocno trzymające się pnia. Teraz nogi! Szybko! Wydaszkuje jedną z głębiz, spycha nią balę z drugiej, podciąga się całym ciałem i już leży na grubietach pnia, twarzą w dół. Moment bezruchu i kolejna akcja. Przesunąć się płasko ku środkowi, wyliczyć środek ciężkości, odciągnąć go i - prostując się - przeskoczyć lekko na najbliż-

szy pień. W dokładnie upatrzony punkt. Potem na kolejną, z wyciążoną uwagą, lecz bez wahania, aż do brzegu!

Stojąc na stałym gruncie, ociekając wodą - teraz dopiero w strachu - rozgląda się po otaczającym ją pustkowiu. Nigdzie żywego ducha!

- Mój Baże! Gdybym tu utonąła, nikt by się o tym nie dowiedział.

Nareszcie widać, co myśli mamusia, powtarzając tak często: "Pomóż sobie, to Bóg ci pomoże".

Gnana spóźnionym strachem oraz zimnem, podrywa się do biegu. Nie czuje zmęczenia. Pomyka lekko, rozpryskując wokół resztki wody, lecz pośpiech okazuje się daremny. Do pracy musi iść w wilgotnawym ubraniu, co zmusza ją do nieustannego ruchu i bardzo prędko pozbawia sił.

Daniela wraca na spływ po paru dniach i znów pracują w parze. - Jedną tylko świadoma, że mogły się już nigdy nie spotkać na tym świecie.

Bo Emilka nie przyzna się do swej przygody nikomu. Nawet matce.

Spadzisty brzeg Siewtry zaczyna ^{w końcu} pustoszeć. Coraz mniej na nim dłużyć, coraz bliższy koniec akcji i powrót do Siewiernej.

Paręnaście ^{jeszcze} sztabli zalega stronizną, gdy dziesiątnik oznajmia, że trzeba je spławić natychmiast. Z tego powodu ostatnia dniówka jest niezmiernie długa. Trwa całą białą noc, *niemal po wschodzie słońca, gdy spłyną ostatnie prądy,*

Uwolniony od ciężaru brzeg Siewtry może odpocząć. Może zazielenić się bujną trawą, zakwitnąć różnobarwnym kwieciami. Aż do jesieni, gdy znowu zaczną go przygniatać ciężkie bale w oczekiwaniu na wiosenny spływ.

Emilka z Danielą przepływają się w ostatniej kolejności, gdy ci z wcześniejszych przepraw *zdeją* znikną w tajdze.

Razem z nimi przypląwa na treśnicki brzeg Renia Kulikówna oraz jej siostra, Lucja - wszystkie przygaszone i smutne, odpoczywające nad ciemną tonią Siewtry, rozświetloną martwym jakimś, szarym, bez życia, tajemniczym światłem białej, kończącej się nocy. Przewoźnik Stanisław, popatrując w ich kierunku nieznacznie, wyciąga na brzeg swą kłodź, Renia wzdycha kapryśnie:

- I co by nasza mamusia powiedziała, że my o tej porze jeszcze nie śpimy!

Rozśmiesza to Danielę do tego stopnia, że - mimo umordowania - wyśpiewuje kpiąco:

- Złe szła robota, przeszkadza słota

I moja dumka dziewiiczaaaa.

Podchwyciwszy melodię, ignorując "tego ruska, Stanisława", nie dostzegając nagłej tęsknoty w jego szarych oczach, odchodzą.

Renia z Lucją - znużone ślamazarnym tempem Emilki i Daniela - po paru nastu krokach - wybijają się do przodu, co wcale nie martwi przyjaciółek. Daniela stąpa lekko, gwiżdząc z zacięciem, w jednej chwili odsłaniając przed ledwie się wlokącą Emilką prawdę.

- Ta kochana Danielka wcale nie jest taka słaba! Udawała, żebym się nie czuła sama w swej bezsilności!

Chętnie by jej teraz za to podziękowała, uściskała, powiedziała, jak bardzo, bardzo ją kocha, lecz nie ma odwagi. Zdobywa się jedynie na nieśmiałą prośbę o zaśpiewanie czegoś romantycznego, co pomoże zapomnieć.

Wlecze się za Daniellą, oszczędzając obolałą od paru dni piętę, gdyż każdy nacisk na drewnianą podszewę zdaje się wznosić ostrą falą bólu aż do mózgu. Ścieżka biegnie na przełaj, przez las, poprzez wertepy, zapada w wąwozie, wznosi na wzgórki, wokół szaro, martwo.

Daniela śpiewem tłumi wzburzenie. Jeśli nie przyspieszą, nie zdążą wykupić papką! Mimo to zwalnia jeszcze bardziej, gwiżdząc tym zawzięciej. W ten sposób łatwiej oszukać gład. W sercu Emilki wzbiera gorąca wdzięczność... wobec przyjaciółki, która woli jej towarzyszyć, niż przyspieszyć kroku i wykupić chleb.

- Chciałabym coś romantycznego? - Daniela przestaje gwiżdżeć. - Bez pianina niewiele osiągnę, ale niech tam! - Głos jej brzmi odwieczanie i czyste, gdy się rozśpiewa.

- W zapadłym dworku, przy klawikordzie

Siedzi babunia, staruszka siwa...

Est to długa opowieść muzyczna o babuni przypominającej sobie własną młodość i tańce z przystojnym ułanem. Babunia rozmyśla o tym, że czas przeminął a ona, niestety, nie jest już piękną, młodą dziewczyną, o czym Daniela śpiewa z takim przejęciem i tak pięknie, że Emilce zbiera się na płacz. Perlisty śpiew niesie się

daleko po cichej niby grób, pozbawionej nawet ptasich świergotów, nawet szumu drzew tajdze - chwila zupełnego wyciszenia natury przed *wschodem.*

- To samo zdarza się na morzu - przerywa nagle śpiew Daniela. - Ten moment przejścia nocy w dzień, gdy jest spokojne i gładkie jak lustro. Przeżyłam to podczas wakacji. Ostatnich wakacji u nas, w Polsce.

To słowo "Polska", jak również opowieść o babuni zupełnie Emilkę rozklejają. Zwłaszcza myśl, że i jej czas przeminie tu, w obcym kraju, że nigdy się stąd nie wydostanie.

Spostrzegawcza Daniela przysuwa się bliźniutko, ujmując pod ramię.

- A może ciębie, Emiluś, denerwuje to moje śpiewanie?

- Ależ nie, śpiewaj! Dzięki temu łatwiej mi się idzie.

Mijany właśnie odcinek należy do najmniej przyjemnych. Wielka przestrzeń wypalonych, czarnych kikutów sosnowych - smutne omentarzysko liczące sobie dobrych parę lat według oceny dziewcząt.

Posuwając się samym jego skrajem, wystrzegają się, by nie zboczyć ani o krok i przyśpieszając tempo na tyle, na ile pozwala rwąca bólem pięta Emilki. Strasznie jest patrzeć na osmalone resztki wspaniałych, niegdyś zielonych *drzew*, muskanych teraz ostatnim technieniem ^(wartwych) ~~nochnych~~ szarości. Zanim dotrą do bazy, wstanie prawdziwa dzienna jasność słoneczna. Barak żeński zastawia głęboko uśpiony, lecz na pryczach spóźnieńskich leżą ich porcje chleba.

- Kochane! - szepczą pod adresem posapujących przez sen koleżanek i - każda z kromką razowca - wsuwają się pod koce. Zasypiają z uśmiechem. Jeszcze dziś powrócą do swoich. Niech sobie krwiożercze pluskwy uczują. Ostatni raz!

Emilka - po pokonaniu morderczej dla niej drogi między Treśnikami a Siewierną Korgową - wali się bezwładnie na pień. Nie jest w stanie - o własnych siłach - przenieść się na pryczę a tym bardziej dotrzeć następnego dnia do ambulatorium. Aniela z Lilką zanoszą ją tam przy pomocy splecionego z czworga ramion "koszyczka".

Dwie, pełniące dyżur, młode felczerki, obmacawszy twardą niby

kamień/od chodzenia na drewnianych podszwach/skórę na pięcie,
diagnozują krótko i zwięźle:

- Odbit!

Jako lekarstwo aplikują zgodnie...sodę do picia.

- To zmiękozy skórę - stwierdzają i dokładają zwolnienie z pracy.

Nie umniejsza to w *minimalnym* nawet stopniu straszliwego bólu, nad którym Emilka - zanim uśnie - potrafi zapanować. Jednak w nocy jęczy przez sen tak rozdzierająco, że Wiktorii kraje się serce.

Po paru dniach na pięcie formuje się wielki naryw a ból wznaga ~~tak~~ *dalece*, że Emilka kapituluje wobec niego nawet nie śpiąc. Zmienia się też charakter bólu. Jest zdecydowanie inny, niż dotychczas.

Najbliższa niedziela zastaje Emilkę nieustannie jęczącą, leżącą na brzuchu i koleżanki z baraku orzekają, że "tu potrzebne natychmiastowe cięcie".

Sęk w tym, że żadna nie zna się "na chirurgii".

Strapionym przychodzi z pomocą Helenka Kuferska, przybyła na wieczór "przy kominku". Na jej polecenie Iza z Elżunią wygotowują igłę, lecz cienka szpilka nie jest w stanie przebić twardej skóry. Wówczas Helenka wyrokuje:

- To trzeba przeciąć nożyczkami.

Odpowiednie, czyli małe, wygięte na końcu, posiada na szczęście Lilka. Wypali^{szty} w ogniu, własnoręcznie zabiera się do unieruchomionej przez koleżanki, chorej nogi. "rwa wieki, zanim uda się jej wyciąć w zrogowaciałej skórze dziureczkę o średnicy nie większej, niż pół centymetra. Ile kosztuje to cierpień i samozaparcia, wie tylko Emilka, cały czas gryząc wargi i modląc się bezgłośnie, by nie wyć.

Umordowaną Lilkę zmienia Helenka, która *elopóty* wojuje z ranką, aż nie wyciśnie poprzez mały otworek możliwie maksymalnej ilości ropy. Na koniec przykładą do pięty czystą szmatkę i owijają nogę galgenem.

Początkowo przynosi to Emilce spora ulgę, wkrótce jednak sprawa znacznie się pogarsza - *prawdopodobnie*

na skutek zakażenia.

Wokół ranki tworzy się wielka, brzydka, sine-czarna obwódka, powraca także ból. Uniega się to z wizytą wracza Sienowozow. Tego samego, któremu udało się kiedyś pozbyć Emilkę półtora zęba. W baraku tartowane na ten temat długo.

- Musi mieć lekką rękę, skoro rozchwiany przy okazji trzeci zęb, umocniwszy się z czasem w posadach, służy nadal swej właścicielce!

Usadowiona na stołku Emilka aż się trzęsie ze strachu, gdyż wracz Sienowozow - jak zazwyczaj - chwieje się dość mocno. Mimo to zna swe obowiązki.

- Nu, szto tam słucziłos'?¹

- Noga mnie boli - odpowiada rada-nerada Emilka, dodając tchórzliwie.

- Ale już jest dobrze.

- Znaczit, noga... A nu ka, pakażi!²

Choć nie chcąc, pod strachem Bożym, Emilka spełnia polecenie a wracz - obejrzawszy piętę starannie - bełkocze z wyraźnym wyrzutem.

- Nu kakże dobrze, kiedy to zakażenie! Nu nic, jeszcze umiejscowione. Za dzień byłoby po tobie, dziewczka.

Emilka poddaje się dalszym jego zabiegom w milczeniu, zbyt przerażona, by cokolwiek powiedzieć.

- Klękaj, dziewczka, na stołku i mocno się oprzyj o stół - rozkazuje niemal wyraźnie Sienowozow, po czym natychmiast chwyta chorą nogę, jak w imadło, między własne kolana. Wrzasnąwszy: "Wydzierży!"³ - tnie czymś ostrym.

Pod czaszką Emilki zapalają się i gasną wszystkie galaktyki ^{wszechświata.} Mimo to trwa, wczepiona w blat stołu, czekając na coś jeszcze gorszego.

Iecz najgorsze ma poza sobą. Sienowozow, chociaż pijany, uwija się z nogą raz dwa, zwinnie i ze znawstwem. Błyskawicznie, nie pieszcząc się, wyciska ropę, jodnuje ranę, bandażuje i - wypisawszy zwolnienie „z roboty” - oddaje w ręce Wiktorii i Doroty.

Przykuśtykawszy ^{- z ich pomocą -} do baraku, pada na pryczę. Jakiś czas walczy z rwącym bólem, który jednak wyraźnie łagodnieje. Po paru dniach niemal ustępuje, aż znika zupełnie. Pięta jest wygojona, noga uratowana. Tym razem Sienowozow pokazał, co potrafi. Wiktorii oddycha z ulgą, choć nie na długo.

1. No, cōż tam się stało?

2. Noga... Pokaż no!

3. Wytrzymaj!

W obozie szaleje cynga, mnożą się "wędrówki pod bieriozki". Wrazie bezsilnie rozkładają ręce. Nie ma już kiszanej kapusty na recepty. Wyczerpana. Jedyne ratunek w rosnących na bagnach żurawinach. Felczerka, Daria Iwanowna, radzi chodzić na bagna "za kliukwoj" nocą, póki ziemia jeszcze podmarznięta i łatwiej dojść.

Dorota wędruje na bagna parokrotnie, w towarzystwie pani Swięcickiej i objawy strasznej choroby - najpewniejszej drogi "pod bieriozki" - ustępują. Wielu znajomych korzysta z dojazdów Doroty. Wiktoria często je każe i go, kto się uskarża na określone dolegliwości.

Wokół obozu leżą jeszcze łachy śniegowe, lecz w wolnych od nich miejscach już ukazują się pierwsze pędy zieleni. Wśród skąpych na razie, młodych traw, wykwitają białe główki zawilców i innych, nieznanych kwiatków. Początek czerwca to prawdziwa wiosna; gwałtowna i bujna, jak wszystko w tym kraju.

Po lodach ani śladu, lecz w dolinach wciąż dużo śniegu. I - kontrastujące z nim mocno - całe połacie rozkwitłych, różnobarwnych wzniesień bliższych słońcu. Zatrzęsienie tulipanów, kosmetycznych sasenek, fioletowych i żółtych fiołków, konwalii i niezapominajek oraz mrowie nieznanych, nigdy przedtem nie spotykanych.

Lecz mało kto zwraca uwagę na ich piękno. - O, jakie to ładne! - rzuci ten czy ów mimochodem i już myśl zaprzątnięta czym innym, ważniejszym.

Grunt, że najgorsze za nimi: ciemne, długie noce oraz krótkie jak mgnienie, ciemnawe, mroźne i znojne dni. Że przed nimi NADZIEJA. Rezsensowna, bezzasadna, bez szans spełnienia a jednak. A jednak spełniona.

Nie umrą z głodu; byle tylko doczekać do zbiorów. Byle przetrwać! Bo naczałstwo - w trosce o tanią siłę roboczą - przydziela poszczególnym rodzinom ziemniaki do sadzenia. Trzeba po nie pójść aż na przystań, wystać w kolejce a następnie przytaszczyć do Siewiernej; nic to.

Na osobę przypada pięć kilogramów, toteż Wiktoria - na zmianę z Dorotą - niosą aż ćwierć metra - ciężar zbyt drogocenny, by nań urągać.

- Będziemy mieli własne kartofle! Naprawdę? - nie może uwierzyć Dorota. - Będziemy mogli ugotować je w całości, tak?

- Tak. Chyba tak; jeżeli obrodzą - odpowiada Wiktoria i dodaje: - Ale musimy przygotować ziemię. Wykarczować, skopać, ogrodzić, obsadzić... Dany radę?

- Och, mamusiu! Będziemy kopać dzień i noc! - Doroty nie przeraża myśl o pracy. Własny ogród!... Może nawet przestanie widzieć świat w odcieniu jodyny? Może znikną jej sprzed oczu czarne, migające plamy? Nie wszyscy, którzy otrzymali sadzeniaki, zajmują się zakładaniem ogrodów. Są tacy, którzy swój przydział po prostu zjadają. Lecz polska stro-
na baraku numer osiem woli dar, rozmnożyć. Tym bardziej, że można połączyć jedno z drugim. Grube "piętki" z kielkami posadzić, środkki zjeść. Pani Święcicka, razem z Iilką, pierwsze zabierają się do dzieła, toteż zajmują najlepsze miejsce - pod oknami baraku, tuż obok działki dzieciątka Danyłowa, co widząc Wiktoria, zaczyna uprząta-
tać poletko przylegające do nich.

Pnie tu stosunkowo niewiele a chęci do karczowania dużo. Wiktoria z Dorotą uwijają się, jak moga. Nawet Emilka zaczyna powoli włączać się do pracy. Wiktoria spogląda na nią z niepokojem, jednak nie protestuje. Należy się śpieszyć, jeśli chcą, by ziemniaki zdążyły dojrzeć.

Także Iza z Elżunią myślą perspektywicznie. One również karczują zajęta obok Wiktorii działeczkę.

Wykarczowane pnie wszyscy ustawiają wzdłuż wspólnej krawędzi, tworząc coś w rodzaju prowizorycznego płotu. Kiedy Wiktoria udaje się do baraku, by ugotować coś do jedzenia, siostrom pomaga Leszek. Pracę przerywają rzadko, dla złapania oddechu i wówczas z satysfakcją oglądają się do tyłu, na piękny, szerokości dwóch wielkich kroków, pas czystej, czarnej, świeżej ziemi. Właśnie w takiej chwili Dorota mówi do siostry.

- Wiesz, Milka, nasze pnie stoją za blisko pni pani Święcickiej. Jeszcze się pomieszają, zobaczysz.

- Eee, skądże. Przecież każdy wie doskonale, gdzie jego część. - Emilka zabiera się z powrotem do roboty.

Następnego dnia - przyszedłszy na działkę - zastają sąsiadkę najspokojniej kopiącą wykarczowaną przez nie ziemię.

- Przepraszam, pani się pomyliła. To nasza część - mówi Emilka najgrzeczniej, jak potrafi, specjalnie modulując głos. Bez skutku. Pani Święcicka - z łagodnym uśmiechem na twarzy, bez słowa - kopie nadal. Tylko ręką ukazuje niby-plót z pieńków jako dowód rzeczowy.

Dziewczęta chwilę patrzą, zrozpaczone i bezradne. Nawet Dorota, zwykle pyskata, stoi, jak zamurowana. Emilka próbuje jeszcze wyjaśnić sprawę Lilce; z tym samym efektem.

- Mylisz się, moja droga - stwierdza stanowczo koleżanka. - To nasz kawałek. Jeśli chcesz, możemy iść do kantory - dorzucą nieoczekiwanie. Emilka, zbulwersowana tak oczywistą niesprawiedliwością, a baro**biej** wzmianką, o kantorze, uolaje się do matki.

- Co robić, mamusiu? Przecież nie można prać brudów przed obcym!

- Ustąpić. Bezapelacyjnie ustąpić - orzeka bez namysłu **Wiktor**a. - Pies je trącał. Tego tylko brakowało, żeby t a k i Mierzlewców nas rozsądzał! Nie zrobimy mu tej przyjemności. Wolę stracić.

Dziewczęta nie śmiały sprzeciwić się matce; zbyt karnie są wychowane.

Dorota dotychczas pamięta, jak strasznie ukarał ją ojciec za jedno tylko "eee" - znak sprzeciwu wobec jakiegoś polecenia matki.

Obie posłusznie, chociaż z urazą w sercach, zabierają się do roboty od nowa, lecz nie ma w nich poprzedniej ochoty ani radości.

Rozdział XIII

POSMAK WOLNOŚCI

Wykarczowawszy wszystkie pnie, oczyściwszy poletko i skopawszy je pożyczoną z komendantury łopata, Dorota z Emilką oraz Leszkiem przystępują do gradzenia *działki.*

- Żeby nikt nie wszedł w szkodę - *podkreślają znacząco.* - Ani sąsiedzi, ani konie - kiwają głowami w stronę pasących się nieopodal, "kazionnych" szkap. *Wśród nich - wynędzniała Zorka.*

Zajęcie to *niełatwe* - wyszukać w lesie i przydźwigać odpowiednie paliki, żerdki oraz witki brzozone a następnie łączyć wszystko tak, by powstał płot. A więc: wbić w ziemię pale i umocować do nich, przy pomocy witek, żerdzie. Jedną wyżej, drugą niżej.

Wszyscy troje uwijają się żwawo, nie *zważając*, że to niedziela, czym gorszą przechodzącego mimo starowinę.

- Ja Polak, ja katolik! *Ja* w niedzielę świętuję! - mówi z przyganą.

- Ale my nie na zarobek, tylko żeby przetrwać - usprawiedliwia się *w imieniu* własnym i rodzeństwa Dorota.

Dziadek uśmiecha się nagle i - *postawszy chwilę - włącza* do pracy. Najpierw wtrąca ^{tylko} swoje trzy grosze, wnet jednak zabiera się aktywnie do pomocy. Dzięki temu płot rośnie, jak na drożdżach. Następnego dnia staruszek pojawia się znowu.

- To dobra ziemia, *ale* może być jeszcze lepsza, jak ją posypiecie tamtą; gdzie te wzgóreczki - radzi. - Tam były kiedyś stajnie.

Nawóz, choć mocny, nie zaszkodzi.

Przemieszany z ziemią; w sam raz pod kartofle. Wyrosną, jak dwa kułaki - każdy.

Kłopot *W tym, że* nie ma czym nosić nawozu. Jednak i ta przeszkoda

zostaje pokonana. Od czego wanienska Ingi?

Emilka z Dorotą napełniają ją wielokrotnie i wiele razy windują ciężar *poza* nowy płot, *gdzie* Leszek rozgrabia nawozowe kopycki przy pomocy gałęzi i *gdzie* kręci się Inga. Ubrana w otrzymane w Hołubiczach ubranka, w niebieskim kapelusiku, *takimże* płaszczku i *pantofelkach*, chociaż blada i wychudzona, przyciąga wzrok i wywołuje życzliwe uśmiechy - *małenka* *damo*, *rozwinie* *ta* *nad* *wiek* *gadulka*.

Nie tęskni za mamą, o której wie, że poszła do kolchozu po jedzenie. Starsze rodzeństwo opiekuje się nią czule i starannie.

Sadzeniem ziemniaków Wiktoria zajmuje się osobiście. Zbyt to odpowiedzialne zajęcie, by je powierzyć córkom. Mogą jej tylko pomagać. Sama kopie zgrabne dolki - niezbyt głębokie i nie za płytkie - dziewczęta układają w nich umiejętnie przygotowane uprzednio przez matkę kartoflane "piętki" /wyróstkami w dol./ a ona je przykrywa ziemią, którą lekko przyklepuje.

W sąsiednich ogródkach praca wre także; nikt się nie oszczędza. Wtem, skądś z wysoka, od błękitnego sklepienia nieba odbija się wizg samolotu i Wiktoria - chwyciwszy Inge - rzuca się wraz z nią na ziemię, przyślanając dziecko własnym ciałem.

- Mamusiu, on nie będzie bombardował! - woła Leszek, który - jak wszyscy - zadarłszy głowę, obserwuje mały, ciemny, przesuwający się wolno, odległy punkt.

Wiktoria podnosi się z ziemi, tuli przestraszoną Inge, otrzepuje ją, poczym, bez słowa, kontynuuje zajęcie.

Jest końcowa niedziela czerwca,

słońce praży mocno, toteż meszka siedzi przyczajona w tajdze. Nic trzeba tracić dodatkowej energii na opędzanie się przed nią. Leszek, który - natychmiast po przelocie samolotu - znika gdzieś, nagle pojawia się znów, nie sam, lecz w towarzystwie Kolki Mierzlewcewa.

- Prędko, prędko! - woła, rozgorączkowany, że szczęściem w oczach.

- Prędko do świetlicy! Rzucać wszystko i na zebranie, Wojna! Mamusiu, Niemcy

napadli na ruskich! - biegnie dalej / Kolka za nim, powtarzając wiadomość i wzywając na zebranie.

Ludzie, błyskawicznie otrząsnąwszy się z osłupienia, porzucają wszelkie obowiązki. Pędzą do świetlicy na złamanie karku, po raz pierwszy ochotnie, z radością na twarzach, lecz i niepewnością w sercach, podnieceni, niespokojni.

Przybyli na końcu
Nie wszyscy mieszczą się w świetlicy. Wcisną się do otwartych drzwi i okien, słuchając z przejęciem, jak Mierzlewcew osobiście potwierdza niewiarygodną wieść.

- Dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku,

Germaniec napadł podstępnie na nasz kraj.

Wypełnioną po brzegi salę przenika nagle jakiś prąd *jedność* myśli i uczuć. Wszyscy, jak jeden mąż, zrywają się na równe nogi i spontanicznie, bez uzgadniania, bez hasła, z głębi wzebranych serc, zgodnie zaczynają:

- Jeszcze Polska nie zginęła!...

Śpiew rozszerza się błyskawicznie, obejmuje tych na dworze, potężnieje i trwa. Trwa, mimo że twarz Mierzlewcewa wykrzywia się grymasem przerażenia a potem wściekłości.

- *Małczat'!* *Małczat'!*¹ - wrzeszczy, usiłując przekrzyczeć śpiewających narodowy hymn. Bezskutecznie.

Odśpiewawszy swą pieśń wolności do końca, tkum - z twarzami we łzach, z uniesieniem w oczach, z wyciągniętymi ku niebu ramionami - rusza do przodu, co widząc Mierzlewcew - przekonany, iż chcą go zlinczować - z przerażeniem cofa się tak długo, aż się znajdzie za stołem. Chwyta go *(mocno)* *niemal unosząc*, jakby w geście samoobrony. Wówczas z gromady Polaków wybija się na czoło pan Kolanko, brygadzysta Emilki ze spływu. Odwrócony twarzą do rodaków, wycisza wzburzenie gestem uniesionych ramion, staje obok komendanta i zaczyna przemawiać.

- Kochani! *Nareszcie otwiera się*

A. Milczec!

przed nami szansa! Wreszcie i na naszej ulicy święto! Trzymajmy się. Nie róbmy głupstw, bo wszystko zaprzepaścimy. Jeszcze tutaj jesteśmy. Główna rzecz - przetrwać. Dotrzeć do chwili... Nie czas o tym mówić. Za weześnie. Teraz rozejdźmy się. Wracajmy do baraków i nie traćmy nadziei.

Od tego dnia w ludzi wstępuje nowy duch, Nastroje /choć głód ostro daje się we znaki/- pogodne, z czym zdaje się współgrać przyroda. Uwolniona od śniegów i lodów, śpieszy się ogromnie, by zdążyć przed nową zimą. Trawy wyrastają znów bujne i gęste, akurat pod kosę, runo leśne - parujące wilgocią - zieleni się i ukwieca, zasadzone niedawno ziemniaki wschodzą błyskawicznie i rosną dosłownie w oczach. Dzień i noc, przez okrągłe dwadzieścia cztery godziny, z dnia na dzień bujniejsze. Kwitną, fioletowo, wzbudzają czułość. Wiktorcia okopuje je ostrożnie, niemal przeszczać. Z każdą godziną, wydają się większe, co przejmuje jakimś zabobonnym wprast lękiem.

- Mamusiu! - woła Dorota. - Już są wyższe!

Wiktorcia spogląda nieufnie.

- Rzeczywiście. Chyba już urosły? - uśmiechają się do przechodzącej za płotem kobieciny, która żegna się z wyraźnym lękiem "na psa urok".

Istotnie, przyroda tutejsza może przerażać swą spontanicznością. Wybucha tak nagle, z takim przepychem, że zdaje się musować, pienieć i występować z brzegów. Zda się, że ziemia jej nie pomieści, nie wykarmi, nie zniesie nadmiaru.

- To się dzieje po diabelsku! - szepcze z trwogą Abram do Wiktorii.

- Szanowne pani Ieszczyńskie, spójrzmy tutaj, na te trawa. Jeszcze wczoraj jej nie było a dziś! I jakie one wielkie!

Trawy, kwiaty, krzewy i zasadzone ręką człowieka rośliny uprawne rozwijają się w istotnie przyspieszonym tempie, maksymalnie wykorzystując krótki okres wegetacji.

Emilka, jak przed rakiem, znów wędruje na sianokosy, lecz w inne,

znacznie odleglejsze, niż Traktorna Baza, miejsce, gdzie zatrzymują się tylko na etapowy nocleg, bardzo niewygodny i męczący, na gołych kowach w świeflicy. Też, pamiętajęcej zeszłoroczny, niefortunny popis artystyczny tubylczych dziewczeczek.

Emilce trafia się ława tak wysłużona, że kiwa się na wszystkie strony i skrzypi niemiłosiernie przy każdym poruszeniu, co przyprawia o zawrót głowy. Leżąc płasko na plecach, wzdycha: - Ta ława jest chora na epilepsję! - Ostrożnie przekręca się na bok. Jednak usnąwszy, przestaje kontrolować swe ruchy, na skutek czego musi wielokrotnie zeskakiwać ze zbyt roztańczonego "łoża", chroniąc się w ten sposób przed upadkiem i potłuczeniem. Pragnie też uniknąć hałasu i pobudzenia koleżanek. Z tego powodu rano bolą ją wszystkie mięśnie i kości. Czuje się bardziej znużona, niż wieczorem.

Złożone z kipiłatku i małej porcyjki chleba śniadanie/ze względu na warunki wojenne zaniechano „lepszego karmienia” przydatnych pracowników/ nie dodaje się tak potrzebnych do dalszego marszu.

Pod dozorem jednego tylko konnego wędrują najpierw drogą obok kołchozu, w którym została zielona, jedwabna suknia Emilki, następnie zbaczają ku niewielkiemu laskowi, posuwając się z biegiem nieznanej rzeczki, wciąż w kierunku południowym.

Marsz jest długi, uciążliwy, co najmniej trzydziestokilometrowy i wymaga kilkakrotnego odpoczynku. Noc spędzają w jakimś kołchozie - dość rozległym, rozpostartym na płaskowyżu-zrozpaczone. To nawet nie polowa trasy!

Takby na pocieszenie, można tu kupić po pół kilograma twarogu i po pół litra maślanki na osobę. Maślanka jest kwaśna, jak ocet siedmiu złodziei, za to ser pyszny. Razem z kawałkiem chleba - istna uczta.

Równie wspaniałe, jak kolacja, jest nocleg. Przydzielone do poszczególnych chat, lśniących czystością, śpią wygodnie, w łózkach.

Emilka, z początku zbudowana zadbanym wnętrzem, przekonuje się, że starania gospodyń dotyczą jedynie wystroju. Sam widok brudnej szmaty, przez którą chadzajka ¹cedzi mleko, obrzydza
1. gospodyni

poczęstunek. Tym bardziej, że w kubku z mlekiem pływa jakiś podejrzany strzęp.

Emilka śpi mocno, nie czując buszujących po niej insektów, od których także tu, jak wszędzie, aż się roi.

Wyspana, przedranny marsz rozpoczyna dość dziarsko. Mimo że idzie boso. Ona jedyna w całej brygadzie. Odratowane wiosną przez Abrama brązowe pantofle są w takim proszku, że nic się z nich nie da zrobić.

Nie posiada też środków na zakup nowych kapci - sprawa i tak bez znaczenia, gdyż kolchozowy sklepik świeci pustką.

Ani "botinkow"¹, ani niczego poza paroma buteleczkami "adikalona".²

Litując się jej obolalym, bosym stopom, konny - podobnie, jak ten w ubiegłym roku - proponuje Emilce miejsce za sobą.

- Idź k czortu!³ - odpowiada arogancko, nie czując dobrze języka,

- Wot dura⁴ - konny, uniosłszy bez obrazy ramiona, dołącza do grupy

kolchoźników, mocno podchmielonych mimo wczesnej pory, wesółych i bez przerwy wyśpiewujących czastuszki. Oni także idą na sianokosy.

- Wodą kolońską tak się ululali - mówi pani Maria Malińska, znów w najlepszej komitywie z Emilką. - Sama widziałam, jak tato kupowali w sklepiku - największe butelki! - a potem wypijali.

"Adikalon", w miarę upływu czasu, zaczyna widocznie działać coraz silniej, gdyż kolchozowe bractwo musi się spleść ramionami, by łatwiej maszerować. Daleko w przodzie, prą ławą, zataczając się i tarasując całą szerokość drogi - damsko męskie, roz hulane towarzystwo, ignorując wszelkie przeszkody. Nic to błotna kałuża pod nogami! Pokonują ją na przełaj. Przeprowa nie udaje się ^(tylko) dziewczynie w białej sukience. Na samym środku nogi odmawiają jej posłuszeństwa i dziewczynka,

źle wspierana przez osłabłe ramiona towarzyszy, wali się w błocko. Nie przerywając śpiewu, pomagają jej wstać, obejmują dokładniej

1. butów

2. wody kolońskiej

3. idź do diabła.

4. Idiotka!

i ruszają zgodnie choć wężykiem, nie zwracając uwagi na otoczenie. Droga wiedzie poprzez lasy - czasem potężne, wysokie, kiedy indziej niższe. Pośród ciemnej zieleni świerkowej migają czerwone,

dojrzewające korale jarząbin, jasnozielone liście brzoź i ich białokore pnie. Wśród puszystości mchów barwią się kwiaty, płoną pomarańczowo agańki, których zapach unosi się w przyćmionym meszką powietrzu - tam, gdzie grunt jest podmokły lub całkiem mokry. W miarę wznoszenia, a tym samym osuszania terenu, powietrze przejaśnia się. Droga jest niewygodna - zwyczajny leśny dukt. Dziewczęta padają z nóg, Emilce zaczyna dokuczać za ledwie zaleczoną, urażoną niefortunnym stąpieniem piętą. Swoim zwyczajem, ciągnie się na samym końcu, nawet za parą objuczonych sprzętem koni i modląc się w duchu o rychły koniec wędrówki. Wreszcie - kolejny etap i perspektywa wypoczynku. W rozwalonym baraku. Jedyne, jako tako zachowane, by świadczyć, że kiedyś był tu posesiołek, na co wskazują, także szczytkowo zachowane obrysy ogródków i zabudowań.

Ocalały barak nie ma okien ani drzwi, dach jest ażurowy a podłoga dziurawa. Zalegają ją - na całej przestrzeni - niziutkie nary-nie nary, deska przy desce, wsparte na dwóch przeciwległych, grubych, ^{poziomych} belkach. Rosjanie odstępują barak Polkom, które układają się na narach ciasno, jedna obok drugiej.

Emilka zajmuje miejsce jako ostatnia, z brzegu, i prędko zasypia. Ocknąwszy się w jakiejś chwili, siada spłoszona na widok chrapiącego tuż obok, ruskiego kolchoźnika.

- Chyba zablądził po pijanemu - myśli, zsuwając się ostrożnie, by poszukać ustronnego miejsca.

Nie jest jej dane położyć się ponownie. Na widok rozwalonego /na obu miejscach/ kolchoźnika, rusza na zwiedzanie ^{Kuśtykając} okolicy. Krąży wśród resztek zapuszczonych działeczek, między ustawionymi w czworokąty palami, ostrożnie rozsuwa wielkie pokrzywy. Ból pięty zmusza ją do zawrócenia. Przed barakiem, całkiem już trzeźwe Rosjanki, gotują nad ogniskiem śniadaniowy kipiatak.

Od tego miejsca kończy się zupełnie droga. Dalej trzeba się przedzierać poprzez gęste zarośla, wąziutkimi ścieżkami tajgowymi - to w górę, to w dół - przecinać piękne, rozległe polany, pełne niedojrzałych jeszcze jagód.

Teren wciąż pnie się wwyż, nogi już nie grzeszą, /jedyne się zaplatają w poszyciu/, z powietrza ulatnia się przykry zapach wilgoci. Coraz mocniej przypieka słońce - wróg meszki, lecz także zdżożonych wędrowców.

Emilka musi teraz mobilizować wszystkie siły, nawet te rezerwowe, których istnienia wcale nie podejrzewała. Trzeba to wytrzymać. Trzeba nadażyć za innymi, nie zatracić się w tych ostępach. W tym jądrze nieprzyjaznej tajgi archangielskiej.

Przed zachodem słońca czoło pochodu - trzeźwe teraz zupełnie - zatrzymuje się na wysokim, trawiastym brzegu pięknej rzeki.

Olśniewający, ^(zielony) śnieg sięga aż po odległy brzeg daleko w dół, i znów meszka w powietrzu. I ja-
koś parno, wilgotno.

Wpatrzona w rzekę, Emilce przypomina się naraz krakowskie Rudawa i ona sama, razem z ojcem, przechadzający się jej brzegiem podczas oczekiwania na połączenie z Przemysłem. Jakże przykro brzmi głos dziesiątnika, przywołujący do rzeczywistości.

Trzeba pomyśleć o zakwaterowaniu; są na miejscu. Od jutra - sianokosy. Niewielka, drewniana budowla bez drzwi i otworów okiennych - ciemna ciasna i brudna, aczkolwiek zaopatrzona w nary, zupełnie nie nadaje się do zamieszkania. Przez otwór drzwiowy wpadają chmary meszki i komarów o tej wieczornej godzinie kłujących z wściekłą jakąś zjadłością. Dziewczęta odmawiają wejścia pod dach nawet wówczas, gdy kolchoźnicy poprawią deski nar i zaproszą do środka. Popijając przydziałową, czarną, niesłodką kawę zbożową i pogryzając chleb, naradzają się, co robić.

Pani Maria daje znak Emilce i obie zajmują przytykającą do budy, zewnętrzna jakby narę tak niziutką, że wygląda na fragment podłogi. Wymościwszy ją wspólnymi siłami trawą, kładą się - przytulone - na jednym przesćieradle, przykrywając drugim razem z głowami. Obydwa stanowią własność ciotki Władka.

Zasypiają błyskawicznie, osłonięte przed owadami, w blasku białej nocy, ciepłej, chociaż wilgotnej. Także pozostałe Polki, pokrywane czym się dało, śpią pod drzewami, jak zabite.

Emilkę dręczą koszmary. Źni, że coś ją szarpie, rozszarpuje. Ktoś ciągnie za nogi, za włosy. Umordowana, budzi się silnym aktem woli, świadoma, że śni i że tylko obudzenie może ją uratować. Że w rzeczywistości nic się nie dzieje. Lecz przebudzenie nie pomaga. Koszmar trwa.

Coś jej istotnie dotyka, coś się wsuwa pod bok, potrąca głowę. Coś dużego i miękkiego. Coś ciepłego, wilgotnego. Prząc ze strachu, powoli uchyla rąbek prześcieradła i zaczyna chichotać - na widok...końskiego pyska tuż nad sobą.

- Ach ty leniwcze! - szepcze cichutko. - Nie chce ci się skubać trawy? Wolisz gotowe? - Usiadłszy, zdumiewa się jeszcze bardziej. Są tu wszystkie trzy koniska - ustawione - każdy przy swoim „żłobie”. Jeden wyciąga trawki spod jej nóg, drugi spod boku, trzeci spod głowy, co czynią bardzo delikatnie, jednym zębkiem.

Obudzona jej poruszeniem pani Maria siada także. ^(dopiero) Wówczas /szkapy - wcale nie spłoszone, ze stoickim spokojem, ociągając się - odchodzą na bok.

Rankiem, po śniadaniu, kołchońnicy przypuszczają szturm do baraczkę. Koszczą trawę nary, wykarczują komary i meszkę, ^{zas} w otworze drzwiowym zawieszają płachtę.

- Oł, wasz dom - mówi ^{Tamarą} wesolą dziewczyną, która podczas drogi wpadła do kałuży. - Wy nieprzynajmniej pod gruszą mieszkać. Was komary zjedzą i meszka. No i deszcz może paść.

- A wy? - wyrwa się Emilce, poruszonej tą niespodzianą troskliwością.

- My zbudujemy szałas.

Ponieważ tego dnia szałas nie ^{uda} się zrobić, wszyscy zgodnie śpią w budzie. Pod jedną ścianą - Rosjanki i Rosjanie, po przeciwnej - na waletę - Polki.

Emilka spi tym razem twardo, lecz pani Maria, która sen ma lekki, nie kryje najejutrz zgorzenia wywołanego "nieprzyzwoitymi odgłosami" dobiegającymi z "ruskiej" strony.

Tamci, nie przejmując się tym, co się o nich myśli i mówi - obserwowani przez cudzoziemki z niekłamany podziwem - zбираją się do budowy zapowiedzianego szałasu.

Dwa, rosące vis a vis, w odległości około trzech metrów od siebie, wysmukłe świerki stanowią jego zaczątek.

Ściąwszy jeden na wysokości wzrostu

najpostawniejszego spośród mężczyzn, wyciosują w jego szczycie dość głęboką bruzdę. Drugi, podpiłowany na tym samym poziomie - pchnięty umiejętnie - górną swą częścią trafia w przygotowane wyłobienie, tworząc kalenicę. Mniejsze drzewka, oczyszczone z gałęzi i okorowane, ustawiają szczelnie, epierając /pod kątem/ wierzchołkami o kalenicę, zaś podstawami o ziemię. W ten sposób wznoszą trzy ^{pochyłe}ściany szałasów, Dwie dłuższe i jedną krótszą. Powstały tak:

szkielet zaczynają okładać najpierw darnią, potem chojakami. Na koniec moszczą wewnątrz masą siana, ^zasłaniają wejście zasłaniają derą. W szałasie zamieszkuje koedukacyjne towarzystwo kolchozowe. Polskie dziewczęta mogą odtąd spać spokojnie.

Można też nareszcie rozpocząć sianokosy. Dziesiątnik decyduje, że trawy wokół obozowiska nie będzie się kosić. Niech służy im oraz koniom.

Tuż po wschodzie słońca i po śniadaniu obie brygady - polska i tubylcza - przystępują do pracy w głębi lasu, gdzie nie brak polan równie pięknych, jak ta nad nieznaną rzeką, o trawie równie bujnej i jędrnej.

Jest parno, nieprzyjemnie, gdyż wiele tutaj strumieni - istny raj dla meszki. Prawdziwa, obwieszona dżungla.

Emilka, ująwszy w dłonie przydzieloną kosę, wykonuje rzetelny zamach, naśladowując w tym innych kosiarzy, lecz kosa przejeżdża po trawie, nie wyrządzając jej najmniejszej szkody. Próbuje ponownie, potem jeszcze raz i jeszcze, wciąż z tym samym skutkiem. Ciągłe tylko głaszcze twardą trawę. Ponawia próby, zmienia technikę; to przystawia narzędzie

do samej ziemi, to je przesuwa wyżej-wszystko na nic.) Kosa złośliwie ją ignoruje-wspaniała rozrywka dla Rosjan. Przerwawszy pracę, zarykują się ze śmiechu, trzymając za brzuchy, niemal tarzając po trawie. Kiedy, zrezygnowana, zaprzestaje wysiłków, jeden z nich zabiera jej z rąk kosę, ustawia odpowiednio, po czym własnoręcznie umieszcza na powrót w jej dłoniach.

- Nu, paprobyj tiepier'.¹

Emilka próbuje i po chwili dokonuje pierwszego w życiu udanego pokosu.

- To nawet przyjemne - myśli, wciąż kosząc i z satysfakcją spoglądając na rezultat własnego wysiłku. Wkrótce jednak przekonuje się, że owa przyjemność, na dłuższy dystans, nuży a nawet wykańcza. Potleje się z niej strugami, do mokrego ciała lgną chmury męzki, w gardle zasycha, brakuje energii nawet do opędzania się przed owadami. Gdy jednak po paru dniach nabierze wprawy, nawiązując myślami do ubiegłorocznych doświadczeń, stwierdza: - Jednak miałam rację. Kosić łatwiej, niż grabić.

Co pewien czas do bazy nad rzeką konny poganiacz dostarcza z kolchozu żywność na objuczonej po obu bokach kobyle. Kucharka Tamara - ta, która utyliła swą białą suknię - gotuje z tych produktów obiadowe zupy. Odpowiada także za przyrządzony na czas, kolacyjny oraz śniadaniowy kipiłek.²

Pracy jest tak wiele, że nie ma mowy o przestrzeganiu ośmiogodzinnego dnia roboczego i bywa, że dziewczęta zarzucają wrzątek swą kaczą czy mąką w porze, gdy dawno powinny spać. Także pranie mogą urządzać wyłącznie nocami - rzecz bez wielkiego znaczenia ze względu na ich jasność.

Pranie odbywa się nad brzegiem rzeki, co ogromnie krapuje Emilkę, przekonaną, że jej łaszki należą do najlichszych. Dlatego szuka samotności, co ma tę słą stronę, że nie może liczyć na niczyją pomoc podczas wdrywania się z powrotem na stromy brzeg. Skąpo odmierzane godziny snu mijają jej, niby mgnienie i znów trzeba stawać do kosy. A przedtem maszerować. Nieraz nadprogramowo, jak choćby wówczas,

1. Spróbuj teraz.

2. Wrzątek

gdy zdarzy się jej zapomnieć przydziałowej osetki, bez której niepodobna kosić. Brygadzysta, upewniwszy się, że nie zabłądzi, puszcza ją do bazy - decyzja /obu stron/ dość ryzykowna.

Do obozowiska ^(Emilka) trafia z łatwością, lecz powrót trwa parę godzin i kończy się pomyślnie tylko dlatego, że w porę uprzytamnia sobie konieczność wędrowania pod prąd rzeki i jak najbliższej brzegu. To ostatnie nie jest łatwe. Miejscami brzeg porastają takie chaszczki, że zmuszona jest okrążyć je daleko, zanim znów powróci nad wodę.

Brygadzysta nie robi jej wymówek z powodu długiej nieobecności, najwyraźniej zadowolony, że przyszła. Wręcza Emilce duże, drewniane grabie, pewien, że przyjmie tę zmianę z wdzięcznością. Siano w międzyczasie podeschło i trzeba je grabić.

Którejś nocy polskie dziewczęta konstatują, iż dłużej nie wytrzymają ani tej pracy, ani leśnych warunków.

- Pocherujemy się albo wręcz powymieramy!

- Ten klimat nas zabija!

- Szkoda ginąć teraz, kiedy wojna niemiecko-ruska stwarza szansę wyjazdu.

Rada w radę, decydują się wysłać do dziesiątnika oficjalną delegację. Problem w tym, kto ma w niej wziąć udział.

- Może ja? - proponuje nieoczekiwanie, nawet dla siebie samej, Emilka.

- Ty? - dziwi się Wanda Derska z Siewiernej Jużnej. - Ty jesteś taka, że gdy komar na tobie usiądzie, toś go gotowa pogłaskać, zamiast utłuc. Tu trzeba kogoś bezpardonowego.

W końcu zostają wybrane panie Maria i Czesława - obie grubo po trzydziestce. Lecz delegacji nie jest dane stanąć przed dziesiątnikiem.

Podczas gdy delegatki, jedząc kolację, nabierają odwagi, on sam porusza temat.

- Słuchajcie, ¹ dziewczęta, tutaj dla was za ciężko. Wy się męczycie a my nie mamy z was pożytku. Możecie wracać - jeżeli traficie - choćby dziś.

1. dziewczęta

Jeśli nie, zczekajcie na dostawcę prowiantu.

Wśród Polek wybucha taka radość, że gotowe są wyruszyć natychmiast, przed czym dziesiątnik powstrzymuje je. Przydają się odpoczynek po całym dniu ciężkiej pracy. *Podeksytowane, zrywają się grubo przed wschodem. Wyruszają, ani myśląc czekać na ołost¹ wieczorem* do kolchozu, gdzie - podobnie jak w drodze na sianokosy - spędzają noc, uplasowane po dwie, trzy w różnych chatach. Przy okazji stwierdzają, po raz któryś z kolei, że jedno, co można policzyć *ruskim* na plus, to ich *bezprzykładna gościnność, nakazująca przy-
jąć pod dach każdego, kto o to prosi.*

Emilka z panią Marią zastają w wybranej chacie *bieżeńców¹* z Moskwy. *Pierwszych naocznych świadków, że istotnie "naczałaś wajna"² -*

- *młodą* mamę z córkami w wieku trzynastu i czternastu lat. Wszystkie trzy mają na nogach nowe, błyszczące pantofelki, co z miejsca rzuca się w oczy bosonogiej Emilce.

- Zapomniałam już, jak się chodzi w prawdziwych pantoflach - myśli, obserwując dyskretnie, jak moskwiczanki przygotowują posiłek, zanawia-
dany z namaszczeniem przez obie dziewczynki.

- Gaława! Ach, gaława!!!³

Emilka z panią Marią, same wygłodzone, mimowoli *ulegają* nas-
trojowi wyczekiwania i - acz bezinteresownie - upatrują momentu uka-
zania się na stole *tajemniczego* specjału. Gdy się na koniec pojawi,
nie wiedzą: śmiać się czy płakać.

W "kastriuli"⁴ leży... *podpieczona....głowa.....rybia, na /zachwył*
moskwiczankę *wyrażnie* się potęguje. *Mamasza, ujęwszy "kastriulę"*⁵ z nama-
szczeniem przez szmatkę, wychodzi do swojej kwatery. Za nią, uroczyś-
cie wyprostowane, z *bręgosciami* *rozłana* na wychudłych buziach, suną obydwie cór-
ki.

- Ojej, a ja myślałam, że to jest głowa co najmniej krowia albo cho-
ciaż świńska! - wykrzykuje rozczarowana pani Maria.

- Ja tak samo - mówi Emilka, lecz żadna się nie śmieje.

W tejże chwili wchodzi do izby

1. uciekinierów

2. zaczęła się wajna.

3. głowa, ach, głowa!

4. na patelni

5. mama

gospodyni z garncem mleka, która częstuje "inostran-
nych gości".¹

- Pijcie na zdrowie! ² - nie przyjmuje proponowanych pieniędzy - części
zarobku otrzymanego za udział w sianokosach.
Pija więc, nie zglądając do garnuszków, by nie ujrzeć czegoś, co by
im mogło odebrać apetyt.

Następnego dnia, późno w noc, brygada byłych kosiarek dociera do Tra-
kternej Dasy, skąd - po trzygodzinnym wypoczynku - ruszają krótszym,
kangurzym szlakiem, po belkach zimowej drogi dla traktorów.

Przy pożegnaniu z Emilką pani Maria chwilę waży coś w myślach. Wresz-
cie mówi.

- Panno Emilko, proszę wstąpić do mnie. Mam drugie buty. Podaruję je
pani.

- Nigdy w życiu! - protestuje gwałtownie Emilka, w pełni świadoma wie-
lkości ofiary.

- Ależ ja ich nie potrzebuję! - namawia pani Maria. - Są za małe.

I tak je wyrzucę - kłamie niezdarnie.

Emilka dziękuje serdecznie za ten królewski gest, ofiary jednak nie
przyjmuje. Dobrze wie, że nawet bardzo małe buciki można z powodzeniem
sprzedać lub wymienić w kolchozie.

Wiktoria cieszy powrót córki, zarazem jednak nie umie powstrzymać
łez, patrząc na zaognione rany na jej rękach i nogach,
na wychudłą sylwetkę i siność pod oczami.

- To nic, mamusi. Trawy takie ostre, że musiałam się pokaleczyć. No a
potem siada na tym meszku; stąd rany. Głupstwo, wygoją
się.

Następnego dnia Dorota zostaje odprawiona z kwitkiem spod piekarni.
Mierzwowce nie wierzy, że dziewczęta wróciły z sianokosów za zgodą
tantejszego dziesiątnika i trwa trzy dni, zanim z odległego o dzie-
więćdziesiąt kilometrów obozowiska nad piękną rzeką nadejdzie potwie-
rdzenie, dzięki któremu Emilka ponownie otrzyma tałony na chleb.

Powrót dziewcząt następuje w najbardziej odpowiednim momencie. Karto-
fle na poletkach nadają się już do "podbierania", z czego Wiktoria

1. w doziemijskich gości.
2. Na chwałę Bogu.

korzysta bardzo oględnie, wygrzebując ostrożnie to tu, to tam po jednej bulwie, starannie wcześniej zlokalizowanej, by nie uszkodzić krzaka.

Mierzlewcew zwołuje znów cały posesiołek na zebranie i jest tym razem dużo miłszy. Pomyślny to dzień dla zesłańców, chociaż trzynasty i choć przemawia sam rajkomendant, także odmienny. Jakby inny człowiek.

- Wczoraj, dwunastego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, nasze radio podało, że w myśl umowy sowiecko-polskiej, Prezydium Rady Najwyższej ZSRR ogłasza AMNESTIĘ dla obywateli polskich znajdujących się na terytorium Związku Sowieckiego. Tak więc władza sowiecka jest wam przychylna. Od dziś jesteście wolni. Możecie stać, nawet wyjechać. Wybierzcie sobie dowolne miejsce dalszego pobytu /tylko poza europejską strefą/ i wyjeżdżajcie, choćby jutro. Podpisano

pakt z waszym generałem, Władysławem Sikorskim. Będziemy teraz walczyć ze wspólnym wrogiem. Nie jesteście już więźniami. Jesteście naszymi sojusznikami. Od dziś nie obowiązuje was praca przymusowa. Ani praga, ani suł wam nie grozi. Jeżeli jednak chcecie jeść chleb, musicie na pajok zapracować.

Tę wiadomość, jak tamtą o wojnie, polska społeczność przyjmuje z radością, lecz nie bez niepokoju. Jeżeli są wolni, to dlaczego nie mogą wrócić do domu? Do Polski?! Mimo to ciesz się sama możliwość wydostania się z tajgi. Dobrze i to na początek! - pocieszają się i już zaczynają naradzać: - Dokąd jechać? I rozpoczynają krzątanie wokół przygotowań do drogi.

Wiktoria, czując się znacznie lepiej, staje dobrowolnie do pracy. Potrzebuje chleba. Trzeba suszyć sucharów na drogę. Pracuje również Emilka, jak zwykle, w lesie.

Przydzielone Wiktorii zajęcia uchodzą za lekkie: uprzątnię terenu pod opósniony tutaj sianokos a więc grabienie gałęzi spośród ściętych pni, usuwanie zawadzących sęków czy kłód drzewnych. Ubrana - jak jesienią - w swą czarną

wizytową, jedyną ocieploną suknię, bosą, przykucnąwszy na pniu, czeka na przydział zajęcia. Dziesiętnik Danyłow, porozsyławszy wszystkie kobiety, patrzy na nią z namysłem, wreszcie rzuca:

- Nu, do roboty!

- Ale co mam robić?

Zbysy pytanie milczeniem, zaczyna zbierać gałęzie. Ponieważ Wikto-
ria siedzi nadal, burczy:

- A wy czego siedzicie? Zbierajcie! - od ogłoszenia porozumienia Sikorski-Majski naczelstwo przestaje "tykać" Polaków. Wapólnie układają wielki stos, który dziesiętnik podpala.

- O! wasza robota. Zbierać gałęzie i palić. Pilnujcie tylko, żeby lasu nie podpalić. Tu tajga na czterysta kilometrów wokoło. Nikt żywy nie wyjdzie w razie pożaru.

Wiktorია jest przerażona. - A jakby się zapaliło, co pocznę?.

- Ludzi wołać - wruszywszy ramionami, ^(Danyłow) bódala się.

Obawy Wiktorii spełniają się. Jakims niezbadanym sposobem, nagle staje w płomieniach ^(też) wierzchołek rozna-
cego najbliżej ogniska, samotnego świerku. Ludzkie sylwetki migają w oddaleniu, Wiktorია zaczyna krzyżeć.

- Na pomoc! Ratunku! Las się pali!

- To niech się pali! - odkrzykuje ktoś beztrocko, wobec czego

Wiktorია krąży bezradnie wokół ^(też) najwyższej w świecie pochodni, załamując ręce.

- Nikt się nie wydostanie! Wszyscy się upieczemy żywcem! - lamentuje, gdy uwagę jej odwraca dziwny jakiś łomot czy tętent. Stoi teraz, jak wryta, wpatrzona w sadzący nieopodal tabun łosi - wspaniałych, smig-
łych, mocnych. Niesie się od nich szum, chrzęst i moc - odgłosy znajo-
me z zeszłorocznej jeszcze pracy w lesie, lecz widok zupełnie nowy.

- Ileż to mięsa, mój Boże! - wzdycha Wiktorია, oprowadzając stado wzrokiem a potem patrzy z ulgą na wypalony w międzyczasie do szczętu pień świerkowy, jeszcze żarzący się, lecz chyba nieszkodliwy.

Rzuca się co prędzej do podsycenia przygasłego także ogniska, wciąż podejrzliwie zerkając na ^(też) tłący się kikut; aż do końca dniówki, aż do

zachodu słońca, gdy ponad tajgę spłynie zimna, srebrzysta poświa-
ta białego wieczoru, zaś od obozu doleci jazgot gongu. Mimo
to nie ma odwagi zostawić wciąż nie do końca wypalonego drzewa.

- Dlaczego pani nie idzie do dzieci? - pytają powracający do baraków

- Po ten świerk... Jeszcze się las zapali.

- A niech się pali, na pohybel!

Lecz ona stoi, niezdecydowana, gotowa stróżować choćby do rana, gdyby
nie znajomy Joachima - towarzysz broni z dwudziestego roku -
niedawno poznany dzięki wszędobylskiemu Leszkowi, zachwyconemu, że oto
przyprawia do karnury "pana, który znał tatusia".

- Proszę się nie martwić, ten świerk rośnie zbyt daleko od innych. Może
pani śmiało wracać - radzi i to Wiktorii wystarcza. ZNAŁ przecież JO-
ACHIMA!

On także zwraca jej uwagę, że nie powinna marnować w lesie tak porząd-
nej sukni, wobec czego zaczyna się zastanawiać nad zmianą
roboczego uniformu. Z pomocą przychodzi jej pani Święcicka, dawa-
jąc połowę zachowanego dotychczas /z powodu wypalanej dziury/,
białego lnianego obrusu na bluzkę. Spódnica wychodzi z szarego samo-
dziutu, w który była owinięta ostatnia paczka z Hołubicz. Niestety,
z wybuchem wojny ustaje nawet korespondencja. Wiktorii
jest niewysoka i szczupluteńka, jak dziewczynka, dzięki czemu spód-
nicę może pani Tomczycka skroić z zakładką. Z resztek od bluzki spo-
rządza niewielką chusteczkę-rogówkę, która świetnie chroni głowę przed
palącym słońcem.

Można teraz śmiało powędrować z czarną suknią do kot-
chozu, co zostaje powierzone Dorocie.

Nowy strój przeobraża Wiktorię
nie do poznania. Dawniej ^(nadal) elegancka, zgrabna, młoda

do niedawna kobietka znika pod powłoką nędznej, przygiętej
ku ziemi, postarzałej babiny mocującej
się z opornym sękiem czy gałęzią, ostatkiem sił ciągnioną do ogniska.
Mocna, zdrowa kobieta, nazwiskiem Jeziorna, nie może na to pat-
rzeć. Ilekroć znajdzie się w pobliżu Wiktorii, porzuca własne zajęcie
i wyręcza ją, nie bacząc na grzecznościowe protesty.

Równie wyczerpująco działa praca w lesie na Emilkę. Obydwie z matką - acz każda z osobna - najbardziej męczą się podczas drogi powrotnej, po skończonym roboczym dniu - istna katorta po wielogodzinnym trudzie.

Wiktorię ogarnia zwątpienie czy sobie poradzi. Czy warto aż tak się męczyć? Och, gdyby tu mieć zaginiony bagaż!

Na dobitkę - z powodu bałaganu w dokumentacji a może czyjegoś rozmyślnego działania - nie otrzymuje należnych dwunastu rubli zapłaty za pracę. Po prostu nie figuruje na liście - nie wiadomo dlaczego starej - na której zaznaczony jest zeszłoroczny "praguk" Emilki.

- Pod sąd ¹ "nie pająłotcie, na dzień i pajka nietu" - oświadcza kierownik eksploatacji leśnej, Doszywałow.

Mimo że Mierzlewcew - zgodnie z obietnicą - wyjaśnia pomyłkę, pieniędzy Wiktorii nie otrzyma ¹ nigdy.

Do kobiecej brygady Wiktorii komendant kieruje - jako koordynujących całością - dwóch mężczyzn: samorządowego przedstawiciela Polaków, byłego pilota wycieczek zagranicznych, pana Kolanko oraz niestrudzonego i niepoprawnego flirciarza stanu wolnego, "Don Juana", którego prawdziwego nazwiska nikt nawet nie pamięta.

Wiktorię szczególnie mocno razi a nawet boli jego jawny

romans z panią Delfiną, przebywającą tu z mężem.

- Hójj Boże, t a k i e j zostawiłeś męża! - myśli, rozżalona, obserwując niefrasobliwą parę zachowującą się tak, jakby nie otaczała ich archangielska tajga, lecz wypielęgnowane *Kłomby* zdrojowego parku.

Panu Kolanko towarzyszy jego żona. Ona to radzi mężowi, by

powierzyć ledwie zipiącej Wiktorii funkcję kucharki, co wszystkim wychodzi na dobre. Jej, gdyż nie musi mordować się z leśnym poszyciem, całej brygadzie, bo więcej mają pożytku z pożywnej, zawieszistej zupy, którą Wiktorii gotuje z powierzanego jej co dzień, suchego prowiantu, pobieranego przez pana Kolankę - ekwiwalent za nie korzystanie ze zbyt odległej od miejsca pracy stołówki: dwieście gran kaszy,

1. Sąd teraz za to nie grozi, lecz pieniędzy i talondw nie ma.

mąki lub wermiszelu/na zmianę/ i takiejże ilości margaryny na osobę.

Wiktoria nawet przez myśl nie przemknie, by uszczknąć z tego coś dla siebie. Przeciwnie, stara się o urozmaicenie zup. Zarzuca je dodatkowo własnoręcznie zbieranym szczawiem a czasem nawet zaciera *paroma* ziemniakami podebranymi z własnego poletka.

Nieraz do zupy szczawiowej przyrządza drugie danie; kaszę na gęsto. Nie zjada jej. Poprzestając na szczawiówce,

swoją porcję wkłada do menażki i zanosi dzieciom.

W wolnych chwilach zbiera dla nich jagody: czarne, poziomki i brusznice. Uzupełnia nimi także pustkę własnego żołądka, dziękując Bogu za łaskawość doczekania się tej bardziej przyjaznej pory roku.

Pewnego ranka, podbierając kartofle, spostrzega ze zgrozą byle jak, niechlujnie przetrzebione krzaczki. Takie same ślady widnieją na sąsiednich działkach.

Sprawa staje się tak głośna, że dociera do komendanta, który zaleca upilnowanie złodzieja i "zajawlenie właści".¹

Traf chce, że winna - zabiedzona Żydówka z czworgiem drobiazgu - wpada w ręce Wiktorii.

- Dlaczego nie posadziła pani przydzielonych kartofli? - pyta z przyganą. - Lepiej okraść bliźnich?

- Ja nie wiem. Nie wiem, jak. No i dzieci chciały jeść. - Kobieta wygląda na niezaradną, płacze rzewnymi łzami.

Wiktoria współczuje jej, *niepodobna jednak* dopuścić do dalszych strat.

- Pójdziemy na komendanturę! - straszy, choć ani jej to w głowie.

Tegoż wieczoru zjawia się przed nią znana tylko z widzenia Żydówka, osoba o nienagannych manierach i akcencie, z prośbą o darowanie winnej Wiktorii, *pozorując* *żalnym* głosem, oświadcza:

- Dobrze, lecz pod warunkiem, że nie zginie mi już ani jeden kartofel!

Dla pewności postanawia jednak wykopać wszystkie, zanim to uczyni ktoś inny.

A. doniesienie do władz.

Trzeba przecież myśleć o drodze. I trzeba się zdecydować, dokąd jechać. To problem najważniejszy dla wszystkich. Wielu wspomina niefortunną, niepotrzebną ucieczkę młodego małżeństwa nauczycielskiego z obozu po drugiej stronie Dwiny.

Nie mając nic do stracenia po śmierci jedynego dziecka, przygotowują się do akcji całą niemal zimę, susząc suchary i zdobywając kompas, który miał ich zaprowadzić do Morza Białego. Wyruszają tuż po puszczeniu lodów, niemalże w przeddzień amnestii!/. Znalezieni po dwóch tygodniach - martwi, rozszarpani prawdopodobnie przez rysia, z nietkniętym workiem sucharów ^(tuż) obok - pozostaną w tajdze na stałe, wspomniani przez znajomych i obcych ze zgrozą, współczuciem i żalem.

- Po co? Po co się pośpieszyli!

Większość zesłańców nie potrafi cieszyć się ^{w pełni} z możliwości opuszczenia tajgi. Nic wiele jest rodzin, które nie pozostawiają nikogo "pod bieriozkami" lub gdzieś w "ciurnie" - nie wiadomo, żywych czy umarłych, zaginionych bez wieści. Pracę pani Święcicka i Ilka z powodu Edzysława, rozpaczają siostry Mańskie.

- Już lepiej, gdyby leżeli "pod bieriozkami"!...

Wiktoria nie śmie wierzyć własnemu szczęściu, patrząc na nie. - *Wszystcyśmy żywi!* Wiozę ci całą czwórkę, Joachimie!
Czekaj na nas!

Suszy suchary, odejmując sobie i dzieciom chleba od ust, przygotowuje plasterki ziemniaków - przedsięwzięcie o tyle trudniejsze, że z momentem wybuchu wojny chlebowy pajok ^{zostaje} znacznie zmniejszony. a życie - także krajowców - ulega pogorszeniu. Tym mocniej wyrzekają na zdradę Hitlera i tym goręcej opiewają "matuszku wajnu" ¹ w pieśniach, szczególnie tej najpopularniejszej!

- Dwadcat' wtarowo ijula ²
Rowno w czetyrie czasa
Kijew bambili, nam abjawili,
Szto naczakasia wajna"

2. Dwudziestego drugiego czerwca
Punktualnie o godzinie czwartej
Rozpoczęło się bombardowanie Kijowa
i ogłoszono wybuch wojny.

1. matczkę - wojnę.

Żywności brakuje wszystkim, lecz Polacy - bardziej wyniszczeni - są *mocniej* zagrożeni. Najwyższą wartość przedstawia oczywiście chleb, toteż Wiktorcia drętwieje z wrażenia na widok Leszka, który wraca pewnego razu z piekarni, trzymając w wyciągniętej chudej ręczce małą kostkę razowca.

- Tylko tyle dali, mamusiu - chłopiec ma w oczach przerażenie, rozpacz i błaganie o wybaczenie nie *zawinionej* winy.

W kanurze wszystko, zda się, zamiera. Nawet Inga przestaje się bawić Gustią, bliska płaczu, jakby pojmując ^(oczym) nieszczyście.

Milczenie przerywa Dorota, która wpada, jak burza.

- Iechu, to pomyłka! *Uchodź prędzej!* Dali ci nie nasz pajok! To jest przydział na dwie osoby. Musimy go zwrócić, pośpiesz się! - Pędzą oboje, jak na skrzydłach i wracają w triumfie, z połówką gliniastego "kirpicza"¹ upstrzonego tarakanami - przydział i tak o połowę zmniejszony w stosunku do przedwojennego.

- Widzi mamusia - mówi Dorota - co znaczy wysyłanie dzieci w poważnych sprawach!? Gdybym nie pilnowała Leszka i nie wyklóciła się potem w okienku, nie mielibyśmy dziś co jeść. Jak tylko zobaczyłam, co mu wlepili, natychmiast kazałam sprzedawczyni sprawdzić na liście. Ale ona nigdzie nie zaglądała, tylko od razu się przyznała do pomyłki i kazała odnieść "cudzy pajok"! - przesłania nagle dłonią oko. - *Znów te różnięcia; chyba się za mocno zdenerwowałam - skarży się.*

Leszek patrzy na siostrę współczująco, wybacząc jej od razu to, że nazwała go dzieckiem. Jakby nigdy nic, oznajmia zasłyszana od Kolki nowinę.

- Z Wierchniej Tojmy przysłali kino. *Naprawdę!* Jeszcze dziś będą wyświetlać w *swietlicy!*

- Niepotrzebne nam ich filmy. - Wiktorcia nie ma zamiaru brać udziału w "ruskiej imprezie", jednak Leszek nie potrafi poskromić ciekawości.

1. "cegły"

Zjawia się w świetlicy jako jedyny reprezentant rodziny i jeden z pierwszych wiczów, w gromadce równie jak on podnieconych dzieciaków. Z zainteresowaniem przyglądają się poczynaniom dwóch mechaników, szczególnie zaś przywiezionej na saniach aparaturze ustawianej aktualnie na dwóch grubych krzyżakach.

Uporawszy się z tym, mechanicy zwracają się do widzów z prośbą o wypoczenie prześcieradła, które niebawem przeobrazi się w ekran.

- Teraz cisza i patrzeć uważnie! - zarządza jeden ze speców, drugi natomiast wprawia w ruch ręczną korbę napędzającą mechanizm.

Za plecami publiczności rozlega się głośne "rrrum, rrrum", ^{sko} przypomina pracującą sieczkarnię; niestety - ekran odreagowuje jedynie migotaniem dolnej swej części. Wymaga to podwyższenia podstawy aparatury o co najmniej pół metra oraz zmiany położenia odblaskowego lustera od początku wzbudzającego wielki podziw zgromadzonych malców.

Wreszcie projektor zaczyna pracować ponownie, nad czym biedzi się, kręcąc zapamiętałe korbą, kineoperator i na ekranie - poprzedzony gęstym migotaniem - wykwita napis BABY. Zanim pojawią się one same, ucięty przez komara mechanik tak niefortunnie macha ręką, że powoduje przewrócenie się lampy, ^(skutek czego) na aparaturze grozi spłonienie.

Zażegnując niebezpieczeństwo i doprowadzając lampę do ponownego użytku, mechanicy klną kwieciście "po matuszkie" - bez chwili przerwy - kine objazdowe, pomysłodawców, zleceńodawców, konstruktora, projektor, widzów, ich matki, tajgę i cały świat, czym wzbudzają najwyższy podziw pobierających lekcję życia chłopaków. Uniwersytet przeklinania, którą to sztukę opanują w najbliższej przyszłości do perfekcji.

Po usunięciu usterek rozlega się raz jeszcze hurkot towarzyszący kręceniu korbą, po raz drugi jawi się tytuł filmu BABY, w następnych zaś sekundach siedzące najbliżej dzieci corają się z jękiem przeżalenia, ponieważ z ekranu wali prosto na nie ogromny traktor z babą, za kierownicą.

Wtem wszystko znika, dzieci oddychają z ulgą a z tyłu *dobiega* soczyste przekleństwo i krótki dialog.

- Plionka apiat' parwałas' a klieit' niet cziem.¹

- Da niczewo, Miszka. Puskaj at sieriediny.²

Wskutek tej rady na prześcieradle ktoś zaczyna machać kosą, kładą się kany zbóż a potem tytułowe baby chlustają wiadrami wody na jakiegoś *parnika*.³

Ieszek, po powrocie do baraku, opowiada - mimo wszystko - przejęty.

- I mamusiu, ten komsomolec z komsomołką, która najwięcej go polewała, poszli zapisać się do Sielsowietu. To znaczy, że się ożenili. A potem to już razem kosili i już był koniec filmu.

Wiktoria nie pracuje już w lesie; zbyt wiele ją to kosztuje. Jediną pracującą osobą /ze względu na pajok/ jest Emilka, wraz z brygadą dziewcząt kosząca gdzieś w okolicy osady Treśniki, gdzie trawy wysokie po pas.

Cotuje im pani Maria a pilnuje *obcy* dziesiątnik, wiecznie znikający wśród drzew i zniemacka się pojawiający.

- Rabortajcie, rabortajcie; job waszu mać!⁴ - *nawołuje niezmiennie.*

Daniela ma ochotę nauczyć go lepszych manier, lecz Emilka odradza.

- Nie pojmie, o co ci chodzi! Dla niego to zwykły przerywnik.

Pewnego razu - *ukryte* w krzakach - dziewczęta widzą go, pędzącego szparko i wyklinającego, *ile wlezie.*

- Job twaju mać, naczałstwo prijechało a wot nikawo niet!⁵

- A niechże cię twoje naczałstwo prześwięci! - śmieją się w kulak. -

- Nam nic nie robi; jesteśmy wolne! *Mamy przerwę „na zakurku”!*⁶

Wszyscy wiedzą, że owa wolność mocno jest iluzoryczna. Cóż to za wolność kiedy nie można wrócić do Polski, tylko się gdzieś osiedlać! Czy i tam będzie mieszkać? Czy będą bzykały komary i kłuły boleśnie olbrzymie "pan-ty"? /krowie muchy/.

1. Taśma znów zerwana a kleju nie ma.

2. Nie szkodzi, Miszka. Puszczaj od środka.

3. kawalera.

4. Pracować, pracować; tu przekleństwo.

5. Przekleństwo. Władze przyjechały na inspekcję a nikogo nie ma.
6. na papierosa

Czy czeka ich równie ciężka praca i głód? - Ostatnie słowo kieruje uwagę ku pani Marii i parującemu smakowicie, zawieszonemu na żerdzi, ponad płomieniem ogniska, wiadrze z zupą. Wciągnąwszy z rozkoszą cudowną woń, szykują naczynia, by za parę chwil podchodzić kolejno do pani Marii i - rozsiedłszy się wygodnie - pojadać z hamowanym łakomstwem, wolno, przedłużając przyjemność *do maksimum*.

Po obiedzie odpoczywają, pośpiwując lub opowiadając ciekawe historyjki. Mogą sobie na to pozwolić. Są wolne, nie grozi im "chałodnaja" ani sąd, nie straszny rajkomendant z Wierchniej Tojmy. Są tu "na wylocie".

Renia z Danielą, w przypiływie świetnego humoru, odgrywają zabawny skecz o małżeństwie /tuż po ślubie, rok później i po kilku latach/, czym wywołują salwy śmiechu, który - jak nagle wybucha - tak się ~~rozpryskuje~~ *rozpryskuje* w mucinę. Któraś się zamyśla, inna rzuca słówko-hasło i wszystkie spuszczają nosy, smutne aż do bólu, tęskniące do kraju tak mocno, że tylko wyć z rozpacz.

Dość mają tajgi, tego nieba, meszki, komarów, much, traw a nawet jagód i łąk niby kwiatowe rabaty. Dość obcej ziemi, obcej mowy, obcych porządków i białych nocy. Wzrok wybiega do przodu, ponad oczyszczoną już polanką, poniżej, aż po las i dalsze, niezliczone, nakładające się na siebie pasma leśne - im odleglejsze, tym blade - zlewające się z tłem, aż hen po linię horyzontu, gdzie majaczy niewyraźnie szarobłękitna wstęga Dwiny - jedyną drogą w świat

Rozdział XIV

D O K A D J E C H A C ?

Jesień zbliża się do tajgi, by spaść na nią - zwyczajem tutejszym - nagle i podstępnie. Ostatni dzwonek do podjęcia decyzji, dokąd jechać. Trzeba zdążyć, nim lody znów skują Dwinę a śniegi zasypią drogi.

Lecz pieniądze! Z czego pokryć wydatki? Bilety kolejowe, żywność... Wisi wprawdzie u pułapu starannie zabezpieczony worek sucharów - rezultat odejmowania od ust skromnych racji chleba - i są niewiele/usu-szone na słońcu ziemniaczane płatki, jednak rubli zaoszczędzić nie sposób. Oznaczałoby to wyrzeczenie się codziennej stołówkowej "poch-lopki" - rzecz nie wchodząca w rachubę.

Do wszystkich tych trosk dochodzi najistotniejsza. Wybrać z trojga złego coś najlepszego. Orenburska obłast¹, Kazachstan oraz Ałtajski Kraj. Dlaczego tylko tam? Dlaczego nie Polska? Dlaczego tak od niej da-leko?!

Podobno, na całym te-
rytorium sowieckim, są setki polskich przedstawicielstw! Podobno są konsulaty! Podobno udzielają pomocy!

W posiołku wrze, ludzie się niecierpliwią. Pan Kolanko, samorzutny mąż zaufania Polaków zaleca spokój. Trzeba czekać. Czekać na odpowiedź z *najbliższego przedstawicielstwa.* Bo pan Kolanko wysłał - *skrytka do Koltasu* - petycję w imieniu rodaków. Z załączonym spisem rodzin potrzebujących *wsparcia.*

Mijają dni, tygodnie. Są tacy, którzy podejrzewają męśną zaufania o zdradę. Dawno dostał i odpowiedź, i pieniądze! Przycisnąć go!

Lecz pan Kolanko zaprzecza. - Czekajmy, mili państwo! Cierpliwości! Czekają więc, urozmaicając czas dyskusjami. Orenburg? Ałma-Ata? Barnauł?...

1. województwo, okręg.

Wiktoria - po przestudiowaniu odpowiednich haseł w pożyczonej od pana Kuferskiego encyklopedii - skłania się ku trzeciej możliwości. Co miasto, to nie tajga! Ponadto kwitnie tam hodowla trzody i gleba nadzwyczaj urodzajna. Koniec z głodowaniem! Że klimat ostry? Nic to! Są zahartowani. Za to do Orenburga i Ałma-Aty wybierają się wszyscy kapusie.

Pan Kolanko - zapytany o radę - pochwała wybór jako trafny. On również myśli o Barnaule.

Jeśli tak, to i Wiktoria nie waha się dłużej. Tego samego zdania są zaprzyjaźnione z nią rodziny: pani Tomczycka z synami, państwo Kulkowie, Iza i Elżunia Mańskie, pani Święcicka z Lilką no i - oczywiście - Aniela.

Można by wyruszać, lecz odpowiedź na petycję! Niecierpliwość przeobraża się w rozpacz. Życie coraz trudniej, chleba coraz mniej i coraz podlejsze zupy w stołówce. Istne "pochłopy"!

Zdarza się, że Dorota przynosi w kociołku po prostu osoloną, gorącą wodę z pływającymi swobodnie krupkami kaszy. Wywar na karaluchach - rzecz utrzymywana w tajemnicy przed matką.

Niebawem kończy się i to. Prawo do kupowania chudych "pochłopek" mają wyłącznie pracujący. Gdyby nie tajgowe dary, "pod bieriozki"¹ powędrowałyby tłumy nie mniejsze, niż zimą.

Jagody chronią przed głodową śmiercią i przed cyngą-szkorbütem. Wiktoria, z myślą o podróży, smaży - bez cukru - brusznice/z powodu braku naczyń, tylko czajnik/ i suszy głóg. Dorodny, niby śliwki węgierki, intensywnie czerwony i bardzo słodki. Wspaniały dodatek do kipiátku. Krążą po tajdze swobodnie. Nikt nie musi już prosić komendanta o zezwolenie. Mierzlewcew nie interesuje się nimi zupełnie. Niczego nikomu nie zakazuje, do niczego nie zmusza. Z wyjątkiem pracujących.

Wtem po posiołku niesie się wieść, że zaczynają wyjeżdżać.

- Kto? Dokąd?!

Jedną z pierwszych jest Kasia-Katia, łaziebna, tak niedawno jeszcze

głosząca: - Kto durak,

1 pod brzoźki

pus't' ujeżdżajet, nam i zdies' charasze!¹

Znikają również obie panie Wolańskie, nie przypomniawszy sobie do końca polskiej mowy. W ślad za nimi wynoszą się cichcem wszyscy "najlepsi" - zdaniem Abrama - osobnicy.

Wśród pozostałych kipi. Niepokój, niepewność, lęk.

Emilka wciąż pracuje "dla pajka i stołówkowej wędzianki". Robi "wieniki"².

Dni bywają niekiedy upalne, obfitujące - oprócz meszki i komarów - w ogromne, hałaśliwe muszyska. Atakują bezszelestnie, tną boleśnie i tak głęboko, że z rana sączą się strużki krwi. Nadana im przez polskie dziewczęta nazwa "balszyje muchy"³ niezmiernie bawi krajowców. Słyszac ją, po prostu ryczą z uciechy.

Jedyny dostępny sposób samoobrony przed leśnym robactwem to wymachiwanie trzymaną w jednej ręce gałęzią. Drugą trzeba wyłamywać inne, potrzebne do wyrobu mioteł-wieników.

Nie ma już, dostępnych przed wojną, nakomarników/kapelusz z wielkim rondem i zwieszającą się dookoła długą, do ramion, siatką/. I tak przeszkadzają w pracy - problem nieznanym Emilce, nigdy nie dość zamożnej, by sobie na ten luksus pozwolić.

Pod koniec "Akcji Miotła" /nazwa wymyślona przez wciąż wesołą Daniełę/ pogoda psuje się definitywnie. Znikają wprawdzie "balszyje muchy" za to meszka tym ostrzej daje się we znaki.

- To na pożegnanie, żebyśmy dłużej pamiętały! - usiłują żartować dziewczęta.

W baraku numer osiem - mimo że klamka właściwie zapadła - wciąż trwa ją dyskusje i wahania. Czy to dobry wybór, ten Barnauł?

- Może by lepiej do Alma-Aty? - poddaje nieśmiało Aniela.

- Ależ tam pojechali szpicle! - woła Wikteria.

- Prawda - wtrąca pani Tomczycka. - Lecz Ałtajski Kraj to Sybir.

Sybir!, rozumie pani? Ileż tam Polaków zgniło przez stulecia!

1. Kto głupi, niech wyjeżdża, nam i tu dobrze!

2 miotły.

3. wielkie muchy

Wiktorii to słowo "Sybir" nie przeraża. Że mrozy? Z pewnością nie gorsze, niż tutejsze. Za to kraj sosnowy, górzysty, suchy. No i jedzenia w bród.

- Dzieci! - mówi wesoło. - Natychmiast po przyjeździe do Barnaułu kupimy całego barana. Upieczemy go i zjemy, choćby na raz! Tylko wytrzymajcie!

- Za co, mamusiu? - wtrąca przytomnie Dorota. - Za co kupimy barana?
- Za pieniądze! - Wiktorii nie traci energii. - Popytam ludzi, na pewno mają coś niecoś na wymianę. Pójdę choćby do Tojmy. Tam dają wyższe ceny.

Jej zapał udziela się pozostałym. Dla spokoju sumienia oddelegowują jeszcze Wiktorię do komendantury. Może wolno osiedlić się gdzieś w Europie? Bliżej granicy!

- Nie! ¹ - oświadcza Mierzlewcew. - Tam Niemcy. ²

Wobec tego Wiktorii prosi go o przepusk do Barnaułu. Dla siebie i dzieci. Mierzlewcew krzywi się niechętnie.

- A wam zacem Altajskij Kraj nużen? Mnogije w Alma-Atu ujechali. Da i drugije pajeżżajut. I bliże, i ciepło. ³

- Kto pojechał? Można wiedzieć?

- Nu... iz waszewe baraka graždanka Turketowaja i Boznanskaja... ⁴

- Aha! - przerywa Wiktorii urągliwie. - To właśnie ja dlatego tam nie pojedę.

- Chcecie sześć tysięcy kilometrów jechać? - dziwi się komendant, puszczać mimo uszu jej poprzednie słowa.

- A cęć! - wypala Wiktorii wbrew zasadzie "ciszej-dalej". - Lepiej daleko i w porządnym towarzystwie, niż blisko i z takimi, przez których ludzie do dziś płaczą!

Mierzlewcew krzywi się znów, lecz inaczej, niż przed chwilą.

- Tak jeżdżajcie ⁵ - rzuca obojętnie. Wypisuje dokument, podsuwa księgę do pokwitowania.

Propusk⁶ uprawnia Wiktorię, wraz

1. Nie wolno. 3. Po coż nam Altajski Kraj potrzebny? Wielu wyjechało do Alma-Aty i inni jadą. I bliżej, i ciepło.
2. Tam Niemcy.

4. Z waszego baraku obywatelka
Turketowa i Boznanskaja.
5. Nigie jeździe.
6. przepuska

z dziećmi, do osiedlenia w Ałtajskim Kraju, Nowosybirskaja obłas't', gorod¹ Barnauł. Klamka zapada, pozostaje kończyć przygotowania w tempie możliwie najszybszym.

Grupa kobiet, której przewodzi pan Kolanko, udaje się do Wierchniej Tojmy. Wiktorii szczęście dopisuje, może się do nich przyłączyć. W plecaku niesie parę powierzonych sukien, elegancki damski kostium, pas do pończoch i trochę damskiej bielizny. W ręku - raczej w obu rękach - prowadzi ^{Danyłowowej} kozę Uparte, narowiste zwierzę, małpio złośliwe i wredne. To się zapiera - ani kroku do przodu - to pędzi na złamanie karku, ciągnąc za sobą uczepioną sznurka Wiktorię. Jakby w nią wstąpił bies, jakby działała z rozmysłem. Wiktorcia, umordowana, zasapana, na opuchniętych, obolałych nogach, usiłuje dotrzymać jej kroku. Sądzi co siłą. Lecz gdy tylko ją dogoni, bestia znów ani drgnie. Wyścig trwa całe dwadzieścia kilometrów. Kozą w przodzie lub w tyle i drobna, przygnieciona ciężarem plecaka, sylwetka kobieca, raczej dziewczęca, to tu, to tam.

Pan Kolanko także wiedzie kozę na sprzedaż. Piękną, dorodną i łagodną niby baranek. Nie interesuje się Wiktorią. Kroczy przodem, zamyślony, milkliwy. Wiktorcia nie ma nawet okazji, by z nim raz jeszcze porozmawiać na temat Barnaułu, dokąd jadą przecież razem.

Jedynie Renia trzyma się blisko niej; współczując z powodu wściekłej kozicy, lecz i trochę się, tym bawiąc. - Wiedziata żona Danyłowa, dlaczego się jej pozbywa! - zartuje. Wiktorii nie do śmiechu. Na szczęście pan Kolanko zarządza krótki odpoczynek. W pobliżu rozciągają się kołchozowe pola. W pewnym oddaleniu widnieją małe chatki.

- Niedługo Tojma - mówi mąż zaufania. - Zbierzmy siły.

Jak spod ziemi wyrastają obok kołchozowe baby. Towarzyszą im dzieci. -

- Macie coś na sprzedaż? - pytają z nadzieją w oczach.

- Czemu nie! A przenocować dacie?

- Pała nie żałośko² - odpowiadają gościnnie. - Swietlica u nas balszaja.³

Jedna z kobiet spogląda taksująco na obie kozy, wreszcie zwraca się do Wiktorii.

- Wot charoszaja kaza! Chodzi ka mnie, ja jejo kupliu. Tol'ko muza sprasiť, mnie nada.⁴

1. miasto

2. Podłogi nie żal.

3. duża

4. Piękna koza, Chodzi do mnie, kupię ją. Muszę tylko spytać męża.

Wiktorია dziwi się. Przecież ta druga koza ładniejsza!

- Niet. Mnie eta padaszła!¹ - Kobieta prowadzi Wiktorię przez pole, do chaty. Reszta towarzystwa udaje się za babami do świetlicy.

Obok samotnej chaty stoi spory barak "obszczewo żytielstwa"² robotników kołchozowych. Są akurat na miejscu, wybiegają na zewnątrz, wciągają Wiktorię do środka.

- Pakazywaj! Szto tam u tiebia?!³

Kupców jest tylu, że wydzierają sobie rzeczy z rąk, wtykając w zamian żądane kwoty. Bez targowania się, bez mrugnięcia powieką.

W przeciągu pół godziny Wiktorია - oszołomiona ze szczęścia - zarabia/za samo pośrednictwo/ siedemset rubli. Ludziska *golowi są kupić takie* kozę, do czego jednak kobieta-przewodniczka nie dopuszcza.

Uprawdza Wiktorię do swojej chaty - niewielkiej, lecz schludnej - sadowi na stołku, częstuje *stynną, szczyi czyli kiszoną, kapustą, rozbettuną, studzienną wodą.*

- Atдыхaj, kuszaj, źdij chaziaina⁴ - *głaszcze* spotulniała niewiarygodnie kozę, podtyka sianko. - Ach, kakaja kaza! - zachwyca się bez przerwy.

- Prielies't'⁵

Wiktorია drży ze strachu, żeby w kozę znów nie wstąpił diabeł i nie odstraszył kupcowej, lecz bestia zdaje się nie pamiętać o swych wcześniejszych popisach. Spokojnie, obojętnie chrupie sianko,

miarowo poruszając długą brodą.

Gospodarz, gdy się wreszcie pojawi, wzbudza w Wiktorii przerażenie.

Ponure chłopisko, istny zbój.

- On mnie w nocy ukatrupi jak karalucha! - myśli ze zgrozą. - Będzie miał i kozę za darmo, i pieniądze! *Dlatego* baba wolała to moje bydło, niż odpasioną kozę Kolanki! Z nim by sobie nie poradzili! Przemyśliwa właśnie, pod jakim pozorem by się wymknąć, gdy - cóż za radość! - zjawia się pan Kolanko we własnej osobie.

- To pani tutaj się urządziła? A myśmy się nie mogli doczekać..

W takim razie proszę spać spokojnie. Rano przyjdę.

1. Nie. Mnie ta się podoba.

2. jedna izba, w której mieszka wiele obcych osób.

3. Pokazuj, co tam masz.

4. Odpoczywaj, jedz i czekaj na gospodarza.

5. Cudo.

Wiktoria oddycha z ulgą. Jest bezpieczna. Nie mogą jej zamordować! Ma świadka!

Po wyjściu pana Kolanki gospodarz decyduje się na kupno kozy i także się nie targuje. Płaci czterystą rubli, co daje Wiktorii trzysta ^{ponieważ Danylewowa żądała stu} rubli. W sumie zarabia tysiąc rubli. Mogą ruszać do Barnaułu! W chatynce roi się od pluskiew. Z tego powodu gospodarze sypią ją pokotem na podłodze, na ułożonych obok siebie, słomianych siennikach.

Wiktoria układa się koło ich kilkuletniej córeczki, Nadienki, zadbawszy uprzednio, by pieniądze znalazły się w wewnętrznej kieszeni plecaka. Kładzie go pod głowę i dla pewności obejmuje ramionami.

Zasyciwszy głód wspaniałą kolacją/trzy spore kartofle w łupinach i dwa wielkie kiszone gruzdzie/, usypia błyskawicznie i śpi spokojnie do rana, dopóki nie obudzi jej lekkie pikanie w szybę.

W zasadzie mogłaby tu poczekać na powracających z Wierchniej Tojmy. Nie ma już czym handlować. Woli jednak ^{od razu} dołączyć do swoich, nie kusić losu.

Marsz do Tojmy, chociaż krótki, zwłaszcza długotrwałe błądzenie po mieście, są dla niej ostatnią, przysłowiową kroplą w przepełnionym dzbanie. Opada napięcie/niczego już nie musi; ma pieniądze na bilety!/, czuje straszliwe zmęczenie. I ból w nogach. Bardzo zbliżony do tego w Głębokiem, po widzeniu się z Blumsztajnem. Mimo to krąży wytrwale od sklepu do sklepu, przystaje przy straganach bazarowych. Wszędzie pustki. Nie ma nic. Absolutnie nic, co by się nadawało do jedzenia. Udaje im się kupić trochę kawy; chyba z żołądźci. Słodkawo-gorzki smak, nie sposób szukać tym głodu. Lecz można złagodzić ssanie w żołądkach. Zawrotu i bólu głowy, niestety, zlikwidować się nie da. Jak nie podobna nie myśleć o wciąż wzmagającym się bólu. Zwłaszcza kolan. Opuchnięte, sztywne—ledwie ją niosą po grząskim gruncie powrotnej drogi.

- Czyżby się odnowił gościec stawowy? - Wiktorię ogarnia

rozpacz.

Każde stąpienie to dla niej morderczy wysiłek. To jeden olbrzymi, wszechogarniający ból. Z każdym szurnięciem nogami coraz bardziej odstaje od reszty. Z coraz większej odległości widzi znajome sylwetki. Pusty plecak ciąży nieznośnie, przygniata do ziemi. Nigdzie w pobliżu odpowiedniej gałęzi-kostura.

- Boże, co robić! Oni zaraz znikną w lesie, nie trafię sama! Jak na zawołanie, wraca ko niej Renia. Wiktoria przekrzykiwa, próbując się usmiechnąć.

- Coś mnie podkusiło, żeby się obejrzeć przed zakrętem - mówi Renia.
- Nie może pani nadażyć?

- Ach, zmęczyłam się. - Wiktoria sili się na spokój. - No i nogi. Ale proszę się mną nie przejmować. Powolutku dojdę.

Renia oddala się, co rusz odwracając głowę. Widok drobnej, samotnej postaci w tajgowym tle każe jej zawrócić raz jeszcze.

- Może jednak pomóc?

- Nie trzeba. Muszę tylko trochę odpocząć. Potem dołączę.

Wiktoria wie już, że nie dołączy. Lecz wie i to, że Renia nie weźmie jej na plecy. To koniec. Po prostu koniec. Przed nią - bariera nie do przebycia. Półmetrowej może wysokości ogrodzenie pastwiska, które należy przeciąć, bo tędy wiedzie droga. Ani się pod nią prześliznąć, ani przełożyć ponad nią nogę.

Obok płynie rzeka. Szeroka, z obrzeżami rozlewisk. W spokojnej wodzie przegląda się szare niebo. Dalekie, wysokie niebo. Tego nieba nie widać z Polski. To obce niebo nie rozciąga się aż tak daleko. W Wiktorii nieoczekiwanie wszystko się wycisza. Opuszcza ją wola walki. Czuje bezsens jakiegokolwiek działania. I tak wszystko na nic. Skoro nie daje rady, musi się poddać. Trudno. Jakże miła jest myśl o odpoczynku, o poniechaniu bezwzględnych trudów. I tak nie dojdzie, i tak. I tak nie wróci do Polski.

Z westchnieniem ulgi przysiada na żerdzi. Uśmiecha się do Reni.

Z wysiłkiem unosi rękę, niby w geście chwilowego pożegnania.

Chętnie poprosiłaby tę miłą dziewczynę o pomoc. O doprowadzenie nad brzeg rozlewiska. Inaczej będzie zmuszona pełznąć. Lecz o to prosić nie wolno. Skoro trzeba, przebrnie te parę kroków na czworakach. Myśl pracuje ociężale. W ostatnim momencie przypomina o pieniądzach. Głupie by było nie przekazać ich dzieciom. I nieuczciwie okraść ludzi. Załatwić to jeszcze a potem NICZEGO już NIE MUSIEC.

- Reniusiu, proszę wziąć pieniądze - szepcze z wysiłkiem. - Tam jest karteczka, ile komu. Myśl jeszcze pracuje, lecz mięśnie odmawiają posłuszeństwa. Zamierza sięgnąć do plecaka, ręka nie wykonuje zlecenia.

- Odepnij, kochaneczko, kieszeń. Weź sama. Emilka wszystko... Ja niedługo... - Wydaje się jej, że mówi, lecz w istocie milczy, poruszając tylko bezbarwnymi wargami.

Renia stoi nieporuszenie, owładnięta dziwnym lękiem. Z namysłem zdmuchuje z wysokiego czoła jasny kosmyk włosów. W niebieskawych oczach błysk zrozumienia i strach.

- Dlaczego? Ja nie chcę! Ja tych pieniędzy nie wezmę! Och, proszę pani, trzeba iść! Pani musi iść razem z nami!

- Ale ja, dziecko, nie dam rady. Spójrz. Za wysoko. Za nic. Za nic nie przełożę nogi.

- Pomogę pani! - Renia wie jedno. Nie wolno zostawić tu mamy Emilki samej! Ona ma coś strasznego na myśli! Pochyliła się nad chwiejącą Wiktorią, ujmując za ramiona.

- Proszę spróbować - mówi serdecznie. - Pójdziemy powolutku. Ja z panią. Tamci niech sobie pędzą. Ja też za nimi nie nadążam. Proszę się mnie trzymać. O tak - przekłada po kolei obie biedne nogi Wiktorii ponad barierą, pomaga wstać. Ujmując mocno pod ramię, podpierając własnym biodrem i prowadzi z wielkim poświęceniem, sama zmęczona, wiele kilometrów. Często zarządza postoje, których potrzebuje także i ona. Wycieńczona i głodna, sapie ze zmęczenia, lecz nie odstępować Wiktorii na krok. Chwilami po prostu ją ciągnie. Nieraz przekłada opuchnięte nogi ponad

wykrotami, usuwa kopnięciami gałęzie z drogi.

Dowlókłszy ją w pobliże Siewiernej, sadowi na ściętym pniu świerkowym.

Chwyta za ramiona, mocno spogląda w oczy.

- Poznaje pani? Jesteśmy prawie na miejscu. Proszę tu czekać, nie ruszać się. Ja biegiem polecę. Dam znać. Przyjdą po panią - rusza, jak potrafi najszybciej, nie bez trudu przebierając ślicznymi nogami.

Wiktorcia, siedząc na pieńku, płacze ze wzruszenia, teraz dopiero pojawia się, jak strasznej chciała dokonać rzeczy i jak wiele zawdzięcza mądrej, dzielnej Reni.

- O Panie! - modli się z głębi serca. - Wybacz i przyjmij dzięki od niewdzięcznicy! - Podnosi się z trudem. Płacze nie tylko z bólu.

Płacze z wdzięczności. - *Dam żonie dziesiątka nie sto, jak chciała, tylko dwieście rubli; niech tam!* - decyduje się nieoczekiwanie. Kuśtykającą i potykającą się spotykają biegnące kłusem Dorota z Anielą. Zdejmują z niej plecak, podtrzymują z obu stron, prowadzą wolniutko.

Na stopnie ganku muszą ją wciągnąć i ciągnąć, dowlekają do pryczy. Wierzycieli jest w stanie przyjąć dopiero następnego dnia. Wdzięczni, dokładają po parę rubli od siebie. Jedynie ex właścicielka kozy z piekła rodem okazuje się niewiele lepsza od niej. Nie tylko nie dziękuje za transakcję oraz za dodatkowe sto rubli, lecz robi awanturę z powodu sznurka. Mało brakuje, by kazała sobie tę stratę wyrównać.

Dwudniowy wypoczynek regeneruje jako tako siły Wiktorii. Można by właściwie rozpocząć pakowanie, lecz ludzie chcą czekać na odpowiedź z przedstawicielstwem. Wtedy właśnie wybucha bomba. Pan Kolanko, wraz z zaprzyjaźnionymi osobami, znika z Siewiernej.

- Jak to!

- *To niemożliwe!*

- Nie ma go?

- Wyjechał? Dlaczego w tajemnicy?!

- Dlaczego tak nagle?

- Nie mógł poczekać?

Nie mógł. Ponieważ wyjechał do... Ałma-Aty!

- Do Ałma-Aty?! A drań! Oszust! Zaprzaniec! Na prawo i lewo trąbił, że do Barnaułu!

Wśród ^{zainteresowanych} aż huczy od plotek i domysłów.

- Wziął nasze pieniądze i zwiął!

- Na naszej krzywdzie się nie upasie! On i jego poplecznicy!

- Czyżby istotnie? - nie dowierza Wiktorja. - Nie mógłby nam przecie patrzeć w oczy! Nie dalej, jak parę dni temu potwierdzał, że jedzie do Barnaułu! - *Niewiele myśląc, wybiera się do komendantury.*

- Rozmyśliłam się. Proszę o propusk do Ałma-Aty.

- Nie l'zia! Nada było słuszatsia mienia ra⁴sze. Tie pier' prapało. Wsio.¹

- Ale pan Kolanko dostał nowy propusk!

- Kakej nowyj! On srazu żelał w Ałma-Atu - oburza się Mierzlewcew i dorzucza.

- Jeżeli chcecie wyjechać przed zimą, zbierajcie się natychmiast. Za trzy dni na przystań w Siewtrze przybije ostatni w tym roku statek. To nie żarty. Należy się spieszyć. Emilka z miejsca porzucza pracę w lesie, czego właściwie nie odczuwają. Od dawna nie jedzą chleba, tylko go próbując i dzieląc niby Komunią.

Posiołek jest niemal pusty, noc ciemna. Mżą drobne deszcze, nieraz prószy śnieg. Nad tajgę pośpiesza wielkimi skokami zima. Mróz gotów ścisnąć wody Dwiny *lada moment*. Ludzie uwijają się gorączkowo. W sercach gorycz. Gdyby nie wyczekiwanie na zapomogę, dawno by ich tu nie było.

Każda rodzina pakuje się pośpiesznie. Przyda się wszystko. *Najmarniejszy nawet drobiaz.* Dzieci zrywają ostatnie owoce lasu, ugniatają w naczyniach.

W przeddzień przenosin nad brzeg Dwiny, wszyscy spod ósemki udają się gremialnie "pod bieriozki", by po raz ostatni szepnąć słowo pożegnania bliskim, pozostającym na zawsze w wiecznej zmarzlinie. By ich pobłogosławić modlitwą i by nad nimi zapłakać. Są, być może, szczęśliwsi od żywych, bo spokojni. Iluz ich tutaj zostaje!

1. Nie wolno. Trzeba było słuchać mnie wcześniej. Teraz przepadło. Koniec!

Ile krzyży w tak krótkim przecieź czasie-od lipca 1940 do września 1941 roku! Jakże smutne te karłowate brzozy. I jak bolesna myśl o samotnych mogiłach, które niebawem pokryje metrowa warstwa śniegu. Nigdy już nie zaznają zimna ci, którzy tak bardzo wymarзли się tutaj za życia. Mieszkańcy trzech Korgowych tworzących jeden wielki łagier pracy przymusowej. Pojedyncze osoby i całe rodziny; częste nawet siedmiuosobowe. Więźniowie skazani bez sądu i śledztwa. "Groźni przestępcy" w wieku od paru miesięcy do kilkudziesięciu lat. Niektórzy jeszcze nie narodzeni. Polacy, Żydzi i Białorusini.

Ostry powiew drobnego śnieżku zmusza żywych do odwrotu. Przed nimi kolejny etap. Daleka podróż i nieznaną Ałtajski Kraj.

Rozpoczyna się mozolne wędrowanie - tam i z powrotem - z bagażami i bez. I znów z tobołami na plecach. I jeszcze raz. I jeszcze...

Tylko nielicznych stać na wynajęcie sań. Reszta musi dźwigać na własnych plecach, skoro im się nie podobą życie w tajdze!

Drogi łączące wszystkie Korgowe, i ta na przystań, roją się od przygiętych ku ziemi, wychudzonych sylwetek. Mocują się z ciężarami, odpooczywają. Znów maszerują, drepczą, kuśtykają, powłóczą nogami - zależnie od stanu zdrowia i sił. Większość posuwa się w mozole, z trudem chwytając powietrze, często przysiadając na bagażach, na pieńkach przydrożnych. Na ławeczkach, obok budki "siadź zakuri" bez przerwy pełno. Równocześnie z wyruszeniem ludzi, ruszają także obozowe psiska. Cuchnące, wychudłe szkielety z wklęsłymi bokami, z żebrami tuż pod skołtunioną sierścią, z zaropiałymi ślepiami i wesołymi pyskami. Towarzyszą zadziwiające wytrwale i wiernie wędrującym - w obie strony - merdając przyjaźnie wyliniałymi ogonami i - czas od czasu - niegłośnie, rzekłbyś porozumiewawczo, poszczekując.

Działają to krzepiąco. Ludziom raźniej i weselej przedzierać się tajgowymi przesiekami.

- Chociaż stworzenia o nas pamiętają - mówi ten czy ów. - Jakoś z nimi bezpieczniej. Elżunia z łzą popłakującą. Oj, cieszyłaby się mama, gdyby to mogła widzieć. Jej ukochane psy!

1. Usiądzi - zapal.

Korzyść okazuje się obopólna. Nękanymi rozstrojem żołądka ludzie często chowają się za krzaczki - momenty napiętego wyczekiwania psów na zdobycz. Żarłocznie pochłaniane ludzkie ekskrementy. Jest bardzo zimno. Mży bez przerwy ostre kapuśniaczki - dodatkowa ud-ręka.

Nad brzegiem Dwiny rosną sterty tobołów, waliz i wszelkiego chlamu - wszystko ogromnie cenne i przydatne. Dziurawy garnek, pogięta miednica stołeczek bez jednej nogi i kawałek deski. Wszystko pilnowane, chronione bacznie przez wytypowane osoby.

Nikt nie jest w stanie przeprowadzić się za jednym zamachem. Przytąszczywszy część dobytku, trzeba wracać po resztę. Niestety, jakość stanu posiadania przeobraziła się, w większości przypadków, w ilość. Także bagaż Wiktorii - niebogaty, wręcz nędzny - tak jest rozdrobniony, że wymaga kilku kursów. W pierwszym rzucie lądują na przystani walizki. Największą, internacką, dźwiga uznawana za najsilniejszą Dorota, średnią Emilka, najmniejszą - z rzeczami Ingi - Leszek.

Znalazłszy możliwie najsuchszy skrawek miejsca nad brzegiem, ustawiają ściśle walizki, na których od razu sadowi się Leszek, jako stróż. Obie siostry wracają do obozu.

Chłopczyk, zmarznięty na kość, siny i skurczony z głodu, w głębi duszy boi się oczekującej go odpowiedzialności, do czego nie przyznałby się za nic w świecie. Jest albo nie jest jedynym w rodzinie mężczyzną!

Dorota z Emilką, mimo danej bratu obietnicy, że wrócą przed nocą, nie są w stanie dotrzymać słowa. Wysączony po kubku gorącego naparu ^(z głogu) zaprawionego odrobiną sucharowych okruchów, nieprzytomne ze zmęczenia, obolałe, walą się bezsilnie na wełną teraz pryczę w dawnej kanurze "Zyz von Dyyndy" i - o dziwo! - nie mogą usnąć. W głowach im się mąci, lecz sen nie przychodzi.

Czują ból każdej kosteczki, każdego ścięgna, każdego mięśnia. Żadna z nich nie wierzy, by rankiem mogła się zdobyć na wstanie.

Emilka zaciska powieki w nadziei, że prędzej uśnie i od razu zaczyna gądzieć "spadać". Otwiera oczy i wszystko się kończy. Tylko szum w uszach trwa nadal. Zamyka - znów to samo.

Dorota leży skulona na boku, modląc się o zaśnięcie i z cicha pojękując. Tak bardzo, tak dotkliwie bolą otarte ciężarem walizy plecy Wiktorii nie potrafi rozkoszować się niebywałą swobodą - sama z Ingą na pryczy. Jakże spać, kiedy Leszek - głodny, źle odziany - musi czuwać samotnie na deszczu.

- Wytrwaj, synku! Wytrzymaj! O Boże, zaklinam. Osłoń to dziecko Swą Tarczą. Nie pozwól, by mu się coś stało w ostatniej chwili! - łzy spływają po policzkach, moczą szyję, skapują na ciemną główkę Ingi. Serce krwawi boleśnie. - Och, Joachimie! Jeżeli jesteś już TAM! - odpędza złą myśl. Myśl zbrodniczą. Modląc się, usypia.

Leszek tkwi nieruchomo na największej walizie, z dwóch pozostałych czyniąc sobie oparcie. W ten sposób czuje je wszystkie. Nadrabia lęk poważną miną. W przeciwieństwie do matki i sióstr, walczy z egarniającą go sennością i tylko głębokie poczucie odpowiedzialności za rodzinny dobytek wymusza na nim czuwanie.

Rozdygotany z zimna, w uszytym przez panią Turczykę ubraniu ze staro^{kocaj}skurczony, z siną twarzą wielkości małej pięści, szuka wsparcia duchowego w rozmowie z nieobecnym ojcem - największym swym tajemnym bożyszczem i ostatecznym autorytetem.

- Nie trzeba się o mnie martwić, tatusiu. Jestem duży. Mam już jedenaście lat! Nie zawiodę tatki nigdy. Można na mnie liczyć. Na pewno nie zasnę.

Jego buźka z sinej staje się ciemnofioletowa, żołądek skręca się boleśnie z głodu. Czuje wewnętrzne dreszcze. Coraz mu trudniej pokonać senność, coraz częściej opadają powieki. Unosi je z wysiłkiem, bacznie wokoło popatrując.

- Rzuć okiem i na moje bambette, chłopczyku! - nieznajoma kobieta układa tuż obok swoje toboły i, nie czekając na zgodę, dorzuca: - Pilnuj! Oddala się tak szybko, że nie słyszy słabego dziecięcego protestu. Leszek chwilę rozgląda się rozpaczliwie, lecz nikt się nim nie interesuje. Po krótkim namyśle przemieszcza własne walizki z za pleców przed siebie, obejmuje je przewieszony

ponad obydwoma, całym ciałkiem. Jednocześnie nie spuszcza z oka "kukułczego jaja". Z wysilenia zaczyna mu się mącić w głowie, wewnętrzności rozdziera straszliwy ból głodowy. Drobnie kosteczki, przewiane lodowatym powiewem od Dwiny zdają się dzwonić - jedna o drugą. Mimo to nie poddaje się, wciąż wpatrzony w obce bagaże, co nuży go w tempie błyskawicznym.

Coraz częściej przymyka powieki. Setki ^{nie istniejących} drobniuteńkich ziarenek piasku kłują w oczy, przeszkadzają. Przeciera oczy, kiwa się ponad walizkami. Wreszcie przygniata je mocno sobą, ściskając instynktownie drobnyramionkami. Traci świadomość.

O świcie budzi go przeraźliwy wrzask tuż nad uchem.

- Złodziej! Okradł mnie! Złodziej! Wor!!!

Wyrwany ze snu, przerażony, roztrzęsiony, z sino-czerwoną twarzą, patrzy, nie rozumiejąc, na wykrzywione ze złości ^{oblizę} nieznajomej, na stojącego obok milicjanta.

- Wot on! ¹ - drze się babsko. - Eto wor! ² - *celuje palcem prosto w chłopca.*

Leszek, wciąż niezdolny pojąć, o co chodzi, patrzy i słucha, osłupiały.

Mała, skulona kupka nieszczęścia. Milicjant potrząsa go za ramię.

- Gdzie wieszci? ³ - pyta surowo.

- Tutaj są. - Wciąż niezbyt przytomny, obejmuje mocniej walizki.

- Nu a wieszci etoj grażdanki? ⁴ - nie ustępuje przedstawiciel władzi.

- Nie wiem - dzieciak rozgląda się bezradnie i nagle wszystko sobie przypomina. - Ale ja się nie zgodziłem pilnować. Ta pani rzuciła bagaże i gdzieś sobie poszła! Z początku nawet pilnowałem, bo co miałem zrobić. Ale chyba zasnąłem.

Z kręgu zwabionych hałasem ludzi zaczynają padać oburzone głosy. Wszyscy potępiają nieznajomą. Także mundurowy opowiada się po stronie ogółu

- Kakej że eto wor! Etoż riebianok! ⁵ - macha ręką i odchodzi.

W tym momencie zjawiają się posiłki w osobach Emilki ⁱ Doroty, co zmusza babę do odwrotu.

1. To on!

2. To złodziej!

3. Gdzie rzeczy?

4. A rzeczy tej obywatelki?

5. Jakież to złodziej! To przecież dzieciak!

Za nimi suną sianie ciągnięte przez wciąż ledwie żywą Zorkę. Na nich - co cięższe bagaże Anieli. Drobniejsze Aniela niesie sama. Mimo to nie zabrakło wszystkiego na raz. Równie obciążone są obie siostry. Niby niewiele, a i tak za dużo na ich wątłe siły.

Na widok zmaltretowanego Leszka, przypominającego bardziej żywego trupka, niż chłopca, martwieją w bezradnej zgrozie. Co robić? Wracać po resztę bagażu czy ratować braciszka? Oczywiście - to drugie.

Chłopczyk drży z emocji i zimna. Ma też wysoką temperaturę, co widać bez termometru.

Aniela, jako najstarsza, a więc najbardziej doświadczona, wchodzi w rolę młodej matczki.

- Milka, Dorota. Wracajcie na Siewierną, bo tam mamusia czeka. Sama zajmę się Lesiem. I radzę, póki co, nie martwić mamusi niepotrzebnie. Rozumiecie?

- To ja biorę twoje bagaże na siebie! - zobowiązuje się, wdzięczna za brata, Dorota. Siostry, ociągając się, odchodzą. Aniela układa Leszka na walizach, okrywa wysupłaną z tobołka kołdrą, na wierzch narzuca grubą, sztywną dekę. Wyszukawszy dwa odpowiednie ^(kamienie) roznieca pomiędzy nimi ogień, nastawia wodę. Niebawem po chłopca wrzątkiem, do sonej rączki wtyka spory kęs chleba, znów otula.

- Pośpij, kochanie, o nic się nie martw. Teraz ja popilnuję rzeczy. Zrobięś, co do ciebie należało.

Leszek ufnie przymyka zapuchnięte powieki i powoli, stopniowo uspokaja się. Już nie dygocze. Zасыpia.

Emilka z Dorotą starają się nie myśleć o chorym braciszku. Jest pod dobrą opieką. Muszą się śpieszyć, jeśli mają powtórzyć rundę raz jeszcze. Mimo to przystają na chwilę, zdumione niecodziennym widokiem. Wiejska dziewczyna, w wieku Emilki, z wielkim pośpiechem gromadzi chrust tuż obok zrzuconych na kupkę bagaży. Podpalwszy go, starannie rozdmuchuje płomień.

- A cóż to pani robi? - dziwią się. - Nie lepiej na przystani?

- Muszę! - Dziewczyna nie przerywa czynności, wciąż nadymając policzki. - Z tyłu wloką się

mama z babcią. Ledwie żywe. No to podgoniłam. Jak tylko ogień się wzmocni, wrócę po ich bagaże. Odpochną, ogrzeją się, biedaczki.

Emilce przychodzi na myśl, że powinny popilnować ognia, zanim dziewczyna nie wróci z bliskimi, lecz przypomnienie własnej, oczekującej na nie matki, tłumi zamiar w zarodku.

Uszedłszy może pół kilometra, spotykają objuczoną ponad granice wytrzymałości kobiecinę w średnim wieku.

- Nie widziały panienki takiej wysokiej dziewczyny w zielonej kapturze? - Kobiecina z widoczną ulgą zrzuca brzemię na podmiękką drogę.

- Tak, pali ogień tu niedaleko - uprzedza siostrę Dorota. - Ale ona wspominała też o babci.

- A idzie, biedulka, idzie. Z tyłu dyrda. Doniosę tłumoki i w te pędy po nią wracam!

Nie ujdą daleko. Na przydrożnym pieńku - skulony kłębuszek. Buzia, niby pomarszczone jabłuszko, spod chusty wymykają się siwe kosmyki włosów.

- Proszę pani! Babciu! - wołają jedna przez drugą. - Tam już wnuczka rozpałała ognisko. Kipiatok gotuje. I córka spieszy. Zaraz po panią przyjdą! - Pomagają staruszczyce podnieść się z pniaka, podają laseczkę, spoglądają, jak wlecze się drogą, ledwie pociągając nogami, zgięta w pół, chociaż bez bagażu.

Gdy wreszcie same staną w obozie, są może nie mniej zdrożone od owej babulki. Niestety, nawet marzyć nie wolno o odpoczynku. Zgodnie z planem mają tego dnia wykonać jeszcze dwie rundy. Na przystań, z powrotem i ^{znow} do Siewtry. Inaczej Wikteria nie będzie w stanie wyruszyć jutro z Ingą.

. . .

Emilka, zwaliwszy się na toboły obok Leszka, konstatuje z rozpaczą, że właśnie osiągnęła kres możliwości. Ból, zwłaszcza pachwin, oraz klucie w prawym boku kompletnie ją unieruchamia. Mimo to próbuje walczyć. Zdejmuje łapcie, odwija onuce - ból jeszcze się wzmaga. Nie przybywa jej także sił.

- Dorota! - jąka ze wstydem.

- Dorota, ja nie dam rady. Ja... muszę zostać. Po prostu padłam. Dorota leży obok niej, zwinięta w kłębek z powodu nieznośnego bólu pleców, zda się, bez życia. Skonana ponad granice ludzkiej a zwłaszcza dziewczęcej wytrzymałości. Ubranie przyschnięte do poranionego grzbietu uniemożliwia jakikolwiek ruch. Nie wiadomo czy słyszy słowa siostry.

- Anielu - proszę - spróbuj mi odlepić ubranie od ciała. Myślę, że trzeba odmoczyć. **Bardzo przyschnęło.**

Aniela stara się działać ^(możliwie) najdelikatniej, **mimo to Dorota** syczy z bólu, zanim krwawiące rany ujrzą światło dzienne. Dwie krwawe, głęboko wyłobione w ciele bruzdy oraz tyle mniejszych ranek, ile odznacza się kręgow w wydatnym kręgosłupie. Podczas gdy Aniela przemyna je szmatką umoczoną w wodach Dwiny, przechodząca obok kobiety rzuca niefrasobliwie.

- Zagoi się, jak na psie!

Na Dorotę działa to, niby ostroga. Powstrzymując sykanie, ubiera się z powrotem, staje, chwiejąc się, nad siostrą, spogląda wyczekująco. Emilka próbuje pójść w jej ślady. Wykonuje parę ruchów, lecz - unieruchomiona dojmującym bólem w pachwinach - rezygnuje.

- Wybacz! - patrzy na Dorotę z miną winowajczyni. - Nie potrafię. Nawet na czworakach! W oczach pokerne przeprosiny i bezsilność. Dorota czuje nieprzepartą ochotę, by rzucić się na toboły obok siostry. Nareszcie niczego nie musieć! Nie dźwigać! Nie iść! Położyć się i niech się nawet wali świat! Zasnąć i przespać głód! GŁOD ! Jeżeli wróci do matki, nie pójdzie spać głodna! Ta myśl działa pobudzająco, dodaje sił.

Gnana nadzieją zjedzenia czegośkolwiek, rusza - noga za nogą. Powoli... Teraz przysiąść na pniaku. Znowu iść. Iść jak najprędzej! Może czeka na nią zupa? No, niechby chociaż kubek wrzątku z sucharem! Rzeczywistość przewyższa wszelkie oczekiwania. To jest prawdziwa zupa! Miska dość bogato zatartego ziemniakiem wrzątku!

Pochłonawszy ją, wali się na pryczę z postanowieniem:

- Teraz nie ruszą mnie z miejsca nawet wszyscy jeźdźcy Apokalipsy. Nawet trąby Sądu Ostatecznego! - Zapada w sen tak bezdenny, że rankiem nie wierzy, iż minęła noc. *Obolała i skonana, jak gdyby wcale nie leżała, umacnia się w decyzji pozostania na miejscu.* Mimo to, *podniesiona na ciele i duchu kubkiem kipiłatku z brusznicami, oraz zachętą matki,* ładuje na plecy resztę rzeczy Anieli i wyrusza na trasę. Świadomość, że musi jeszcze wrócić po wanienkę Ingi oraz bańkę z naftą unieszczęśliwia ją także *(bezdennie)* chwilami gotowa jest zaszyć się gdzieś w tajdze na zawsze.

- Niech mnie szukają. *P*rzynajmniej nie będę już musiała dźwigać! Jednak dociera nad Dwinę. Jakiś czas leży nieruchomo, z zamiarem pozostania tu aż do nadejścia matki. Do nadejścia? Jakże ona przyjdzie; z Iną na rąku, z czajnikiem i koszem, i jeszcze z bańką i wanienką! Im dłużej leży, tym mocniejsze gnębią ją wyrzuty sumienia. Trudno. Umrze na drodze, ale pójdzie! *Zwłókszy się z tebołów, oddała bez słowa - Boże, spraw żebym doszła! - modli się bezgłośnie. - Żebym tu nie padła!* Zanim by mnie odprowadzili "pod bieriozki", statek odpłynie i wszyscy tu, przeze mnie, zostaną. Boże, nie dopuść do tego! Kiedy znów wraca - z ciężką niby wór kamieni bańką w rąku, z twardą wanienką przerzynającą jej ramię do kości/takie ma odczucie/, nic przed sobą nie widzi ze zmęczenia. Tylko jakieś zarysy w kolorze jedyny. Tylko wielkie czarne płachty łopeczące przed oczami. Kieruje się słuchem i wyczuciem, próbując nogą czy nie zbacza z drogi, potykając się i zalewając łzami bezsilności. W pewnej chwili pojmuje niezbitcie, że oto stanęła przed jakąś granicą. Jeśli ją przekroczy, zginie. To koniec! Dała z siebie wszystko. Więcej, niż mogła. W głowie - wirowanie, w gardle - nudności, całe ciało - jedna płonąca pochodnia bólu. Nie jest nim zdolna dłużej kierować ani do czegokolwiek przymusić. Ona to jedno a ciało - drugie. Obce, wrogie, nieposłuszne, zbuntowane.

- Trudno, mamusiu. - Jej początkowa skrucha w mgnieniu oka przeobraża się w determinację. W NAKAZ OSTATECZNY. Porzuca w krzakach wanienkę i bezcenną bańkę z naftą. Gdyby mogła, odrzuciłaby wszystkie, tak bardzo

ciążące jej członki ciała. Całe ciało, Ten uciążliwy futerał tak trudny do udźwignięcia. A jednak musi go przydźwigać aż na przystań. Po prostu MUSI! Jest od niego silniejsza. I przebieglejsza. Już układa plan oszukania matki odnośnie perzucionych cenneści. „Miała je zabrać przeprowadzająca się saniami pani Tomczycka. Widocznie zapomniała!” Wiarygodne? Nieważne.

Najważniejsza sprawa - DOJSC! Gdy zwali się, nieprzytomna, obok siostry, potrafi jeszcze niewyraźnie wymamlać wiadomość, że matka z panią Święcicką oraz Ingą są w drodze. Stan, w którym się pogrąża nie jest snem. Nie jest też śmiercią. I nie jest życiem. Duch jej błądzi daleko, czuwając jednak, by nie napinać zbyt mocno łączącej go z ciałem struny, gotów powrócić w oznaczonym czasie.

Emilka czuwa, wyglądając matki z siostrzyczką, denerwując się coraz bardziej. Dorota jęczy przez sen, to znów nieruchomieje podejrzenie. *Na wszystko to spogląda z niepokojem Aniela.* Leszek drży w gorączce, rozpalony, dyszący. Emilka próbuje wstać, by wyjść matce na spotkanie. Po trzeciej, nieudanej, próbie rezygnuje.

- No jak tam, żyjesz? - *Daniela stoi przygięta, zmordowana.*

Z jej ślicznej, zabiedzanej twarzyczki znikł szelmowski uśmiech, wielkie oczy płaczą bez łez.

- Martwię się, bo naszej mamusi wciąż nie ma - mówi Emilka, usiłując uśmiechnąć się do przyjaciółki.

- Wszystko w porządku. - Daniela również próbuje się uśmiechnąć. - Mi-
nęłam je na drodze. Idę z *panią Święcicką*. Lada chwila powinny tu być. - Daniela nie ma siły dłużej stać. Oddala się do miejsca, gdzie koczują obie z matką.

Mijają godziny, wszyscy śpią. Pochrapuje również Aniela. Emilka raz jeszcze mobilizuje się do wstania. Z pomyślnym skutkiem. Zanim ruszy, spyta o matkę nadchodzącą z tobołami kobietę.

- Taka drobna? Z dzieckiem? - upewnia się nieznajoma. - Zdaje się, że skreśliła w traktorną drogę.

- W t r a k t o r n ą? - Emilka przysiada

z powrotem. Iść po to, by się rozminąć? Bez sensu. Zmęczenie bierze górę. Zasypia i ona.

Rankiem, po obudzeniu, całą czwórkę ogarnia przerażenie tak wielkie, że zapominają o głodzie i chłódzie. GDZIE JEST WIKTORIA Z INGĄ?!

Od pustej przystani wieje mokry, zimny wiatr. Ludzie zaczynają się skupiać, cisnąć do siebie nawzajem - pokurczeni, zsiniali na twarzach.

Płoną niewielkie, starannie osłaniane ogieńki między cegłami lub kamieniami. Paruje kipiątek - jedyny ratunek, środek rozgrzewający, chroniący przed zapaleniem płuc, wypełniający puste żołądki.

Wtem na Dwinie, gdzieś u horyzontu, pojawia się mały, ciemny punkt. Stątek! Gdy zawinie na przystań, koczujący tłum ogarnia niemal szaleństwo.

Każdy śpieszy zająć jak najlepsze miejsce. Tłok, ścisk, przepychanki.

Anieli udaje się, jakimś cudem, dopaść wąskiej, wolnej kajutki, w której natychmiast plasuje Leszka. Potem - wszystkie trzy - wnoszą po kolei bagaże. Wypełniają ^(nikni) pomieszczenie po brzegi.

W kajucie jest wspaniale, ^(choć ciśnie) osłonięci przed wiatrem i zaczynającym prążyć śniegiem, mogliby się poczuć niemal szczęśliwi, gdyby nie pogłębiający się z każdą sekundą niepokój o Wiktoria i Ingę. Jedynie Aniela zachowuje zimną krew. Wychodzi na brzeg, gotuje kipiątek, poi wszystkich. Rozgrzani, zmordowani i zrozpaczeni - przysypiają. Żadno nie ma odwagi sięgnąć do worka z sucharami. Bez wiedzy i przyzwolenia matki? To po prostu przestępstwo!

Dorocie wydaje się przez sen, że ktoś obok grasuje. Ktoś obcy, nieprzyjazny. Jednak nie potrafi się obudzić. Gdy się jej to w końcu uda, z nieopisaną rozpaczą spostrzega rozwiązany, zmniejszony do połowy worek z sucharami.

Jej lament budzi pozostałych i rozpacz staje się powszechna, chociaż różnie wyrażana. Tym głębsza, że wciąż nie ma Wiktorii.

Rozdział XV

OSTATNIA ZAPALKA

Wiktorcia z Ingą i panią Święcicką opuszczają barak numer osiem jako ostatnie. Pierwsza, z dzieckiem "na barana", z wypełnionym smażonymi brusznicami czajnikiem na jednym przegubie ramienia, z koszem placków-lepioszek kartoflanych na drugim, sunie w kierunku grobli ponad strumieniem. Nie ogląda się do tyłu. Obok pędzą, przygięta pod wielkim tobołem pościeli na plecach, pani Święcicka. Tyle jej zostawia zakrętowana już Lilka.

Pora jest poobiednia, lecz one są bez obiadu, jeśli nie liczyć porcji wrzątku i upieczonej na rozpalonej cegle lepioszki. Inga dotychczas pogryza swoją drobniuteńkimi ząbkami, czule przemawiając do nieodłącznych posiołkowych psów merdających przyjaźnie ogonami. Wiktorcia wolnymi dłońmi przytrzymuje dziecko za obie złączone nóżki. *Milczy.*

Idą wolno, z wysiłkiem pokonując odległość.

- W tym tempie dojdziecie na przystań jutro! - zaczepiają je powracające z Siewtry kobiety. - Lepiej zawrócić, póki obóz niedaleko - radzą.

Wracać? Do obozu?! Nigdy! Brną wytrwale coraz bardziej błotnistym traktem. Pełen wykrotów, rozdeptany, pozbawiający resztek sił.

Nie ujdą wiele, gdy zacznie się ściemniać, co zapowiada rychły brak jakiegokolwiek widoczności.

- Szkoda, żeśmy nie zawróciły! - Pani Święcicka jest bliska rozpaczki.

Właściwie już płacze, co ogromnie drażni Wiktorię.

- Gotowa mi dziecko wystraszyć! - myśli gniewnie, bacznie się wokół rozglądając. W gęstniejącym mroku majaczy pośród drzew pagóreczek-kurhan. Mogiła - według powszechnej opinii - konia.

- A gdyby nawet człowieka! - Wiktorcia nie waha się ani chwili. - Zostajemy tu na noc - mówi stanowczo. - Nie możemy ryzykować utonięcia w błocie. Trzymaj się mnie mocno, córeczko! - Skręca w bok, odgarnia zwisające nisko, ciężkie gałęzie. Inga obejmuje rączynami szyję matki, cierpliwa nie po dziecięcemu. Nie marudzi, nie narzeka. Rozumie powagę sytuacji. Jak przed dwoma laty, gdy jedyną jej reakcją na detenacje bomb było nerwowe prężenie ciała. Pani Święcicka krechy z tyłu, nawet nie próbując przytrzymać gałęzi.

Kurhan, raczej kurhanek, porośnięty gęstą, zrudziałą już trawą, sprawia wrażenie suchego. Wiktorcia przykłęka tuż obok, co umożliwia Indze zsunięcie się z matczynych ramion. Następnie, wyszukaw^{sz} parę gałęzi, stawia na nich kosz z "lepieszkami" i czajnik. Pani Święcicka wciąż stoi, z tobółem na plecach, niezdolna do działania. Bezwolna, godna pożalowania, bliska płaczu.

- Niechże to pani rzuci! - Wiktorcia ściąga z niej tobół, kładzie na kurhanku. Potem podaje Ingę. - Tyle chyba pani potrafi? - Zabiera się do gromadzenia ce suchszych gałęzi - zajęcie niełatwe wśród mrocznych, bagiennych oparów. Siąpi leciutki kapuśniaczek z płatkami mokrego śniegu gdzieś.

- Nic dziwnego. Przecież to koniec września - myśli Wiktorcia. - I tak Bóg łaskaw. W zeszłym roku, o tej porze, śniegu było po kostki. Zanim zgromadzi wystarczająco duży stos obok pagórka, robi się zupełnie ciemno. Przestaje także padać. Okoliczność^(to) wielce ułatwiająca położenie, lecz niczego nie załatwiająca. Potrzebna kora brzoza na podpałkę - sprawa niemal beznadziejna ze względu na ciemności.

- Pomóż sobie, to Bóg ci pomoże! - pociesza się wewnętrznie Wiktorcia i zaczyna wytężyć wzrok. Jakiś punkt wygląda na jaśniejszy w czarnym tle. Trzeba się przekonać. Sunie, ostrożnie stawiając stopy, macając grząski grunt. Jest! Brzoza! Nie czując bólu kaleczonych dłoni, odłupuje wielkie płyty kory. Dużo. Jak najwięcej!

- Jeśli uda mi się rozpalić ognisko, przetrwamy tę noc -

myśli. - Żeby się tylko udało. Chce wrócić do kurhanu i martwieje ze zgrozy. W którą stronę?

- Hej, hej! Pani Święcicka! Proszę się odezwać!

Musi to powtórzyć parokrotnie, zanim - z bliska zresztą - doleci nikły głosik Ingi. Paręnaście kreczków i już są razem. Pani Święcicka, z Ingą w ramionach, siedzi na kurhanku. Wiktorcia przykuca nieopodal. Skupiona, nie czuje bolesnego drętwienia nóg. Zapomina o śmiertelnym zmęczeniu. Omackiem, posługując się paznokciami, oddziela cieniutkie warstewki zewnętrzne kory. Każdy kładzie, wymierzonym ruchem, w jedno miejsce, gdzie przedtem ułożyła parę gałązek.

- No, chyba starczy! - sięga w zanadrze swego szarego, ^{sfatygowanego} paletka po cenność nad cennościami - pudełeczko zapalek. Wysuwa środek, ostrożnie zanurza dwa palce i zamiera ze zgrozy. Wymacała jedną tylko zapalekę! JEDNA JEDYNA! OSTATNIA! Jeden maleńki patyczek, od którego WSZY-
STKO zależy.

- Co teraz? Co teraz! Boże, ratuj! Och, przecież tamta musi mieć zapalki! - odycha z ulgą. - Pani Święcicka - zwraca się w ciemność. - Proszę o zapalki. Moje wyszły.

- Ale ja nie mam. - Głos z ciemności brzmi jęczące, płaczliwie. Nie ma rady. Trzeba zebrać się w sobie, Trzeba się sprężyć.

Serce wali mocno, myśli stają się jasne, ruchy celowe. Precyzyjne. Wiktorcia zaczyna od wymacania nowego, najodpowiedniejszego miejsca. Bada każdy jego cal uważnymi dłońmi, oczyszcza, wygładza. Otacza uklepanym starannie, ziemnym, wilgotnym wałem. Po środku utworzonej w ten sposób, niewielkiej niecki, umieszcza garstkę drobniuteńko poskubanych okruchów kory brzo-
zowej. Na to kładzie warstewkę cieniutkich, białych płatków.

Teraz ostrożnie oddziela jedną z ^{dwu} nasączonych substancją zapalającą ścianek. Rozdrabnia ją, przyprósza delikatnie płatki korowe. Sekundy namysłu i całość posypuje strzępkami resztek zapalczanego pudełeczka.

Z wyjątkiem pozostałej, zapalającej ścianki - części skarbu
stanowiącego całość z jedną zapałką.

Wstępny etap poza nią. Przed nią punkt kulminacyjny. Maksymalna koncentracja, wyczulone do perfekcji dłoń i niezłomna wola zwycięstwa.

- No, w imię Bóże! - żegna się i wstrzymuje oddech. Całym, nisko pochylonym ciałem oraz konchą dłoni osłania miejsce przyszłego ogniska. Jednocześnie pociera zapałką o ściankę. Z drżeniem serca, lecz zdecydowanie. Niezbyt mocno i nie za słabo. Akurat tak, jak trzeba.

JEST! ZAPŁONĘŁA!!!

Szybko! Szybko, co tchu, lecz z należytą ostrożnością, przytknąć płomyček do misternej budowli z kory i pudełka! Znów złożone w konchę, przeświecone różowawo, maleńkie, pokaleczone dłoń. Znów drżenie serca i chwila oczekiwania. Jak na zbawienie. Jak na cud stworenia.

Nikły ogieniek przenika subtelną konstrukcją. Nie lęka się przesiąkniętego wilgocią powietrza, rozszerza się. Wiktorcia śmieje się szczęśliwie, z czego nie zdaje sobie sprawy. Podsyca ogień strzępkami pozostałej, nasiarkowanej ścianki. Delikatnie, z wyczuciem, z małymi przerwami. Płomyk wzmacnia się. Dokłada garstkę zachowanych na ten moment białych płatków i parę okruchów kory brzoźowej. Ogieniek mężnieje. Znów parę kęsów kory. Zrazu mniejsze, następnie większe. Na koniec duże. Cały zapas. Wszystko z umiarem, z odpowiednio dozowanym oczekaniem.

Ogieniek buzuje wesoło, skwierczy. Zbliżone doń dłoń stają się przezroczyście rumiane. Wiktorcia oddala jedną, wyławia parę drobnych patyczków, łamie je. Już płoną. Teraz większe i grubsze. Objęte płomieniem, bez szkody znoszą nowy balast. Solidniejszy. Płomień trawi go bez trudu, domaga się więcej. Dalejże dwie niewielkie gałązki! I jeszcze! Czas na grubsze. Na całkiem okazałe. Na pierwszy, gruby sęk! Ognisko płonie jasno. Dookoła rozświetlony krąg. Poza jego krawędzią - czerń. Płonące oczy Wiktorcii usiłują ją przeniknąć. Bez powodzenia. Blask wydobywa z mroku jakby skamieniałą sylwetkę pani Święcickiej. Do jej piersi przytulona Inga. Śpiąca, leje się przez ręce. Oczka

przymknięte, rączki bezwładne.

- No nie! Cóż to pani tak siedzi beczynnie? Na nogi i pościel rozkładać! Już! Bo zamrzniecie!

- A pani? - *Święcicka wyolaję się nie bardziej zaradna, niż Inga.*

- Sciągnę trochę paliwa, żeby starczyło do rana. No i ognia trzeba popilnować. Potem się zmienimy. - Wiktoria zaczyna krążyć w zasięgu światła, podnosząc gałęzie. Byle nie przekroczyć bezpiecznej strefy. Nie narazić na przyuczajone w ciemnościach, nieznane niebezpieczeństwo! Nie kusić losu! Co najwyżej wystawić nogę poza świetlne koło. Wymacać jakiś kasek dla ognia. Najcenniejsze są brzozywe. Palą się, nawet mokre. Zmęczenie daje się Wiktorii coraz mocniej we znaki, coraz częściej łapie się na pokusie zaprzestania poszukiwań.

- Tylko nie ulec! - wzmacnia się duchowo. - Nie poddać się! Jeszcze parę sęków, kilka gałęzi. Jeszcze ten gruby, mocno nadpróchniały, stosunkowo suchy świerkowy pień! Jeszcze podsycić ogień i nareszcie można odsapnąć. *Rzuciwszy* okiem na szczyt kurhanu, nieruchomieje, oburzona. Pani Święcicka wciąż tkwi w pozycji siedzącej, na nie rozpakowanym tobole, główka śpiącej Ingi zwisa niebezpiecznie z jej ramienia. Wiktorię ogarnia wściekłość. A cóż to za truteń z tej baby! Nie dość, że czeka na gotowe, nie potrafi ułożyć dziecka! Z furją przypada do siedzącej, ostrym słowem stawia na nogi i - nie żądając pomocy - zaczyna rozkładać pościel.

- Skąd we mnie tyle energii! - dziwi się sama sobie. - Ja, która się chciałam utopić w rozlewisku! - Nagle opuszcza ją gniew. Rozumie tamtą. Może i na nią przyszła zła godzina? Może i ona walczy właśnie z najstraszliwszą z pokus? *(Może jej serce krwawi z trwogi o los Zdzisława?)* - *Mości* posłanie spokojnie, starannie.

Jedna pierzyna i dwie poduchy pod spód, drugi piernat na wierzch.

Układa Inge, utula. Dziewczynka, zwinęta w kłębuszek, niemal ginie w piernatach.

Pani Święcicka stoi wciąż w tym samym miejscu; Wiktorii robi się jej żal.

- Niechże się pani kładzie obok Iny. Bez skrupułów. W odpowiedniej chwili panią zbudzę. Tutaj, podobno, są wilki. Myślę, że głównie zimą, ale. Strzeżonego...

- Wilki?! - pani Święcicka odzyskuje wigor. Przysunąwszy się do Wiktorii, siada na trawie. - Czuwajmy razem! - oświadcza stanowczo. Ognisko płonie, jest ciepło, prawie przyjemnie. Wysokie cienie drzew z krawędzi ciemności, niby ściany domostwa, stwarzają wrażenie niemal przytulności. Płomienie rzucają czerwone refleksy na twarze czuwających, tańczą po piernacie okrywającym Inge. Wiktorii poprawia głownie rosochatym kijem, co pewien czas podsyca ogień. I usiłuje podtrzymać coraz bardziej rwącą się rozmowę. Pani Święcicka, poddając się ciepłu i znużeniu, kiwa się to w tył, to w przód. Walczy z opadającymi powiekami. Wreszcie kapituluje.

- Pani Wiktorio, na sekundę się przyłożę koło Inusi, dobrze? Nie będę spać. Tylko się wyciągnę.

Po paru sekundach zaczyna pochrapywać. Już chrapie niby traktor. Wiktorii również morzy sen. Podnosi się - jak za każdym razem - z trudem, krąży wokół ogniska. Tu stuknie kijem, tam wetknie go do ognia, rozniecając żar. Znów przysiada. Znów dorzuca gałąź lub dwie. Aby się wzmocnić duchowo, odmawia z pamięci Litanię do Matki Boskiej. By nie usnąć, odmawia głośno. I bez przerwy spogląda w górę, hen wysoko, w nadziei, że ujrzy wreszcie błędne gwiazdy, co zwiastowałyby bliski świt.

Wokół cisza. Tylko trzask trawionych ogniem drzew. I tylko - gdzieś w głębi ciemności - rzadkie niby-stęknienia, niby-pomruki. Wiatr ucichł. A gwiazdy skrzą się na czarnym nieboskłonie - złowrogie, zimne, dalekie.

Myśli kłębią się w głowie Wiktorii - jedna żałośniejsza od drugiej, pełne nagle obudzonej tęsknoty do Joachima.

- Czy my się jeszcze, na tej ziemi, zobaczymy? Joachimie! Och, Joachimie, gdybyś tu ze mną był! - I z raptowną pretensją: - Dlaczego? Dlaczegoś nas od siebie odesłał? Dlaczegośmy się nie trzymali razem? Może nie jechalibyśmy teraz za Ural, tylko do domu? Albo chociaż na Wileńszczyznę!

Kolejny rzut oka w niebo napętnia ją, otuchą. Gwiazdy najwyraźniej utraciły część swego blasku.

- Niedługo dzień, chwała Ci, Panie! - Podgarnia kijem zwęglone szczątki drzewne, dokłada resztę paliwa. Ow spruchniały pień. Odczekuje, aż obejmie go płomień. Teraz może sobie pozwolić na luksus wyprostowania kości.

Zaledwie wsunie się pod pierzynę obok Ingi, ledwie pomyśli parę początkowych słów modlitwy ułożonej przez Jana Kochanowskiego "Kto się w opiekę odda Panu swemu/.../", traci świadomość.

Mijają godziny nocy, niebo szarzeje. Ognisko, nie podsycane, wygasa. Gdy Wiktorja otworzy oczy, nawet się nie żarzy. Trwając nieruchomo, na boku, tak jak się położyła, kątem oka widzi stojący tuż przy własnym nesie koszyk z kartoflanymi lepieszkami. Jest także czajnik z brusznicową smażyną. Lecz jest coś jeszcze. Coś nie zidentyfikowanego. Uniósłszy wzrok, zamiera z wrażenia.

Niemalże nad nią - wielka psia mordą z otwartym pyskiem i wywieszonym ozorem. Siedzi spokojnie - wielki, wcale niepodobny do obozowych chudzielców, wpatrzony uważnie w jej otwarte oczy.

- Jaki ładny pies! - Jest to pierwsza jej myśl. Następną kieruje ku Stwórcy. - Boże, jakiś Ty dobry. Nawet stróża nam przysłałeś! - Spogląda znów na zwierzę.

Prosto w jego gorejące przedziwnie ślepie. Nie bei się. Pies przekrzywia wielki szary łeb to w prawo, to w lewo, nie spuszczyjąc z niej uważnego spojrzenia. Trwa to parę chwil, w ciszy, której nic nie zakłóca. Wiktorja nie potrafi oprzeć się wrażeniu, że zwierzę upewnia się czy wszystko w porządku. Czyta to w jego ślepiach. Wtem pies wstaje, odwraca się zwolna i nieśpiesznie oddala.

- Chyba się uszczypnę! - Wiktorja jest niebotycznie zdumiona. Cóż to za pies, który - polując przy każdej okazji na ludzkie ekskrementy - nie rusza łatwo dostępnych placków!

Myśl o plackach przypomina o dzieciach. Głodne, zmartwione z jej powodu - trzeba się pośpieszyć.

Budzi panią Święcicką oraz Inge, szybko zwijają majdan. Pogryzając oszczędnie - każda po placku - ruszają ku Siewtrze. Droga psuje się coraz bardziej - momentami zwykła leśna ścieżka.

Mokre, zimne gałęzie tłuką po plecach i twarzach. Wiktoria musi puścić dziecięce nóżki, by odsuwać lub przytrzymywać przeszkody. Nad brzeg Lwiny przybywają umordowane, głodne i zziębnięte, lecz szczęśliwe.

Przy trapie-trzy wynędzniałe sylwetki dziewczęce. Dorota, Aniela i Lilka. Wiktoria uderza szczególnie jakoś skręcona, tyczkowata postać córki i jakaś niezrozumiała rozpacz w oczach pod warstewką radości.

Dziewczynka nie potrafi ukryć tragedii. Niemal zaraz po przywitaniu Wiktoria dowiaduje się o zrabowanych sucharach - cios między oczy. Rozpacz i ból. Nie sposób powstrzymać łez. Tyle czasu odejmować dzieciom i sobie od ust! Tyle wyrzeczeń i niedojadania, byle tylko przygotować się do drogi! Wszystko po to jedynie, by pożywić kogoś, kto zjadł swój pajek bez ograniczeń!

Strata to zbyt poważna i nieodwracalna, by można się było po niej podnieść w jednej chwili. Długo jeszcze, zwłaszcza w momentach dojmującego głodu, przyjdzie im żałować własnej, daremnej wstrzeźliwości.

Rozdział XVI

KOTŁAS - BARNAUŁ

Koczowanie na przystani trwa jeszcze całe dwa dni. Dwadzieścia cztery godziny w zaduchu i smrodzie kajut. W zimnej wilgoci pokładu. Kajuta zajęta przez Anielę zbyt jest ciasna dla sześciorga osób i bagaży. Nie ma rady. Trzeba wynieść część rzeczy na środkowy pomost i trzeba ich pilnować - obowiązek Emilki z Dorotą i Anieli - na zmianę. Ciasno ułożone tobołki tworzą niby-legowisko. Można tu leżeć a nawet drzemać pod sztywnym przykryciem z dery - własność Anieli. I można wzajemnie opatrywać skaleczenia oraz rany po letnich jeszcze ukłoceniach komarów i meszki. I przewijać ongiż na pocieranych do krwi nogach.

Aniela jest łączniczką. Pilnuje rzeczy, gdy siostry idą ogrzać się i posilić do kajuty. Tu Wiktorja poi je kipiátkom, wtyka do rąk po placku lub połówce suchara - żywność racjonowana oględnie, skąpo, z myślą o jutrze.

Jak tu wspaniale! Dziewczęta rade by pozostać w zatechłej kajucie jak najdłużej. Lecz trzeba wracać. Wlec się z trudem na zmaltretowanych stopach, obutych w łykowe łapcie produkcji pana Kulika, ojca Reni. Reni, której zawdzięczają - nie wiedząc o tym - tak wiele.

Po powrocie na pomost luzują owijacze - wielka ulga - wślizgują się pod derę, drzemią. Lecz także rozmyślają. Dorota nie może uleżeć na plecach. Zbyt mocno dokuczają odciski obciążanych niedawno ciężarów. Emilka również woli pozycję na boku. Bardziej intymna. I można obserwować umykające brzegi, gdy statek nareszcie odbije.

Jest - nomen omen! - dwudziesty dziewiąty wrzesień. Pada śnieg.

Sęsty, trwały śnieg. Na brzegu-oddzieleni poszerzającym się

wodnym pasem, pozostawieni przez Mierzlewcewa mężczyźni. Kilku. Wśród nich matemytyk Kupferski. Na statku jego żona i córka, Helenka, płaczą rozdzierająco. Emilkę gorszą te łzy jako nieszczerze. Powinny zostać! Ach, ten "Wściekły Pies" - komendant! Jakim prawem nie zezwolił na wyjazd jednym, gdy innych puścił?! Jakże przykro patrzeć na ich malejące sylwetki. Jak boleśnie. Piękna wolność! Wokół słychać westchnienia; są tacy, co klną.

Statek płynie wolno, woda pleszcze o burty. Dorota leży, zwiniona, z zamkniętymi oczami. Tak lepiej. Nie widzi czarnych,

migających płacht. Wszystko jest ciemnością. Emilka śledzi wzrokiem ciemne wody Dwiny, groźne jakiegoś, jak gdyby wzburzone. Oba brzegi - ciemne, obce, nieprzyjazne, porośnięte lasem - przesuwają się nieśpiesznie.

- Jakby nas chciały zatrzymać! Chwycić i nie puścić! - myśli i uśmiecha się. - A jednak się stąd wyrwaliśmy! Jednak odpływamy! Kolejna myśl gasi uśmiech. - Nie do Polski... - wysuwa skostniałą dłoń spod dory, ociera twarz z wielkich, rzadszych ^{terezj} płatków śniegowych powoli topniejących. - Czas najwyższy! Tylko patrzeć, jak Dwina stanie pod lodem. To już kwestia dni.

Stromy, zapamiętany sprzed przeszłego roku brzeg Kotłasu - miasta o drewnianych chodnikach i takichże, niskich domach. Trzeba się nim piąć wielokrotnie i znów schodzić. Dorota musi zapamiętać o poranionych plecach. Ból to nie powód, dla którego można by sobie pozwolić na opieszałość. Nie ma takich, którzy nie cierpią, którym nic nie dolega. Wszyscy się męczą. Każdy - na własny rachunek - walczy z bezsiłą, wycieńczeniem głodowym i bólem. I wszystkim pomaga to samo. NADZIEJA. Coś się dzieje. Jest zmiana! Może na lepsze?

Nic to, że obozować przychodzi nieopodal dworca kolejowego, zapchanego po brzegi. Że pod gołym niebem, że zimno, wietrzno i że wielkie, bure, śniegowe chmurzyska tam, w górze. I że wokół nieprzebrane tłumy. Ileż to trzeba pociągów! Ile miejsc w wagonach dla nich wszystkich!

Wiktor z trąską spogląda na wciąż gorączkującego Leszka, na małą Inge. Jakże oni tu, na dworze, ^(przetzymają!) powierzywszy ułożenie bagaży dziewczętom, z młodszą dwójką przypuszczają szturm do poczekalni dworcowej.

- Musiałby się zdarzyć cud - myśli, przepychając się przez ciżbę. Inga "na barana", Leszek przed nią. I cud się zdarza. Znajduje przytulny kącik i miejsce siedzące akurat dla niej i synka.

Inga - na kolanach - przytulona do matki, Leszek z głową wspartą o jej ramię.

Emilka, Dorota i Aniela leżą - ciasno, jedna przy drugiej, każda na lewym boku - na przemyślnie wymoszczonym legowisku z bagaży.

Okryte sztywną, grubą, wilgotną derą, z podkurczonymi/dla ciepła/nogami, wpasowane - ciało do ciała - starają się wytrwać w niewygodnej pozycji jak najdłużej. Twarde, zimne, kości bolą, mięśnie cierpną - krótka komenda i wszystkie trzy, jednocześnie, obracają się na prawe boki. I od nowa - na lewe. I jeszcze raz. I jeszcze... Noc dłuży się - niespana, urozmaicona nie kończącym się obracaniem, jak na różnie, nieustannym szcękaniem zębami, drżeniem przemarzniętych, zdrętwiałych członków, bacznością i czuwaniem. Wokoło kręcą się podejrzane typy. W rozbieganych oczach chciwe czyhanie. Obdarci, brudni. Trzej młodzi kawalerowie wyróżniają się spośród nich dodatnio. Perzadnie ubrani, wzbudzający zaufanie. Podszedłszy do dziewcząt, z namolną uprzejmością proponują... przechadzkę do dworcowego bufetu.

Emilka z Dorotą milczą, zniwolonie ich przesadną galanterią. Na szczęście Aniela nie traci głowy. Parę ostrych słów zniechęca młodzieńców do dalszych grzeczności, zmusza do odwrotu. Czynią to z ociąganiem się i - jakby ^(nieco) gorzej wychowani, niż przed chwilą.

- A te niebieskie ptaszki! - mówi Aniela. - Taki gotów człowieka ograbić, spoglądając przymilnie w oczy.

Siostry Leszczyńskie nie kryją zdumienia.

- Tacy elegancy panowie?!

Zanim Aniela zdąży cokolwiek odpowiedzieć, zjawia się Leszek.

- Milka, mamusia prosi.

Podczas gdy Wiktoria oddała się na poszukiwanie toalety, Emilka pozostaje z młodszym rodzeństwem. Z uczuciem dumy śledzi znikającą w tłumie sylwetkę matki. Jakaż jest jednak ładna i zgrabna, chociaż w wytartym szarym paletku i takimże berecie! Jak się pięknie, mimo wyczerpania, porusza. Mimo śladów łąpci na opuchniętych nogach. Znowu żywotna, pełna dawnej energii, przedsiębiorcza. Spostrzega nagle, że - w porównaniu z wynędzniałym, często obdartym tłumem - cała rodzina prezentuje się nie najgorzej. Zwłaszcza Inga. Istna księżniczka w czerwonym palteczku z kapturkiem, w długich, sznurowanych bucikach. W najgorszej sytuacji jest Dorota. W wyrosniętej kurteczce po bliźniakach "Pe-Pe", zwisającej luźno z chudego karku wygląda biednie i chyba najbardziej marznie.

Wiktoria, wracając z ustronnego miejsca, które znalazła bez trudu, "na wdech", zatrzymuje się obok znajomych.

- Jak długo można czekać! Róbmy coś. Nikt niczego za nas nie ułatwi ani niczego nie ułatwi. To cena „wolności”. Możemy tu nawet skonać. Nasza sprawa! - Bez trudu przekonuje zaprzyjaźnione osoby, że muszą, nie zwlekając, rozpocząć starania o możliwość kontynuowania podróży. W przedpołudniowych szarościach miasto przytłacza nieprzytulnością, zdumiewa obszarem /gęsto teraz zaludnionym/. Po drewnianych chodnikach krążą, snują się - pośpiesznie i, zda się, bez celu - setki tysięcy wyrojonych z leśnych poseszków, z tajgowych łagrów /okolicznych i dalszych; nawet tych z Nowej Ziemi/ nędzarzy. Na wielu-łachy w strzępach. Wymizerowane twarze spuchnięte z głodu. Przy nich nawet Wiktoria czuje się krezuską i wybranką losu. Ogólna sytuacja przedstawia się beznadziejnie. O zdobyciu biletów - samym zresztą dopchaniu się do którejkolwiek z kas - nie ma co marzyć. Kolejki - po raz pierwszy oglądane w takiej skali zjawisko - ciągną się całymi

kilometrami, skręcając razem z ulicą. Trzeba by w nich spędzić pół życia, by cokolwiek osiągnąć. Nie ma sensu nawet próbować.
- Poczekajmy. Może się coś wyklaruje - radzi pani Tomczycka.

Po tygodniu koczowania "na łasce losu" Wiktorja pojmuje, że dłużej czekać nie można. Pomóż sobie, to Bóg... Najbardziej palącą kwestią to jedzenie. Raczej jego brak. Przywiezione zapasy wyczerpują się błyskawicznie, chociaż nikt nigdy nie czuje sytości. Koniecznie trzeba zrealizować otrzymane jeszcze na statku, podrózne kartki chlebowe! Lecz chleb bywa w jednym tylko miejscu. W jednej z wielu bud ustawionych rzędem na grubych palach. Drewniany chodnik - pomost wiedący do okienka - dzień i noc okupują szczęśliwi posiadacze tałenów.

Okienko otwierają o godzinie dziesiątej rano; szansę zdobycia przydziału zyskuje się, zajmując kolejkę poprzedniego wieczoru.

Dziewczęta umawiają się stać na zmianę i los typuje Emilkę jako

pierwszą. Na razie ^{musi} się zająć młodszym rodzeństwem. Wiktorja

zamierza zdobyć cokolwiek do jedzenia, przedtem jednak pragnie zabezpieczyć swe córki i bagaże narażone na ataki żulików.

- Idźcie panie na bazar - zwraca się do znajomych. - Ja spróbuję tutaj - wchodzi do siedziby NKWD.

Działa i mówi niby w natchnieniu. Rozwija całą swą rosyjskojęzyczną elokwencję, po prostu osacza

pełniącego właśnie dyżur NKW-dzistę. Wymusza zgodę na zajęcie ogrodzonego, przytykającego do budynku dworca placyku-wybiegu. Zaprzyjaźnione rodziny zajmują go pośpiesznie; starannie zabezpieczając wejście. Nic to, że na głowy chlapie nadal. Za to nikt obcy nie ma wstępu. Nikt niczego nie ukradnie. Wiktorii nie zdobywa już tego dnia nic do jedzenia, co udaje się pani Święcickiej. Z paru kartofli i kapusty gotuje na polowym palenisku wielki gar zupy. Jej aromat roznosi się daleko. Wszystkim cieknie ślinka. Wiktorii jest niemal pewna poczęstunku. Sądzi według siebie. Z tym większą nadzieją czeka na finał gotowania Dorota.

- Mamusia tyle razy dzieliła się ostatnim z przyjaciółmi. To naturalne, że pani Święcicka zechce się zrewanżować! - rozumuje.

Tym straszliwsze przeżywa rozczarowanie na widok kolejnych - napełnianych po brzegi i pochłanianych łapczywie - misek. Pani Święcicka z Lilką zjadają na raz!! całą zupę. Pośpiesznie, łakomie, parząc sobie wargi.

- Jak się nie poskręcają z przeżarcia, będzie cud - szepcze Dorota do Leszka. Oboje, z mściwą nadzieją, obserwują sąsiadki w oczekiwaniu na skutki egoizmu, lecz nic się nie dzieje.

Wiktorii przemyśliwa nad sposobem powiększenia kapitału. Będący w jej posiadaniu ma swoje przeznaczenie. Lekkością byłoby jego naruszenie.

- Czy naprawdę nie mam już nic do sprzedania? - splátkszy palce, doznaje olśnienia. - A te dwa pierścienki? A obrączka? Łańcuszek z krzyżykiem? A łańcuszek z medalikiem należący do Iny!?

Obrączka i łańcuszki nie wchodzi w rachubę, lecz pierścienki...

Ten z rubinem można poświęcić. Poza tym garnek. Duży, kamienny garnek po topionym tłuszczu za-

brany z Hołubicz! Właśnie wyjęła z niego ostatnie, kiszane grózdzie.

Zleciwszy opiekę nad dziećmi Emilce i Anieli, wychodzi na ulicę.

Zsonięty z palca pierścienek, trzyma ostentacyjnie, oczkiem

do przechodniów. Nogą przytrzymuje ^{zapobiegliwie} ustawiony na deskach chodnika garnek.

- Eto twaje? ¹ - niski, krępy, czarniawy, brudny muzyk w baranicy trąca naczynie sękatym kijem.

- Maje. ²

- Magu wziat' ³ - Oferta wypowiedziana jest głosem obojętnym. Minę muzyk ma - rzecz by można - znudzoną.

- Tak bieritie! ⁴

- Kirpicz chleba dam ⁵ - oświadcza muzyk takim tonem, jakby nie słyszał, że sprzedająca cokolwiek powiedziała. Wiktorja zgadza się bez wahania.

- Pus't' budiet. ⁶

Muzyk spogląda na nią spod ogromnych, krzaczastych brwi.

- Nu, tak my paszli ⁷ - mówi. - U mienia chleb doma. ⁸

- Charasze ⁹ - Wiktorja nie waha się ani chwili. Pamięta też o pierścienku. - A kal'ce wam nie nužno? ¹⁰ - pyta z nadzieją.

- Mozet byt' nužno. Paszli! ¹¹ - rusza przedem a ona za nim. Najpierw po deskach chodników, potem po kamieniach. Aż do progu małej chatynki na pustkewiu. Żywej duszy wkoło! Nie ma też innych domostw.

Wiktorja nie boi się wcale, gdy ją ponury muzyk zaprasza.

- Zachadzi! ¹²

Niepokój ogarnia ją dopiero wewnątrz, wywołany nieoczekiwaną rolą gospodarza.

- Ty łutsze eto spriacz ¹³ - spogląda na upierścienione palce Wiktorii.

- A zaczem? ¹⁴ - dziwi się naiwnie, mimo wszystko.

- Etoż zoloto! ¹⁵ - niecierpliwi się chłopisko. - A to ub'jut tiebia, dura! ¹⁶

- Mienia? ¹⁷ A kto? - Wiktorja usiłuje ukryć prawdziwe uczucia.

- Daże ja tiebia magu ubit' ¹⁸ - słowa, acz złowieszcze, brzmią spokojnie, obojętnie. Teraz dopiero Wiktorja truchleje. Owładnięta rozpaczą, spogląda w okienko. Nikogo! Tylko ona i ten dziadyga w pustej,

10. A pierścienka nie potrzebujecie?
11. Być może potrzebuję. Idziemy!
12. Wejdz.
13. Ty to lepiej schowaj.
14. Dlaczego?
15. To przecież złoto!
16. Jeszcze ciś zabijaj, głopia!
17. Mnie?
18. Nawet ja mogę ciś zabić.

1. To twoje? 2. Maje. 3. Magu wziat' / kupić / 4. Więc kupujcie. 5. Zapłacę cęglą chleba. 6. Niech będzie / Zgodaj. 7. Więc chodźmy. 8. Mam chleb w domu. 9. Dobrze.

zapuszczonej izbie.

Chaziain, najwidoczniej odgadk³szy jej myśli, nagle uśmiecha się szeroko dwoma rzędami nadspodziewanie białych zębów. Kiwając pocięsznie głową - od ramienia do ramienia - coś tam mruczy.

- Da nie bojsia ty mienia, dura! Jaż tiebia nie tronu¹ - uspokaja.

- No drugije! Ja tak primierne skazał, panimajesz to?² - podchodzi do barwnej, malowanej skrzyni, otwiera zamykającą wieko kłódkę, wydestaje brudny węzełek. Są w nim dwa chleby z formy. Kirpiczne.

- Na, dzierży³ - podaje Wiktorii jeden bochenek. Bez zbędnych słów wysupłuje z zawiniątka trzydzieści rubli, dokła-
da do chleba.

- Dawaj kal'co!⁴

Wiktorii skwapliwie pozbywa się pierścienka z rubinem. Nie protestuje. Nie targuje się, rada, że uchodzi nie tylko z życiem, lecz i z zarobkiem. Żegna się pośpiesznie i wychodzi, ścigana głosem muzyka.

- Mnie kal'co nie nužno. No mnie tiebia żałka stało, biedniaga ty. Wet harszek; sawsiem drugoje dieło. Doroże zełota.⁵

Dzieci na widok chleba szaleją z radości. Hadość to dyskretna, cierpliwa. Jasne, że trzeba czekać na zarzuconą pokruszonym chlebem "pochłópkę". Nie można się tym najeść do syta, lecz można doznać wielkiej ulgi. Ustaną nieznośne, bolesne skurcze żołądków, ustąpi
- chwilowe - straszliwe ssanie w dółkach i zawrót głowy.

O ileż łatwiej Emilce wybrać się do chlebowej kolejki. O ile więcej ma sił! Wychodzi już o dziesiątej wieczorem. W sercu - silne postanowienie wytrwania. MUSI. Za wszelką cenę MUSI zdobyć chleb. Zapasy poczynione w Kergowej kończą się, a tu wciąż nie widać końca koczowania.

Udaje się jej zająć trzecią pozycję od okienka - bodziec, który wkrótce przestaje działać pod wpływem zmęczenia i senności.

1. No nie bój się mnie, głupia. Ja cię nie ruszę.

2. Lecz inni! Powiedziałem to w formie ostrzeżenia, rozumiesz?

3. Masz, trzymaj.

4. Dawaj pierścienek.

5. Mnie pierścienek niepotrzebny. Zał mi ciebie, biedaczko, dlatego wziąłem. Co innego garnek. Ten droższy od złota.

W miarę upływu czasu kolejka wydłuża się i grubieje, schodzi z pomostu, zakreca. Nad ranem tłum aż kipi.

Koleżanki odwiedzają wprawdzie Emilkę kilkakrotnie w ciągu nocy, gotowe ją zastąpić, praktycznie jednak nie ma możliwości sforsowania żywego zateru pomiędzy nimi a nią. Ostatnia zjawia się Renia. - Emiluś, poradzisz ty sobie? - W jej głosie brzmi wątpliwość i troska. - Nie dasz się wyrzucić z kolejki, jak zaczną wydawać chleb?

- Trochę się boję - przyznaje się od razu Emilka, więc Renia, wprawiwszy w ruch swe kanciaste łokcie, sprytnie, zwinnie i zdecydowanie przedziera się przez zwarłą ciżbę, która - o dziwo - poddaje się.

- Daj mi wszystkie kartki i czekaj z boku - mówi, nawet nie zasapała, znalazłszy się obok Emilki.

Opuszczenie kolejki, acz trudne, okazuje się łatwiejsze, niż wdarcie na czoło. Emilka patrzy teraz, ze spóźnionym strachem lecz i radością, na głowę Reni ledwie dającą się odróżnić w półmroku od innych, obcych głów.

Tymczasem przejaśnia się coraz mocniej i coraz bliższa jest chwila otwarcia okienka.

Wtem do ataku przystępuje jakaś zorganizowana banda. Uformowani w klin, usiłują rozedrzeć tłum na dwoje. Siłą wyrzucić tych z prawowitej kolejki. Kolejka odreagowuje w mgnieniu oka. Cementuje się bez zbędnych słów, krzepko trzymając za ręce i nie dopuszczając do pęknięcia jednego choćby ogniwa. Intruzi zostają wyparci, ludzie z kolejki trwają w czujności.

Emilkę ogarnia niebywałe podniecenie. Nie pamięta o nieprzespanej, przestanej na obolałych nogach nocy, o chłodzie, o mękach głodu. Zdobędzie Renia chleb czy nie?!

Piekło zaczyna się wraz z otwarciem budy. W pierwszej chwili nawet silna Reniaomalże nie zostaje wypchnięta. Szczęśliwie jednak uda się jej - niestety,

przesuniętej o kilkanaście miejsc do tyłu - wytrwać.
W lodowatym, wilgotnym powietrzu trwa dziki wrzask, wznoszą się histeryczne okrzyki - jeden wielki wisk i rozpaczliwy jęk. Renia wciąż walczy o utrzymanie się na zajętej pozycji. Zrozpaczeni ludzie miotają się, krzyczą. Wciąż krzyczą. Wyją!...

Nagle jacyś dwaj mężczyźni - z dala od okienka - zaczynają się okładać pięściami. W sekundę później już się trzymają za gardła, duszą - jeden drugiego - charczą:

- Stałeś?

- Nie stałeś!

Rozdzieleni przez innych, sapią wściekle, gotowi znów rzucić się na siebie.

Emilka patrzy z otwartymi jak do krzyku ustami, zdjęta zgrozą, skamieniała. Nie widzi, że Renia zaczyna właśnie "wybierać" chleb.

- Milka! - woła. - Chodź prędko! Bierz! - podaje ponad głowami kolejne bochenki. Na koniec sama wydziera się na zewnątrz, zasapana, rozgorączkowana, lecz szczęśliwa.

- No, mamy chleb! Tylko że wydali go razem. Na wszystkie tałony. Bez rozważania. - *Oddalają się* pośpiesznie, w obawie, by im kto nie wydarł zdobyczy.

- Jak my to podzielimy, żeby było sprawiedliwie? - martwi się Emilka. Renia śmieje się niefrasobliwie.

- Nic prostszego! Żeby tylko takie mieć powody do zmartwienia! Nie są to czcze przechwałki. Po powrocie na ogrodzony wybieg Renia zabiera się do dzieła z wielką znajomością rzeczy i niebywałą wprost precyzją. "Kirpiczny" chleb znakomicie ułatwia sprawę. Można go dzielić przy pomocy odmierzonej nitki - pomysł o tyleż prosty, co doskonały. Pokrzywdzonych nie ma.

Wiktorii przypada w udziale cały niemal bochenek. Prawie tyle, co za gliniany garnek.

Cały ten dzień, noc i kolejny dzień.

na wybiegu mijają bez zmian, w napiętej atmosferze oczekiwania. Na podstawie pociągu-jednym i na dulczeniu w kolejce do kas biletowych - innym. Aż staje się jasne, że mogą tak czekać choćby do sądnego dnia.

- Nie ma rady - oświadcza nieoczekiwanie Wiktor. - Trzeba "kupić" wagon!

- Ależ tak! Że też nikt na to nie wpadł! - Ludzi ogarnia zapał. Konrad i Marek Tomczyccy organizują zbiórkę pieniężną - ile kto może - po czym wszyscy jednogłośnie typują Wiktorię na reprezentantkę wspólnych interesów. Delegacja musi przecież być jednoosobowa/ze względu na nieformalność prośby/ i musi umieć "pogadać po rusku" z naczelnikiem stacji.

Wiktor. zabiera się do rzeczy z takim wyczuciem, jakby nigdy niczego innego nie robiła, tylko wręczała "wziatki" ¹ miejscowym urzędnikom.

Nie bawi się w ciuciubabkę. Nie szuka zręcznych słówek czy aluzji.

- Wet wam dziengi ² - wali prosto z mostu, kładąc gruby zwitek rubli na stole. - Wy nam za eto wagonietku dajcie. ³

- Wagonietka najdietsa. ⁴ - Naczelnik - jakby nigdy nic - chowa łapówkę do kieszeni munduru, przyklepuje dłonią. - No parowozu niet Nu niczewo ⁵ - dodaje pośpiesznie. - Zanimajtie wagonietku a parowozu żdat' prijdietsa. Paszli! ⁶ - wiezie Wiktorię daleko, na boczny tor. Stoją tu towarowe wagony, zupełnie puste.

- Zdies' gruzities'. Daże dwa zanimajtie, jeśli ochota. ⁷

Jakaż zmiana! Co za luksus! Na głowy nie kapie, w oczy nie wieje! Wybieg przed budynkiem dworcowym pustoszeje błyskawicznie.

W wagonach keczowanie jest łatwiejsze, lecz nie miłsze.

- Jechać! Jechać! Jak długo można czekać!?

Czekają równy tydzień.

7. Tu się zakadawycie, Kawet dwa /wa-
gony/ zajmujcie, jeśli chcecie.

1. łapówki

2. Oto pieniądze.

3. Dajcie nam za to wagon.

4. Wagon się znajdzie.

5. Tylko parowozu nie ma, ale to nic.

6. Zajmiecie wagon, to i parowóz się znajdzie, Idziemy.

Przed wagonami płoną, niewielkie paleniska z dwóch cegieł lub kamieni, w garnkach paruje kąpiatok. Czasem zupa.

Chwile spędzone przy "piecykach" należą do najprzyjemniejszych. Całe rodziny otaczają nastawione Pociolki, osłaniając ogień od wiatru, dokładając gałązki. Czeka ją na moment najbardziej uroczysty: zasypywanie wrzątku garstką kaszy, maki lub okruchami chleba. Zanim woda przeobrazi się w "pożywną pochłópkę", trwa pełne napięcia oczekiwanie.

- Będziemy jedli! - Sama ta świadomość siada swoisty smak.

W czwartym dniu oczekiwania na lokomotywę "zaprzyjaźniony" naczelnik stacji Kotlas odnajduje Wiktoria.

- Zaczem wam kanieszna w Barnaul nada? Etoż daleko. Ostawajties' łut-sze zdies'. Tut wajna nie dajdiot.¹ - Najwidoczniej musi mieć trudności z dopełnieniem warunków umowy.

- Niet, spesiba² - upiera się Wiktoria w imieniu wszystkich. - Wy nam łut-sze parowoz dajtie.³

To trzech dniach wagony zostają dołączone do składu z Solaziwem.

- Jedziemy! Jedziemy! - Pociąg żonie - tra-ta-ta-ta-ta - noga za nogą. Co ujedzie krótki odcinek, to stanie.

- Jak tak dalej pójdzie, dojedziemy na Bóże Narodzenie! - denerwują się ludzie.

W wagonach tłok nie do opisania - mnóstwo sardyńek w dwóch wielkich puchach. Trzy kondygnacyjne nary, małe okienka, półmrok, zaduch i obolałe kości - wszystko to, do niedawna jeszcze uznawane za szczyt komfortu, mierzi coraz bardziej. Czas dłuży się.

Wiktoria z dziećmi i Anielą zajmuje część środkowej półki - tej z dostępem do okienka. Nad nimi podróżuje wielodzietna, niebywale - nawet jak na tutejsze stosunki - zawszona rodzina.

Dzień w dzień wyczesują z włosów^{ów} wszy, które gradem sypią się w dół. Matką rodziny jest kobieta przyłapaną przez Wiktoria na podkradaniu kartofli z korgowskiego

1. Dlaczego koniecznie chcecie do Barnaulu? To daleko. Zostanie lepiej tu. Tutaj wajna nie dojedzie.

2. Nie, dajcie nam parowoz.
3. Lepiej dajcie nam parowoz.

połatka. Wszy, chociaż nikomu nieobce, rozlażą się teraz po całym wagonie, rozmnażając tak szybko, że odruch drapania staje się powszechny.

- Ze ścian wychodzą czy co? - dziwią się wszyscy ich nadzwyczajnej mnogości.

Pod narą Wiktorii podróżuje rodzina głupiego Stypki, którego głos przy prowadził ją kiedyś do obozu. Został w tajdze. Przepadł gołzies przed samym wyjazdem, co zdaje się nie martwić ani jego żony, ani dwóch dorosłych córek. Myśli o nim jedynie Wiktorja.

- Co się z nim mogło stać? Przecież Mierzlewcew go nie zatrzymał! Mnie wywiódł z lasu a sam zabłądził?!

Pociąg pomyka zrazu linią europejską, często przepuszczając składy jadące przypuszczalnie na front. Składy z bezwzględny pierwszeństwem; także i z tego powodu, iż wojenne maszyny - szeroko wystające po bokach - nie mieszczą się na przestrzeni jednego torowiska, biegnącego tuż obok sąsiedniego. Spód plandek sterczą, wielkie lufy, migają fragmenty gasienic, opancerzonych pojazdów.

Także pociągi osobowe - z wojskiem - muszą przepuszczać bez zarzutu.

Nie pozostaje nic, jak tylko tęsknie za nimi przeglądać. Podążają NA ZACHÓD, W przeciwnym, niż oni, kierunku.

Z początku jadą na południe, ku wschodowi skręcają dopiero od Kirowa, wciąż odstawiani na bocznice, co świadczy o małym znaczeniu przeznaczonego do Barnaulu towaru. Wszystko razem opóźnia tempo podróży. Postoje bywają coraz dłuższe, nawet parodniowe. Biegną wówczas do znajdujących się w pobliżu zabudowań, gnani nadzieją kupienia czegokolwiek do jedzenia.

Lecz skoliczni mieszkańcy niewiele mają na handel. Trochę marchwi czy kapusty - to wszystko, czym dysponują. ! tak dużo dla wygłodniałych.

Chcesz ścierz ten, kto zdobędzie cokolwiek do zaprawienia wrzątku. Można go dostać bez problemu na każdej większej stacji zaopatrzonej w kipiaticznię - ogromną, blaszaną cysternę wielkości małego pokoju, z górną krawędzią powyżej wzrostu

wysokiego męczyzny, z szeregiem kranów dookoła. Wystarczy odkry-
cie którykolwiek, by do podstawionego naczynia polał się kipiatak. Nie-
liczni wsiępują przedtem do pojemników odrobinkę kawy lub garstkę
uszonego zapobiegliwie glogu. Do kranów ustawiają się tłumy, szparko
posuwające się kolejki. Nikt nie marudzi. Każdy pośpiesza

w obawie spóźnienia, gdyby pociąg ruszył bez zapowiedzi, co zdarza
się nawet wówczas, gdy wszystko wskazuje na dłuższy
postój.

Stawia to w szczególnie trudnym położeniu tych, którzy zdążyli zain-
stalować na międzytorzu polowe piszki z cegieł. Woda bulgocze,
pachnie kiszoną kapustą lub inną, równie rozkoszną,
zdobyczą, gdy nagle rozlega się gwizd i pociąg - bez zwłoki - zaczy-
na powoli ruszać.

Wdrowani już do tego rodzaju niespodzianek, chwytają wprawnie, przez
przygotowane szmaty, gorące bagany, goniąc uciekający skład,
Wskakują na ^{rozchwiane} stopnie pierwszego lepszego wagonu, usiłując utrzymać
się na zdobytych pozycjach i - za wszelką cenę - uchronić bezcenną
zawartość naczyń przed wylaniem. Przede wszystkim za cenę poparzeń,
Nieraz poważnych. Szeka ich potem - kłopot znalezienia następnych
cegieł - rzecz wcale niełatwa.

Tak więc każde opuszczenie pociągu może się okazać niebezpieczne.
W każdym tkwi ryzyko. Nie odstrasza to nikogo. Jeśli pociąg ucieknie,
można go dogonić.

Zdarza się to Dorocie i pani Święcickiej. Zanik się dobrze oddala,
pociąg rusza i od razu nabiera szybkości. Nie ma co

marzyć o wskoczeniu w bieg. Dwa dni trwa, zanim z powrotem do-
łączą do bliskich, zrozpaczonych już ostatecznie..

Etapowa podróż na otwartych platformach załadowanych samochodami
osobowymi, gdzie wiatr hula, jak chce, kosztuje je wiele samozapar-
cia. Ratuja się, obejmując wzajemnie jak najmocniej i ogrzewając włas-
nymi, parującymi oddechami. Ich widok raduje cały wagon. One sa-
me bagatelizują zajście, sprowadzając do rangi wesołej przygody!

- Ta podróż - rozmyśla Emilka - jest, jak we wróżbie Stasi-kabalarcki. Nie smutna, nie wesoła.

W istocie jest okrutnie uciążliwa. Robactwo, ziąb/wagony nie opalone/, głód. Posiłki - raczej marne przekąski - od przypadku do przypadku, jazda - albo szybka, albo koczowanie w nieskończoność. I dość częste pomijanie stacji z kipiatielniami, lub uniemożliwianie nabrania wrzątku - dania podstawowego - z powodu nagłych odjazdów.

Zdarza się, że postój zostaje zapowiedziany oficjalnie jako dłuższy, z podaniem usytuowania zabudowań dworcowych, z informacją o zaopatrzeniu kuchni w zupę. Za ledwie ludzie - z naczyniami w rękach - zdążą przedrzeć się pod czterema, na przykład, składami na drugą stronę, ledwo wystoją w kolejkach kipiatok oraz zupę, już rozlega się gwizd i wszyscy wracają, na leb na szyję, nieraz niepotrzebnie, bo gwizdał obcy pociąg.

Wiktoria, od czasu odłączenia Doroty, woli sama towarzyszyć pani Święcickiej, która z kolei oszczędza Lilkę. Wracając z zupą, zatrzymują się na widok sprzedawanego w małych porcyjkach arbuza. Pani Święcicka nie potrafi oprzeć się pokusie, Wiktoria wraca do wagonu.

Lakomstwo zostaje ukarane, pani Święcicka utyka na trasie. Mija dzień, zapada noc, pociąg mknie bez ustanku. Lilka puchnie z płaczu, otoczona powszechnym współczuciem, wreszcie zasypia. Nie słyszy zgrzytu harnokawnych kół ani wołania.

- Zdies' Swientitskaja żywiot? ¹

- Tutaj! Tutaj! - odkrzykuje co najmniej pół wagonu, co nie budzi twar- do śpiącej Lilki. Czyni to dopiero matka, wdrapawszy się na narę. Potem jedzą obie ze smakiem zimną zupę. Zagryzają dwoma kęsami arbuza.

Owoc pachnie cudownie na cały wagon, (rozbudzona) laga przygląda się zajadającym wielkimi jak spodki, łakomymi ślepkami.

- Cio to? - pyta matka, lecz o nic

1. Czy tu przebywa /w tym przypadku/ podróżuje /Święcicka?

nie prosi. Instyktownie wie, że nie wolno. Podobnie rozumuje Emilka. Od dwóch dni walczy z rozstrojem żołądka i siania się na nogach, lecz - niepewna czy matka ma jeszcze zioła baptystki - nie skarży się. Wiktoria, dowiedziawszy się o tym od Anieli, od razu wpada w popłoch. Zioła wprawdzie są, lecz czym je zaparzyć, kiedy nic nie zapowiada dłuższego postoju!

W sąsiednim wagonie, nadzorujący skład, żołnierz posiada żelazny piecyk. Wystarczy upolować moment choćby kilkuminutowego przystanku, by do niego dotrzeć i przedłożyć prośbę. Dzięki temu Emilka dostaje, oprócz kąpiatku, porcję kleiku ugotowanego z resztek jęczmiennej kaszy - żelaznej rezerwy awaryjnej. Zioła baptystki i - podzielony na trzy dawki - kleik spełniają pokładane w nich nadzieje. Wiktoria mówi do dzieci.

- Musimy się mocno modlić o zdrowie panien Majerówien a także baptystki. One są tarczą, którą Opatrzność postużyła się na nasz użytek.

Wynędzniałe buzie całej czwórki oraz niewiele lepsza Anieli poruszają jej serce.

- Dzieci! - *zaczyna* pogodnie, sama bliska torsji z głodu. - Pocierpcie jeszcze trochę. Kiedy przyjedziemy do Barnauku, nakarmię was do syta. Kupimy całego barana, do tego wielki chleb i zrobimy ucztę o jakiej ucho nie słyszało i oko nie widziało!

Słuchają jej wszyscy - także obcy - rozmarzeni, pragnąc, by mówiła bez końca.

Ural przekraczają nocą, o czym przekonują się poniewczasie, już na pierwszym w sybirskiej ziemi postoju w Swierdłowsku. Dworzec tu ogromny. Wszędzie tylko szyny i szyny, i oni - wekslowani z toru na tor, z boczniczy na bocznice, zanim zostaną doczepieni do składu zmierzającego w kierunku Nowosybirsk.

Do stolicy Ałtajskiego Kraju - Barnauku - *docierają* po półtoramiesięcznej morderczej. Wymiszczeni, lecz wszyscy żywi.

Rozdział XVII

W AZJATYCKIM MIEŚCIE

Pociąg staje w Barnaulu nocą - fakt bez znaczenia dla tych, którzy cieszą się z powodu osiągnięcia celu. Nareszcie! Nareszcie koniec tułaczki! Koniec uciążliwej, nudnej jazdy! Prędko! Prędzej się ruszać! Wysiadać!...

Wysiadają, stoją obok bagaży. Czekają. Czekają na kogoś, kto powie im, co dalej. Na jakąś kompetentną osobę, do której można by się zwrócić która ich DOKĄDŚ skieruje. Czekają nadaremnie. Zaczynają się niecierpliwie.

- Jak to! Nikogo nie oddelegowano?

- Dlaczego nikt się nami nie interesuje?

- Jest tu jakiś PUNKT dla takich, jak my?

- Z pewnością. Ale noc!

- Mamusiu, w Kergowej już dawno śnieg a tu jeszcze nie ma - stwierdza ze zdziwieniem Leszek. Dorota wydyma wargi.

- Phi! W Pieninach jest właśnie złota jesień!

Nagle wszyscy milkną. Miny posępnieją.

- Polska... Sześć tysięcy kilometrów stąd! Jest TAM, na ZACHODZIE?

Na pewno? A jeśli to sen? Piękny sen śniony tu, na peronie nieznanego azjatyckiego miasta, po którym spodziewali się...

- Czegośmy się właściwie spodziewali? - rzuca ktoś. - Że nas powitają marszem? Że wystarczy d o j e c h a ć a skończą się niewygody, zimno i głód?

Rada w radę - delegacja kilku kobiet/wśród nich Wiktorja/udaje się do naczelnika stacji.

Pierwszy kontakt z *Azjata* - pierwsze bolesne rozczarowanie - rozwiewa wszelkie nadzieje.

- Kto was tutaj wpuścił, czort pabieri!¹ - wydziera się naczelnik, przerywając Wikterii ^(bez pardonu.) - Tylko tery zawalają. Na bocznice!

- Ależ my nie przeszkadzamy! My chcemy stąd jak najspieszniej odejść. Pociąg może odjechać - tłumaczy Wiktor. - My po prostu zgłaszamy nasze przybycie. Z Kotłasu! Powiedzcie, proszę, gdzie tu jest jakiś punkt organizacyjny. Jakies biuro. My mamy przepuski. Wszystko załatwione legalnie. Tylko nie wiemy, do kogo się zwrócić. Może wam coś na ten temat wiadomo? - wyjmując podpisany przez Mierzlewcewa, ^(opieczkę towary) dokument, usiłuje pokazać naczelnikowi. Ten odsuwa go niecierpliwym ruchem ramienia. Wrzeszczy.

- Nie wiem nic i nic mnie to nie obchodzi! Nie moja rzecz! Wracać do wagonu! Natychmiast! Odstawimy was na bok a potem idźcie sobie do władz! Niech się "starsi" martwią! Ja się tym nie zajmuję! I bez tego roboty pełne ręce! Jeszcze mi tu *posiedleńcy* na kark lażą!

- Cóż, jesteśmy w o l n i!

- Oto smak w o l n o ś c i!

Wśród przybyłych nie wszyscy się znają. Pochodzą z trzech różnych Kergowych. Lecz wszyscy czują to samo. Rozpacz, gniew, załamanie.

Dopiero zepchnięci na odległą bocznice stacji towarowej, słabo oświetlonej i pustej, usłyszą pierwsze zrozumiałe, "ludzkie" słowa. - polecenie.

- Czekać do rana!

No wreszcie! Ktoś przecież coś wie! Na sercach jakoś lżej. Wiadomo, że urzędy w nocy nie pracują. Wszystko w porządku!

Na poboczu, między cegłami lub kamieniami, zaczynają płonąć ogieńki. Gotuje się kipiatak - danie podstawowe, niezmiernie rozgrzewające a nawet szukające na krótko głód. Skądś dolatuje cudowny aromat zupy. Bogacze!

- Mamusi a baran? - przypomina Dorota. - Jest tu ich pełno!

- Jutro - odpowiada Wiktor pewnym
A. do diabła!

siebie tenem. - Jak tylko otworzą sklepy, kupię całego. Nie martw się. Jutro się najemy. Obiecuję to wam raz jeszcze. Najemy się tak, że brzuchy nam urosną. Zobaczą!

- Ile kto zechce? - nie dowierza Dorota.

- Bez ograniczeń - uśmiecha się Wiktor. - Pocierpicie jeszcze parę godzin. Wytrzymaliśmy tyle tygodni, wytrzymamy do rana.

- Tak - zgadza się w myślach Emilka. - Najważniejsza rzecz: wytrzymać. Trzeba to wszystko wytrzymać.

Zapadają w drzemkę, marząc o pachnącej, gorącej pieczeni, o chlebie i innych wspaniałościach tej bogatej, urodzajnej ziemi, o czym nawet w encyklopedii napisano! Nie zdają sobie sprawy z jednego, że encyklopedia została wydana przed Wielką Rewolucją. Rano wita ich biały śnieg, lodowaty.

- Cieszcie się, kochani! - przemawia Wiktor krzepiąco do swej gromadki. - Niedługo otworzą sklepy i będziemy jedli! - Ogarnia wszystkich świadomie wesołym spojrzeniem.

- Jak myślisz - pyta Leszek Dorotę. - Długo się taki baran piecze?

- Nie dłużej, niż pół godzinki. Bez przesady! Zęby jakie takie mamy -

- Dorota aż się obliżuje na myśl o tym, jak będzie się wgrzyzała w mięso. Zanim Leszek zdąży się ustosunkować do opinii siostry, przed wagonem pojawia się wysoki mężczyzna w czarnym palcie i czarnej czapce. *Jakaś Ważna Figura.*

- Opuścić wagony! - rozkazuje bez żadnych wstępnych wyjaśnień. Podnosi się zbiorowy protest.

- Jak to, opuścić!

- Dokąd mamy iść z bagażami?

- Zimno!

- Mamy małe dzieci!

Wtedy dopiero raczy się odezwać.

- Mieszkać tu chcecie? W tych wagonach? Na dworcu? A no, pośpieszyć się! Żebym dwa razy nie powtarzał! - Odchodzi, nie oglądając się za siebie.

Nadzieja jednych a niepewność i przygnębienie innych natychmiast przekształca się w przerażenie. Nawet rozpacz. Co począć? Kogo prosić o pomoc wobec tej obojętności!

Pierwsza otrzasa się Wiktorja.

- Musimy poszukać siedziby NKWD. Oni tu przecież rządzą.

- Racja! Idziemy!

Lecz i w urzędzie nie znajdują pomocy.

- Nie ma dla was miejsca w Barnaule - oświadcza kompetentny NKW-dzista. - Na posiołki¹ trzeba jechać.

- Ależ my nie chcemy na posiołki!

- Dość mamy tajgi!

- Mamy skierowanie do miasta! Do Barnaułu właśnie!

Wyjmują przepuski, pokazują. Wiktorja usiłuje tłumaczyć, walczyć.

- Nam powiedziano, że możemy wybierać miejsce pobytu. No i wybraliśmy Barnauł na zamieszkanie. Mamy na to pozwolenie! Z podpisem komendanta! ^(Z pieczęcią!) Mamy prawo tutaj zostać! - milknie pod zimnym wzrokiem NKW-dzisty, krzywiącego nieprzyjemnie wargi w niby-uśmiechu.

- No i co wam z waszego prawa przyjdzie? - pyta. - Da wam to prawo dach nad głową? A może się nim najecie? Gdzież wam tu zostawać? Na ulicy? Mieszkań nie ma. Bieżeńców pełno. Z żywnością całkiem źle. Kamienie gryźć będziecie? A może domy lizać? Na posiołku łatwiej. Tam i domy są, i zielenina do garnka, i praca. Odpoczniecie po podróży i pchniemy was dalej. Będzie dobrze, nie bójcie się - pociesza nieoczekiwanie.

Opuszczają NKWD z rozpaczą w sercach, że tylko siadać i wyć. Więc znowu w drogę? A jeżeli się okaże daremna? Kto zaręczy, że nie zostaną skierowani gdzie indziej? Że nie będzie dla nich ani schronienia, ani żywności, ani pracy?

Żywność! Wiktorja myśli na razie o jednym. Musi spełnić dane dzieciom przyrzeczenie, kupić barana. I chleba.

- Chodźmy na targ - radzi. - Przedo wszystkim
1. od słowa „posielenie” - osiedlenie się - lesna osada.

jedzenie.

Krocząc szeroką arterią - Prospektem Lenina - zatrzymują się, pytając przechodniów o rynek, aż docierają do wielkiego, ^{ogrodzonego} placu - rojowiska ludzkiego. Ponad bramą napis: STARYJ BAZAR.

Wiktorcia krąży pośród straganów, zastanawiając się, jak dotaszczy całego barana. Żałuje, że nie zabrała ze sobą którejś z dziewcząt, zmartwiona tym mocniej, że coraz większe czuje zmęczenie. W jakiejś chwili uświadamia sobie, że poszukiwania trwają zbyt długo. No gdzież te barany!? Chodzi i chodzi, zaczyna rozpytywać. - Czy targ zwierzęcy to może gdzie indziej? Oddzielny? Bo tu nie ma nic. Ani jednego barana! Ani nawet mięsa!

A no nie ma.

Jest wprawdzie jeszcze - dalej -

NOWYJ BAZAR, lecz i tam o barany nie ma co pytać.

Teraz dopiero Wiktorcia dostrzega, że nie ma tu właściwie nic, co by się dla nich nadawało. Jakieś pierożki, nawet mięsne, na jedynym stoisku - drakońskie kosztowne i niezbyt duże. Ile by tego trzeba kupić, żeby zasycić żołądki! Nie czas zresztą na łakocie. Im potrzeba coś treściwego, solidnie wypychającego brzuchy i długie trawionego. Wiktorię ogarnia rozpacz. Może chociaż chleb kupić?! Lecz chleba nie ma. Nie ma niczego poza jakimiś maleńkimi porcyjkami nie wiadome czego, ^(ce) ceną przewyższającą wartość złotego pierścienka.

- I co ja powiem dzieciom! Jak im spojrzę w oczy! A tyle było mowy o baranie! - Zaczepia pierwszą z brzegu babę.

- Skażicie, pażalsta, ¹ gdzie mogę kupić dużo prostego, tańszego jedzenia. Bo dzieci mam ^{gromadkę} a pieniędzy mało.

Baba, wyraźnie ucieszona swą rolą informatorki, wprost zasypuje Wiktorię mnogością słów. Mówi nieprawdopodobnie szybko, z nieznanym jej dotychczas, charakterystycznym skcentem czy raczej sposobem polegającym na połykaniu końcówek. Powtarza to samo.

¹ Powiedzieć, proszę

po parę razy, jakby pragnąc dobrze wbić wszystko do głowy pytającej, której zdolność zapamiętywania zdaje się wykluczać.

Z chaosu informacji Wiktorii udaje się wyłowić tę najważniejszą. Że pół kilometra dalej znajduje się NOWYJ BAZAR, na którym - nies-
tety - także "niczego nie pałuczysz".¹

- Daje chleba?²

- Chleb? Mieczta!³

Dla pewności Wiktorii idzie jednak i tam. Z tym samym skutkiem. Wraca, przygnębiona i zniechęcona, z gołymi rękami. Na widok maleń-
kiego bazarku tuż obok stacji, tak zwanej "tałkuczki", przystaje niez-
decydowana. Trzeba się tam wspiąć po wysokich
schodach-lestnicy.

Wielki to wysiłek dla uchodzonych nóg. Wiktorii waha się. Wejść na
dzworzec czy wdrapać się na górę? Jednak spróbować. - Kieruje się ku
lestnicy, od której - być może - cała ta dzielnica-zona - nosi naz-
wę Lestnicy.

Trud okazuje się daremny. Na tałkuczki jest tylko tłok i... nic
do jedzenia. Wiktorii wraca do wagonu, jak na ścięcie. Wraca z pusty-
mi rękami.

Cała czwórka dostrzega to od razu. Lecz nawet Inga, której Dorota
zdażyła opowiedzieć parokrotnie "śliczną bajeczkę" o smacznym mię-
sku i chlebkach, nie śmie o nic pytać. Nikt
nie wymawia głośno tego - zakazanego nagle - słowa "baran". Nikt o
nic się nie wspomina. Wiktorii chciałaby się do nich uśmiechnąć, po-
cieszyć. Nie bójcie się, nakarmię was tak, że brzuchy... Zamiast
tego mówi:

- Musimy się przenieść pod sam dzworzec. Pojedziemy dalej.

I znów żadne o nic nie pyta. Posłusznie przenoszą bagaże, wraca-
ją po resztę. Na straży tych z pierwszego rzutu - Leszek. Nie gorącz-
kuje. Jest zziębnięty, siny, skurczony, opuchnięty z głodu.

Wreszcie ruch pomiędzy bocznicą a

1. nic nie dostaniesz. 3. Marzenie.
2. Nawet chleba?

pierwszym peronem ustaje. Część ludzi gnieździ się w ciasnej poczekalni, część pilnuje pozostawionych na zewnątrz bagaży. Czas od czasu wymieniają się. Ci, co marzli, grzeją się. I znów na odwrót. Wszyscy drapią się masowo /jedeny dostępny sposób walki z wszawicą/, nie myśląc o tym, jakby mimochodem.

Wiktor, przysiadłszy w kącie, z Iną na kolanach, wyrzuca sobie później w czasie niefortunny wybór miejsca posiedzenia. Czuje się bezradna. Zupełnie nie wie, co począć.

- Pani Wiktorie - Aniela pochyla się nad nią niziutko. - Tu, niedaleko - szepcze - na tym peronie za płotem, leżą kartofle. Cały wagon wygruzili¹. Może by spróbować?

Wiktor nie namyśla się ani sekundy. - Proszę mi tu przysłać Emilkę - odszeptuje. - I worek jakiś potrzebny. Bo w co nabrać?

Aniela, pogrzebawszy w swoich rzeczach, wyciąga dużą powłoczkę na poduszkę, składa ciasno, by nie zwracać uwagi. Wiktor ścisną podaną dyskretnie powłoczkę jeszcze mocniej. - Pilnuj Iny - zleca Emilce i odchodzi we wskazanym kierunku.

Ziemniaczany kocioł - w istocie wielki - okazuje się, niestety, strzeżony. Na jego straż - żołdat. Młody, zmarznięty i uzbrojony. Widać to dokładnie pomimo mroku.

Wiktor nie waha się długo. Znajduje wejście, zbliża się do żołnierza.

- Tawariszcz sałdat, raz ^{raz} ~~raz~~ ^{szycie} pałałsta, niemnożka kartoszki nabrat', radi Boha! Ja zdies' s rebiatami. Czetyriech u miania.

Muż na wajnie pagib. My iz archangielskoj obłasti tut. Miesiac s paławinej jechali. Gałodnyje, szto pamiat' prijdiet'sa. Samej młodszej dziewczce dwa godiki!² - patrzy prosto w młode, szare oczy oczami w których nakaz miesza się z błaganem.

Sołdat odwraca wzrok; rzuca półgębkiem, niegłośno:

- Bieri. Tol'ka pod wagon dał'sze pałezaj. Szto b tiebia drugije nie uwidieli³ - wykonuje obrót,

1. wyladowali.

2. Tawariszcz żołnierzu, pozwólcie, proszę, wziąć trochę ziemniaków, na Boha! Ja tu z dziewczyni. Mam ich czworo, mogę zginąć na wojnie, przychodzą tu z archangielszczyzny, głodni, ze chyba umrzeć przyjadzie. Najmłodszą dziewczynką ma dopiero dwa latka.
3. Bieri. Tylko dalej, pod wagon, wejdź, żeby cię ktoś nie zobaczył.

ukazując jej /i kartoflę/ plecy.

- Spasiba! ^{1 (Wiktoria)} - /hyca śpiesznie pod wagon, z którym sąsiaduje kartofla-
ny kopiec. Na kolanach, uważając, by się zbytnie nie wychylać,
zgarbia co większe bulwy prosto do po-
szewki. Spieszy się. Próbuje podnieść w rękach. Jeszcze! Jeszcze parę!
Udźwignę! Dokłada kilka ziemniaków, znów próbuje siłą. To koniec. Więcej
nie zdoła przenieść. Wyczołguje się spod wagonu, wyciąga napełnioną
do połowy poszewkę, przegina do tyłu, zarzuca ciężar na plecy.
Teraz co tchu do swoich!

Aniela z Dorotą trzymają w pogotowiu duży worek zna-
leżony w międzyczasie w bagażu. Tutaj! Prędko!...

Pędzi z powrotem, po nową porcję. I jeszcze raz! I jeszcze!

Przy ostatniej, czwartej, rundzie omal nie wpada.

Kończy właśnie ładowanie, gdy nadchodzi inny bajec², nie wtajemniczony.

- Kto tam?! - wrzeszczy i sięga do ramienia po karabin.

Wiktoria zamiera, przymyka oczy. Boże, ratuj! To nie chciwość

To konieczność! Wtem słyszy półgłos pierwszego żołnierza.

- Małczy. Żenszczyzna s dietiszkami, pamierajut at gołoda. Możet byt',
u twajej matieri, ili żeny, niet czewo w rot łażyt'.³

Wiktoria otwiera oczy i widzi oddalającego się w milczeniu, drugiego
bajca. Wykorzystuje to natychmiast, przyrzekając sobie w duchu po
raz piąty nie kusić opatrzności. Póki co - są uratowani!

Ledwie doczekawszy brzasku, uruchamia palenisko między ceglami, nakła-
da pełne wiadro ziemniaków, idzie do pompy. Płucząc je, uświadamia
sobie, że nie ma tak wielkiego garnka, by zmieścić wszystkie naraz.

Gotowanie w dwóch ratach nie ma sensu. Za mało, by zasycić sześć pus-
tych żołądków i zasilić trzy dodatkowe: pani Tomczyckiej

oraz jej dwóch synów. Przywykła do służby, zbyt bezradna, by zdo-
być cokolwiek własnoręcznie i zbyt ostrożna, by pozwolić działać sy-

nom, już w Siewiernej zaprzyjaźniona z Wiktorią, podczas podróży

zaczyna ją traktować niemal jak młodszą siostrę.

1 Dziękuję!

2. Żołnierz.

3. Młodzi. Kobieta z dziećmi - umierają z głodu. Być może, do ust. twój matka lub żona także nie ma co włożyć.

Jak ^{przyszła} tęściową Konrada. Nie kryje ^{przed nią tych} swoich zamysłów,

lecz i nie mówi otwarcie. Emilka domyśla się wszystkiego i śmieje się w duchu. Za to Inga przepada za młodszym Tomczyckim. Wciąż - swoim zwyczajem - wyrasta przed nim, jak spod ziemi, wyciąga rączki. Unosi ^{do} wysoko ciemną główkę, rozkazuje:
- Bierz mnie! - Głosik jej brzmi stanowczo. Konrad nie śmie oponować. Zarumieniony niby panna, bierze dziecko na ręce i... nie wie, co z tym fantem uczynić. Z tego głównie powodu spełnia wszelkie zachcianki dziewczynki. Wozi ją "na barana", huśta, podrzuca; wciąż śmiertelnie zawstydzony.

Wikteria dechodzi do wniosku, że najlepiej ugotować kartofle w wiadrze. Niech tam. Raz można podjeść! Zamiast barana.

Ugotowane w mundurkach, parujące smakowicie, nie wydają się gorsze, niż pieczony baran. Coż za błogość! Jaki balsam dla żołądków! Tym bardziej, że luz można uzupełnić dowolną ilością kapiatku. Nawet zimne staje się mniej dokuczliwe.

Wikteria jest niemal szczęśliwa. Obiecała dzieciom, że je nakarmi w Barnaule i obietnicę dotrzymała. Że nie baraniną? Co za różnica! Byle napełnić brzuchy.

Znika ostatni ziemniak. Popijając wrzątek, rozmawiają, wymieniają uwagi. Skorośmy dotychczas nie pomarli, wytrwamy do końca!

- Do j a k i e g o końca? - myśli Emilka i wzdraga się na dźwięk rosyjskiej mowy tuż nad uchem.

- Paliaki! ¹ - przemawia ktoś umundurowany. - Kamu nada zarobotat' kartoszki, pus't' idiot jeje czistit'. Adna karobka za rabotu na ryko. Można patom i kapustoj zaniat'sja. Pa adnoj ² golowie pałuczitie. Ruszaja, gremialnie. Wikteria z córkami i Anielą - wszyscy, którzy nie muszą pilnować bagaży. Jedyne pani Tomczycka z synami nie korzysta z oferty.

- Nie będziemy usługiwać ruskim. Jesteśmy wolni!

Wikterię czuje niemiłe ukłucie w sercu. Mimo to nie waha się ani chwili. Wobec perspektywy zdobycia pożywienia

1. Polacy!

2. Kto chce zarobić kartofli, niech się zgłosi do przebierania. Jeden kosz na osobę, potem można się zająć kapustą. Zapłata po jednej główce.

nie czas myśleć o błahostkach. Nie u s ł u g u j e! Z A R A -
B I A!

Potem, wszystkie cztery, zwijają się tak sprawnie, że Wiktorcia zdąży
- poza oficjalnym zarobkiem ^{trzykrotnie} wypłacić Leszkowi ponad płotem
kosz pełen ziemniaków, niesionych niby do magazynu.

- Kradnę? - myśli bez emocji. - Nie to kradnę. Nie prosiłam ^{i. c. h}
o wywiezienie z Polski i nie o n i będą się troszczyć o moje dzie-
ci.

Potem idzie do kapusty. Żadna robota nie wydaje się jej
bardziej upekarzająca od głodu. Nie jest nią także oczyszczanie
kapuścianych głów z wierzchniej warstwy nadpsutych liści. Lecz jest
to praca trudna. Zmarznięta kapusta przenika mrozem dłoń
a poprzez nie całe ciało. Nic to. Ważniejszy efekt. Cztery zarobione
oficjalnie główki i pięć dużych, nadprogramowych, przechwyconych
ponad ogrodzeniem przez czatującego Leszka. Inga, w
tym czasie, pozostaje pod opieką państwa Tomczyckich.

Wiktorcia jest umordowana, lecz szczęśliwa. Ani przeczuwa, że
zdobyte właśnie produkty uratują ich od śmierci głę-
dowej w krótkim okresie, który się dla nich zaczyna. Pozostaje
kwestia suchego prowiantu. Jakże podróżować bez chleba?

- A może by raz jeszcze spróbować szczęścia na mieście?

Wraz z Renią i Lilką wybiera się na poszukiwanie chleba, co - bez
kartek - okazuje się zupełnie nierealne.

- Żeby chociaż kęsek! - zaczynają utyskiwać dziewczęta, rozczarowa-
ne i zmęczone. Wiktorcia - również zmęczona - nie traci wewnętrznego
wigeru.

- Muszę. Muszę zdobyć chleb! - prowadzi swe młode przyjaciół-
ki do siedziby NKWD.

Odziwo, naczelnik - ten sam, co wczoraj - nie każe sobie powtarzać
prośby o tałony. Każda z obecnych otrzymuje kartki z miesięcznym
pajkiem.

Miesięczny przydział dla całej rodziny!

- O Boże! - dziewczęta, na korytarzu, całują i ściskają Wiktorię. Następnie, nie czując zmęczenia ani bólu nóg a nawet zimna i głodu, pędzą do piekarni.

Wiktorcia wykupuje za jednym zamachem wszystko. Całe dwanaście bochenów dobrego, żytniego chleba! Cały plecak!

Jest tak szczęśliwa i wdzięczna Bogu, że wręcza jeden chleb pani Tomczyckiej. Robi to wbrew sobie. Wbrew temu, co się w jej wnętrzu przeciwko takiemu gestowi buntuje. *Uskuqiwać! Też coś!* Jest zbyt późno, by inni mogli udać się do NKWD po kartki. Przekonani, że to kwestia czasu, spokojnie odkładają rzecz do następnego dnia. Mimo to zrywają się wcześniej. Idzie nawet Marek Tomczycki. Powracają z niczym. Albo nie potrafili odpowiednio argumentować, albo naczelnik istotnie nie miał więcej kartek, *albo po prostu złożył ochłonąć ze zdumienia, że J E G O poproszono o pomoc.* - Trzeba było trzymać się mnie - wyrywa się Wiktorii. - Im musimy wydzierać z gardła, co się da i jak najprędzej!

Rozgorzała po tych słowach dyskusję i wyrzekania przerywa pojawienie się *Ważnej Tigery*. Zwoławszy wszystkich do siebie, wydaje na nich wyrok.

- Nie możecie dłużej tutaj koczować. Dość się naodpoczywaliście. Proponuję wam posiedzenie w Oziorkach. Miejscowość spora, zdrowa, ze stacją kolejową, ale mniejsza. Dlatego łatwiej się tam zaczepić, niż tu, w Barnaule. My tutaj nie mamy warunków na przyjęcie takiej gromady.

Rozlegają się protesty, krzyki oburzenia. Ucisza je uniesieniem w górę obu ramion.

- Nie upierajcie się - mówi sucho. - Posłuchajcie lepiej dobrej rady, kiedy innej, lepszej, nie ma. W Oziorkach będzie wam dobrze. Zakładów tam dużo... "Jak baranów w Barnaule!" - woła chłopięcym głosem Leszek. Woła po rosyjsku, czym na moment zbija

z tropu Ważną Figurę. Czarno odziany mężczyzna, powściągnięty zdu-
mienie, kończy spokojnie.

- Zakłady są. Jest gdzie pracować i gdzie mieszkać a praca lekka.
Znają tę "lekką" pracę aż nadto dobrze, więc milczą. Nie przeszkad-
zają. Niech gada.

W oczach Ważnej Figury przelotny ślad zadowolenia. - Zimować pod
gołym niebem nie będziecie - kończy - bo mieszkań nie ma. Uwierzcie
Nawet spod ziemi nie wykopie my.

Nie ma rady. Zgoda. Pojadą do tych Ozierek, kiedy tak.

Ważna Figura, odetchnąwszy z ^(nie skrywana) ~~z~~ ulgą, zarządza niezwłoczne zdawanie
propusków uprawniających do osiedlenia w Barnaulu, co gdy
się stanie, zapowiada natychmiastowe podstawienie wagonów. Wszystko
zaczyna iść, jak w zegarku. Wagony przetoczone, parowóz doczepiony,
po przybyszach tylko trochę śmieci na peronie. Pociąg rusza nie
zwlekając.

- Wygląda na to, że mogliśmy się uprzeć - rzuca ktoś nerwowe.

- I nie bez skutku - dodaje inny.

- Trzeba było nie oddawać propusków.

Uwagi, być może, słuszne, lecz spóźnione. Pociąg mija miasto. Czas
jakiś sunie pustą i gładką Równiną Barnaulską, potem zag-
łębia się w stromym wąwozie. Jego krawędzie migają daleko

w górze, na wysokości pięćdziesięciu do stu metrów. Przedłużeniem
wąwozu jest długi, żelazny, dudniący most. Dalej teren zmieniać zaczą-
na falować, urozmaicony dodatkowo głuchymi potokami iasów-
-wszystko przecięte równo starą, z carskich jeszcze czasów, ma-
gistralką wschód-zachód łączącą Barnaul z Nowosybirskiem.

Magistrala to szczególnie. Jednotorowa, co pewien czas rozgałęziająca
się w podłużne pętle-rozjazdy - miejsca długich postojów w oczeki-
waniu na "mijanę". Przyjdzie im dłużej na nich stać, niż jechać.

Z niechętną ciekawością przyglądają się krajobrazowi..

- Niebrzydka - słychać burknięcie. - Wyżej - niżej, przestrzeń...
Tyle że okusza.

- To przecież pogórze Gór Ałtaju - myśli Emilka. - Są zupełnie

blisko --

przypomina sobie podrę-

cznikowe wiadomości.

Podróż trwa cztery i pół godziny. Cztery godziny żyją nadzieją na zakończenie tułaczki. Na stabilizację. Płonna ta nadzieja. Nie zdając sobie z tego sprawy, czym prędzej wyładują się z pociągu. Oto ziemia, która ich przyjmuje. Można na niej stanąć stopami.

Twarda i nieruchoma. I cicha. Nareszcie!

Pociąg odjeżdża, przybysze tkwią bez ruchu - gdzie kto wysiadł. Czyżby i tu nic o nich nie wiadano?

Zanim się złączą na dobre niepokoić, tuż obok wyrasta kolejna Ważna Figura.

- A was atkuda tak mnoge? ¹ - pyta nieprzyjaźnie.

Nie widzą tego. Nie chcą słyszeć niechęci w głosie. Zaczynają się prze krzykiwać, każdy coś wyjaśnia na własną rękę. Ważna Figura niecierpliwi się. Dobrze wie, kim są. Pytanie było formalne.

- Skierowania proszę! - rzuca ostro.

- Jakie skierowania?

- Nas tu skierowano z Barnaułu!

- Co to ma znaczyć?!

- Skierowanie na osiedlenie w Oziarkach - przerywa bezceremonialnie Ważna Figura. - Na piśmie. Bumaga mnie nużna! U was niet bumag? ² - dziwi się obłudnie. - Tak czewo wam naola? ³

W jego oczach drwina. W ich sercach rozpacz i niewczesny gniew. Oszu- kani, wyprowadzeni w pole! Pozbawieni "bumag" z Siewiernej Koryowej! Zapada bezradne milczenie, które Ważna Figura natychmiast wykorzystuje.

- Da niczewo ⁴. Osiedlajcie się w Pierwomajsku! Tam charaszo ⁵. Po- siełek, las dookoła, rzeka... To tylko siedem kilometrów stąd!

Pierwsze nie wytrzymują, kobiety. Wysunawszy się do przodu, z dziećmi w bokim, wołają:

- Abmanuli wy nas! My uże nażyliś w posielkach i lesach i nie nużny nam rieki! My was nie prosili prijezdat' zdies' i waabszcze w Rasieju! Zaczem wy nas iz Poleszy ubirali?! ⁶

Zanim Ważna Figura zdąży zareagować, pojawi

1. Skąd was tak wielu przybyło?
2. Potrzebne potwierdzenie pisemne. Nie macie?

nam rzekli. Myśmy was nie prosili o przyjazd tutaj. Dlaczegoście nas wywiesili z Polski?
3. Ktę czego chcecie?
4. Nie szkoda!
5. Tam jest dobrze.
6. Oszukaliście nas. Myśmy się już dość nażyli w posielkach i lasach i nie potrzebne nam riekę.

się nowa osoba. Kobieta z Zeszytem w ręku. Ganiając tam i z powrotem, stroi przyjazne miny, usiłując wybudzić zaufanie.

- Da wy nie sierdities', dobryje ljudi. Na Pierwomajskie sawsiem charasze. Pawier'tie! Tam i kwartiry pałuczitie i agarody, i karowu pakupat' można. A chlieb u was jes't'?¹ - pytanie nieoczekiwane i, nie czekając na odzew, kontynuuje: - Nietu? Nu smatritie! Siejczas was spiszem. Wet u mienia tietradka² - macha zamaszycie zeszytem.

- Patem tałony pałuczitie. Na cełuju niedieliu! Paka atda-chnut' wam nada³ - nie przestaje trzepać językiem, co wykorzystując Ważna Figura, wycofuje się. Kobieta tokuje bez przerwy.

- Pajdiomtie w obszoce żytieł'stvo. A zawtra w Pierwomajsk pajdielie!⁴

- Jak to, pajdielie?!

- Normalnie. Pieszkom!⁵ Pociąg tam nie dochodzi.

Obwisłe ramiona i zrezygnowane miny przybyszy uświadamiają jej, że zadanie wykonane. Od paru chwil nikt nie protestuje.

Od momentu, gdy padło słowo "chlieb". SŁOWO-BODZIEC i SŁOWO-HAMULEC. Są, gdzie są i nic tego nie zmieni. Niczego nie zwojują. Zima za pasem, oni bez dachu nad głową. Jak długo można? Nieważne czy Ozierki czy Pierwomajsk! Najważniejsza p e w n o ś ć. Pewność, że przestanie się ich odsyłać od Annasza do Kaifasza. Są zmęczeni, ledwie żywi. Pragną przytuliska.

- Zgoda - przemawia w imieniu wszystkich pan Kulik. - Niech będzie ten Pierwomajsk. Ale na pewno? Stamtąd już nas nie wyrzucą?

- Nawierna - uśmiecha się szeroko Kobieta z ^{Zeszytem} - Jej Bohu! Bud'tie spakojny. Paszli! - zachęca, odchodząc do budynku stacyjnego. - Stanawities' w oczeried'.⁶

Wkrótce formują się dwie kolejki. Do Kobiety z Zeszytem i do Ważnej Figury wręczającej "tałony".

Chlieb wykupują w pobliskiej piekarni - ZNAKOMITY! Świeży, pachnący, wyrośnięty, z chrupiącą skórką. Nie oglądany, nie próbowany od wieków.

Dorota, stojąc z Emilką i Anielą w

1. Nie złościć się do brzy Wolze. Na Pierwomajsku jest wspaniałe dwiercie! Tam dostaniecie kwatery i ogrody i krowę można kupić. A chlieb macie?

2. Nie macie? Spójrzcie! Zaraz was wciągnie na listę. Mam tu zeszyt.
3. Potem dostaniecie tałony. Na cały tydzień! Tymczasem mu-
sicie odpocząć.
4. Chodźmy do obszerego życia. A jutro pojedziecie na Pierwomajsk.
5. Piechota!
6. Na pewno, jak Bogu kocharm. Będziecie spokojni. Czekamy. Ustawcie się w kolejce.

kolejce przed piekarnią, rozmarza się.

- Myślę, że nawet w Raju trudno o piękniejszą woń.
Zapach świeżo upieczonego chleba. Syty i...bezpieczny. -
- Jej cienkie nozdrza drżą, leciwko, subtelna twarzyczka rozpro-
mienia się.

Chlebem pachnie cała sala, w której zostają umieszczeni przybysze
na noc. I pachnie gotowana z ziemniakami kapusta. Może naprawdę za-
czynają się lepsze czasy?

Wiktoria miesza wielką łyżką w perkoczającym na płycie ^{rondu} / kuchnią znaj-
duje się w osobnym pomieszczeniu /, uśmiecha się do asystujących jej
córek. Leszka z Ingą nie ma w pobliżu. Właśnie rozlega się głośny
płacz małej.

- Pilnujcie! - Wiktoria wybiega do sieni.

Na płycie wrze kilka rondli - każdy pod traskliwą opieką. Obok
garnka Wiktorii - sagan doglądany przez nieznaną dziewczynę,
Wandę Szczepkowską, jak się okaże za chwilę.
Emilce przypomina Danielę i serce jej kurczy się z tęsknoty za
przyjaciółką / Odlaty się jej, wraz z matką, zostać w Barnaulu /.

Wanda jest niemal tak wesoła, jak Daniela, lecz nie tak śliczna. Gdzie
teraz jesteś, moja ty śpiewaczko! - wzdycha bezgłośnie Emilka
i zamyśla się. Wonna para buzuje z garnków, budzi pragnienie snu.
Kolejny ranek, lodowaty i jakiś surowy, to jeszcze jedno ogniwo
męki. Szczególnie przeraża perspektywa siedmiokilometrowego marszu
a zwłaszcza jego powielenie z powodu bagaży, których nie sposób
zabrać na raz.

Kobieta z Zeszytem - tym razem bez niego - wycisza
emocje. - Nie bójcie się, nie pojdziecie pieszkom. Zaraz
podjedzie ciężarówka. Będziecie się przeprowadzać
na posiołek po kolei. Nikt nie zostanie! - śmieje się jakoś tak po-
rozumiewawczo, dość sympatycznie.

Wiktoria - ze względu na małe dziecko - podróżuje w pierwszej tu-
rze. Odjeżdżających żegnają machaniem rąk nie tylko współziomkowie,
lecz i krajowcy. Proste, przyjazne twarze i gesty.

Samochód zagłębia się w leśny dukt, podskakuje na wybojach, trzęsie. [... kopci. Jest napędzany... drewnem!!].

Zadowolone, z powodu otrzymania transportu miny, rzedną, coraz bardziej:

- Znowu lasy! Znowu głusza! Było też po co ruszać się z Siewiernej!

- Ale komarów tu nie ma! I meszki! - wtrąca pocieszające Leszek.

- I Mierzlewcewa! - dodaje Dorota.

- Będzie drugi. Niekoniecznie lepszy!.

- A o komarach porozmawiamy latem!

Wiktoria z Emilką nie biorą udziału w "dziecinnym przekomarzeniu".

Milczą. Inga - mały krasnoludek w czerwonym paletku z kapturkiem - śpi, rozciągnięta w poprzek kolan matki i siostry, podtrzymywana troskliwie przez obie. Do piersi przyciska swą niesdłączną, szmacianą Gustię.